



WP.



13831 -
I

164

El. Orzeszkowa

13831

DZISIEJSI BOHATEROWIE.

Tom I. *II*

wp. H. Drexlerowa.

JÓZEF ROGOSZ.

DZISIEJSI BOHATEROWIE

Powieść współczesna

w dwóch tomach

Difficile est satyram non scribere.

Tom I.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.

Z drukarni „Gaz. Nar.” J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

1884.



Tegoż Autora wyszły dotąd:

<i>Wojewodzie, powieść obyczajowa</i>	2 tomy
<i>Złamane serca</i> , " " "	2 tomy
<i>Tak być musiało</i> " " "	1 tom
<i>Pokuta</i> " " "	1 tom
<i>Zdrajca, powieść społeczna</i>	2 tomy
<i>Motory życia</i> " " "	4 tomy
<i>Kalejdoskop</i> (Kłosa r. 1883) pow. społeczna	2 tomy
<i>Dzisiejsi bohaterowie</i> , " " "	2 tomy
<i>Marzyciele, powieść historyczna</i>	3 tomy
<i>Ostatni karmazyn, powieść historyczna</i>	1 tom
<i>Ostatni Szaraczek</i> , " " "	1 tom
<i>Choroby Galicji, obrazy społeczne</i>	2 tomy
<i>Wspomnienia z Włoch, obrazy społeczne</i>	1 tom
<i>A. Grottger, J. Matejko, studja</i>	1 tom

Pod prasą:

W śmiertelnych zapasach, powieść społeczna w 2 tom.
Dla idei, powieść historyczna w 2 tomach.

Wkrótce wyjdzie:

Na dziejowym przetomie, powieść historyczna z wieku XV. w 4 tomach.

I.

Jak hrabia dzień zaczynał?

Zegar ochrypłym głosem wybił dziewiątą.

Przy ostatnim uderzeniu, hrabia, który dotąd spał smacznie, chrapać przestawszy, podniósł szybko głowę i oczy sobie przetarł; na zegarze jednak, który wisiał na ścianie przeciwległej, nie mógł nic dojrzeć, story bowiem u okien były pospuszczone.

Zadzwonił.

Przez drzwi, otwierające się cichutko, wszedł służący na palcach.

— Która godzina? — hrabia ziewając zapytał.

— Dziewiąta, jaśnie panie.

— Dziewiąta? Ktoby się był spodziewał! Nie pamiętam, czym kiedy spał tak długo. Prawda Tomaszu?

— Prawda... Jaśnie pan zawsze pierwszy na nogach.

— Bo tak być powinno. Gdzie gospodarz tego nie przestrzega, tam wszystko idzie najgorzej. Dziś zasnęłam, ale nie moja wina. Pop

prosił o trzy robry, nie mogłem mu odmówić, bo sprawa publiczna tego wymaga. Jak ci się zdaje Tomasz — hrabia głośniejsz dodał, ku służącemu się obracając, który właśnie story podciągał — z Rusinami będzie kiedy zgoda?

Tomasz zrobił minę pogardliwą i odrzekł:

— Ciekawym na co panom z nimi zgody...

Przecie to hołota, same chłopcy.

— Tak... prawda... ale polityka tego żąda!

— hrabia odparł. Potem zapytał:

— Jak tam dziś na dworze?

— Leje.

— Leje? A to prawdziwe boże skaranie!

Pojutrze ślub, gości ma się zjechać bez liku, a tu jeźli drogi zrobią się przepaściste, nie sposób będzie wszystkich z kolei pozwozić.

— Mnie się zdaje, że jaśnie pan niepotrzebnie się martwi. Dziś w nocy przyjechała jaśnie pani Helena. Jej ludzie mówią, że droga jeszcze dobra.

— Przyjechała? Sama, czy z mężem?

— Sama. Stanęła w pokoju pani hrabiny.

— To dobrze że sama, bardzo dobrze! — hrabia mruknął. — Jej męża nie można wszystkim pokazać — ciszej dalej mówił — dotąd hultaj trąci ekonomem. Szkoda, że przy swojej fortunie lepiej się nie urodził. Ale co począć, gdy się ma ośm córek, trudno sobie zięciów dobierać. W czasach dzisiejszych lepszy ekonom z milionami, niż hrabia z długami. — Hej! To-

maszu! — głośno zawołał — daj mi kurtę i buty wysokie. Trzeba wyjść do gospodarstwa, bo tam z pewnością przewraca się wszystko do góry nogami.

Służący spełnił zaraz rozkaz swego pana, poczem tenże zaczął się szybko ubierać. W kilka minut był gotów.

Gdy hrabia Hieronim Czarnokoński, w kurcie i butach wysokich, stał teraz na środku swojej sypialni, nikt by nie powiedział, że to członek jednego z pierwszych rodów w kraju, pan, arystokrata. Przeciwnie, każdy wziąłby go za zwykłego szlachcica. Wzrostu był słusznego, barczysty, czoło miał niezbyt otwarte, oko ani przenikliwe, ani zamglone, wąs sumiasty, ruchy naturalne, niekiedy nawet rubaszne, głos donośny, czasem aż krzykliwy.

— Jaśnie pan będzie pił herbatę? — Tomasz zapytał.

— Nie teraz, później, razem z innymi — odrzekł, i nasunawszy czapkę na czoło, prędko wyszedł.

Nie długo trwało, a wszędzie go widziano i słyszano. Najpierw zajrzał do stajni końskiej, gdzie jednego fornala zbuczał, drugiemu zaś omało ucha nie urwał; potem przebiegł wzdłuż dwie stajnie bydłowe, wydając różne rozkazy głosem donośnym; wpadł na gumno, gdzie zastraszoney ekonom musiał wysłuchać długiej reprimendy; w gorzelni tak się rozkrzyczał, że

aż robotnicy w niej zajęci gęby szeroko rozdziawiwszy pracować przestali; w końcu wydawszy jeszcze kilka poleceń dziewczkom i pastuchom, kręcącym się koło stajen, zwrócił się ku bramie do dworu prowadzącej, która po obu bokach miała śliczne modrzewie. Gdy w niej stanął, wyjrzał w pole.

Dzień był zimny, wilgotny i smutny. Deszcz, który przez noc i rano lał jak z cebra, zamienił się teraz w rodzaj mgły kroplistej, co zwolna opadając, wszystko przenikała. Widnokrąg był w koło zasunięty zapłakanymi powiekami. Ani w polu, ani na drodze, która zrobiła się podobną do rzeki, rzadkiem błotem ciekącej, nie było widać żywej istoty. Nawet ptactwo gdzieś się pochowało, drzewa zaś odarte z liści ostatnich, deszczem ziębione a wiatrem smagane, zamieniły się w szkielety potępieńców, którym kazano pokutować na drogach rozstajnych.

Hrabia stał ciągle w bramie, okiem badawczem wodząc do koła. Nie dostrzegłszy nic uwagi godnego, chciał już odejść, gdy nagle coś go z daleka uderzyło. Na drodze, pod lasem, ukazały się dwa wózki, oba poczwórne, które mimo błota szybko naprzód się posuwały. Hrabia oczy zmrużywszy, śledził ich poruszenia. W kilka minut dojechały do bramy.

Konie i wózki tak były błotem obryzgane, że najlepsze oko nie odgadłoby, jakiego były koloru; nawet panowie, którzy jechali, a było

ich razem siedmiu, prócz służby, mieli błoto nie tylko na płaszczach, lecz także na parasolach, któremi się od deszczu zasłaniali.

Była to młodzież z okolicy.

— Dokąd Pan Bóg prowadzi? — zawołał hrabia z daleka.

Na jego głos konie stanęły, poczem młodzie ludzie zaczęli jeden po drugim z wózków wyskakiwać. Pospiech, z jakim to uczynili, tudzież uniżoność, z jaką witali hrabiego, wymownie świadczyły o ich wielkim i rzetelnym szacunku dla jego osoby.

— Jedziemy do Leonarda na polowanie — jeden przemówił.

— Łowy to zabawa piękna, rycerska! — hrabia zawołał — nasi przodkowie hartowali na nich ciało i ducha, to też jak we wszystkim, tak i w tem powinniśmy w ich ślady wstępować, ale równocześnie także pamiętać, co nasze przysłowie powiada: że rybak suchy a strzelec mokry oba djabła warci!

— Barometr, panie hrabio, idzie w górę — nowy głos zauważył — jutro będzie pogoda.

Hrabia jakby tych słów nie słyszał, dalej mówił:

— Domyślam się, czemu wśród słoty wybraliście się na polowanie. Oto czekając na pogodę, chcecie tymczasem zabijać nudy przy zielonym stoliku.

— My nie grywamy, chyba wista — jeden głos odpowiedział.

— I do tego dwadzieścia punktów za centa — drugi dorzucił.

— *Ma foi*, jam już zapomniiał jak gra hazardowna wygląda — przemówił najstarszy między nimi, szczupły szatyn, z małemi wąsikami, bystrego wejrzenia a z ustami złośliwemi, którego powszechnie Markizem nazywano.

— Jak mamę kocham — zakończył Guccio, syn hrabiego Albina, sławnego w kraju krytyka, ekonomisty, komedjopisarza i poety — my już oddawna wyrzekliśmy się „djabła“ i wszystkich spraw jego.

— Bardzo to pięknie, jeżeli tylko prawda — hrabia odrzekł — chociaż z drugiej strony nie mam także powodu wątpić o was... Wszak jesteście szlachtą, a szlachcica słowo święte. O! tak, moi młodzi przyjaciele, słowo szlachcica opiera się na jego honorze, a honor, to sakrament! Pięknie więc żeście zarzucili gry hazardowne, one bowiem rujnują fortuny, które potem przechodzą w ręce żydów i Niemców. A myśmy powinni bronić naszej ziemi do upadłego, bo ile jej, tyle i nas!

Podczas gdy hrabia to mówił, wzrok jego nie spoczywał na żadnym ze słuchaczów, którzy go więcem otoczyli, lecz na pierwszej czwórce.

— Czyje to konie? — nagle zapytał.

— Moje — odrzekł Guccio. — Mama kupiła mi je w prezencie na imieniny.

— Nieźle szkapy, nieźle — zaczął hrabia chwalić, mierzając konie okiem znawcy. — Nogi zdrowe, dobrze zbudowane, wcale nieźle.... A u kogo mama kupiła?

— U Marcesia Lewkońskiego.

Guccio, mówiąc to, wskazał ręką na młodego człowieka, stojącego tuż przy nim, z którym hrabia dotąd się nie przywitał, mimo iż tenże ciągle na przód się wysuwał.

— A, to baron Lewkoński? Bardzo mi przyjemnie. — Z temi słowy hrabia podał mu rękę, którą młody człowiek skwapliwie pochwycił. — Papę dobrodzieja — dalej mówił — miałem przyjemność gdzieś widzieć.... Przy sposobności proszę mu powiedzieć, że się przypominam jego pamięci, i że miło by mi było, jeźliby mu kiedy rozsypało się koło w Zawadowcach, bo wtedy może by wstąpił do dworu swego sąsiada.

Młody baron słuchał hrabiego z najwyższą radością. Twarz mu się zarumieniła, oko zaś iskrzyło, uśmiech odsłonił dwa rzędy zębów białych, zdrowych, długich i szerokich.

— Jeśli pan hrabia pozwoli — przemówił — to papa jeszcze w tym tygodniu będzie służył, bo czyż może być dla kogokolwiek coś bardziej zaszczytnego, od pobytu we dworze zawadowieckim, o którym cały kraj mówi, że jest

siedzibą cnót staropolskich, ogniskiem patriotyzmu i wzorem domu obywatelskiego ?!

Chociaż Marceś wypowiedział to jednym tchem i z zapalem, hrabia nie uznał za stosowne za to podziękować, co mu się słusznie należało. Poklepał go tylko protekcjonalnie po ramieniu, i zwracając się do innych, rzekł:

— Jedźcie, jedźcie, nie chcę was dłużej zatrzymywać... Za kilka dni, jak się wypogodzi, może i u mnie zapolujemy. A nie nakrywajcie się tylko parasolami, bo mnie to samego wstydzi. Czy to wy z cukru, lub może z soli? Patrzenie, jam stary a deszczu się nie boję. Gdyby wasi przodkowie ujrzeni byli pod parasolami, nie przyznaliby się do własnych synów. Bądźcie zdrowi, a pozdrówcie tam odemnie pana Wolewicza!

Młodzi ludzie pożegnawszy się odjechali, hrabia zaś wrócił do domu na śniadanie.

II.

Hrabia ze swymi.

Dokoła stołu familijnego siedziało osób kilkanaście. Na pierwszym miejscu gospodyni domu, hrabina Wanda, dama już nie młoda, ale bardzo przyjemna, cicha i łagodna; obok niej trzy córki zamężne, z panią Heleną, jako najstarszą, na czele; dalej panna Melania, mająca właśnie wyjść za mąż i jej siostry młodsze, o których Markiz w swoim towarzystwie złośliwie utrzymywał, że nie zaszkodziłoby, gdyby się już przeniosły w dobrze zasłużony stan małżeński, bo wtedy nie robiłyby konkurencji dwom siostronom najmłodszym, które, jak dotąd, były jeszcze podlotkami i przy stole za starszemi siadywały. Długi ten szereg płci pięknej zamykała guwernantka, Francuzka, kształcąca dotąd umysł i serce obydwu podlotków, a dopiero za nią, na samym końcu stołu, widać było gospodarza domu, obok którego siadywał zawsze jego dwudziestoletni jedynak, spadkobierca imienia i fortuny Czarnokońskich, hr. Alfons.

Rozmowa toczyła się częścią po polsku,

częścią po francusku i była bardzo ożywiona. Tematu nie brakowało, gdyż za dwa dni miał się odbyć ślub panny Melanii i każdej chwili spodziewano się pana młodego. Wprawdzie twarz narzeczonej nie jaśniała radością, przeciwnie, wyraz jej bladego oblicza zdradzał bądź ból fizyczny, bądź cierpienie moralne, lecz jak dotąd, prócz matki jednej, która córkę bacznie okiem śledziła, nikt na to uwagi nie zwrócił. Wszyscy byli zajęci osobą pana młodego, jednego z pierwszych w kraju magnatów, który jako poseł na Sejm krajowy i delegat do wiedeńskiej Rady państwa, zdobył już już sobie wybitne stanowisko polityczne.

Z długiej rozmowy można się było dowiedzieć, że na ślubie będzie wprawdzie osób bardzo wiele, lecz sama tylko rodzina, tak bliższa, jak dalsza; że zięciowie mieli dopiero na-
zajutrz przyjechać; że pan młody zapisał narzeczonej jeden z większych swoich kluczków, i że po ślubie postanowił zabrać ją natychmiast do Wiednia, gdzie już od dwóch tygodni obradowała Rada państwa.

— Gdy się starsi rozjadą — hrabia w końcu przemówił, do syna się obracając — wtedy dla młodzieży urządzimy polowanie na dziki. Zaraz dziś ułożymy sobie listę tych wszystkich, których dodatkowo wypadnie nam zaprosić. Przypomnij mi tylko Alfonsie młodego Lewkońskiego, bo trzeba żeby i ten był...

— Lewkoński? — Alfons zapytał.

— A tak, on...

— Przecie ani Marceli, ani jego ojciec u nas nie bywa.

— Prawda... dotąd nie dopuściłem ich do mego domu, ale dziś pytam się sam mego sumienia, a żalim zbyt surowo z nimi nie postępować. Wszak stary Lewkoński to człowiek prawy, dobry gospodarz, patryjota, trzeba mu więc przebaczyć jego pochodzenie. Zresztą Marceliego zaprosisz ty, Alfonsie, a ze starym baronem dopiero wtedy bliższe zawiążemy stosunki, jeżeli wpięrow przyjdzie nam się pokłonić.

Podczas gdy hrabia to mówił, córki zamężne zamieniły między sobą spojrzenie wiele znaczące, a gdy skończył, pani Helena rzekła pierwsza:

— Młody baron ma być wcale przyzwoity.

— O! i bardzo! — hrabia potwierdził.

— Szkoda tylko — jedna z dwóch starszych pańien wtrąciła — że w twarzy ma jeszcze tyle rysów żydowskich.

— Jam tego nie dostrzegł — ojciec odparł sucho. — Przeciwnie, uważam go nawet za bardzo przystojnego młodzieńca.

Hrabia wypowiedział to takim tonem, że żadna z pań ust więcej nie otworzyła.

— A czy papa słyszał — Alfons zapytał — o owym sławnym pojedynku, z którego Marceli wyszedł z ręką przeciętą?

— Słyszałem i chwale go za to, że się bił. Szlachectwa nie można otrzymać w darowiźnie, to nie jałmużna, to zaszczyt najwyższy, który trzeba sobie umieć własną krwią wywalczyć.

— Ale papa może nie wie, że on bił się z żydem, z młodym Kampem, synem dyrektora Banku powszechnego, i do tego o jakąś osobę, o której mówić nie warto.

— Mój synu! — ojciec poważnie przemówił — wyryj to sobie głęboko w pamięci, że każdy, kto się domaga satysfakcji honorowej, bez względu na to, czy jest chrześcianinem, turkiem, czy choćby nawet żydem, już dla tego samego jest jej wart, że jej żąda. Tylko człowiekowi kryminalnie karaniem możnaby jej odmówić, nikomu więcej. Zresztą pan Marcelli i za to zasługuje na moją pochwałę, że stanął w obronie kobiety. Nie zapominaj, Alfonsie, że cześć każdej kobiety, bez wyjątku, powinna nam być świętą, boć tysiące razy zdarza się, że świat niewinnie słabe niewiasty potępia. Rycerze średniowieczni stawali w obronie wszystkich kobiet i tem się też wstawili!

To powiedziawszy, hrabia powstał, uklonił się grzecznie obecnym i odszedł do swojej kancelarii.

Tu zapalił zaraz fajkę na długim cybuchu, i usiadłszy przy stole, zaczął uważnie odczytywać gazetę, którą przed chwilą Tomasz przyniósł. Z początku czytał obojętnie, na twarzy

jego nie malowało się żadne uczucie, dopiero pierwszy ustęp w rubryce „Wiadomości bieżące“ zelektryzował go całego. Oto jego osnowa:

„Na wyraźny rozkaz J. E. hrabiego Prezydenta, został wczoraj wydany za granice kraju niejaki Ludwik P. urodzony w Warszawie, a od trzech lat u nas zamieszkały. Władza zarzuca mu knowania socjalistyczne. Czy zarzut jest słuszny, nie wiemy; wszakże sumiennie tyle możemy powiedzieć, że wszyscy znajomi Ludwika P. poznali go jako młodzieńca spokojnego i pracowitego. Dziwi nas także niezmiernie, że władza polityczna wydalila człowieka, któremu poprzednio sąd winy nie udowodnił. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nasza konstytucja stanie się wkrótce pustym wyrazem.“

— Tak! tak! — zawołał hrabia, porywczo z krzesła się zrywając — ja oddawna powtarzam, że ten Prezydent to skończony satrapa! Ludność całego kraju w jego oczach to trzoda, szlachta to jego pacholki, nawet nas ma za nie! I kto tak nos zadziera, kto? Chudeusz, ni to z pierza, ni z mięsa, dorobkiewicz, hrabia le dwie wczorajszy, i do tego austriacki, nie rzymski, którego monarcha tylko dlatego łaską swą zaszczyca, że dotąd nie wie, iż w kraju są od niego stokroć godniejsi jego względów i odpowiedzialniejsi na to stanowisko. Ale dam ja ci teraz! U nas ani mowy nie ma o socjalizmie, wszystkie gazety codziennie powtarzają, że my

jedni, jako całkiem zdrowi, uchroniliśmy się od tej choroby, a ty spokojnego człowieka wypędzasz pod pozorem, że to socjalista. Pewnie ci nie dość czapkował. Wszak tyś nawet mnie przyjął o trzy kroki i kazał stać przed sobą... Dam ja ci teraz! Zaraz jadę, poruszę całe miasto, kraj cały, zobaczymy, czy tym razem nie wylecisz!

Już rękę podniósł, aby na Tomasza zadzwonić, lecz się zatrzymał, bo sobie coś ważnego przypomniał.

— Dziś nie mogę — szepnął — pojutrze ślub Melanii... Trzeba koniecznie zostać... Ach! czego to człowiek dla rodziny nie musi uczynić! Ale jak tylko okoliczności pozwolą, zaraz jadę!

Drzwi lekko się odchyliły i w nich ukazała się hrabina.

— Nie przeszkadzam ci, Hieronimie? — zapytała, łagodnie się uśmiechając.

— Bynajmniej... proszę cię, Wandziu. Chcesz mi co powiedzieć?

— Z przykrą wiadomością przychodzę, mój mężu.

— Cóż takiego?

— Melania coś mi trochę chora.

— Chora? Ot, zdaje ci się, Wandziu. Wiedziałam ją przecie przy śniadaniu, wygląda jak rósł, że trochę zamysłona, toć dziwić się nie

można. Wszak pojutrze jej ślub, chcąc niechcąc musi się nad przyszłością zastanawiać.

Żona smutno głową potrząsała.

— Byle tylko w tem małżeństwie szczęście znalazła — szepnęła. — Prawda, że człowiek to bogaty, dobrze urodzony i ze znaczeniem, ale cóż z tego, kiedy mógłby być jej ojcem. Kto wie nawet, czy nie starszy od ciebie, Hieronimie.

— Fanaberje, moja Wandziu, fanaberje! Nie wiek męża stanowi szczęście w małżeństwie, tylko jego charakter, a przedewszystkiem pozycja. Zresztą trudno, byśmy córki nasze wydawali za krawców lub szewców, a skoro posagu nie mają, bo sprawy publiczne za wiele mnie kosztują, więc nietylko dla nas, ile dla siebie muszą wyrzec się niedorzecznych romansów. Chociaż, wiesz co, Wandziu — mąż mówił dalej, zmieniawszy nagle ton rozkazujący na łagodny prawie — ja jej wcale nie zmuszam. Jeżeli nie chce, niech powie, może pójść do klasztoru...

Hrabina gorzko się uśmiechnęła.

— Piękna zamiana... ale trudna rada, niech się spełnią jej losy!.. Dajmy już temu pokój, teraz zaś pomówmy tylko o jej zdrowiu. Ona rzeczywiście chora.

— Cóż jej jest?

— Boję się, czy nie będzie jaka wysypka.

— Wysypka, zaraz wysypka!

— Ja się na tem dobrze znam, Hieronimie. Wszak wychowałam dziewięcioro dzieci.

— A więc niech będzie i wysypka... Poszle się po lekarza i kwita.

— Możeby ślub odłożyć?

— Ślub odłożyć?! Co ci się roi, kobieto? Jeżeli będzie wysypka, weźmie ślub w domu, ale wziąć go musi, bo takiego zięcia ojciec rozumny i dzieci kochający z domu nie wypuszcza. Ileż to małżeństw rozeszło się dlatego, że rodzice niebacznie ślub odroczyli? My tego błędu nie popełnimy!

Słowa ostatnie z takim wymówił naciśkiem, że żona uznała za konieczne nie dotykać więcej tego przedmiotu. Chciała nawet zaraz odejść, ale mąż zatrzymał ją mówiąc:

— Jak już przy stole wspomniałem, Wandziu, na polowaniu, które prawdopodobnie w czwartek u nas się zacznie i potrwa do niedzieli, będzie między innymi także młody Lewkoński. Postanowiłem zbliżyć się do tych ludzi, bo o ilem się przekonał, należą do lepszych w kraju... Zresztą wraz z krewnymi rozporządzają kilkoma głosami w powiecie, które dobrze użyte, mogą przyczynić się do dobra powszechnego. Jeżeli stary baron, jak się tego spodziewam, przyjedzie tu temi dniami, bądź dla niego uprzedzającą grzeczną, młodemu zaś podsuwaj zręcznie którąś z dziewcząt, najlepiej może Anastazję, bo ta, jak widzę, chętnie by

się już przeszła... Partja to nie zła, a nie trudna, dla nich bowiem większy z niej zaszczyt niż dla nas korzyść.

Hrabina nie na to nie odpowiedziawszy, ku drzwiom się zwróciła. Mąż atoli ujął ją za ramię.

— Jeszcze słówko, Wandziu. Przy sposobności pomów także z Heleną w cztery oczy o naszych stosunkach.

— O jakich, Hieronimie?

— O jakich! A o jakichże, jeżeli nie o materialnych. Przecie tajemnic nie mam przed tobą, wiesz zatem, że w ostatnich czasach djabelnie nam się wszystko popsuło... Już trzecia rata bankowa nie zapłacona, razem będzie ośmaście tysięcy, właśnie wczoraj urgens dostałem, i jeżeli w ciągu dwóch tygodni banku nie zaspokoję, może się źle skończyć.

— Wielkie nieszczęście!

— Że też wy, kobiety, umiecie tylko desperować i ręce łamać, a o zapobieganiu ani pomyślicie. Wprawdzie powiedziałem, że jest źle, ale o nieszczęściu jeszcze mowy nie ma. Nastąpiłoby ono dopiero wtedy, gdybyśmy zamiast radzić, ręce założyli, wyglądając zmiłowania bożego... Przyznaję, że stosunki nasze materialne bardzo się pogorszyły, ale kto temu winien? Przecie nie my... Ty, biedaczko, latami całami z domu nie wyjeżdżasz, ja na siebie nie nie wydaję, ale za to muszę prowadzić dom



otwarty, bo nie tylko są jeszcze cztery panny na wydaniu, lecz co nierównie ważniejsze, oto że cały kraj patrzy na Zawadowce, i kto tylko może, tu przyjeżdża, by się ze mną poznać. Tak więc utrzymanie naszego domu jest sprawą nie prywatną, ale publiczną.

— Co chcesz, Hieronimie, bym Helenie powiedziała? — żona nagle mężowi przerwała.

— Daj jej duszko do zrozumienia, że jako córka, rodziców kochająca, powinna by nam teraz przyjść w pomoc, i bank zapłacić.

— Jakto, Helena ma to uczynić? A przecie nie daliśmy jej żadnego posagu.

— Bo panny Czarnokońskie nie potrzebują posagu, zwłaszcza gdy wychodzą za synów ekonomskich! — hrabia dumnie odrzucił. — Helena jednak ma dwakroć, które jej mąż przed ślubem zapisał, jeżeli więc zechce, będzie nam mogła dopomóc, ja zaś nie mam nic przeciw temu, by się z pożyczką zahipotekowała na naszych dobrach. Przecie darowizny nie żądamy. Tylko proszę cię duszko, abyś w rozmowie z nią niczem nie okazała, że ja cokolwiek wiem o tem... Mnie, Wandziu, nie wolno nic wiedzieć, dlatego też proszę ją o sekret i pospiech, abym się przypadkiem nie domyślił, co uczynić zamierza, bo wtedy nie mógłbym przyjąć jej grzeczności, i byłoby źle!...

— A ja ją, mężu, mogę przyjąć? — hrabina zapytała.

— Wy, kobiety, co innego... łatwo się porozumiecie, gdy przeciwnie ja, jako mężczyzna i człowiek, na którego kraj patrzy, nawet z własnymi dziećmi nie mogę być tak szczerze, jakbym pragnął. Tak, Wandziu, wymagania honoru są bardzo surowe.

— Co jednak stanie się, Hieronimie, jeżeli mąż nie pozwoli jej tego uczynić?

— Przypuszczasz zatem, że odważyłby się sprzeciwić?! Nie bój się, Wandziu, nie bój, dam gardło, że to nie nastąpi. Pan Grzegorz, syn prostego dorobkiewicza, wie przecie, jaki go zaszczyt spotkał, żeśmy mu córkę dali, i jaki to honor dla niego, że bywa w Zawadowcach, i rodzicami nas nazywa! Dlatego, Wandziu, bądź spokojna o niego, i tylko staraj się z Heleną rozmówić dyplomatycznie, abym, broń Boże, nie domyślił się czego, bo wtedy musiałoby się wszystko popsuć, i my byśmy się znaleźli w fatalnem położeniu z dziećmi dotąd niezaopatrzonymi. Poruczam tę sprawę twemu sercu i rozumowi, żono!

Słowa ostatnie brzmiały jak rozkaz.

Hrabina ciężko westchnęła, i głowę na pierśi zwiesiwszy, wyszła w milczeniu z pokoju męża.

III.

Hrabia z obcymi.

Hrabia zapalił świeżą fajkę, i znowu chciał zasiąść do gazety, gdy w tem zjawił się Tomasz niewezwany.

— Po co? — zapytał, głowy nie podnosząc.

Intencja głosu była tym razem prawdziwie pańska.

— Przyszedł profesor i pyta, czy może widzieć się z jaśnie panem.

— Czego chce?

— Nie wiem.

Hrabia oderwał wzrok od gazety, wyjął z ust bursztyn, którym cybuch był zakończony, i spojrzał na Tomasza. Nie zdawało się jednak by go widział. Snać nie patrzył na służącego, tylko myślał, jaką by dać odpowiedź.

— Niech wejdzie! — rzekł sucho i napowrót zaczął czytać.

Wkrótce zjawiła się figurka niska, trochę pochyła, mająca u góry twarz zmarszczkami poraną i głowę łysą, w środku surdut długi,

czarny, dobrze wytarty; na nogach buty potężne, które, nim profesor tu wszedł, musiał sobie w sieniach z błota oczyścić, gdyż były popielate. Wsunąwszy się do pokoju, zatrzymał się tuż przy drzwiach w postawie pełnej pokory.

— A, pan profesor, jak się pan ma? — Hrabia gościa przywitał, oczu ku niemu nie podnosząc.

— Sługa uniżony jaśnie pana hrabiego.

— Co nam pan nowego powie?

— Ośmieliłem się przyjść w ważnej sprawie, obchodzącej zblizka nasze szkolnictwo.

— To bardzo pięknie. Sprawa oświaty jest dziś najważniejszą. Lud leniwy i łatwowierny, bo ciemny; kraj biedny, bo ciemny; cały naród upada, bo ciemny. Jedna jeszcze oświata może nas dźwignąć i zbawić.

— Sliczne zasady, jaśnie panie hrabio, prześliczne i szlachetne! Szkoda tylko, że nie wszyscy je podzielają.

— Jak to, więc pan sądzisz, że mogliby być ludzie z innemi przekonaniem? — hrabia zapytał, wzrok zdziwiony na schyloną figurkę podnosząc.

— Są, niestety, są...

— Tacy, mój kochany panie, nawet żyć nie warcą. To wyrzutki społeczeństwa, potwory! Ale wróćmy do rzeczy. Z czem więc kochany profesor przychodzi?

— Chciałbym poskarżyć się przed jaśnie

panem hrabią na moje położenie, które jest rozpaczliwe.

— Doprawdy?

— Niestety! Chałupa, w której mieści się szkoła, to nie dom mieszkalny, lecz nora ciasna, ciemna i wilgotna. W izbie szkolnej dzieci o mało się nie poduszą, strzecha zaś tak przegniła, że na łóżko chorej mojej żony woda strumieniami ciecze.

— Hm! to źle, bardzo źle! — Hrabia mruknął czoło marszcząc.

— Od dwudziestu pięciu lat jestem nauczycielem, a dotąd nigdy jeszcze nie dokuczyła mi bieda tak jak teraz.

— To znowu niech pana tak bardzo nie przeraża — hrabia przerwał. — Bieda każdemu z nas dokucza, tylko każdemu w inny sposób. Życie, mój panie, to walka bezustanna, a walka to życie. Tak było od początku świata, tak jest i zawsze będzie. Zresztą, miej pan i to na uwadze, że ludzie żyjący dla idei, muszą stokroć więcej cierpieć niż inni, boć już samo przekonanie, że spełniają szczytną misję, sprawia im wielkie zadowolenie, które jest ich najwyższą nagrodą. Pan zaś żyjesz dla idei, bo niesiesz światło.

— Prawda panie hrabio — nauczyciel szepnął nieśmiało — ale z tem wszystkiem nie zaszkodziłoby, gdyby mi choć trochę było lepiej.

— Będzie, mój kochany profesorze, będzie,

tylko nieco cierpliwości. Powiadasz, że budynek szkolny ciasny i stary... Wszak nie tak trudno temu zaradzić. Postaraj się pan żeby gmina nowy postawiła.

Nauczyciel gorzko się uśmiechnął.

— Gmina biedna — odrzekł — choćby chciała, nie może... Zamożni niegdyś gospodarze, robią dziś pańszczyznę Szmulowi.

— Masz pan rację, żydostwo to plaga największa! Ale skoro gmina biedna, to trzeba udać się do Komisji edukacyjnej. Przecie ona ma fundusze... Za kilka dni będę w mieście, sam do niej pójde i o tem pomówię.

— Jaśnie pan hrabia bardzo łaskaw...

— To nie łaska, to obowiązek, mój panie! O sprawach publicznych nie powinniśmy nigdy zapominać.

— Jaśnie pan hrabia bardzo łaskaw — zaczął gość na nowo, gospodarz bowiem przerwał mu znaną prędko — ale lękam się, czy to się przyda na co...

— Jak to, nie przyda się, chociaż ja pójde?

— Bo Komisja edukacyjna ma na budynki szkolne niewielkie fundusze i te, o ile mi wiadomo, w roku bieżącym są już w zupełności wyczerpane.

— Jeżeli tak, to źle, bardzo źle.

Nauczyciel spojrzał ukradkiem na hrabiego, który teraz przechadzał się szerokimi krokami, potem spuścił wzrok ku ziemi i niespokojnie zaczął mieć czapkę w rękach. Wido-

czną było rzeczą, że chciał jeszcze coś powiedzieć, a tylko nie wiedział jak zacząć. Dopomógł w tem sam gospodarz, gdyż stanawszy przed nim, zapytał:

— Cóż pan zatem myślisz zrobić?

— Nie pozostaje mi nic innego, jasnie panie hrabio, jak tylko do niego udać się z prośbą o opiekę i pomoc.

— Do mnie? A cóż ja tu poradzę, skoro sama Komisja edukacyjna, do której w pierwszym rzędzie sprawa ta należy, nie może pomóc.

— Rozmawiałem temi dniami z wybitniejszymi gospodarzami — nauczyciel zaczął nieśmiało, hrabiemu w oczy nie patrząc — i ci mi powiedzieli, że chętnie by nawet wymurowali nowy budynek szkolny, jeźliby...

Urwał, jakby się bał dokończyć.

— Jeźliby co? — Hrabia powtórzył.

— Jeźliby dwór wsparł trochę gminę, dając drzewo budulcowe i choć kilkaset guldenów.

Hrabia przygryzł wąsy i do okna się odwrócił.

— Mój panie — zaczął po chwili z naciśkiem — dwór zawadowiecki wie, jakie na nim ciężą obowiązki, lecz trudno znowu żądać, by czynił nad siły. Ani byś przypuścił, mój profesorze, ile mnie rok rocznie sprawy publiczne kosztują. Mimo to nie cofnąłbym się i od tej ofiary, gdybym ją tylko mógł ponieść w tej chwili... Ale czasy ciężkie, mój panie, nieuro-

dzaj w tym roku był wielki, prócz tego w lesie niewiele już mam drzewa materjałowego... Nie sądzę atoli profesorze, że odmawiam, bynajmniej... Co będę mógł, uczynię, muszę tylko wpięrw rozmówić się z moim rządcą. Tak jest, coś się tam już robi koniecznie... A teraz żegnam cię kochany profesorze, bo mam pilne zajęcie.

Nauczyciel skłonił się głęboko i wyszedł z nadzieją w sercu.

Jego odwiedziny nie musiały sprawić przyjemności panu na Zawadowcach, skoro ledwie się za nim drzwi zamknęły, hrabia zaczął szybko chodzić, targać wąsy i coś mruczyć. Stan ten nerwowy trwał u niego dość długo, skończył się zaś dopiero wtedy, gdy myśl nowa, a szczególnie, głowę mu rozjaśniła.

— Tak jest — zawołał, w czoło się uderzając — to będzie najlepsze! Na nikogo więcej nie spada odpowiedzialność. Skoro on jest nie tylko prezydentem administracyjnym, lecz także przełożonym komisji edukacyjnej, przeto nikt nie winien, że w Zawadowcach dotąd nie ma szkoły porządnej, tylko on sam! O! jak się to wszystko składa wyśmienicie! Do dawnego zarzutu przypada nowy, a w oczach bardzo wielu jeszcze cięższy niż tamten! O! mój wielki Prezydencie, już my się z tobą rozmówimy!

Uśmiechnął się, zatarł ręce z radości i po raz trzeci zasiadł do gazety. W księdze przeznaczenia nie było atoli zapisane, że tego dnia ją skończy, ledwie bowiem wziął gazetę do

ręki, we drzwiach ukazał się najpierw Tomasz, a tuż za jego plecami, jakiś mężczyzna słuszny, o rysach twarzy wyrazistych i dużym, spokojnym oku niebieskiem; z długą, jasną brodą, przetykaną nitkami srebrnymi; mężczyzna poważny, lecz nie dumny; śmiały, lecz nie zuchwały; skromny, lecz nie uniżony.

Hrabia takie płomienie z oczu swoich rzucił na Tomasza, że go o mało niemi nie spalił; ten zaś kornie głowę zwiesiwszy, ramionami wzruszył, jakby chciał odpowiedzieć, że nowo przybyłego nie był w stanie w przedpokoju zatrzymać.

Gość tymczasem naprzód się wysunął, i do gospodarza się zwracając przemówił:

— Daruje pan hrabia, że go znowu napadam, ręczę jednak słowem, że gdyby mnie konieczność do tego nie zmuszała....

— Pan mi zawsze mówisz o tej konieczności — hrabia przerwał niecierpliwie — a ja tymczasem wcale jej nie widzę. Ciekawym, co się panu tak złego dzieje, że już nie mam chwili spokojnej.

To mówiąc, wyciągnął nogi, i położył je na krzesło, stojące między nim a gościem. W pobliżu nie było więcej krzeseł, ani kanapy. Po twarzy nowoprzybyłego przemknął uśmiech gorzki.

— Pan hrabia myśli, że ja na różach spoczywam — poważnie przemówił — a ja, niestety, znajduję się w położeniu gorszym niż fa-

talne, prawie okropnem. Już trzy miesiące minęły, jak wszystkie budynki spalone, a dotąd nietylko że nie nie postawiono, nawet materjałów nie zaczęto jeszcze zwozić. A tu deszcze leją, zimno coraz bardziej przejmujące, dziś jutro spadnie śnieg i cały mój dobytek pójdzie na marne. Bydło zaczyna już chorować.

— Jeżeli tak, to postaw pan sobie sam, ja nie mam nic przeciw temu.

— Chętnie to uczynię, jeżeli pan hrabia odda mi pieniądze, które Towarzystwo za spalone budynki wypłaciło.

— Cóż znowu? Odkąd to właściciele dóbr składają rachunki przed dzierżawcami?

— A odkąd to dzierżawcy stawiają właścicielom dóbr budynki za swoje pieniądze?

— Mój panie Oliński, pan jak widzę należysz do ludzi, którzy nie przypuszczając nawet, by między śmiertelnikami zachodziły jakiekolwiek różnice społeczne i towarzyskie, podciągają świat cały pod jeden strychulec i wobec wszystkich są równo niegrzeczni.

Głos hrabiego był suchy, prawie syczący. Oczy zmrużył, nogi lepiej wyciągnął, łokciem o stół się oparł, na dłoni głowę położył. Z tej pozycji mierzył stojącego przed sobą dzierżawcę, który miasto odpowiedzieć na jego uwagę, mówił dalej spokojnie:

— Jeżeli pan hrabia nie postawi mi budynków, co uczynić, sumiennie jest obowiązany, w takim razie będę zniszczony.

— Ja wiem, mój panie — hrabia zawołał, porywczoz z miejsca się zrywając — czego sumienie odemnie żąda, i ono mi też mówi, że nikt nie zniszczył. Moi dzierżawcy robią majątki, i jak dotąd, jeszcze z nich żaden nie poszedł o kiju. Ale trzeba być wyrozumiałym, nie gorączką, natrętnikiem! Ja, mój panie, mam dziś trochę więcej na głowie, niż jakieś tam głupie budynki! W kraju dzieją się rzeczy wagi pierwszorzędnej, konstytucja zagrożona, autonomia wisi na włosku. Gdyby nie ślub mojej córki, zaraz jutro powinienbym wyjechać do stolicy, ztamtąd może nawet do Wiednia, aby uratować co się jeszcze da, a pan w takich czasach sushysz mi głowę swemi budynkami. Zresztą nie wypieram się, że chwilowo brak mi także pieniędzy. Wszak pan jesteś ojcem, więc wiesz, czego ojciec nie uczyni, gdy córkę wydaje. Wyprawa, posag, to nie żarty!... Dlatego, mój panie Oliński, nie męcz mnie więcej swemi interesami i radź sobie jak możesz.

— Jeżeli tak, to będę zmuszony odstąpić od dzierżawy.

— Rób pan sobie, co ci się podoba, tylko zważ, że na przypadek złamania kontraktu nie zwróć panu kaucji.

To powiedziawszy, gościowi plecy pokazał i do okna postąpił. Dzierżawca, stojąc na dawnym miejscu, przypatrywał mu się jeszcze chwilę w milczeniu, potem cicho westchnął i wyszedł.

W przedpokoju spotkał trzech panów, dwóch chudych, jednego zaś bardzo tłustego, którym Tomasz pomagał płaszcze zdejmować. Podczas gdy on na dryndzie roztrzęsionej przez bramę wyjeżdżał, oni już się z hrabią witali.

— Ach! kochany pan Wolewicz! Pan Rakowski i Sowiński! — wołał hrabia uradowany, spiesząc na spotkanie nowoprzybytych.

Najpierw uściskał i ucałował w rumiane policzki tłustego pana Wolewicza, potem przywitał się taksamo serdecznie z obydwojoma jego towarzyszami.

— Jak to pięknie, żeście mnie, kochani sąsiedzi, odwiedzili mimo tej pluty. Pogawędzimy sobie trochę i zrobimy kilka roberków. Serdecznie jestem wam wdzięczny!

Każdy z gości odpowiedział coś półgłosem, ale żaden jakoś rozmowy nie nawiązywał. Prawdopodobnie każdy pierwszeństwo zostawiał Wolewiczowi, który stał na przedzie, lecz jak dotąd, ciągle jeszcze sapał i pot z czoła ocierał. Dopiero gdy się całkiem uspokoił, w te słowa przemówił:

— Jakkolwiek wielka dla nas przyjemność mocium panie, i zaszczyt niemały, ilekroć okoliczności nam pozwalają odwiedzić sławne Zawadowce, mimo to nie byłoby nas może to szczególne dziś spotkało mocium panie, gdyby nie straszne rzeczy, które dzieć się zaczynają.

— A to co znowu? — hrabia zapytał.

— Panie hrabio, źle, bardzo źle, mociam

panie! — zawołał pan Wolewicz. — Dokoła nas komuniści, socjaliści, nihiliści mocium panie, my stoimy na wulkanie!

— Niestety, tak jest mosterdzieju! — potwierdził drugi szlachcic.

— I jeżeli hydrze łba się nie urwie, *kurz gesagt*, zginiemy! — trzeci zakonkludował.

— Racście, kochani sąsiedzi, usiąść — hrabia prosił, na kanapę wskazując — pomówmy spokojnie, bo jak dotąd, nic jeszcze nie wiem... Cóż się więc stało i gdzie?

— U mnie, panie hrabio, u nich mocium panie, u wszystkich! — zawołał pan Wolewicz.

— Ale co takiego, co?

— Straszne rzeczy, panie hrabio, okropne mociumpanie! Dwa dni temu, jeden z moich ludzi coś przeszkrobał w gorzelni. Ekonom chciał go mociumpanie trochę poturbować, chłop się nie dał i chwyciwszy oburącz drogą żelazny zaczął mu grozić. „Dają mi znać o tem mociumpanie, ja każę go wołać. — Jak ty śmiałeś, psi synu — wołam — stawiać się ekonomowi. „Bo mnie chciał bić, a teraz bić niewolno!“ — odpowiada i zaraz dodaje: „My chłopie mamy już mociumpanie rozum i wiemy, co możemy!“ Słyszy pan hrabia, oni mają rozum i wiedzą co mogą. Pomyślałem sobie, źle mociumpanie, i kazałem go puścić, bo nużby jeszcze w nocy sprowadził mi na dom jakich nihilistów. Tyle u mnie panie hrabio. U Błażeja było jeszcze gorzej.

— U mnie mosterdzieju, — przemówił pan Błażej Rakowski — chłopiec kredensowy miał broszury socjalistyczne, które w karczmie z innymi czytywał.

— Doprawdy? To fakt wielkiej doniosłości! — hrabia zauważył.

— Mój zaś furman wprost mi powiedział, że propinacja *kurz gesagt* to rzecz niesprawiedliwa, i że wszyscy ludzie równy majątek mieć powinni — zakończył pan Jędrzej Sowiński.

— Słyszysz pan hrabia? — pan Wolewicz znowu przemówił. — Nie byłaś słuszna moja uwaga mocium panie, że stoimy na wulkanie? Dokoła nas wrogi, mienie i życie szlachcica na włosku, mocium panie! A wśród takich okoliczności władza nic nie robi, i mówi, że kraj spokojny! Skoro tak źle, powiedzieliśmy sobie, więc trzeba coś koniecznie radzić, mocium panie. W tym celu zjechali się wczoraj u mnie sąsiedzi, i po dłuższej naradzie na tem stanęło, że powinniśmy w deputacji pojechać do Prezydenta, aby jego uwagę, mocium panie, zwrócić na grożące niebezpieczeństwo, i żądać opieki. Wybrano nas trzech do deputacji, i kazano nam, mocium panie, jechać z prośbą do pana hrabiego, by nam raczył przewodniczyć.

— Bardzo jestem szanownym panom wdzięczny za zaufanie — hrabia odpowiedział, — ale zdaje mi się, że byłoby stosowniej, gdybyście o to samo poprosili marszałka powiatowego.

Wszak, jak poeta mówi, jemu z wieku i urzędu zaszczyt ten się należy.

— Czem atoli mocium panie marszałek w porównaniu z panem hrabią? Czyż to my nie wiemy, kto go na to stanowisko wyforytował? Wszak nikt inny, mocium panie, tylko pan hrabia, boś sam nie chciał nam marszałkować.

— Nie miałem wtedy czasu.

— Marszałek, mosterdzieju, człek słabowity, w dzień słotny nie tylko nie wyjeżdża, nawet z domu nie wychodzi, — wtrącił pan Błażej.

— To skończona rura do barszczu, *kurz gesagt* — zakończył pan Jędrzej.

— Skoro koniecznie panowie tego żądacie odemnie, przyjmuję — rzekł nareszcie hrabia — przyjmuję zaś, nie dla dogodzenia jakiejś tam próżności osobistej, od której, jak wiecie, jestem daleki, lecz w przekonaniu, że w chwili obecnej uczynić to jest moim obowiązkiem. Prezydent w rzeczy samej po macoszemu nas traktuje. Tak dłużej być nie może. Jeżeli kto, to ja panowie powiem mu *verba veritatis*.

— Nie wątpimy! — szlachcice chórem zawołali.

— Ponieważ sprawa, jak widzę, jest ważna, przeto pojedziemy we wtorek na drugi tydzień. Prędzej żadną miarą nie mogę, bo jak panom wiadomo, pojutrze ślub mojej córki, poczem muszę jeszcze dać małe polowanko.

Gdy na tem stanęło, szlachcice podziękawszy, chcieli odjechać, ale hrabia ich nie pu-

ścił i przemocą prawie na obiad zatrzymał, aby potem z „drogimi sąsiadami“ zagrać wiścika. Tomasz przyniósł śniadanie, złożone z wódki, chleba i wędliny, i podczas gdy goście jedli, gospodarz udał się na chwilę do pokoju żony.

— Moja Wandziu — zapytał — jaki dziś objad?

Żona wymieniła pojedyncze potrawy.

— Za wiele, za wiele, duszko! Mam trzech szlagonów, których polityka nie pozwala tak suto podejmować. Pasztet, indyka i kompoty każ dziś schować, nam zaś daj tylko białe mięso i kluseczki. To wystarczy.

Żona wzruszyła ramionami — mąż wrócił do swego pokoju.

Gdy o północy goście do domu wracali, pan Błażej siedzący obok pana Wolewicza, pierwszy przemówił.

— Już to co prawda, to prawda, ten hrabia, mosterdzieju, to wzór prawdziwego Polaka i obywatela. To prawdziwy Sarmata! Gościnny, grzeczny, ofiarny, a przytem skromny. To drugi Cyncynat, mosterdzieju! Mimo że pan całą gębą, dla dobra dzieci żyje jak dzierżawca. Ktoby się spodziewał, że u niego na obiad tylko biała sztuka mięsa i kluski, a przy herbacie ziemniaki w łupach. Wiesz co, sąsiedzie, gdyby nas, mosterdzieju, więcej takich było, nie zjedliby nas ani żydzi, ani Niemcy.

— Prawda, prawda, mociumpanie, chociaż co do oszczędności hrabiego, przyznam się szcze-

rze, że nierównie większą było by mi sprawiło przyjemność, gdyby był o niej zapomniiał. Dał białe mięso z ogórkiem i kluski z serem, a nie dał wina, tylko wodę. Oj! mociumpanie, toż to mnie rznie w żołądku.

— Przejdzie, mosterdzieju, przejdzie, niech tylko sąsiad, do domu przyjechawszy, palnie spory kielich gorzały.

— Dobranoc sąsiedzi! Do widzenia w Kociejowie, *kurz gesagt!* — dał się na przedzie słyszeć głos pana Jędrzeja, którego konie zatrzymały się u drogi rozstajnej.

— Dobranoc, do widzenia!

Jeden wózek potoczył się w prawo, drugi w lewo.

Wróćmy jeszcze do Zawadowiec.

Hrabia, po odjeździe gości, chociaż godzina była spóźniona, nie położył się spać, tylko posłał jeszcze po miejscowego arendarza, Szmula.

Dość długo trwało, nim się pojawił żyd zaspany i trochę wystraszony.

— Przepraszam cię Szmulciu — z uśmiechem przemówił — żem cię kazał z betów wyciągnąć, ale mam pilny interes. Do niedzieli najpóźniej, musisz mi się wystarać dwa tysiące guldenów.

Żyd chwycił się za głowę.

— Dwa tysiące, jaśnie panie, zkad ja wezmę tyle pieniędzy?! Z wódki biedny propinator nic dziś nie uzbiera, chłopci nie piją, przejezdnych całemi tygodniami w karczmie nie

widać, rogatki nie ma, młyn drugi tydzień stoi, bo zepsuty, a skarb nie naprawia...

— Już ja się o ciebie nie boję, mój Szmulciu, i wiem, że uczynisz o co cię proszę, bo ja tych pieniędzy koniecznie potrzebuję na cele publiczne. Między innemi muszę szkołę postawić, i dla dobra kraju do miasta wyjechać, a to kosztuje. Pamiętaj więc, aby w niedzielę były pieniądze.

— Ale zkad wziąć, jaśnie panie, zkad?

— Weź choćby z pod ziemi, byle były.

— Jaśnie panu dobrze żartować, ale mnie chce się płakać — żyd odpowiedział, i głowę zwiesiwszy, zaczął myśleć. Po chwili rzekł: — Ja mam tylko jeden sposób.

— Jaki?

— Żeby jaśnie pan hrabia sprzedał te dęby, co tam są w kącie, od wolickiej granicy.

— A ile dasz za sztukę?

— Ja nic nie dam, bo pieniędzy nie mam, zresztą ja drzewem nie handluje, ale jak jaśnie pan hrabia każe, to będę musiał kupca znaleźć, i zdaje mi się, że dostaniemy po cztery guldeny za sztukę.

— Po cztery, czyś oszalał?! Wszak takie dęby płacą po ośm, nawet po dziesięć guldenów.

— Prawda że płacą, ale gdzie? Czy to u nas są dobre drogi, a może blisko kolei? Ojoj! cobym ja chciał, żebyśmy tylko dostali po cztery guldeny!

— No, no, mój Szmulciu, zgodzimy się i do wójta nie pójdziemy, postaraj się tylko o pieniądze na niedzielę. Bądź zdów, Szmulciu!

Żyd w rękę go pocałował i do kolan mu się skłonił, on zaś poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

IV.

W Nowosiólkach.

Pan Oliński, opuściwszy dwór zawadowiecki, kazał chłopakowi, który powoził, do domu wracać.

Minęli najpierw wieś długą i dość dobrze zabudowaną, potem groblę nad stawem, pełną wybojów niebezpiecznych, nakoniec dostali się na drogę wązką, gliniastą, bezdenną, która do Nowosiółek prowadziła.

Okolice była smutna, monotonna. Na prawo i lewo zasiane pola, wśród nich gdzieniegdzie parów wodą deszczową wyrwany, nad nim pojedyncze wierzby karłowate i rozczochrane, dalej z gęstej mgły wychylający się tu rąbek lasu, tam grusze pod wioską rosnące — oto cała treść obrazu, roztaczającego się przed wzrokiem podróżnika.

Ale pana Olińskiego nie zajmowała okolica. On ponuro przed siebie zapatrzony, myślał.... Jakże nie miał myśleć, skoro nie wiedział co z sobą poczynić, a nie był sam, bo miał dwoje dzieci, syna, Władysława, już dorosłego, i Marynię, córkę dorastającą. Żona od lat dziesięciu pod zieloną spoczywała mogiłą.

Ciężkie było dotąd życie jego i twarda z losem walka. Rodzice jego byli niegdyś bardzo zamożni, wychowali nawet jednaka po pańsku, ale umierając nie mu nie zostawili. Mimo to pan Jan ani nie utonął wśród mętów społecznych, ani się nie sprzedał, chociaż znajomi swatali go to z pannami bogatemi, lecz staremi, to z wdówkami z zaszarganą reputacją; nie poszedł także wisieć przy krewnych bogatych, których miał bez liku. Przeciwnie, jak tylko zobaczył, że bogacze podejrzliwem okiem mierzą biednego kuzyna, sam się od nich odsunął, i przez lat trzydzieści nie zgłosił się więcej do żadnego.

Po śmierci rodziców, spieniężywszy, co się sprzedać dało, wziął najpierw małą dzierżawkę, później już nieco większą, szczęście bowiem o tyle doń się uśmiechnęło, że w tym czasie ożenił się z panienką wielce urodziwą i cnotliwą, która prócz nazwiska pocziwego, przyniosła mu także w posagu kilka tysięcy guldenów. W żonie znalazł pomoc, życia osłode i nadzieję na przyszłość. Szczęśliwie mu też życie z nią płynęło, i odtąd na los swój nie byłby się już nigdy skarżył, gdyby nie śmierć bezlitośna, która niespodziewanie zabrała mu tę drogą towarzyszkę. Był to piorun okropny, który w serce godząc, zdruzgotał od razu piękną życia budowę.

Po śmierci żony, pan Oliński posmutniał, zamknął się w sobie i z pieczołowitością matki

kochającej, a zapobiegliwością ojca wzorowego, oddał się wychowaniu swoich dzieci. Wprawdzie znaleźli się znowu przyjaciele, którzy go swatać chcieli, on atoli ani dał sobie o tem mówić.

— Czyż mógłbym drugiej kobiecie miłość przysięgać i kłamać? — natrętnych pytał.

Gospodarstwo szło mu nieźle, ale nie najlepiej. Na porządne utrzymanie domu i wychowanie dzieci zawsze wystarczało, wszelako nie częste bywały takie lata, w których mógł coś odłożyć na czarną godzinę. Oszczędności też jego, po pracy ćwierćwiekowej, wynosiły ledwie kilka tysięcy.

Dzieci miał dobre, chociaż nie powiemy, by z nich w równej mierze był zadowolonym. Cóрка była spokojniejszą, i zawsze stosowała się do życzeń ojca; przeciwnie syn pragnął nie raz mieć własne zdanie, i zdradzał kierunki, które ojcu się nie podobały. Oto, Władysław, chociaż ojciec od dziecka uczył go na małym poprzestawać i w młody jego umysł zawsze skromność wpajał, miał pańskie nawyki i zachcianki arystokratyczne. Zkąd się to w nim wzięło, pan Oliński nie mógł pojąć, a chociaż usiłował wykorzenić z niego „złe narowy“, jak je nazywał, dotąd mu się to nie udało.

Chłopiec, ukończywszy szkoły średnie, oświadczył wprost ojcu, że będzie tylko rolnikiem. Wprawdzie pan Oliński byłby może wołał, aby jednak poszedł jeszcze na uniwersytet,

i dopiero po jego ukończeniu zawód sobie obie-
rał; jednakże gdy rozważył, że Władysław od
dziecka okazywał wielkie zamiłowanie do go-
spodarstwa, i gdy sam powołanie rolnika po-
czytywał za najwznieśliwsze, przeto po krótkim
namyśle powiedział synowi: dobrze, i oddał go
do szkoły rolniczej, z kąd po dwóch latach miał
wyjść jako fachowy agronom. Owe dwa lata
skończyły się właśnie przed kilku miesiącami.
Władysław przyjechał do ojca, ale nim ten je-
szcze o jego przyszłości postanowił, straszliwy
pożar zniszczył wszystkie zabudowania w No-
wosiólkach, zostawiając sam tylko dom mie-
szkalny, który prawie cudem ocalał. W chwili
tak ciężkiej syn nie mógł ojca opuścić.

Przeszło dwie godziny szły konie krok za
krokiem, miejscami po same brzuchy zapadając.
Nareszcie dostały się szczęśliwie na niewielki
pagórek, z kąd było już widać Nowosiółki. Na
końcu wsi, wśród lip rozłożystych, leżał fol-
wark.

Ponieważ po drugiej stronie pagórka droga
była już lepsza, konie zatem ruszyły same
szparko z miejsca i wkrótce minawszy wieś,
wjechały w długą aleję topolową, która na fol-
wark prowadziła.

Z daleka, dzięki gęstemu lip wieńcowi, nikt
by w tem miejscu nie przypuścił pogorzelniska;
dopiero gdy się w bramę wjechało, przedsta-
wiał się w całej grozie bolesny obraz zni-
szczenia

Ze stajen zostały ledwie muru kawałki;
spichrz z okopconemi okienkami, przez które z
wnętrza płomień się dobywał, był podobny do
fortu zburzonego, na którego murach legł ka-
nonier ostatni; wystrzeliwszy działo ostatnie; o
miejscu, gdzie stała duża stodoła, świadczyły
tylko słupy murowane, na których się niegdyś
wspierała; z budynku, gdzie mieściły się narzę-
dza gospodarskie, nie nie ocalało; nawet dach
nad piwnicą zgorzał do szczytu, i lipy od strony
folwarku były wszystkie ponadpalane.

Sam tylko dworek niski, biały, schludny, stał
dotąd pośród ogrodu kwiatowego. Jego nie do-
sięgła namietność rozpasanego żywiołu.

Pan Oliński w przejeździe przez podwórze,
smutnem okiem patrzył na bydło, które stojąc
na słoce w miejscach ogrodzonych, żałośnie
ryczało. O wiele stoiczniej zachowywały się
konie. Te w innem ogrodzeniu, odwróciwszy się
od wiatru, pospuszczały łby do ziemi, i tak
w milczeniu wyglądały lepszej doli.

Przed gankiem stanęła taradajka. W tejże
chwili dziewczę piętnastoletnie, z przesłizne-
mi warkoczami, które jej po plecach do ko-
lan spadały, wybiegło na ganek, wołając:

— Ojculek! Ojculek!

— Ależ Maryniu, uważaj na siebie. Na
dworze wiatr, zimno, a ty wybiegasz w sukien-
ce tylko i z głową odkrytą. Jeszcze tego bra-
kuje byś się przeziębiła.

Tak ojciec córkę strofował, w czoło ją ca-

łując. Ona tymczasem stoma pocałunkami okryła obie jego ręce, i do domu go wprowadzając, mówiła:

— Niech się ojczulek nie boi, jam zahartowana. Nawet nie pamiętam, czy mnie kiedy głowa bolała.

— Prawda żeś zdrowa, moje dziecię, ale rozważ, że i żelazne zdrowie skruszeje, jeśli się je niepotrzebnie naraża... Nieboszczka twoja matka, panie świeć tam nad jej duszą, — tu westchnął głęboko — była także zdrowa, a jednak... jednak. — Nie dokończył, i nagle przedmiot rozmowy zmieniając, zapytał: — Chłopcy w domu?

— Przed chwilą wybiegli ze strzelbami, polowy bowiem dał im znać, że na zrębie są słonki. Wkrótce jednak powinni być z powrotem.

To powiedziawszy, obróciła się szybko, i brwi lekko ściągnawszy, spojrzała w kierunku lasu, co rósł na pagórku przeciwnym.

Słicznie teraz wyglądała. Obok wyrazu jeszcze prawie dziecięcego, który zdobił jej piękną twarzyczkę, w jej spojrzeniu widać już było niezwykłą bystrość umysłu i energię prawie mężką. Podczas gdy jej wzrok biegł tak wzdłuż drogi do lasu wiodącej, nozdrza u greckiego noska lekko się wydeły i usta do pół się rozwarły. Byłaż to ciekawość, niecierpliwłość, czy jakie inne uczucie, które ją teraz ogarnęło?

— Jeszcze ich nie widać — rzekła, jakby do siebie, i do ojca się zwracając, dodała: — Ojczulek po obiedzie?

— Nie, moje dziecię.

— Jak to dobrze, że cały obiad zostawiła! Władzio wprowadzie mówił, że ojczulko niewątpliwie u pana hrabiego zostanie na obiedzie, lecz jam sobie pomyślała, że może go tatko w domu nie zastanie.

-- Zastałem go dziecię, ale u stołu hrabiego nie dla wszystkich jest miejsce.

Spojrzała mu bystro w oczy. Musiała w nich coś niemiłego wyczytać, skoro nagle czoło jej się zasepiło, i ręka kurczowo uchwyciła kraj białego fartuszka. I aby myśli swoich nie zdradzić, pobiegła czempredzej do kuchni, z kąd niebawem wróciła niosąc obiad dla ojca.

Ojciec zjadł go w milczeniu, potem fajkę zapaliwszy zaczął krokiem mierzonym chodzić po pokoju.

Marynia usiadła pod oknem, i książkę otworzywszy, oczy na nią spuściła. Nie wyglądała jednak jak osoba czytaniem zajęta. Jej wzrok biegł to przez okno do lasu, to ukradkiem zatrzymywał się na ojcu. Widocznie pragnęła się czegoś dowiedzieć, o coś zapytać, a nie śmiała. Badała więc tylko oczyma i instynktem kobiecym.

— Przeczytaj mi co, Maryniu — ojciec nagle przemówił, przed córką stając.

Podniosła głowę. Teraz był jeszcze trochę

smutny, lecz już spokojniejszy, prawie taki, jakim go codzień widywała. Lżej jej się zrobiło.

— A co ojczulku każesz czytać? — zapytała. — „Marję“, czy „Wallenroda?“

— „Wallenroda“, dziecię. W nim jest wszystko, i to co wzrusza i to co grozą przejmując, on uczy kochać, walczyć i poświęcać się bez granic!

Pan Oliński urodził się i wychował w atmosferze poezji romantycznej. Ona była jego karmicielką i jego mistrzynią. Zakopany na wsi, pozostał jej wiernym do dnia dzisiejszego. Ilekroć spotkał go jakiś zawód, lub drobny ból dotknął, szukał natychmiast w poezji lekarstwa i nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by go w niej nie znalazł. Za ojcem poszła córka. I ona kochała naszych mistrzów słowa, i dla niej poezja była nie rozrywką marną, lecz rozkoszą prawdziwą, po za którą, jak dotąd, nie zaznała większej. Dziewczę lubiło gospodarstwo, a jednak większą przyjemność sprawiało jej czytanie „Marji“, połączone zawsze z gorzkim płaczem nad jej losem, niż karmienie kurek czubatych, lub głaskanie cielątek, które tak ją znały, że ilekroć znalazła się w ich pobliżu, chórem ryczeć zaczynały, głowy ku niej wyciągając.

Ale mimo tej miłości dla poezji, i chociaż ukradkiem, zwłaszcza przed bratem, który śmiał się z tego, sama wiersze składała, a nawet w chwilach podnioslejszego nastroju improwizowała bezwiednie prawie, mimo takiego przesia-

knienia poezją, Marynia nie była nigdy sentymentalną, roztkliwioną, zapłakaną. Jej dusza zdrowa i trzeźwa, objawiała się zawsze na zewnątrz swobodnym spojrzeniem, wesołym uśmiechem i pełnemi życia ruchami. Ona kochała poezję dla poezji, jej piękności radowały ją i wzruszały, lecz przez myśl jej nawet nie przeszło zrobić się podobną do tej lub owej bohaterki, aby poetycznie wyglądać. Marynia była zawsze sobą, dziewczęciem wiejskiem, które żyło swobodnie, jak ptak w powietrzu bujający, i jak on dobywało z swej piersi tony naturalne, nie wyuczone.

Marynia czytała płynnie, każde słowo dobrze akcentując. Ojciec za jej plecami stanawszy słuchał. W miarę, jak się zaczynał zatapiać w piękności poematu, żałoba z jego twarzy nikła coraz szybciej, słodka błogość po niej się rozlewała, spojrzenie robiło się bezdenne. Śnać i on żył teraz życiem innym, nie ziemskim, nie cielesnem.

Długo musiała czytać, skoro gdy skończyła, dzień na dworze miał się już ku schyłkowi. Mgły podniosły się wysoko, odsłoniły na zachodzie krwawe słońce, które ostatnimi promieniami ziemię żegnało.

Marynia powstawszy, na ojca spojrzała. Stał ciągle na dawnym miejscu, zapatrzonego w łunę czerwoną, w rękę trzymał fajkę, która dawno zgasła. Chociaż córka już nie czytała, w jego duszy ciągle jeszcze brzmiały niebiańskie poezji akordy.

Dziewczę położyło mu ręce na ramię, piękną główkę przytuliło do piersi ojca, i puszczać także wzrok ku słońcu, szepnęło:

Tam na Zachodzie krwawa luna płonie,
I ziemia cała do snu się układa;
Noc czarnym wieńcem zdobi sobie skronie,
Z jezior wypływa Świtezianka blada —
Wszystko co życiem żyje tu doczesnem,
Zwolna zamiera...

W tej chwili, tuż pod domem, zahuczały dwa strzały.

— Ach! to oni! — Marynia krzyknęła, i zapomniawszy o słońca zachodzie, co ją do poetycznej improwizacji nastrojał, wybiegła z po koju.

Pan Oliński ku drzwiom się obrócił.

W sieniach dały się najpierw słyszeć dwa głosy męskie, przeplatane srebnym głosikiem Maryni, potem drzwi się rozwarły, i na progu stanęła najpierw ona, za nią dwaj młodzieńcy.

Pierwszy był smukły, o cerze bladej i oku niebieskiem, które melancholijnie na świat spoglądało. Rysy jego twarzy były regularne, nos orli, czoło szerokie, wąsik mały, czarny.

Za nim wszedł młodzieniec podobniusiński do Maryni, mający jak ona, włosy kasztanowate i oczy czarne, przytem tak samo jak ona w ruchach zwinny, pełen swobody i dystynkcji.

Ten drugi, to syn pana Olińskiego, Włady-

śław, a brat Maryni. Pierwszy zaś nazywa się Włodzimierz Szczerbanowski. Jest on kolegą i przyjacielem Władysława, a że przypadkiem znalazł się w pobliżu Nowosiółek, przyjechał więc do niego na dni kilka, by z przyjacielem pogawędzić i zapolować.

Włodzimierz miał u torby dwie słonki, i zajęcia; przeciwnie Władysław wszedł z próżnemi rękami.

— Pięknieś mi się pan spisał! — przemówił gospodarz wesoło, młodego gościa witając. Jak na dzień słotny, wcale niezłe polowanie. Ale ty, Władku, jakoś nic nie przyniosłeś?

— Jak miałem co zabić, kiedy ten człowiek to istny szatan. Ja ledwie się zmierzę, a on paf! i już leży. Myślałem że choć tego oto zająca ubiję, gdy pod ogrodem pomknął, lecz i to mi się nie udało. Włodek prędzej zdublował, niż jam strzelbę podniósł.

— Brawo, panie Włodzimierzu! brawo! — zawołał pan Oliński.

— A źleś pan na tem wyszedł, żem mu szczęścia życzyła? — zapytała Marynia, młodemu człowiekowi w oczy patrząc.

— Wiele bym dał za to, gdyby mnie zaw sze takie zawody spotykały.

— O jakich tam zawodach mówicie? — gospodarz zapytał.

— Gdyśmy na polowanie wychodzili, panna Marja szczęścia mi życzyła — młody człowiek

odpowiedział. — Trzymając się przepowiedni myśliwskich, byłem pewny, że nie nie zabiję, tymczasem stało się inaczej, a więc zawiodłem się w moich przypuszczeniach.

— Bo też w tych przesadach nie ma ani krzty prawdy! — pan Oliński wtrącił. — Dla czego życzenia kobiety miałyby być złe? Wszak niewiasta to lepsza nasza połowa! Czytałem w jakiejś tam książce, że gdy Arab w drogę wyjeżdżając, kobietę spotka, poczytuje to za dobrą przepowiednię. Okazuje się z tego, że Arabowie są więcej rycerzcy niż nasi myśliwi cywilizowani.

— Ja też w ich ślady nie chcę wstępować! — Włodzimierz zaprotestował — i odtąd, ilekroć usłyszę takie życzenie, uważać je będę za dobrą wróżbę.

— Pamiętaj pan! — Marynia zawołała. — Przecie życzenia osób nam życzliwych nigdy na złe wyjść nie mogą...

Wszczęła się rozmowa o rzeczach przeróżnych. Dopiero gdy wieczór zapadł, i trzeba było jeszcze pójść zobaczyć, co bydlę robi, Władysław, do ojca się zwracając, zapytał:

— A co tam hrabia?

— Zawsze ta sama historia. Zrobi się... czekaj... ale teraz nie można... bo to... bo owo...

— On taki niegrzeczny, że nawet ojezułka na objad nie zaprosił — Marynia dokończyła.

— Skoro tak, to ja się z nim krótko rozprawię. Wyzwę go na pojedynek!

— Oszalałeś, Władku!

— Nie oszalałem, ojcze, lecz jakim czołem ten człowiek ośmiela się zwodzić cię, ojcze, z dnia na dzień i w swoim domu ci ubliżać?

Siostra okiem wystraszonem wpatrywała się w mówiącego. O! jak chętnie była by słowa cofnęła, które nieostroźnie z ust jej się wyrwały. Na szczęście, ojciec prędko burzę zażegnał.

— Mój synu! — poważnie przemówił — o sprawy finansowe nikt się nie pojedykuje, a tego, że mię hrabia na objad nie zaprosił, nie mogę także za obrazę poczytywać. Wszak tylko tych do naszego stołu zapraszamy, których towarzystwo bądź zaszczyt nam przynosi, bądź przyjemność sprawia. Śnać osądził, że obecność biednego dzierżawcy nie byłaby dlań ani zaszczytną, ani przyjemną, skoro mnie nie zaprosił. Mogę nad tem ubolewać, mój synu, lecz nie wolno mi gniewać się za to na niego...

— Niech ojciec co chce mówi, a ja wiem co zrobię. Jeżeli nie starego, to młodego tak kiedyś schwyce, że rad nie rad będzie mnie musiał wyzwać, a wtedy z pewnością wąsy mu ogolę.

— Władysławie! myślałem żeś dojrzał, a tobie, jak widzę, ciągle jeszcze w głowie zielono. Jeżeli sądzisz, że moje uwagi nie są słuszne, to zapytaj o zdanie swego przyjaciela. Powiedz mu, panie Włodzimierz, czy to, co on plecie, ma sens jaki?

— Jam tego samego zdania, co twój ojciec — zapytany odpowiedział. — O ile mnie się zdaje, w takich razach nie należy nawet okazywać, żeśmy urazę do serca wzięli. Najlepiej udawać, że sobie z tego nic nie robimy.

— Słyszysz, Władysławie? To się u mnie nazywa zdanie rozumne.

— Z niego mówi guwerner! — młody człowiek odparł niecierpliwie, lecz chcąc sam zmienić tok rozmowy, zapytał: — Co też ojciec zamierza teraz uczynić? Skoro hrabia nie chce budynków postawić, więc chyba trzeba się będzie procesować.

— Slizka to droga, moje dziecko. Proces nikogo jeszcze nie wzbogacił. A zresztą, jak tu procesować człowieka, o którym cała szlachta powiada, że jest pierwszym obywatelem kraju.

— Przepraszam, że przerywam. — Włodzimierz wtrącił. — Nie mógłby mi też pan dobrodziej powiedzieć, jakie właściwie zasługi położył hrabia Czarnokoński około dobra powszechnego.

— Tego nie wiem... ale zapewne muszą być wielkie, skoro świat cały nazywa go obywatelem bardzo zasłużonym...

Na chwilę wszyscy umilkli. Władysław z tej przerwy skorzystawszy, wybiegł na podwórze, aby parobkom potrzebne wydać rozkazy.

V.

Wspomnienie.

Gdy Władysław do pokoju wrócił, na stole paliła się już lampa, przy niej siedziała Marynia, robótką zajęta, naprzeciwko Włodzimierz przerzucał Cegielskiego, a pod piecem gospodarz stojąc, puszczał dym z długiego cybucha.

— Jak tam bydło, Władku? — ojciec zapytał.

— Dotąd jeszcze zdrowe. Te dwa woły, które wczoraj kwękały, dziś mają się lepiej, ale kto wie, czy jutro gorzej nie będzie. Zimno zrobiło się przenikliwe, w nocy niewątpliwie mróz chwyci.

— Mam w Bogu nadzieję, że będę prze-trwamy. Słyszałem, że u pana Wolewicza z Kociejowa, jest właśnie jeden folwark do wzięcia, z którego chyłkiem żyd dzierżawca uciekł, ma się rozumieć wpierw właściciela dobrze oszukawszy. Zaraz jutro tam pojedę, i jeżeli nie będzie się drożył, wezmę.

— Więc ojciec chce ustąpić z Nowosiółek?

— Ustąpię.

— A gdzie zasiewy? Gdzie kaucja?

— Wszystko mu zostawię! Nie procesowałem się nigdy, więc i z nim nie będę, udam się tylko do adwokata, który kontrakt pisał, i poproszę go, by z hrabią pomówił, ja sam bowiem więcej do niego nie pojedę, a jeżeli to nie pomoże, wszystko mu daruję.

Syn chciał przeciw temu protestować, lecz ojciec rzekł stanowczo:

— Stanie się, jak powiedziałem! Chociaż całe życie ciężko na kawałek chleba trzeba było pracować, muszę jednak przyznać, że wśród przeżyć bolesnych Bóg mnie zawsze wspierał. Mam więc nadzieję, że i teraz nie zginię.

— Że też ludzie mogą mieć tak mało serca! — Włodzimierz zauważył.

— Trudna rada, mój młody przyjacielu, świat jest samolubny, trzeba się do niego umieć zastosować. Ja, mimo iż przez lat przeszło pięćdziesiąt ocierałem się tylko o egoistów, jeszcze świata za to bynajmniej nie potępiam, jest on bowiem tylko takim, jakim mu być kazano. Zresztą nikt z nas nie może powiedzieć, żeby w życiu swoim nie spotkał bodaj jednego człowieka z sercem czystym i szlachetnym, a taki jeden znaczny, maże winy milionów.

— Ręczę, że jeżeli kto, to ojciec, z pewnością takiego nie spotkał — Władysław wtrącił.

— Mylisz się, mój synu! I ja byłem niegdyś o tyle szczęśliwym, że się zetknąłem z człowiekiem bezinteresownym, który mimo że mi oddał największą usługę, bo mi życie ocalił, do

ostatka nawet swojego nazwiska nie wymienił, bym mu dziękować nie potrzebował.

— Życie ocalił? — powtórzyli równocześnie Władysław i Marynia. — Że też ojczulek nigdy nam o tem nie mówił — córka dodała.

— Bo to stare historie, moje dziecko, lat już temu trzydzieści kilka. Zresztą, byliście znanadto młodzi, a dzieciom żaden ojciec nie opowiada wspomnień bolesnych. Jeżeli jednak chcecie, powiem wam teraz com niegdyś przeszedł, abyście się przekonali, że świat nie jest tak złym jak się nam wydaje.

Młodzi słuchacze zbliżyli się do pieca, a pan Oliński świeżą fajkę sobie nałożywszy, tak zaczął opowiadać:

— Słyszeliście o pamiętnym roku 1846, kiedy to krew była na ziemi i na niebie, bo toczono ją na ziemi nożem bratobójczym, i zapalano łuny krwawe co o niebo biły! Straszny to był rok, rok gniewu bożego i jego sądu nad nami... Ja, młody jeszcze wówczas chłopiec, należałem do organizacji, a gdy nadeszła chwila działania, kazano mi przyjść pod Narajów. Posłuszny, przyszedłem. Oddział nasz był niewielki, lecz mężny, zuchwały prawie, prowadził nas bowiem pan Teofil Wiśniowski, którego kraj cały kochał i wielbił. Samo jego nazwisko takie miało urok, że jakeśmy się dowiedzieli, iż nam będzie przewodził, żaden z nas już nie wątpił, że do dni kilku wszystkich Niemców z kraju wypędzimy. Cóż dopiero mówić, gdy komendę objaw-

szy, zachęcił nas do walki słowami gorącemi. Zapał nasz nie miał wtedy granic, i w zwycięstwo każdy wierzył.

Wiecie, boć nie raz wam opowiadałem, jak się wyprawa na Narajów skończyła. Wypędziliśmy z tamtąd huzarów, ich dowódca pierwszy drapnął, ale ponieważ nasz oddział, złożony ledwie z sześćdziesięciu ludzi i do tego źle uzbrojonych, był za słaby, by zaraz nazajutrz mógł skutecznie Brzeżany atakować, przeto pan Teofil postanowił wyruszyć ku Pomorzanom, aby zetknąć się i złączyć w tamtych stronach z innemi oddziałami.

Dni kilka szliśmy na los szczęścia, a tymczasem gdzie tylko staniemy, wszędzie nam opowiadają, że powstanie odwołane, gdyż chłopstwo na Mazurach zaczęło rznąć szlachtę. Możecie sobie wyobrazić, jak te wiadomości oddziaływały na spiskowych. Pierwszego i drugiego dnia jeszcześmy się razem trzymali, lecz gdy trzeci dzień zaświtał, z drużyny naszej została ledwie mała garstka. Wtedy pan Teofil tak do nas przemówił:

— „Skoro Bóg nam odmówił swego błogosławieństwa, musimy więc, bracia, rozejść się po kraju, by tak, jak przedtem, w skrytości pracować. Idźcie, lecz pamiętajcie, że na pierwsze wezwanie każdy znowu tam być powinien, gdzie go święty wezwie obowiązek!”

Nasi towarzysze, uściskawszy dowódcę zaczęli rozchodzić się ze łzami w oczach...

Ja jeden wytrwałem przy nim do ostatka. Mimo że byłem młody, czułem, że ten człowiek, który tak się poświęcał, nie powinien zostać sam na świecie, bez towarzysza i obrońcy. Wszak na głowę jego Niemcy nałożyli już byli znaczną nagrodę, pierwszy lepszy złoczyńca mógł go zatem podstępnie zamordować. Zapełnione domyślił się, czemum przy nim został, bo uśmiechając się żałośnie, w te słowa przemówił:

— „Idź mój młody przyjacielu, mnie zostaw samego. Łatwiej ocalimy się pojedynczo, niż razem.”

— Obywatelu! — odrzekłem, w owym roku wszyscy tak sobie mówili, — jam młody i silny!...

— „Skoro tak, mój kochany, więc tem większa byłaby cię szkoda, gdybyś gdzie marnie zginął. Co do mnie, tylu już uniknąłem niebezpieczeństw, że mam w Bogu nadzieję, iż mnie tym razem nie opuści. Żebyś jednak nie sądził, że nie przyjmując twojej usługi, czynię to może przez nieufność do twojej osoby, nie zaś wyłącznie przez wzgląd na wzajemne nasze bezpieczeństwo, przeto dam ci dowód najwyższego zaufania, jakim kiedykolwiek w życiu kogo obdarzyłem. Oto dokumenta — dalej mówił, wyjmując z zanadru spory plik papierów — cenniejsze niż moje życie, w nich bowiem mieści się życie najznakomitszych naszych obywateli. Ponieważ mnie nierównie będzie trudniej przekraść się, niż tobie, przeto

poruczam je twojej opiece... Pójdiesz, i te dokumenta, jak są zapieczętowane, oddasz obywatelowi ***

Tu, przez ostrożność, chociaż dokoła na tysiąc kroków żywej duszy nie było, nachyliwszy się do mego ucha, wymienił nazwisko osoby, znanej w całym kraju.

Wziąłem papiery, ukryłem je na mojej piersi, i pożegnawszy dowódcę, który mnie jak ojciec błogosławił, ruszyłem w kierunku Lwowa. Pan Teofil skierował się ku północy.

Pierwszego dnia szło wszystko dobrze. Mimo iż w każdej wsi na drogach stały warty chłopskie, nigdzie mnie nie zatrzymywano, gdyż fizjognomja młodego chłopaka nie musiała wydawać się podejrzaną. Kto wie, czy nie byłbym tak szczęśliwie dostał się aż do Lwowa, gdyby nie zbytnia moja ostrożność. Oto z obawy, by mnie badać nie zaczęto, jeźlibym się gdzie zatrzymał, siedłem ciągle o głodzie. Pierwszego dnia siły jeszcze dopisywały, ale następnego zaczęły mnie coraz szybciej opuszczać. Na drogach śniegi były ogromne, zimno na wskrós przejmowało, ciało okazało się słabsze niż wola... Pod wieczór dowlokłem się do jakiejś wioski, w której u kołowrotu, drogę zamykającego, ujrzałem także straż chłopską. Na jej czole stał urlopnik, jak dąb wysoki, w czapce wojskowej i z siekierą za pasem. Zebrałem siły, by jak wszędzie tak i tu przejść odważnie.

— „Co ty zajeden? Masz paszport?“ — urlopnik zapytał drogę mi zamykając.

Na ten głos ciało osłabione trwoga ogarnęła. Serce zaczęło mi bić gwałtownie, nogi podemną się ugięły, w oczach pociemniało. Zamiast też odpowiedzieć, jakim to dotąd z dobrem powodzeniem nie raz powtarzał, że jestem biednym studentem, który z domu do szkół wraca, zebrałem resztę sił i nieopatrzny zacząłem uciekać.

— Łowy Lacha, łowy! Zabij! — ryknął za mną pierwszy urlopnik, za nim zgraja cała.

Ledwie ubiegłem kilkaset kroków, uczułem gwałtowny ból w tyle głowy i padłem na ziemię. Mimo to przytomności jeszcze nie straciłem... Przeciwnie, zimny śnieg, na którym twarzą leżałem, orzeźwił mnie, ocucił. Ci, co za mną biegli, byli jeszcze daleko... Więc to zapewne ów urlopnik rzucił siekierę, i w głowę mnie nią zranił... Na śnieg zaczęła krew ściekać... Krzyki chłopów robiły się coraz wyraźniejsze, już są tuż koło mnie, a w tem słyszę głos dzwonka i wołanie:

— Stój! Stój!

W tej samej chwili oczy przymknąłem, i ani wiem, co się potem ze mną działo.

Gdym oczy otworzył, była już noc ciemna i głucha. Leżałem na słomie w izbie chłopskiej. W kącie paliło się łuczywo, przy mnie ksiądz siedział.

— Czy mam się wypowiadać? — zapytałem.

— Nie, moje dziecię, ty żyć będziesz. Głos księdza przynajmniej tyle zdziałał, że cię nie zabili, pod chatą jednak stoi warta... Rana twoja nie jest niebezpieczna. Ale jeżeli masz jaką tajemnicę, powierz mi ją, jak kapłanowi na spowiedzi...

Ruchem mimowolnym chwyciłem się za piersi. Papiery leżały tam dotąd nietknięte. Spojrzałem na księdza. Wyraz jego twarzy taki był łagodny, usta tchnęły taką słodyczą, spojrzenie tyle ufności budziło, że nie namyślając się dłużej, szepnąłem:

— Nazywam się Jan Oliński, i na rozkaz pana Teofila Wiśniowskiego mam ważne papiery oddać panu**

— Powierz mi ten skarb, mój synu — ksiądz odrzekł — bo nieszczęście byłoby wielkie, gdyby go przy tobie znaleźli... Kto wie, czy mi się uda ztąd ciebie wywieźć niepostrzeżenie, łatwo więc być może, że cię zechcą odstawić do cyrku. Daj te papiery i bądź o nie spokojny.

To powiedziawszy, w koło się ogłądał, aby się upewnić, że nas nikt nie śledzi, potem pochylił się nademną i kożuszek na piersiach mi rozpiawszy, pomógł wyjąć ztamtąd mój skarb najdroższy, który natychmiast ukrył pod swoją rewerendą. W tej samej chwili dał się słyszeć dzwonek u sanek.

— Chwała Bogu, że jest już lekarz i wód-

ka! — ksiądz przemówił. — Leż tylko spokojnie, mój synu i ufaj w boże miłosierdzie.

Za chwilę wszedł lekarz i zaczął mi ranę opatrywać. Ksiądz tymczasem raczył strażników w sieni czystym spirytusem, by im za to podziękować, że niebezpiecznego Lacha złapali.

W godzinę, gdy w sieniach słychać już było głośnie chrapanie, wszedł na palcach ze swoim parobkiem, zawinał mnie w futro jak kłodę, wyniósł przy pomocy lekarza na sanki, zaciął konie i galopem z miejsca ruszył.

Jechaliśmy długo, kilka godzin. Konie szły jak wiatr, a że sanna była gładka, jak po stole, mnie zaś rana, po przyłożeniu maści trochę mniej dokuczała, więc powoli zacząłem drzymać, w końcu usnąłem.

Gdy się zbudziłem, był już dzień wielki. Leżałem w pokoju przyzwoicie, acz skromnieumeblowanym, łóżko było wygodne, pościel jak śnieg czysta. Przy mnie stał ten sam ksiądz, który mnie wybawił, obok niego jakaś starsza sędziwa.

— Jesteś już synu w miejscu bezpiecznym — przemówił. — Ta zacna niewiasta będzie ciebie doglądała, póki zupełnie nie wyzdrowiejesz, ja zaś odchodzę, bo wiesz, gdzieem być powinien. Gdy spełnię, com przyrzekł, może się jeszcze zobaczymy“.

Podał mi rękę, którą do ust przycisnąłem,

pocałował mnie w czoło i wyszedł. Wieczorem wrócił.

— „Wszystko wybornie! — rzekł wesoło. — Bądź dobrej myśli, mój bracie, i dziękuj Bogu, że się lepiej skończyło, niżemy się obadwa spodziewali.“

— Komu jednak zawdzięczam tyle dobrodziejstw? — zapytałem.

— „Nikom, tylko Bogu!“ — odrzekł.

Prosiłem, zaklinałem, by mi wymienił swoje nazwisko, nie uczynił tego. Z dłuższej rozmowy ledwie tyle się dowiedziałem, że był księdzem ruskim, dopiero przed dwoma laty wyświęconym, że mieszkał gdzieś pod górą, a tylko przypadkiem, od swojego teścia do domu wracając, tam się znalazł, gdzie jam już był bliski śmierci.

Wieczorem, tegoż dnia, pożegnał mnie i odjechał.

W tydzień potem wstałem. Przez cały ten czas staruszka doglądała mnie jak matka, lekarz codziennie przychodził, rana szybko się goiła. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy pierwszy raz na dwór wyszedłszy, przekonałem się, iż byłem we Lwowie, pod samą rogatką Łyczakowską. Dotąd nawet na myśl mi nie przyszło zapytać, gdzie się znajduję, sądziłem bowiem, że w jakimś miasteczku prowincjonalnem. Tymczasem szlachetny mój opiekun aż tam mnie zawiózł, gdzie bądź cobądź było mi najbezpieczniej. Po wsiach i w miasteczkach każdego po-

dejrzowano, w jednym jeszcze Lwowie można się było ukryć...

Tak więc moje dzieci — kończył pan Oliński — na świecie znalazłem i ja człowieka szlachetnego, któremu życie zawdzięczam, a który tylko dlatego nazwiska swego nie wymienił, że nie chciał, bym mu kiedyś dziękował. I czyż zasługa jednego takiego nie maże winy tysiąca samolubów?

Pan Oliński, mówiąc przestawszy, powiódł okiem po słuchaczach. Marynia siedziała zapłakana; Władysław przed siebie zapatrzony, nad czemś rozmyślał; Włodzimierz patrzył na gospodarza z uśmiechem zadowolenia.

— I poczciwego tego kapłana ojczulek nigdy więcej nie spotkał? — córka pierwsza zapytała.

— Nigdy moje dziecię... dotąd nawet nie wiem, jak się nazywał.

— Może już nie żyje! — dziewczę westchnęło. — Ludzie zaci tak prędko umierają!

— Ciekawym, czy papiery oddał temu, dla kogo były przeznaczone — Władysław zauważył.

— Oddał, mój synu. Chociaż nie miałem najmniejszego powodu wątpić o jego prawości, mimo to obowiązek nakazywał mi zapytać owego obywatela, do którego zostałem wysłany ażali wszystko otrzymał. Odpowiedział, że wszystko, i że żadna pieczęć nie była naruszona.

— Widzisz Władysławie, że i między Ru-

sinami są ludzie! — Włodzimierz od stołu powstając żywo zawołał.

— Że o tem nie wątpię, najlepszym tego dowodem jest okoliczność, iż ciebie, mój Włodku, chociaż jesteś Rusinem, kocham i poważam.

— Prawda, żeś na mnie łaskaw, ale nie powiesz, żebyś wobec wszystkich Rusinów był równo sprawiedliwym.

— Jestem, wszakże z drugiej strony trudno żądać, bym im to przyznawał, do czego prawa nie mają.

— Czyli innemi słowy — Włodzimierz podchwycił — rzecz tak się przedstawia. Ty nam żyć nie zabronisz, nawet braćmi będziesz nas nazywał, tylko równocześnie nie pozwolisz nam mieć naszych szkół, ani w urzędach używać własnego języka, zabierzesz nam kalendarz, księżom swoim powiesz, by nas latynizowali, a pod względem społecznym zachowasz się w sposób następujący: Oto wprowadziwszy Rusina do pokoju, powiesz: — „Tyś Rusin, a ja Polak, więc jesteśmy sobie braćmi, lecz obok tego pamiętaj mój kochany, że ty masz mi czyścić buty i stać w przedpokoju, bo ty chłop, a ja pan!”

Władysław skoczył jak oparzony.

— Jak widzę, mój Włodzimierzu, ty ze mnie na dobre drwie zaczynasz. Czyż to ja jestem niesprawiedliwy?

— Ojezulku! Ojezulku! nie pozwól im dalej dysputować! — Marynia się wzięszała. —

Oni jak są sami, to nieraz aż strach słuchać, tak się kłóca. Ktoby myślał, że się pozabijają. I o cóż im tak idzie, o jakieś tam spory narodowościowe.

— Bo to najważniejsze! — przerwał jej Władysław.

— Bo kto narodowości swojej nie broni, ten jest niktzemnikiem! — Włodzimierz zakończył.

— A to się zaperzyli, jak dwa koguty! — pan Oliński śmiejąc się zawołał. — Moje dziecko — dodał do córki się obracając — zamiast dysputować, przeczytaj im tę bajkę Mickiewicza, w której wielki nasz mistrz opowiada, jak wyszły owe konie, co to się przy żłobie gryzły. Będzie to dla nich lepsze niż kubeł zimnej wody.

Marynia śmiejąc się wybiegła do drugiego pokoju, by przynieść tom drobnych poezyj Mickiewicza, młodzi zaś ludzie usiedli na boku zachmurzeni.

VI.

W zbrojowni i na polu.

Pan Oliński, przed samym wyjazdem do Kociejowa, otrzymał pocztę, którą konny posłaniec przywiózł. Prócz gazety i nowego kalendarza, przyszedł jeszcze jakiś list z dużą pieczęcią herbową. Nim go otworzył, wpierw kilka-krotnie w rękę go obrócił.

— Papier elegancki... korona z dziewięcioma pałkami... widać od jakiegoś arystokraty — mówił do siebie. — Zobaczmy co to za jeden i czego chce odemnie.

Otworzył list i z najwyższem zdziwieniem zaczął głośno czytać:

„Szanowny Kuzynie! Przypominając się Twojej pamięci, proszę Cię uprzejmie, byś za bytnością swoją w mieście, co może wkrótce nastąpi, zechciał mnie na chwilę odwiedzić, gdyż chciałabym o ważnych rzeczach z Tobą pomówić. W nadziei, że Szanowny Kuzyn zechce mnie sobie przypomnieć, kreślę się szczerze Mu życziwą kuzynką — Emilja z Barzyckich Dobrzyniecka.“

— A to co zajedna? — Władysław zapytał.

— Bardzo daleka krewna nieboszczki mojej matki, o której nawet nie wiedziałem, że dotąd żyje. Staruszka to wielka, musi mieć najmniej lat ośmdziesiąt.

To powiedziawszy, podał list synowi. Ten zaczął mu się uważnie przypatrywać.

— Rzeczywiście, pismo kobiece, przytem niewyraźne... I nie domyśla się też ojciec, jaki ona może mieć interes?

— Ani przypuszczam. Od lat przeszło trzydziestu ani raz jej nie widziałem. Może szuka dzierżawcy, więc mnie sobie przypomniała, a może potrzebuje jakich papierów familijnych, które u mnie spodziewa się znaleźć.

— Ojczulek pojedzie do niej? — Marynia zapytała.

— W tych dniach muszę być u adwokata, aby za mną wstawił się do hrabiego, więc za jednym zachodem i do niej zaglądnę. Ciekawym co mi powie.

— Zawsze to dobrze odnowić znajomość z osobą bogatą i z tem co pani Dobrzyniecka stanowiskiem społecznem — Władysław zauważył.

— Tak z tem, jak i bez tego — ojciec odparł. — Każdy człowiek, mój synu, powinien sobie wystarczać, i niech nikt nie stroi się w cudze pióra, bo to śmieszne.

To powiedziawszy siadł na wózek węgierski i chłopakowi kazał wieźć się do Kociejowa.

Nim tam dojedzie, wyprzedźmy go na chwilę.

Kociejów, to majątek rozległy, mający ziemię pszenną, dobre łąki, lasy nieprzebrane i stawy rybne. Pan Wolewicz podzielił go na pięć folwarków, z których trzy sam administruje, dwa zaś dalsze w dzierżawę puszcza.

W Kociejowie jest dom duży, parterowy, z grecką kolumnadą, nazywający się „pałacem”; przed nim rozciąga się ogród z wysokimi drzewami, który przechrzczono na „park angielski” — na boku stoi obszerna oficyna, gdzie mieszka jedynak dziedzica, Leander, a którą tenże nazwał „zbrojownią”.

W rezydencji pana Wolewicza wszystko ku temu skierowano, ażeby był „szyk” prawdziwy. Nie jest to atoli zasługą samego właściciela, ten bowiem, chociaż od dziecka lubił życie wygodne, do wielkiej elegancji nigdy nie wzdychał, gdyż nie miał o niej należytego wyobrażenia. Twórcą szyku był tu pan Leander, pierwszy kawaler na sześć mil w koło, pierwszy sportsmen i pierwszy myśliwy. Wprawdzie między sąsiadami można było znaleźć złośliwych, którzy utrzymywali, że szyk kociejowski to tynk tylko, po za którym, ktokolwiek zechce, doskrobie się drzewa, cegły i tektury; wprawdzie ten i ów przypuszczał, że kolumny w salonie nie były marmurowe, a tylko marmurowym papierem oklejone; że ekwipaże odkupywano od

zrujnowanych magnatów i potem je odnawiano; że liberji dostarczały tandety wielkomiejskie — i że w sali, która się biblioteką nazywała, wszystkie owe dzieła *in quarto* i *in folio*, co u góry stojąc, szlachcie niezmiernie imponowały, były po prostu kawałkami zwykłego drzewa, które oklejono jak książki i złożonemi ozdobiono napisami; wprawdzie opowiadano sobie jeszcze wiele innych rzeczy, tak dalece, że posadzano nawet o fałsz brylantowe guzy przy kontuszach obydwu panów Wolewiczów — ale ponieważ dotąd nikt nie udowodnił, ażali powyższe zarzuty były prawdziwe, przeto dwór kociejowski pozostał wzorem szyku, którego głównym mistrzem był pan Leander Wolewicz.

Nazajutrz po rozmowie hr. Czarnokońskiego z młodymi ludźmi, spieszącymi na polowanie do Leandra, we dworze kociejowskim ruch był niemały. Fornale przeprowadzali konie wierzchowe, co chwila zajeżdżały nowe wózki, z których przeważnie młodzi ludzie wysiadali, służba lasowa, zebrana pod „zbrojownią”, czekała na rozkazy.

Leander przyjmował tymczasem swoich gości sutem śniadaniem, po którym całe towarzystwo miało na łowy wyruszyć.

Właściwą „zbrojownią” był pokój duży i wysoki, przytykający tuż do sypialni młodego dziedzica Kociejowa z przyległościami. Wszystko, co się tu znajdowało, miało tłumaczyć na-

zwę nietylko tego apartamentu, lecz także całego budynku.

Najpierw przy drzwiach stał koń drewniany, na nim siedział rycerz, cały zakuty w żelazną zbroję niemiecką. W prawej ręce trzymał miecz do góry wzniesiony, na lewym ramieniu miał tarczę z herbem rodziny Wolewiczów.

— Zkąd wziąłeś tego panicza, mój Leanderku, i ile cię kosztował? — pytał gospodarza Markiz, wkładając monokl w prawe oko.

— To pamiątka familijna — odrzekł Leander. — Pan Grzegorz Wolewicz, rotmistrz pancerny, zdobył tę zbroję pod Cecorą na chanie tatarskim.

— Doprawdy? Ktoby się był spodziewał, że i Tatarzy nosili zbroję niemieckie! — odparł pytający takim tonem, że zgromadzeni kawalerowie nie wiedzieli, czy Markiz wziął słowa gospodarza za dobrą monetę, lub czy też powątpiewa o prawdzie w nich zawartej. Wypada dodać, że Markiz uchodził w swoim towarzystwie za tegiego historyka.

— A ten namiot, zapewne któryś z twoich przodków zdobył pod Wiedniem na Karze Mustafie? — Markiz dalej mówił, wskazując na kilka kawałków materji tureckiej, z której w rogu sali tapicer coś nakształt namiotu poukładał.

— Nie — odparł Leander. — Ten namiot darował mi w roku ubiegłym, gdym po Arabii z Mundziem podróżował, szeik Gul-Kara-Bul.

— Jeżelim tego namiotu nie widział gdzieś na tandecie — szepnął Markiz do ucha najbliższej stojącemu Guciowi, to dam sobie głowę uciąć.

Na ścianie głównej wisały jakieś łuki, włócznie, buzdygany, szable rozmaitej wielkości i jakości, dwie koszulki druciane, rapiry, maski, rękawice i jeszcze kilka innych przedmiotów. U góry było wszystko ozdobione pawimi piórami, ponad którymi, na silnych hakach żelaznych, leżał potężny ząb mamuta.

— Oho! ząb, jak widzę już naprawiony — Markiz znowu przemówił.

— Jakto naprawiony? — gospodarz zapytał.

— Mówił mi ktoś, lecz już nie pamiętam kto, że gdy w roku ubiegłym spadł ci był przypadkiem, to odłamał się od niego spory kawał drzewa.

— Cha! cha! cha! — parsknęli słuchacze.

— Nie wiedziałem, mój kochany, że z ciebie taki cynik! — zawołał Leander, przyjacielowi pełne gniewu spojrzenie rzucając. — W każdym razie ten ząb oryginalniejszy, niż w pewnej piwnicy wina francuskiej, w których prócz barszczu i atramentu ponoś nic więcej nie ma.

— I oryginalniejszy od pewnej herbaty czysto chińskiej — nowy głos dorzucił — którą żydzi brodzący fabrykują z herbat wygotowanych.

Chociaż były to niedwuznaczne aluzje do Markiza, który majątek straciwszy, sprzedawał teraz wina francuskie i herbatę rosyjską, mimo to ten ani się tem nie obraził, ani nawet nie okazał, że wie do kogo pito. Wydał tylko usta, obrócił się w miejscu na pięcie, i pokazując palcem na pawie pióra, rzekł spokojnie:

— To zapewne te same pióra z pod Grunwaldu, które Matejko na swoim obrazie wymalował.

Gospodarz nic na to nie odpowiedział, właśnie bowiem podniósłszy pełny kielich do góry, pił zdrowie szanownych swoich gości i zacnych przyjaciół.

Gdy tak stał u stołu w kamaszach wysoko podpiętych; w kurtce aksamitnej, w kołnierzykach, co mu brodę podrzynały; ogolony, bez wąsów, a jedynie z ryżem bokobrodami; błądy, suchy a długi, robił wrażenie dobrze wytrenowanego dżokeja. I trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że wszystko czynił, by do dżokeja być całkiem podobnym. Nie tylko każda spinka, każdy guzik wyobrażał to podkowę, to batóg; nawet deseń na jego koszuli kolorowej składał się z samych głów końskich.

Jak odmiennym był ten ostatni potomek wielkiego rodu Wolewiczów, od tego szlachcica tłustego, spokojnego, który tak bardzo bał się socjalistów, i któremu białe mięso z ogórkiem, wodą studzienną podlane, tak wielką w żołądku sprawiło rewolucję!

Ten w rzeczy samej na dobre się rozchorował, i podczas gdy syn na łowy się wybierał, ojciec u siebie w łóżku leżąc, stękał, robił sobie okłady i rumianek popijał.

— Przyjechał jakiś pan Oliński z Nowosiółek i prosi czy nie mógłby widzieć się z jaśnie panem.

Tak przemówił służący, drzwi otworzywszy.

— Czego on chce, na Boga?!

— Chce wziąć Dymówkę.

— To dobrze, niech weźmie, mociumpanie, ale mnie niech da święty pokój, bom przecie bardzo chory... Podaj mi, Ignacy, tam, ze stołu, bilet i ołówek, napiszę mociumpanie do panicza, niech on mu pokaże.

W kilka minut służący wyszedł z biletem. Nie długo trwało, a pan Oliński ukazał się na podwórzu. Przed nim postępował służący i drogę mu pokazywał. Zmierzali ku zbrojowni.

— Ciekawym co to za szlagon w kapocie i butach wysokich? — zapytał Marceś Lewkoński, najbliżej stojącego. Obadwa ze zbrojowni wyglądali oknem na podwórze.

— To jakiś ekonomus — odrzekł zapytany. — Wąsiska aż straszne, broda po pas, kapota z pętlcami. Wiesz co, Marcesiu, jabym nie trzymał ekonoma tak dziko wyglądającego za żadne skarby świata.

Pan Oliński został na dworze. Do zbrojowni wszedł sam służący z biletem. Leander

rzucił okiem na pismo ojca i skrzywił się jak po zażyciu gorzkiego lekarstwa.

— Właśnie gdy mamy wyruszyć, zjawia się jakiś bałwan dzierżawca. Wszak gdybym mu chciał folwark pokazać, straciłbym najmniej godzinę. Powiedz mu, Ignacy, żeby jutro rano przyjechał.

— Kiedy jaśnie pan kazał panicza prosić, żeby to się koniecznie dziś odbyło, bo folwark gotów zostać.

— Jedź Leanderku, jedź! — Markiz się wmięszał. — Na jelenie, łosie i daniela w twoich lasach zawsze jeszcze czas będzie. Zresztą rozważ, że ten jegomość, którego znam z widzenia, ma wcale piękną córkę, jeżeli więc weźmie od was dzierżawę, tyś potem gotów wydzierżawić jej serce.

— Ja w pannach nie gustuję — odparł Leander. — Wiele westchnień, skarg i płaczu, a pożytku mało. Ja lubię tylko mężatki.

— Czy takie jak Zefiryna? — Markiz szepnął.

— Cicho ty cyniku! — Leander odpowiedział, i uśmiechnął się tym uśmiechem, w którym maluje się pewność siebie, duma i zadowolenie.

Markiz zwracając się nagle do jednego ze starszych przyjaciół, rzekł mu do ucha:

— Hrabina romansowałaby prędzej z prostym chłopem, niż z takim koniem fiakerskim.

Gospodarz przeprosiwszy swoich gości, że ich na krótko samych zostawi, włożył na głowę czapkę dżokejską i na dwór wybiegł.

— Życzy sobie folwark oglądać? — zapytał pana Olińskiego oczy mrużąc.

Nasz przyjaciel ujrzawszy przed sobą taką figurę, omało w nos jej nie parsknął. Wielkiej też siły potrzebował, by się powstrzymać i grzecznie odpowiedzieć:

— Jeżeli pan łaskaw, bardzo bym o to prosił.

— A nie mógłby tego uczynić jutro, lub pojutrze? Wszak widzi, że mamy zaraz na polowanie wyjechać.

— Albo dziś obejrzę, albo nigdy. Zresztą folwark blisko, nie zabawimy się długo.

Leander zaklął pod nosem po angielsku, i obracając się tam twarzą, gdzie stała służba lasowa, krzyknął:

— Johann!

Wysunął się chłop słuszny, w kurcie popielatej z zielonemi wylogami i w ciemnym kapeluszu, na którym sterczało olbrzymie pióro kogucie.

— Przyprowadź mi konia, a sam siądź na drugiego. — Potem do pana Olińskiego się zwracając, dodał: — Niech naprzód jedzie... ja z moim strzelcem zaraz tam przybędę.

Pan Oliński wsiadł na wózek i pojechał.

W kwadrans stali razem na polu pod folwarkiem.

— Nie mógłby mi pan dobrodziej pokazać granicy? — nasz przyjaciel grzecznie przemówił.

— Granicy? To rzecz bardzo łatwa... Widi tam krzaczek na polu?

— Widzę.

— Otóż granica idzie jakoś koło tego krzaczka, najpierw na prawo, potem w lewo, potem znowu jakoś prosto.

— Dziękuję, już wiem. Te krzaki obok okazują, że poprzedni dzierżawca rolę zaniedbał.

— Bynajmniej! To nie krzaki, to remizy, które ja umyślnie kazałem tu sadzić dla kuropatw. Johann! powiedz, ile tu kuropatw?

— W tych pierwszych jedno stado, sztuk siedemnaście, ale z tych jaśnie pan przedwczoraj zastrzelił trzy, więc teraz jest tylko czternaście.

— A w tamtych, Johann?

— W tamtych dwa stada. W jednym cztery kury i trzy koguty, nie, tylko dwa, bo właśnie przedwczoraj jaśnie pan ubił jednego koguta, w drugim zaś jest pięć kur i jeden kogut.

— Słyszysz?

— Słyszę — odrzekł pan Oliński. — A owe krzaczki pod pagórką, czy to także remizy?

— Nie, to są zwykłe krzaki, w których zające hoduje. Johann!

— Słucham, jaśnie panie.

— Powiedz, ile tam jest zajęcy.

— Jeszcze przed tygodniem było dwadzieścia sześć, teraz jednak mamy o pięć mniej, bo cztery jaśnie pan zastrzelił, a jednego lis nam złapał.

— Słyszysz?

— Słyszę. Pan dobrodziej, jak widzę, jest wielkim amatorem polowania.

— Rzeczywiście... jest to najprzyjemniejszy sposób zabicia czasu. Czy już koniec?

— Już. Przepraszam pana, żem go tu trzaski, i dziękuję.

Leander, nic na to nie odpowiedziawszy, zwrócił się do strzelca.

— Johann! Odprowadź do granicy — tu ręką wskazał na pana Olińskiego i jego wózek — i sam wracaj do domu.

To powiedziawszy, na znak pożegnania skinął ręką dzierżawcy, wspiął konia i galopem do pałacu odjechał.

Johann w zastępstwie swego pana towarzyszył gościowi do samej granicy. Gdy tu stanęli, zdjął kapelusz, i pokornie przemówił:

— Może by mnie wielmożny pan wzięli na służbę.

— Ciebie, mój przyjacielu? Ja strzelców nie potrzebuję.

— E, proszę wielmożnego pana — odrzekł w głowę się skrobiąc — ja strzelec i Johann tylko od parady... Na codzień to ja i Wasyl i parobek stajenny. Ale że człowiek nie wie, czego się trzymać, bo tak nim kręca jak szewc

skórą, i czasem każą mi także być lokajem i nazywać się Żorżem, więc wolałbym służbę w domu porządnym, żeby mieć spokój... Przynajmniej wiedziałbym wielmożny panie, czym pies, czym baran, i nie potrzebowałbym łąć, że się aż z nosa kurzy. A niech bym raz tak nie powiedział jak chce pan Leander, miałbym się za to !

— Mój przyjacielu, ja sług nikomu nie odmawiam, lecz jeżeli byś się kiedy sam odprawił, a potem do mnie przyszedł, to może bym cię przyjął. Na pewne jednak nie obiecuję, bo po wielkich dworach wy się psujecie, a ja, mój kochany, żądam roboty.

To powiedziawszy, kazał swemu chłopakowi wracać prosto do Nowosiółek.

Gdy do domu przyjechał, Władysław pierwszy go zapytał :

— Jakże się ojcu Dymówka podobala ?

— Ziemia nie zła, ale bardzo zaniedbana, budynki opuszczone, dom mieszkalny na pół zawalony.

— Weźmie ojciec ?

— Nie sposób... Trzeba gdzie indziej szukać.

— A kto ojca obwoził ?

— Młody pan Wolewicz.

— Bardzo dystyngowany, nieprawdaż ?

— O ! bardzo... szkoda tylko, że trochę za wiele do małpy podobny.

VII.

Na łowach.

Leander wrócił nareszcie do towarzystwa, które go niecierpliwie wyglądało, poczem wszczął się ruch na całym podwórzu.

Najpierw wyruszyła straż leśna z psami na smyczach, które z radości skomlać, chciały koniecznie biedz przodem ; potem jeden po drugim zaczęły zajeżdżać wózki i amerykanki ; w końcu wyprowadzili fornale trzy konie wierzchowe, dla Leandra, Gucia i Markiza.

Właśnie gdy młodzi ludzie, zbrojownię opuściwszy, zamierzali na wózki wsiadać, do bramy pałacowej, szosą od stolicy wiodącą, dojechał jakiś powóz nieznany w okolicy, w którym siedział jeden tylko mężczyzna.

— Czyj to majątek ? — zapytał jadący gajowego, który przez bramę wychodził.

— To Kociejów pana Wolewicza.

— Doprawdy, zapomniałem, że w tych stronach mieszka Leander ! — A te krzyki co znaczą ? — znowu zapytał.

— Dziś polowanie, proszę pana.

— Polowanie ! sposobność wysmienita !..

Fiakier! — zawołał na swego woźnicę — zajeżdż!

Wezwany skręcił na miejscu, i półkryty powóz miejski, zatoczył się prosto przed zbrojownię, gdzie tłum był największy.

— A to kto znowu? — pytał ten i ów, o czy przymrużając.

— To jakiś gość miejski, bo fiakrem jeździe — głos z końca odpowiedział.

— Dalipan, to Grzmotowicz! — Markiz śmiejąc się zawołał. — Ciekawym, czego tu może chcieć ta figura... Przecie nie przypuszczam Leanderku, by cię przyjeżdżał sekwestrować.

— Sądzę, że on raczej ciebie szuka z pozwem za wina fałszywe — Leander odrzucił, i szyję z kołnierzyków wyciągnawszy, stanął jak żoraw na pikiecie.

W zamglonych jego oczach widać było iskry gniewu, usta bardziej mu się zwęziły i posiniały, na twarzy malowało się niezadowolenie. Zanim atoli miał czas ułożyć sobie plan postępowania z gościem nieproszonym, już ten, z powozu wyskoczywszy, chwycił go za rękę i w oba bokobrody serdecznie ucałował.

— Jak się masz Leanderku! Jakżem szczęśliwy, że przez twój majątek jechać mi wypadło, i że cię w dobrym zdrowiu oglądam! A co za towarzystwo dobrane — dodał ku obecnym się zwracając — sam kwiat młodzieży! Jak się masz Marcesiu! Dzień dobry Guciu! Oho! są i Karol, Ludwik, Michaś! Sługa pana Markiza!

Tak prędko mówił, i tak się rzucał to w prawo, to w lewo, by każdemu dłoń uścisnąć, chociaż żaden ze swoją ku niemu nie spieszył, że wszyscy oniemieli. On atoli prędko postrzegłszy, że obecni nie bardzo mu są radzi, jako dobry taktyk zaraz w to uderzył, co niewątpliwie miało ich pokonać.

— Jadąc do Zawadowiec — rzekł poważnie — dokąd mnie hrabia Hieronim zaprosił, nie mogłem, mój przyjacielu, twego domu pominąć, i dlatego na chwilę wstąpiłem.

— Ale może nie wiesz, że w Zawadowcach jutro wesele — Leander zauważył.

— Właśnie jadę na wesele.

— Wszak hrabia tylko krewnych prosił — Marceś wtrącił.

— Krewnych, i najlepszych przyjaciół! — Grzmotowicz z naciskiem odrzucił.

— A to czelność! — Markiz półgłosem mruknął. — Ręczę, że go wezwano do spisania intercyzy ślubnej, a on teraz pozuje na przyjaciela hrabiego.

Na szczęście Grzmotowicza, słów Markiza, które niejednemu byłyby do przekonania trafiły, nikt nie słyszał; wszyscy zaś dowiedzieli się, że Grzmotowicza spotkał zaszczyt, o jakim nikt z młodzieży okolicznej nie mógł nawet marzyć. Fakt ten, zaraz ich dla niego inaczej usposobił. Niechętne spojrzenia zagasły, usta się uśmiechnęły, dłonie zaczęły serdeczniej jego dłoń ścisnąć.

— Przepraszam cię mój Kaziu — Leander przemówił — że cię do pokoju nie proszę, lecz jak widzisz, jesteśmy na wyjeździe do lasu.

— Skoro tak, więc i ja z wami jadę. Do Zawadowiec mam jeszcze czas jutro. Daj mi tylko jaką pukawkę.

— Zaiste, nie wiem, czy jest jeszcze jaka wolna.... Dziś całą służbę musiałem w broń zaopatrzyć, bo mamy dziki i wilki.

— Najlepiej zrobisz — Markiz wtrącił — jeżeli go uzbroisz w ów starożytny łuk germański, domowej roboty, co wisi tuż pod zębem mamuta.

— Johann! daj panu swoją strzelbę — krzyknął Leander, udając, że nie słyszał złośliwych słów przyjaciela — sam zaś weźmiesz sobie ową turecką rusznicę, złotem nabijaną, którą dałem ekonomowi. A teraz naprzód!

Podczas gdy myśliwi, długim taborem do lasu ciągnęli, Markiz jadąc konno na samym końcu, mówił do siebie:

— A to czelność! Wziął ich szturmem i kwita!

Dzień, po deszczu wczorajszym, był nadspodziewanie piękny. W nocy chwycił silny przymrozek, rano mgły na ziemię opadły, słońce ukazało się czyste, acz blade i smutne, po polach snuła się srebrna przedza pajęczna, ostatnie ślady lata marcinkowego.

Orszak po dobrym śniadaniu był w humorze wyśmienitym. Śmiech i żarty wesołe sły-

chać było z każdego wózka. Najgłośniejszą jednak było na amerykance, na której Grzmotowicz siedział z trzema innymi. Ten mając silny organ i swadę niezwykłą, opowiadał nowinki miejskie takim głosem, że na przodzie i z tyłu wszyscy go słyszeli; opowiadał zaś tak pieprzno i tłusto, że Guccio, mimo iż oddawna poczytywał się za kawalera skończonego, kilkakrotnie w duchu się pytał, ażali przypadkiem nie wypada mu się zarumienić.

Cisza grobowa dopiero wtedy zaległa, gdy całe towarzystwo utonęło w ciemnej lasu odchłani.

Wpół godziny w głębi kniei zagrzemiał najpierw strzał jeden, po nim drugi, dziesiąty. Powtarzało się to aż do zmroku.

Leander był pewny, że będą wilki i dziki. Tymczasem wilki, obtopione dnia poprzedniego, wyniosły się świtanie, dziki zaś poszły na nagonkę, i mimo, że psy za nimi puszczone, nie dały się nawrócić.

Leander, o którym Markiz nie bez słuszności mówił, że jest „profesorem szyku małego i wielkiego“, kazał na wszystkich liniach powbić małe słupki z liczbami, przy których mieli stać myśliwi. Nim miot założono, odbywało się losowanie, poczem każdy szedł do swego słupka.

W ostatnim miocie tak się złożyło, że Leander miał do prawej ręki Grzmotowicza, po lewej Markiza.

Chociaż przestrzeń rozdzielająca obu tych

panów wynosiła sto pięćdziesiąt kroków, przecie ze spojrzeń, jakie ku sobie wysyłali, łatwo można było poznać, że nie mieli dla siebie szczególnej sympatji. I rzeczywiście, lubo jeden drugiemu nic złego nie uczynił, trudno o dwóch ludzi, którzyby się tak serdecznie nie lubili, jak Markiz z Grzmotowiczem. Wprawdzie zawsze słodko się witali, nieraz zwłaszcza przy kieliszku, zdarzało się nawet, że się przyjaciółmi nazywali; wszakże w głębi duszy jeden drugiego poczytywał nie bez słusności za swego wroga.

Markiz, jak wiemy, roztrwoniwszy cały majątek, sprzedawał teraz wina francuzkie i herbatę rosyjską, ale mimo tak podrzędnego zajęcia, nie stracił fantazji, i był w każdym calu dawnym kawalerem, niekłaniającym się nikomu po lokajsku, umiejącym złożyć się na szpady i wyrąbać na pałasze, za co w gronie rówieśników miał wielkie poszanowanie; był kawalerem złośliwym, niekiedy nawet dowcipnym, którego lubiły kobiety, a bali się mężczyźni. Pochodził z dobrej rodziny szlacheckiej, lecz że wyglądał więcej na Francuza niż Polaka, i raz, przy kieliszku szampana, rzucił żartobliwie, że jego rodzina jest spokrewniona z rodziną sławnych markizów De Sanfaçon, więc ktoś nazwał go za to markizem i nim też został na zawsze.

Ileć Grzmotowicza ten lub ów zapytał, czemu Markiza nie lubi, zawsze jedno odpowiadał:

— Ja przeciw niemu nic nie mam, ale ponieważ mieszka bardzo porządnie, stołuje się w pierwszej restauracji, i codzień przy obiedzie wypija pół butelki szampana, więc radbym wiedzieć, z czego właściwie ten człowiek żyje?

Kazimierz Grzmotowicz kierował się na adwokata. Był synem biednej wdowy po urzędniku, bratem piękności przekwitłej, która napróżno od lat dwudziestu męża wyglądała, a chociaż klejnotu szlacheckiego nie posiadał, ilekroć była mowa o szlachetwie, zawsze umiał przybrać taki ton arystokratyczny, że nikt nie byłby śmiały przypuścić, iż w jego żyłach nie płynie krew niebieska.

Jako dwudziestoczteroletni młodzieniec, wstąpił na praktykę do kancelarii dr. Sakowicza, pierwszego w stolicy mecenasa, mającego bardzo liczną i bogatą klientelę. Tu poznał wszystkie rody znakomite, i całą złotą młodzież. Ponieważ jego pryncypał niejednokrotnie mu mówił, że na świecie tylko ten wielkie rzeczy osiąga, kto umie zastosować się do woli możnych i pokornie trzyma się ich klamki, przeto pan Kazimierz, któremu te zasady trafiły do przekonania, postanowił już teraz, nim jeszcze adwokatem zostanie, zjednać sobie przyjaciół między młodzieżą bogatą.

W tym celu chodził tam tylko na objady, gdzie złota młodzież uczęszczała; proszony czy nie, przysiadł się do ich stołów; w teatrze odwiedzał ich w łóżach; bywał na wyścigach,

nawet się zakładał; grał z nimi w karty i często gęsto przegrywał; wreszcie ilekroć mógł, do tego lub owego na wieś się zapraszał.

Z początku rola, w jakiej się znalazł, niejedną przykrość mu sprawiła. Ten puścił mu czasem dym w oczy, drugi przy stole odwrócił się doń plecami, inny nie odklonił mu się na ulicy. Kazimierz Grzmotowicz umiał atoli pokonać w sobie wszelką słabość, umiał okiełznać gorącej krwi porywy i nigdy się nie obraził. Mimo tych nieprzyjemności, wytrwał na drodze raz obranej, i przez drzwi wyrzucony, wracał oknem.

Z początku niejeden zrobił uwagę, że Grzmotowicz jest bezczelny, jednakże powoli wszystko się jakoś utarło, i świat, do którego wcisnął się przemocą, milcząco uznał go za swego członka.

Pan Kazimierz miał atoli więcej rozumu i znajomości świata, niż może ogólnie przypuszczano. Jego pryncypał służył tylko panom i tych strzygł; Kazio natomiast powiedział sobie, że na świecie ten najlepiej wychodzi, kto od razu strzyże i goli, panów tedy postanowił strzydz, a hołotę golić. I aby cel, który sobie wytknął, tem łatwiej mógł osiągnąć, równocześnie gdy się wciskał do salonów możnych, zawiązywał stosunki z ludźmi inteligentnymi, mieszczanami, nawet robotnikami; a że miał dobrą wymowę, i o frazes popularny nigdy mu trudno nie było, więc wkrótce wszedł do wydziału kil-

ku towarzystw rzemieślniczych, został prezesem czytelnicy ludowej, nawet otrzymał tytuł patrona terminatorów szewskich.

Tak więc niepostrzeżenie rósł w znaczenie i potęgę, a gdy raz i drugi przemówił na zgromadzeniu publicznem, nie jeden wysłuchawszy go, powiedział:

— Ten człowiek ma przyszłość... Z nim trzeba się liczyć!

Coraz też częściej spotykał ludzi, którzy się z nim liczyli, i jeden tylko Markiz o to się starał, bo go antypatycznie nie lubił. Gdy raz ktoś Markiza zapytał, czemu Grzmotowicza nie cierpi, odrzekł, robiąc minę lekceważącą:

— *Ma foi* ja przeciw niemu nie mam, ale powiedźcie mi, z czego właściwie ten człowiek żyje? Wiem, że nie ma żadnego majątku, tylko sto guldenów pensji miesięcznej, a utrzymuje bardzo przyzwoicie matkę i siostrę, w domu się nie stołuje, tylko między nas się wciska, przegrywa w karty, bywa w teatrze prawie codzień, jeździ pierwszą klasą, słowem, żyje jak magnat. *Ma foi* powiedźcie mi, z jakich funduszków czerpie ten człowiek, z czego on żyje?

Prawdopodobnie nie dalecy będziemy rzeczywistości, jeżeli przypuścimy, że gdy tak dziś stojąc w lesie na linji, pełne niechęci spojrzenia ku sobie wysyłali, jak zawsze tak i tym razem to samo o sobie myśleli.

Nie długo trwało, a chłopcy od dołu ruszyli. Z początku nie było nic słyhać, potem

coś dudnieć zaczęło, i kozieł ogromny wyskoczył na Grzmotowicza. Ten bojąc się, czy to przypadkiem nie koza, za którą byłby musiał zapłacić 30 guldenów, takie bowiem były zwyczajne w Kociejuwie, zamiast strzelić, krzyknął. Przestraszony kozieł wrócił na nagonkę, która już była blisko, lecz ta wrzaskiem i kijami drugiej raz go odpędziła. Nieszczęśliwe zwierzę, nie wiedząc co począć, sady na Markiza. Ten składa się, strzela, kozieł jednak jeszcze lepiej pomyka, za to w środku miotu daje się słyszeć rozpaczliwe wołanie:

— Zabił! zabił!

Przestraszeni myśliwi opuszczają swoje stanowiska; nagonka i służba lasowa zbiega się ze stron wszystkich; każdy tam pędzi, gdzie krzyk nie ustaje. Markiz z sercem bijącym, bez tchu prawie, spieszy za innymi.

Stanęli w miejscu, gdzie leżał chłopak wiejski, któremu leśniczy nogę opatrywał.

— Co ci jest? — Leander pierwszy zapytał.

— Zabił! zabił! — ciągle powtarzał.

— Cicho! — krzyknął leśniczy. — Ktoby myślał, że ci się Bóg wie co stało, a to tylko dwa śruciki trafiły cię pod kolano.

— Oj boli! zabił!...

— Skoro takie głupstwo — rzekł Leander do Markiza, który już czas ochłonać — to daj mu dwadzieścia, lub trzydzieści papierków, żeby miał sobie czem łyzy otrzeć.

— Gdzieżbym śmiał coś podobnego uczynić na twojem terytorjum, mój Leauderku! — Markiz odparł. — Dobry ton nakazuje w takich wypadkach zostawić gospodarzowi pierwszeństwo.

Leander, który niezmiennie przestrzegał, by przeciw dobremu tonowi przypadkiem kiedy nie zawinił, nie zdawszy sobie należycie sprawy z położenia, rzekł do chłopca:

— Albo ty sam, albo twój ojciec niech przyjdzie do pałacu... Już ja cię wynagrodzę.

Po tem smutnem wydarzeniu, którem się polowanie zakończyło, cały orszak, wioząc za sobą pełny wóz drobnej zwierzyny, ruszył ku domowi.

Wieczór był chłodny, mroźny prawie. Gdy wózki z góry na drogę zjeżdżały, w miejscu gdzie była głęboka kałuża, amerykanka, którą Grzmotowicz jechał, przechyliła się tak niefortunnie, że wszyscy z niej pospadali. Guccio i Marceś byli przynajmniej o tyle szczęśliwi, że padli na ziemię suchą, atoli ich towarzysz padł w sam środek błota, które go całego nakryło.

Jak się w takich razach zwykło zdarzać, zamiast go pożałować, wszyscy głośnym śmiechem parsknęli. Najgłośniej jednak śmiał się Markiz. Ten dawszy znak jadącym, by stanęli, głośno zawołał:

— Hej! chłopcy, kto z was ma wędkę, złowimy grubą rybę!

Grzmotowicz, nie bez trudności wy dostał się z błota i stanął cały powalany, przemokły, zziębnięty. Chciał na wózek najbliższy wskoczyć i odjechać, lecz Markiz w tem mu przeszkodził.

— *Ma foi* nie pozwolimy na to! — krzyknął — bo twoje życie jest nam zbyt drogie. Gdybyś tak pojechał, na tym mrozie niewątpliwie byś się przeziębził i do trzech dni mógłbyś nam umrzeć. A więc idź pieszo, i prędko, żebyś się rozgrzał.

— Tak jest, pieszo! pieszo! — inni zawołali. — My dla twego towarzystwa także pójdziemy pieszo.

— Skoro jesteście tak łaskawi, więc dalej! — Grzmotowicz odpowiedział, i cwałem do wsi się puścił.

Markiz, który był tuż za nim, szepnął do Marcesia i Gucia:

— Poróbmy prędko pytki, aby go trochę podbiczować.

Młodym ludziom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pierwsi oni, po nich inni, poskręcali twardo swoje chustki, niektórzy powkładali jeszcze kamyki, poczem na znak dany przez Markiza, zaczęli Grzmotowicza bić po plecach wołając:

— A prędzej Kaziu, prędzej, boś się nam gotów przeziębnić i umrzeć!

Grzmotowicz wyteżał nogi, przyjaciele pę-

dzili tuż za nim, pytki jak cepy padały gęsto na jego plecy, radość była ogólna.

Nareszcie zadyszany, spocony, bez tchu prawie, wpadł do zbrojowni. Stanął na środku sali, pełną piersią odetchnął, i do gospodarza się zwracając, zawołał:

— A tośmy się wysmienicie zabawili, Leanderku! Tylko na litość boską każ mi dać co jeść, bom od rana nie miał nic w ustach!

VIII.

Kazio Grzmotowicz w czepku się urodził.

Obiad kawalerski, w którym ośmnastu myśliwych wzięło udział, odbył się wśród objawów najwyższej wesołości. Kucharz złożył egzamin z wyszczególnieniem; służba, do której należał także Johann, przebrany do niepoznania i nazywający się już Żorżem, wywiązywała się ze swych obowiązków ku ogólnemu zadowoleniu; wino było dobre, na samym końcu pojawił się nawet szampan.

Czegoż więc do szczęścia brakowało? Chyba muzyki, aby tonów czarem duszę ukołysała, nerwy zaś nastroiła; chyba pięknych kobiet, aby wśród uścisków gorących wyśpiewać z niemi ostatnią arję ziemskich rokoszy, a potem usnąć i marzyć, marzyć bez końca!...

Do nich tęsknił w tej chwili najbardziej Guccio, ów pełen nadziei młodzieniec dwudziestoletni, którego czwórke dnia poprzedniego podziwiał hr. Czarnokoński. Ten chociaż pił już z kielicha rokoszy, nie należał jeszcze do owych młodzieńców zwiędłych, znudzonych, przed-

wcześnie postarzałych, którym potrzeba pieprzu, papryki i innych korzeni piekących, by im jeszcze choć trochę co zasmakowało. Serce Guccio było dotąd przystępne dla wszelkich wrażeń, to też dziewczyna od krów idąca, byle młoda a rumiana, miała dlań ten sam urok, co dama w jedwabiach i koronkach. O! ileż razy wzrok szampanem zamglony, puszczał to przez okno na podwórze, to ku wchodowym drzwiom zwracał. Na dworze atoli było ciemno, że oczy wykol, we drzwiach zaś, na rozkazy czekając, stał sam tylko Żorż, jak struna wyprostowany. O! jak trudno, by ziemskie szczęście było kiedy zupełne! — Guccio sobie pomyślał, i aby robaka, co go gryzł, zalać, sięgnął ręką po świeży kielich szampana.

Między biesiadnikami, najgłośniejszym, jak zwykle, był Kazio Grzmotowicz. Przebrany, nasycony, ogrzany, stał na środku pokoju z twarzą lekko zarumienioną, ustami uśmiechniętymi, wzrokiem przenikliwym, który w okół puszczał. Kto by go teraz pierwszy raz zobaczył, musiałby przyznać, że człowiek ten znajduje się w swojej sferze, w której urodził się i wychował. Co więcej, nie bardzo nawet bystry badacz, poznałby na pierwsze wejście, że Kazio przewyższał swoich towarzyszy postawą, całem wyglądem, nawet ruchami. Ten człowiek prezentował się teraz jak pierwszy lew salonowy.

Kazio Był dobrego wzrostu, słuszny prawie; trzy-

mał się prosto jak świeca, lecz nie sztywnie; miał nos grecki, czoło otwarte, oko pełne, wyraziste, acz koloru niezdecydowanego; włosy czarne, układające się w naturalne kędziory, brodę także czarną, ale niewielką, która wdzięcznie twarz mu okalała. Mimo iż Kazio miał dopiero lat trzydzieście w środku brody widać już było włos biały, który od tła ciemnego odbijał jak srebrna nić od hebanu. Nieraz się zdarzało, że przyjaciele chcieli mu go wyrwać; on atoli nigdy na to nie pozwolił, utrzymując, że przedwczesna ta siwizna jest najlepszym dowodem jego ciężkiej pracy.

— Ale ponieważ nie głowa zaczyna mu świecić, tylko broda — Markiz rzekł, gdy to pierwszy raz usłyszał — więc *ma foi* najlepszy w tem dowód, że nietyle głową pracuje ile gębą.

Być może, że złośliwa ta uwaga doleciała aż do Kazia; wszakże był on o tyle dyplomata, że Markizowi nigdy niczem nie okazał, iż ją słyszał.

Gdy służba główny stół uprzątnęła, zostawiając tylko pomniejsze — na wniosek samego gospodarza zaczęto grać w karty. Na wstępie ci chcieli wista, tamci taroka, inni preferansa; Markiz jednak postrzegłszy, że jak zawsze, tak i tu Polacy zgodni nie będą, poszedł drogą pośrednią, i zaproponował „krótkiego.“ To zwąśnionych od razu pogodziło.

— Myśl genialna! — Marceś zawołał. — Każda z tamtych gier jest nieznośnie nudna bo długa; jeden djaabełek przyjemny, bo krótki.

— A więc „krótkiego!“ — gospodarz potwierdził, i za stołem stanawszy zapytał: — Kto daje bank?

— Niech los rozstrzyga! — dał się słyszeć głos od końca.

— Tak jest, los! los! — inni zawtórowali.

— A zapomniałeś kochany Markizie, jak wczoraj kłąłeś przed hrabią Hieronimem na duszę i ciało, żeś zarzucił gry hazardowne? — Guccio zapytał.

— *Ma foi* gra jest wtedy hazardowna, gdy się więcej przegrywa, niż się ma — Markiz odrzucił, i zapaliwszy sobie cygaro, wyciągnął rękę, by wziąć udział w losowaniu.

— Kazio daje bank, Kazio! — zawołały liczne głosy.

— Rzeczywiście, pan Grzmotowicz! — Markiz potwierdził. — Ciekawiśmy, czem się pochwali — dodał niby cicho, lecz zawsze tak głośno, że Grzmotowicz choćby nawet nie chciał, musiał go usłyszeć.

Wyzwany, z flegmą, znamionującą ludzi bogatych a nie skąpych, sięgnął do bocznej kieszki tużurka, wyjął z niej pugilares, otworzył go, i z lekceważeniem rzucił na zielony stolik bilet bankowy na 1.000 guldenów.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Ręczę, że to jakiś depozyt, jemu na to powierzony, by go złożył do rąk swego pryncypała, — Markiz mruknął tym razem znacznie

już ciszej, popiół z cygara na ziemię strzepując.

Grzmotowicz tymczasem wziął karty i stanawszy za stołem, głośno zawołał:

— Proszę stawiać!

Stawiali, grali, pili, żartowali, dym z cygar robił atmosferę coraz duszniejszą, jedyną fortuna sprzyjała, drudzy z kieszeń wytrząsali ostatnie guldeny, zabawa szła swobodnie i wesoło.

Nikt nie wiedział ile wygrał, obliczać bowiem kasę znaczyłoby prawie tyle, co przyznać się do plebejuszowskiego pochodzenia; jedni tylko przegrani wiedzieli, że im w portmonetkach nic nie zostało.

Gdy ostatni akt rozgrywał się między Grzmotowiczem, który jak Herkules walczył i ciągle był górą, a Marceciem Lewkońskim, który koniecznie chciał się odbić, Markiz wzięwszy gospodarza pod ramię, zaprowadził go do pokoju przyległego.

— Przyjęcie u ciebie świetne, *ma foi* co się zowie pańskie, szkoda tylko, że wina nieszczegółne.

— Doprawdy?

— Wierz mi, przecie jeśli na czem, to na tem znam się doskonale. Twój *Medoc* to zwyczajne wino dalmatyńskie, w Bordeaux preperowane; twój *Haut Barsac* to jakaś lura na pół reńska, na pół austriacka; a twoje *Veuve Cliquot* tak widziało wdowę Cliquot, jak ja cesarza chińskiego.

— Niezmiernie mnie to martwi, mój drogi. Zaraz jutro napiszę Adamowiczowi, że mnie ohydnie oszukał.

— Ale bo kto od Adamowicza wina bierze! *Ma foi* chyba parwenjusz. Człowiek zaś jak ty, z szykiem, powinien zamawiać wprost w winnicy, do tego przez ludzi, którym można zaufać. Jeżeli chcesz, do miesiąca tak ci piwnicę zaopatrzę, że będzie pierwszą w kraju.

Leander, mimo iż tak samo, jak jego ojciec, lubił być oszczędnym, odurzony teraz szampanem, przytem może jeszcze więcej z obawy, by mu Markiz nie zarzucił na szerszym świecie braku szyku, rzekł przyjaciela serdecznie za rękę ściskając:

— Zrób to mój drogi, zrób, a nieskończenie będę ci wdzięcznym.

— Jeżeli chcesz, to do pierwszej posyłki dołączę także kilka kilogramów wysmienitej herbaty karawanowej, bo ta, którą wy tu pijecie, to nie herbata *ma foi*, ale jakieś ziółka.

— Załącz, załącz, mój drogi! — Leander odrzekł i przyjaciela gorąco ucałował.

Nareszcie gra się skończyła, na świecie bowiem wszystko co się raz zacznie kiedyś skończyć się musi — i młodzi ludzie zaczęli bądź rozjeżdżać się, bądź rozchodzić się po pokojach gościnnych.

Grzmotowicz kołdrą się nakrywając, rzekł do Żorża:

— Pamiętaj tylko mój kochany, żeby do dnia moje konie zajechały. Dostaniesz na piwo.

Żorż, Johann, czy też Wasyl, lubił piwo. Bojąc się tedy, by go przypadkiem nie minął podarunek, wcale spać się nie kładł, tylko przesiedział dwie godziny w przedpokoju, a] gdy na niebie szarzeć zaczęło, zbudził fiakra i kazał mu zaprzęgać.

W pół godziny Grzmotowicz był gotów. Napisawszy słów kilka na bilecie do Leandra, wręczył go Żorżowi wraz z guldenem, wsiadł do powozu i odjechał prosto do Zawadowiec.

Nim tam stanie, musimy cofnąć się o dwa dni, aby się dowiedzieć, co właściwie pędziło go po tych złych drogach do domu hr. Czarnokońskiego.

W kancelarji adwokata Sakowicza, w chwili, gdy tam wchodzimy, cicho jak w kościele. Godzina trzecia z południa, interesenci nie zaczęli się jeszcze schodzić, dependenci zaś i kpiści, siedząc przy swoich stołach, piszą zawzięcie. Tylko piór skrzypienie maćci ciszę uroczyłą.

Otworzyły się drzwi cichutko, i w nich ukazała się figura długa, chuda, trochę pochyła, mająca twarz pomiętą jak ususzone jabłko, i z koloru także do niego podobna. Zarostu na niej bardzo mało; wyrazu mniej jeszcze.

— Panie Kazimierzu! — rzekła figura. — Proszę pana!

Grzmotowicz, który właśnie akta przeglądał, szybko powstał i za swoim pryncypałem udał się do jego kancelarji, składającej się z

gabinetu, w którym wszystkie meble były ciemną skórą obite, i wytwornego salonu, gdzie każdy mebel był istnem dziełem sztuki.

W pokoju pierwszym, zajętem przez dependentów i pisarzy, mecenas przyjmował zwyczajnych śmiertelników. Ci jednak rzadko tu się zjawiali, dla nich bowiem dr. Sakowicz był za drogi. Do gabinetu zapraszał ludzi zamożniejszych, do salonu tylko osoby prawdziwie znakomite, do których zaliczał tak samo potentatów krwi, jak i mienia.

— Panie Kazimierzu, mam interesik natury bardzo delikatnej, który tobie chcę poruczyć — zaczął mecenas cicho, łagodnie, słodziutko, wając słowa ostrożnie, jak aptekarz trucizny. — Dziś w południe zszedłem się przypadkiem na śniadaniu z dyrektorem banku, i ten mi powiedział, że właśnie wczoraj zapadła u nich uchwała, aby Zawadowce na licytację wystawić.

— Na licytację? — Grzmotowicz powtórzył. — Czy być może!

— Niestety, tak jest... Bardzo nad tem ubolewam, lecz zaradzić nie umiem. Dwie raty zalegają, trzecia za miesiąc zapadnie, a hrabia, mimo urgensu, grosza nie przysłał. Gdyby był choć sam przyjechał i o prolongatę prosił, byłoby się jeszcze dało coś osiągnąć, gdy tymczasem dziś wszystko może być stracone.

— Człowiek, jak hrabia, dumny, nie zniżył by się do prośby — Grzmotowicz zauważył.

— Prawda, prawda, lecz tem gorzej dla niego... Jak sądzisz panie Kazimierzu, co nam teraz uczynić wypada?

— Alboż ja wiem, panie mecenasie — odpowiedział zapytany, marszcząc czoło, co u niego znaczyło, że się namyśla.

— Co do mnie — mówił dalej adwokat — sądzę, żeśmy hrabiego powinni jak najprędzej uwiadomić o grożącym mu niebezpieczeństwie, człowieka bowiem jak on znakomitego, przytem naszego klienta, nie możemy opuścić.

— Więc pan mecenas chce zapewne bądź napisać, bądź zatelegrafować do niego.

— Ani jednego, ani drugiego nie uczynimy. W chwili, gdy córka jego za męża wychodzi, nie wypada pisać o rzeczach tak nieprzyjemnych, a tem mniej telegrafować. Po dłuższym namyśle ułożyłem sobie plan zupełnie inny. Oto zamiast pisać o interesie, co by go niewątpliwie rozgniewało, a z pewnością obraziło, wystosuję raczej list z gratulacjami, który ty, panie Kazimierzu, dziś jeszcze do Zawadowiec powieziesz. Gdy tam raz będziesz, łatwo znajdziesz sposobność i formę właściwą, by go ostrzedz o grożącym mu niebezpieczeństwie. Znając twój *savoir vivre*, panie Kazimierzu, nie wątpię, że z poruczonego ci zadania znakomicie się wywiążesz. Zresztą gdyby cię nawet jaka przykreść spotkała, trzeba ją umieć znieść...

Podczas gdy mecenas mówił, pierwszy jego dependent i zastępca miał czoło ciągle zmarszc-

zione. Bystry jego umysł rozważał, jakie z tej podróży mógłby dla siebie korzyści wyciągnąć, i z szybkością błyskawiczną ułożył już sobie cały plan działania.

— Może pan mecenas być spokojny, ja sprawy nie skompromituję — rzekł z naciskiem.

— Spodziewam się tego, panie Kazimierzu.

— Czy zaraz mam wyjechać?

— Najpóźniej za godzinę. Do Zawadowiec opętanych mil dziesięć, a droga musi być ohydna. Idź pan teraz do miasta, zgódź sobie porządnego fiakra, a ja tymczasem list napiszę.

— A jak będzie z kosztami podróży?

— Ja panu dam zaliczkę, potem wszystko zaciągniemy na rachunek hrabiego.

W takiej więc sprawie Kazio Grzmotowicz z miasta wyruszył. Po drodze, jak wiemy, wstał na polowanie do Kociejowa, gdzie się wysmieniecie ubawił, teraz zaś, burką owinięty, zimno bowiem zrobiło się dojmujące, jechał już prosto do Zawadowiec.

Mimo że nie należał do ludzi serca zajęczego, czuł, że mu było nie swojsko. Może to było następstwem wrażeń wczorajszych i nocy bezsennie strawionej, a może lękał się także, by go u hrabiego nie spotkała jaka nieprzyjemność. Bądź co bądź, w sprawie wielce niemiłej, przyjeżdżał w chwili najmniej do tego stosownej, hrabia znany zaś był jako człowiek dumny, przytem raptus i weredyk. A nuż go nie przyjmie?! W mieście rzecz taką łatwoby mógł *

ukryć, lecz jak ją ukryć na wsi, gdzie wszyscy w szklanych domach mieszkają? Sługi zanoszą to najpierw do sąsiadów, ci znów roztrąbią po całym kraju. Kazio wiedział także, że obraza, wymierzona przez hr. Czarnokońskiego, męża w kraju najbardziej popularnego, byłaby patentem na wieczną niepopularność dla tego, kto za-służenie lub też przypadkowo padłby jej ofiarą.

Gdyby się był chociaż u Leandra nie za-trzymywał! Wczoraj było jeszcze przed ślubem, o każdej więc sprawie można było śmiało mó-wić — ale dziś, dziś, na godzinę przed taką uroczystością! Lecz czy Kazio Grzmotowicz mógł sobie zarzucić, że postąpił lekkomyślnie? Alboż jadąc pierwszy raz w życiu przez Kocie-jów, i do tego w dniu, gdy Leander polował z przyjaciółmi, mógł tam nie wstąpić, gdzie spodziewał się zastać także swoich, „przyjaciół“ i przyszłych klientów?

A więc cokolwiek zrobił, zrobił dobrze, te-raz należało tylko uzbroić się w cierpliwość i na wszystko przygotować. Z tem postanowieniem zajechał przed dwór w Zawadowcach.

Kazio musiał w czepku się urodzić. Mimo że we dworze było jak w ulu, chociaż co chwila ktoś nowy zajeżdżał, godzina bowiem była już dziesiąta, a w samo południe miał się odbyć ślub w domu, ponieważ panna młoda, dla bolu głowy, jak ojciec utrzymywał, nie mogła do kościoła jechać, mimo takiego chaosu, hrabia zaprosił gościa do swojej kancelarii, gdzie ni-

kogo nie było. Tu list adwokata szybko prze-czytawszy, rzekł wesoło:

— Bardzo mi przyjemnie, że kochany me-cenas o mnie pamiętał, a i panu jestem wdzię-czny, żeś się do mnie trudził, bo za jednym zachodem załatwię także mój interes. Niedawno otrzymałem urgens z banku, który mnie nie-zmiernie zirytował. Boją się, jakbym uciekał, i grożą egzekucją, jakby sobie równemu. Abym więc nie był zmuszony odczytywać więcej ich piśmideł, postarałem się o pieniądze, i za dni kilka przyszlę je na ręce pana mecenasu.

Kazio głęboko odetchnął. Największy ciężar niespodziewanie z serca mu spadał. Radość jego była tak wielka, że aby się utwierdzić, iż nie śni, zapytał:

— Więc rzeczywiście tak jest?

— Niewątpliwie. Do tygodnia odbierzecie panowie pieniądze.

Skoro tak — Kazio zaraz w duchu pomy-słał — więc o egzekucji nawet wspominać nie będę, do tygodnia bowiem łatwo wszystko się przewlecze i hrabia o niczem wiedzieć nie będzie.

Co jednak należało teraz uczynić? Zjeść śniadanie, które Tomasz właśnie wnosił, poże-gnać się i nazad odjechać. Tak postąpić radziła przyzwoitość i znajomość ludzi. Kazio wiedział to doskonale, lecz nie chciał tego uczynić. Skoro szczęśliwie aż tu się dostał, i skoro początek poszedł gładko, więc prosty rozum mówił mu,

aby położenie wyzyskał. Zresztą jakby to wyglądało, jeźliby go teraz z Zawadowiec wracającego spotkał przypadkiem na drodze którykolwiek z wczorajszych towarzyszy?

Kazio, który studjowaniu ludzi i ich stosunków, większą połowę wolnego czasu poświęcał, znał oddawna ambicję hrabiego i nieraz słyszał w kancelarji pryncypała, jak ten z niechęcią o Prezydencie się wyrażał. Jadąc tu, powiedział tedy sobie, że jeżeli hrabia przyjmie go zimno, lub nawet niegrzecznie, w takim razie, aby go zjednać sobie, zacznie łechtać jego ambicję, a potępiać Prezydenta. Teraz, chociaż przyjęcie spotkało go inne, niż przypuszczał, czyż nie mógł użyć tej samej broni, by nią hrabiego zupełnie podbić, i jeszcze większe odnieść korzyści?

Jak sobie powiedział, tak uczynił. Podczas gdy hrabia fajkę pałac, po kancelarji chodził, on zamiast zabrać się do śniadania, jał płynnie opowiadać nowinki miejskie, potem zszedłszy zrecznie na osobę Prezydenta, kilkoma pociągnięciami tak radykalnie na czarno ją pomalował, że żaden już środek nie byłby w stanie przywrócić jej dawnego koloru. Według jego głębokiego przekonania, człowiek ten nie tylko był złym administratorem kraju, urzędnikiem niesprawiedliwym, osobistością zbyt dumną i odpychającą, ale co nierównie ważniejsze, był złym Polakiem.

Hrabia słuchał z wzrastającym zajęciem,

w końcu wyjął nawet z ust fajkę, i przed gościem swoim stanąwszy, całą uwagę wyteżył, aby z słów, z których każde mile ucho mu łechtało, ani jednego nie opuścić.

— Pan dobrodzieju masz rację zupełną! — zawołał mówiącemu nagle przerywając. — To człowiek w rzeczy samej zły i niebezpieczny, my się go musimy pozbyć!

— Wielkie by to było szczęście dla kraju — Grzmotowicz zapewnił — ale ponieważ z drugiej strony nie da się także zaprzeczyć, że człowiek to bardzo wpływowy i we Wiedniu dobrze zapisany, przeto dopiero wtedy możnaby mu dać radę i zupełnie pokonać, gdyby z nim do walki wystąpili ludzie możni, a nieskazitelni, mężowie posiadający zaufanie kraju! Wszak w każdym państwie konstytucyjnem, ci tylko są na czele, za którymi stoi kraj cały, monarcha bowiem musi się z takimi liczyć, nie ulega zatem wątpliwości, że tacy prędko by go złamali. O ile ja znam położenie, panie hrabio — mówił Kazio z przejęciem i zapalem coraz większym — to w kraju naszym mamy ledwie jednego męża, który mógłby to trudne zadanie skutecznie przeprowadzić, a tym jest hr. Hieronim Czarnokoński!

Słuchającemu ani powieka nie drgnęła. Człowiek, którego z dawien dawna powiat swoim królem obwołał, i o którym z małemi wyjątkami cała szlachta powtarzała, że jest pod każdym względem wzorem godnym podziwienia

i naśladowania, nie potrzebował udawać skromnego i wtedy się rumienił, gdy mu tylko sprawiedliwość wymierzano. To też hrabia usta wydawszy, odparł:

— Czy ja sam wszystko zrobić potrafię, tego nie wiem, lecz mogę pana upewnić, że dla dobra kraju gotów jestem zawsze podjąć się nawet tej misji, która szczerze wyznaję, jest mi bardzo niemiłą. Bądź co bądź trzeba godzić na człowieka, starać się go usunąć, zgubić, a to przykre.

— Byłoby przykre, panie hrabio, gdyby się czyniło w widokach osobistych, ale dla kraju....

— Hm, tak... prawda... przez wzgląd na ojczyznę i dobro powszechne, trzeba umieć z siebie zrobić ofiarę.... Trzymając się tej zasady, postanowiłem też podjąć walkę z tym człowiekiem niebezpiecznym i może Bóg pobłogosławi moim zamiarom. Posłuchaj tylko pan dobrodziej.

Tu hrabia w słowach treściwych a jędrnych opowiedział Grzmotowiczowi jaka i w jakim celu wybiera się deputacja.

Nadmienił przytem, że on sam nie będzie prawdy w bawelnę obwijał, lecz wszystko co mu na sercu cięży, powie w oczy Prezydentowi.

Gość słuchał, usta nieco otworzywszy, a radość z oczu mu jaśniała. Wszak i to była woda na młyn jego.

— Postanowienie pana hrabiego jest nie tylko wielce patryjotyczne, lecz także nad wszelki wyraz podniosłe! — zawołał. — Jednakowoż ośmielę się tu zrobić skromną uwagę, że jeżeli z pierwszego zaraz kroku ma prawdziwa korrupsja wypłynąć, to trzeba koniecznie tak się urządzić, by już w kilka godzin po andyeneji całe miasto wiedziało, co Prezydent usłyszał.

— Możeby to i dobrze było, ale mnie jakoś nie wypada takie rzeczy rozgłaszać.

— Ja to wezmę na siebie, panie hrabio. Kiedy deputacja przyjedzie?

— Wybieramy się w przyszły wtorek.

— Nie wiem tylko czy pan Wolewicz wyzdrowieje. Wczoraj byłem u Leandra na polowaniu i ten mi mówił, że jego ojciec trochę chory.

— Jeśliby do tego czasu nie wyzdrowiał, tobyśmy musieli, ma się rozumieć, wyjazd odłożyć.

— Gdyby to nastąpiło, panie hrabio, w takim razie prosiłbym o wysłanie do mnie depeszy z oznaczeniem dnia, kiedy panowie przyjadą. Niech pana hrabiego nie dziwi, że o to proszę. Jako człowiek, który w miarę sił swoich radby także być użytecznym, pragnę starań dołożyć, by doniosły krok panów, nie przebrzmiał bez odgłosu. Ja, panie hrabio, mam stosunki z dziennikarzami, mieszczanami, z rzemieślnikami, słowem z całym światem. To może się przydać...

— Pan dobrodziej widzę nie pali... proszę cygarko — gospodarz nagle zawołał, postrzegłszy teraz dopiero, że jego gość nie pali. — To, co mi tu pan dobrodziej powiedział — ciągnął — jest w rzeczy samej ważne, ale niech pan weźmie na uwagę, że człowiek spokojny, ostentacji nie cierpię, ja chcę żyć i pracować w cichości.

Po tych słowach Grzmotowicz wystąpił z całą baterją argumentów tak silnych, przekonywujących i patriotycznych, że najbardziej nawet opornego musiałby był niemi pokonać. Mówił o potrzebie poświęcania się dla kraju; tłumaczył, że zbytnia skromność jest często szkodliwą, ludzie bowiem nią się powodujący niejednokrotnie li dlatego skutecznie nie działają, że boją się by ich świat o próżność nie posądził; zaklinał, aby hrabia szedł jak dotąd śmiało naprzód, drogą otwartą, szeroką, jawną; w końcu prosił, aby mu zaufał, jako swemu największemu wielbicielowi, który tylko dlatego chce być zawsze na jego rozkazy, że wie, iż w ten sposób zasłuży się najlepiej swojej ojczyźnie.

Hrabia słuchał, nie przerywał, wąż gładził, a gdy gość skończył, rzekł:

— Może pan dobrodziej ma i słuszość, ale w każdym razie trzeba się nad tem zastanowić... Zresztą będziemy jeszcze mieli czas o tem pomówić. Przecie pan tak prędko nie odjedzie?

— Chciałbym zaraz, panie hrabio.

— A to czemu?

— Nie śmiałbym nadużywać gościnności.

— Nadużywać gościnności? A odkąd to Polacy nauczyli się tak mówić?

— Przepraszam pana hrabiego, jeżeli się może niestosownie wyraził, sądziłem jednak, że w dniu, jak dzisiejszy, każdy obcy musiałby tu być uważany za gościa natrętnego.

— Prawda, zapomniałem, że to ślub mojej córki! — hrabia zawołał. — Takeśmy się o sprawach publicznych rozgadali, że mi to całkiem z pamięci wybiegło. Ale chociaż dziś u mnie sama tylko rodzina zgromadzona, nie zaszkodzi, jeżeli i pan zostanie. Dom mój zawsze otwarty dla ludzi mi życzliwych i prawych, a przede wszystkim dla dobrych patriotów. Proszę więc pana bardzo, byś został na ślubie mojej córki. Tomasz odprowadzi go do pokoju gościnnego, gdzie się będziesz mógł przebrać. Do widzenia, panie Kazimierzu!

Podał mu rękę, którą Grzmotowicz uściśnął z głębokim ukłonem.

I niech teraz kto powie, że Kazio w czepku się nie urodził...

IX.

Nowe postacie.

W pałacu Prezydenta jest sala wysoka, przestronna, cała bogatym kobiercem zasłana, w której prócz obrazów na ścianach, portjer przy drzwiach i firanek u okien, nie ma więcej żadnego przedmiotu. Prezydent przyjmuje tu wszystkich interesentów, sala to bowiem audjencjonalna. Tu wraz z nim każdy stać musi, gdyż choćby chciał, nie ma na czym usiąść.

Obok znajduje się znacznie mniejszy salonik, wytwornie urządzone, w którym widać meble z ciężkiego adamaszku, kosztowne zwierciadła, konsole, brzozy, rzeźby. Tu podczas posłuchania Prezydent zaprasza tylko osoby znakomite, zajmujące czy to w kraju, czy za granicą stanowisko wybitne.

Dziś sala audjencjonalna pusta i drzwi od korytarza zamknięte, właśnie bowiem wybiła czwarta z południa, a więc godzina, o której kończą się posłuchania.

Prezydent siedzi w saloniku, na fotelu, i rozmawia z jakimś księdzem, który siedzi naprzeciwko.

Głowa Prezydenta, to jakby głowa starego Rzymianina, wyniesiona z muzeum watykańskiego, w którą cudem niepojętym ktoś tchnął życie. Czaszka proporcjonalnie i silnie zbudowana, a łysa; czoło szerokie z wydatnymi guzami nad dołami ocznymi; oczy siwe, ale blasku pełne; nos orli; usta wąskie, choć przytem dosyć szerokie; broda nieco naprzód wystająca. Na całej twarzy ani znaku zarostu, tak wszystko na niej troskliwie ogolone.

Na lewe kolano zarzucił prawą nogę, i kołysze ją ruchem wahadłowym; w jednej ręce trzyma długi ołówek, którym, gdy mówi, o drugą uderza. Chociaż człowiek to sędziwy, głos jego jest donośny, dźwięczny, młody prawie; intonacja zaś bardzo stanowcza. Snać ten, co tym głosem włada, wie czego chce, i dokąd dąży.

Ksiądz, siedzący naprzeciwko, nie sięgnął jeszcze trzydziestki. Silny brunet, cerę ma ciemną, oliwkową prawie; oko duże, czarne, płomienne; twarz okrągłą i piękną, na niej uśmiech stały, a tak ujmujący, że ktokolwiek na niego spojrzy, musi dlań uczuć sympatję.

— Więc sądzisz, księże kapłanie, że dotąd nie zrobiła testamentu? — Prezydent pytał, w słuchającego badawczy wzrok wlepiając.

— O ile mnie się zdaje, nie. Jestem przecie u niej po kilka godzin dziennie, prędzej zatem, niż ktokolwiek inny, mógłbym się o tem dowiedzieć.

— I ja tak sędę.

Nastąpiła przerwa, wśród której Prezydent coraz silniej bił się ołówkiem po ręce. Nareszcie rzekł, jakby do siebie:

— Jeśliby umarła bez testamentu, cały majątek przeszedłby na własność rządu, gdyż krewnych nie ma ponoć żadnych. Czy tak?

— Jak dotąd, Ekscellencjo, z jej ust jeszcze nie słyszałem, by miała jakich krewnych.

— Taka fortuna!... I rząd ją weźmie. chociaż nie ma do niej prawa żadnego... A co mówi lekarz?

— To dziwak skończony, rubaszny a nie-przystępny... Mimo to tyle mi się z niego udało wydobyć, że według jego mniemania, pani Dobrzyńska długo już żyć nie będzie. Z dniem każdym siły widocznie ją opuszczają, i kiedyś jak kurka uśnie na uwiąd starczy.

Nowa chwila milczenia.

— Ciekawym jak przyjęła wiadomość, że z mojego mieszkania kazałem wybić drzwi do jej apartamentu, by moje córki mogły się z nią łatwiej i częściej komunikować. Bo też one ją kochają pasjami, jak rodzoną babkę — mówił dalej z naciskiem — szczególnie Żoza przepada za nią

— Przebicie ściany, Ekscellencjo — kapelan odrzekł — mimo, iż na to zwracałem jej uwagę, przyjęła dość obojętnie. Lecz czyż można się dziwić, Ekscellencjo? Osoba w jej wieku ma uczucia stepione, to też choćby nawet chcia-

ła, nie zdoła już ocenić dowodów prawdziwej przyjaźni.

Prezydent nieznacznie usta przygryzł i w lot odparł:

— Słuszna twoja uwaga księże kapelanie, lecz mimo to sędę, że jeśli kto, to właśnie duchowni powinni budzić uczucia, które z wiekiem tępieją...

— Czynię, Ekscellencjo, wszystko, co w mej mocy, i bardzo być może, że usiłowania moje będą pomyślnym skutkiem uwieńczone...

Prezydent powstał. To samo uczynił zaraz kapelan. Pierwszy zaczął przechadzać się krokiem spokojnym, choć ruchy jego były dosyć nerwowe; drugi, ręką o fotel wsparty, stał na dalsze polecenia czekając.

— Nie znasz, księże kapelanie, jakiego zdolnego literata? — Prezydent zapytał.

— Znam ich kilku, Ekscellencjo.

— Nie wątpię, lecz nie z każdego może być równy pożytek. Ja zaś potrzebuję takiego, na którego bym mógł się spuścić... Musiałby to zatem być człowiek zdolny, a przytem z charakterem, zamierzam bowiem za pośrednictwem moich przyjaciół założyć organ zachowawczy, któryby bronił mojej polityki.

Tu Prezydent urwał, lecz postrzegłszy, że kapelan ze zdziwieniem weń się wpatruje, tak dalej mówił:

— Zapewne nie możesz księże pojąć, naco mi dziennika, skoro mam władzę w rękę i je-

stem pierwszym w kraju; tymczasem konieczność takiego pisma leży jak na dłoni. Dawniej, za rządów absolutnych, wystarczała mi sama łaska monarsza. przeciwnie dziś, muszę liczyć się nawet z warchołami, ci bowiem wpływają na wybory tak do sejmu, jak do Rady państwa. Wierz mi, księże kapelanie, wysoki urzędnik w państwie konstytucyjnym to ofiara, wiecznie dręczona i wiecznie swojej pozycji niepewna, bo choćby u góry jak najlepiej był zapisany, łatwo runie, jeżeli hołota uliczna przeciw niemu się zbuntuje. Aby więc nie zależeć od kaprysu motłochu, muszę mieć organ wielki, wpływowy, któryby działał w równej mierze tak na warstwy najniższe, jak i najwyższe, w tych drugich bowiem nie mało jest takich jednostek, które wierzą, że mają tyle zdolności, wiedzy i rutyny, iż każdej chwili mogłyby mnie zastąpić. O! ta szlachta, jaka ona zarozumiała a śmieszna! Każdej powadze powiatowej zdaje się niestety, że ponieważ mamy dziś wolność, więc i jej wolno marzyć o pierwszych destojenstwach i podbiciu świata całego. Biedni ludzie! Niczego się nie nauczyli, i nic nie zapomnieli.

Prezydent mówił z żywością prawie młodzieńczą, zakończył zaś pytaniem:

— I cóż, księże kapelanie, znasz takiego literata?

— Znam, Ekscellencjo.

— Nazywa się?

— Ksawery Wikliński.

— Wikliński?... Wikliński?... Zdaje mi się, że już jego coś czytał... A, prawda, prokurator raz mi wspominał, że wszystkie artykuły, za które *Trąbę ludową* konfiskuje, są pióra Wiklińskiego. I ksiądz kapelan chcesz mnie ubrać w takiego demagoga?

— Wasza Ekscellencja raczy mnie nie posądzać o złe zamiary. Wikliński, jak w ogóle wszyscy ludzie, pióra się chwytający, nie mając ani majątku, ani stosunków, musiał na wstępie zaciągnąć się do obozu czerwonego, ale ponieważ jest to chłopiec poczciwy i z charakterem, przytem mój kolega, więc jak tylko spostrzegłem, że się znalazł na pochyłości niebezpiecznej, zacząłem nań oddziaływać, i dziś jestem go już pewny.

— Rzeczywiście? Gdzie jednak dowody?

— Na dowód niech W. Ekscellencji to posłuży, że Wikliński, jakkolwiek jeszcze nie całkiem jawnym, jest już współpracownikiem *Trąby archanielskiej*, którą przed miesiącem duchowieństwo założyło.

— Piękny ptaszek! Rano pisze więc do *Trąby ludowej*, po południu do *Archanielskiej*. Jedną ręką zapala świeczkę diabłu, drugą Bogu!

— To tylko chwilowo, Ekscellencjo. Pismo nasze zostało założone tak skromnymi funduszami, że żadną miarą nie możemy mu tyle płacić, ile by potrzebował na przyzwoite utrzymanie, Wikliński zatem musi jeszcze kokietować z dawniejszymi znajomymi, ale jeśli by tylko

znalazł stosowną posadę, ręczę, żeby się ich wszystkich zaparkł, i byłby wiernym zwolennikiem polityki W. Ekscellencji.

— Dopóki by go inny lepiej nie zapłacił! Prezydent przerwał szydersko. — Ale mniejsza o to; ludzie byli, są i zostaną ludźmi... Wikliński jest w rzeczy samej zdolny, pióro ma cięte, gdy jednak jego stosunki z czerwonymi są zanadto znane, więc dopiero w takim razie mógłbym go użyć, jeźliby wpierw ogłosił jakie dzieło przeciw domagogom, wtedy bowiem miałbym przynajmniej jaką taką rękojmię, że człowiek, co się tak zamanifestował, nie wróciłby na pierwszy alarm do dawnych nawyknień. Oto mój warunek, książę kapelanie. Jeżeli go spełni, może na mnie liczyć.

— Ręczę za niego, że spełni.

Prezydent zbliżywszy się do księdza, pochylił się nad nim i z szacunkiem w ramię go pocałował. To samo ksiądz uczynił. Był to znak dany gościowi, że wizyta skończona.

W kilka minut, kapelan opuściwszy pałac Prezydenta, wszedł w najbliższą bramę, która już do pałacu pani Dobrzyńskiej należała. Gmachy te stały tuż obok siebie, łatwo więc mógł Prezydent przez przebicie ściany razem je połączyć.

Ksiądz zabawił tam przeszło godzinę. Nareszcie wyszedł, wsiadł do dorożki, która właśnie przejeżdżała i kazał wieźć się na przeciwny koniec miasta.

Po dwudziestu minutach, dorożka zatrzymała się przed kamieniczką, niepokaźnej powierzchni. Kapelan zapłacił, wysiadł, potem powoli, ostrożnie, ścian się dotykając, ciemności bowiem panowały tu egipskie, dostał się na pierwsze piętro i do drzwi najbliższych, które namacał, lekko zapukał.

— *Herein!* — dał się z wewnątrz słyszeć głos doniosły.

W izdebce małej i zimnej, w której stało łóżko pod ścianą, stół pod oknem i coś nakształt szafy w rogu, siedział przy stole mężczyzna, w ciepłym surducie i w czapce na głowie. Na stole lampa się paliła. Przy jej słabym blasku coś pisał.

— Pochwalony Jezus Chrystus — ksiądz wchodząc pozdrowił.

— *In saecula, saeculorum* — piszący odpowiedział, głowy nie podnosząc.

— A nad czem to pan Ksawery tak pracuje, że nawet nie ma czasu przywitać się z przyjacielem?

— Niech cię kaci porwą, ty czarny kruku! odparł zapytany. — W taki mnie pasztet wpakowałeś, że jeżeli do trzech dni nie zwarjuję, to z pewnością będę żył jak Matuzalem, a może jeszcze dłużej.

— Ciekawym co ci tak bardzo dokucza? — zapytał ksiądz siadając.

— Niby to nie wiesz, Cyprjanie! Ja mam naturę szczerą, otwartą, a tu koniecznie każą

być obłudnikiem. Na jutro na przykład mam napisać dwa artykuły, jeden dla *Trąby ludowej*, drugi dla *Trąby archanielskiej* i w tym drugim muszę bronić tego, co w pierwszym potępie.

— A temat jaki?

— O cudach w Lourdes.

— Znając cię, mój Ksawery, wiem, że sobie dasz radę.

— Co mam robić, muszę. Ale z tem wszystkim szczerze ci się przyznaję, że ta dwoistość mojej osoby nie sprawia mi najmniejszej przyjemności. Wolałbym już raz być tem lub owem, byle nie podwójnym bliźniakiem w jednej osobie.

— Skoro tak, mój kochany, więc dowiedz się, że właśnie w tej samej sprawie do ciebie przyszedłem.

— Doprawdy? — literat zapytał, na gościa zdziwiony wzrok podnosząc.

Ksiądz nie zaostrażając więcej jego ciekawości, powtórzył mu w głównych zarysach całą swoją rozmowę z Prezydentem i tak zakończył:

— Teraz masz i wóz i przewóz. Albo będziesz niczem, gryzmołą, pracującym dla chleba raz tu, drugi raz tam, lub też ustatkowawszy się, wyjdiesz na człowieka. Szczęście lezie ci samo w oczy, korzystaj z niego.

— Propozycja świetna, nie ma co mówić — Ksawery odrzekł — ale jakby to wyglądało, gdybym tak z całym rynsztunkiem z szeregów opozycji przeszedł wprost do obozu rządowego.

— Mój kochany, gdyby Prezydent nie był

tak samo dobrym Polakiem jak ja, lub ty, wierz mi, sam bym ci tego nie proponował. Ale wiesz przecie, że ten człowiek myśli jak najlepiej, i chyba ta jedna między nim a tobą zachodzi różnica, że on konserwatysta, a ty niby to postępowiec.

— Jak śmiesz utrzymywać Cyprianie, że jestem „nibyto postępowcem“? Jam liberał do szpiku i kości!

— Tylko nie mów tego zbyt głośno, żebyś się na śmiech nie naraził. Jeżeli mi powiesz, żeś konserwatysta, lub socjalista, zrozumie cię i odrzeknę, żeś człowiekiem przekonań... ale liberał! Wszak to wyraz bez dźwięku, lub właściwie z dźwiękiem tak wstrętnym, że bez oburzenia nawet go usłyszeć nie można! Liberalizm i wyzysk to synonimy. Zresztą na cóż ja tak długo o tem mówię?! Czyż to ty Ksawery nie wiesz, że liberalizm, dawszy ludzkości rzecz tylko jedną, równość wobec prawa, odegrał szybko swoją rolę, i teraz zimny, sztywny, skostniały, leży jak kłoda na ziemi, tamując drogę wszelkiemu rozwojowi? I cóż, Ksawery, mam ja słusność?

— Może i masz, ale z drugiej strony, powiedz mi otwarcie, było by to ładnie, jeślibym ni ztąd ni zowąd porzucił jawnie tych, z którymi dotąd żyłem i pracowałem?

— Jeżeli chcesz, zostań z nimi, a przekonasz się w niedługim czasie, jak się skończy to małżeństwo. Chleba u nich nie znajdziesz, bo go

sami nie mają; za to znajdziesz zawiść, potwarz, które cię wielce uszczęśliwią. Wybieraj zatem jedno z dwojga: Albo stosunki z ludźmi porządnymi i przyszłość spokojną, lub też związki z hołotą i na starość szpital.

Ksawery skrzywił się i głowę na dłoni wsparłszy zaczął dumać. Przez cały ten czas kapelan Prezydenta oka z niego nie spuścił. Nareszcie jakby ze snu zbudzony zawołał:

— Masz rację, Cyprjanie! W naszym społeczeństwie, nawskróś przesiąkniętem pojęciami arystokratycznymi, nie ma jeszcze miejsca dla prawdziwych postępowców. Zresztą aby być jednym z nich, trzeba by się poświęcać, a ja, szczerze to wyznaję, na męczennika wcale nie mam kwalifikacji. Wolałbym to już zostawić tobie, jako kapłanowi... Dlatego niech czart wszystko bierze, przyjmuję twoją propozycję, i w ciągu tygodnia napiszę broszurę o „Warcholstwie i warchołach“, która w oczach konserwatystów z pewnością mnie zrehabilituje. A teraz Cyprjanie daj buzi, bo dobry chłop z ciebie, skoro o mnie pamiętasz!

Koledzy uścisnęli się serdecznie.

Zostawmy ich, niech dalej romawiają; my zaś pospieszmy tymczasem do saloniku pani Dobrzynieckiej, z kądem przed godziną wyszedł był ks. Cyprjan.

W głębokim fotelu, otulona poduszkami, spoczywa osóbką taka drobna i skulona, że gdyby nie czepek z wstążkami fioletoowymi, nie

ręce pomarszczone i nie twarz jakby ziemią posypana, każdy wziąłby ją za małe dziecko. Nawet jej głos jest piskliwy.

Po obu jej bokach siedzą dwie panienki, blade, dosyć przystojne, o wyglądanu arystokratycznym. Obie mają w staruszkę wzrok wlepiony, obie chwytają jej słowa i w lot spełniają jej rozkazy.

— Może co poprawić? — pyta jedna.

— Może co przynieść? — druga się wprasza.

— Nic, dzieci, nic, dziękuję wam — staruszka odpowiada, lecz wzrok jej osłabiony ciągle ku drzwiom wchodowym biegnie.

— Czy droga pani czego potrzebuje? — znowu jedna pyta.

— Czy może kogo zawołać? — druga podchwytuje.

— Nie, dzieci, dziękuję wam.... Dziwi mnie tylko, że doktor nie przychodzi.

Jakby w odpowiedź na te słowa, drzwi się otworzyły, i w nich stanęła poważna a surowa postać lekarza. Człowiek to już niemłody, włos jego biały jak mleko, ale mimo to chód ma pewny, ruchy dystyngowane. Podeszedł prosto do fotelu, panienkom ukłonił się grzecznie, acz bez uniżoności, staruszkę z uszanowaniem w rękę pocałował, przysunął sobie krzesło i siadł naprzeciwko.

Pani Dobrzyniecka od lat czterdziestu zasięga jego rady, a chociaż doktor Zacharjasz

ma reputację nieznosnego śledziennika, nawet gburą, ona tak jest z niego zadowolona, że przez cały ten czas nigdy nie wezwała innego lekarza.

— Dziękuję wam, dziatki, za waszą troskliwość, serdecznie wam dziękuję — przemówiła, zwracając się to do jednej to do drugiej panienki. — Teraz pozwolicie, że zostanę sama, bo chciałabym pomówić z panem konsyliarzem. Bądźcie zdrowe, moje aniołki, i kłaniajcie się papie odemnie.

Zwolna się podniosły, w rękę ją pocałowały, i na palcach, cichutko, bez szelestu, wyszły z pokoju.

Dopóki to nie nastąpiło, starszka mając głowę schyloną, ust nie otworzyła; dopiero gdy usłyszała jak drzwi się zamknęły, odetchnęła głęboko i oczy na lekarza podnosząc, szepnęła:

— Boże! jak mnie ci ludzie męczą!

— Bo źle pani dobrodziejka robi, że się daje męczyć — odparł lekarz szorstko.

— Co jednak począć, co począć... Prezydent to mój dawny i dobry znajomy... przyjaciel.

— Wszyscy oni dobrzy znajomi i przyjaciele, bo pieniądze czują, ale niech by tylko wiedzieli, że nic nie dostaną, ręczę, że żaden by się tu z nich nie pokazał. Gdyby tak na mnie przyszło, wprost bym im powiedział: Nie pochlebiajcie mi na próżno i nie udawajcie troskliwych, bo nie mam chęci was opłacać. Ręczę, że wynieśli by się do jednego, i pani dobrodziejka miała by spokój.

— Dobrze ci to mówić, konsyliarzu, boś mężczyzna energiczny, ale ja kobieta stara, schorowana!...

— Jeżeli pani dobrodziejka pozwoli, ja ją w tem chętnie zastąpię.

— Dziękuję ci, konsyliarzu, dziękuję, lecz tej ofiary nie przyjmę.. Zawsze by to było połączone z irytacją, a irytacja, jak to konsyliarzu sam mówisz, zdrowia wielce szkodzi..

— W tym wypadku nietylko by mi nie zaszkodziła, przeciwnie, posłużyłaby mi nawet do zdrowia.

— Nie, nie, ja na to nie pozwolę. Może Bóg da, że jakoś to się samo ułoży.. Niedawno był tu znowu kapelan Prezydenta. Człowiek przyjemny, wymowny i zdaje się bardzo dobry, szkoda tylko..

Urwała, jakby nie chciała dopowiedzieć.

— Zapewne usiłuje panią dobrodziejkę namówić, byś majątek Prezydentowi zapisała — lekarz dokończył.

— Daje to do zrozumienia, daje... chociaż równocześnie nie tai on także, że jeszcze bym lepiej zrobiła, jeźlibym wszystko zapisała OO. Jezuitom.

— Wcale mu się nie dziwię. O ile wiem, on sam był przez kilka lat Jezuitą, i sekularyzował się dopiero w ostatnich czasach.

— Tak jest, konsyliarzu... Na co mnie oni jednak tak męczą... Czy myślą, że o nich zapomnę? Bynajmniej, ja o każdym będę pamiętała.

Tu staruszka umilkła, i dopiero po długiej przerwie znowu zapytała:

— Jak ci się zdaje, konsyliarzu, com ja też z moim majątkiem powinna uczynić?

— Pani dobrodziejko, już mało sto razy pytałaś mnie o to, a ja jak zawsze, tak i teraz odpowiem: Nie dawaj grosza darmożłodom, pasibrzuchom; nie lej także wody do studni; nie wierz obłudnikom; nie obdarowuj obcych, bo ci nawet by pacierza na twoim grobie nie zmówili; lecz rozglądnij się, może znajdziesz jakiego biednego kuzyna, o którym zapomniałaś, a jeżeli takiego nie będzie, zapisz pani wszystko pierwszemu lepszemu biedakowi, obarczonemu liczną rodziną, byle człowiekowi uczciwemu; wreszcie, gdyby i to było trudne, utwórz stypendja, niech uboga młodzież pamięć twoją błogosławi.

— Jak widzę, konsyliarzu, z tych wszystkich, co mnie otaczają, ty jeden masz charakter i serce prawe.

— Ja tylko mówię co myślę i czuję... A teraz, jeżeli łaska, zajmijmy się zdrowiem pani dobrodziejki.

X.

Pan Oliński w mieście.

Pan Oliński do miasta przyjechawszy, udał się najpierw do kancelarji adwokata Sakowicza.

W pierwszym pokoju ujrzał samych piszących, ale z tych żaden nie raczył doń przemówić, nawet nie odpowiedział na jego pozdrowienie. Ten i ów podniósł wprawdzie głowę, wszakże jak tylko zobaczył przed sobą, nie pana co się zowie, lecz jakiegoś chudopachołka, ruralisa z brodą, w butach wysokich i w kapocie z pętlcami, czemprędzej nazad ją spuszczał, by dla takiej figury trudzić się nie potrzebował.

Nasz przyjaciel widząc, że nikt nań uwagi nie zwraca, postąpił do biurka Grzmotowicza i grzecznie zapytał:

— Zastałem pana mecenasa?

Kazio podniósł głowę, i szklą sobie na nosie poprawiając, przez zęby wycedził:

— He?... Co?...

— Pytam o pana mecenasa Sakowicza... chciałbym się z nim widzieć.

Pierwszy dependent jeszcze się z miejsca nie ruszył.

— A wolno wiedzieć, jaki pan ma interes?

— Przychodzę w sprawie pewnego kontraktu, który przed kilku laty był tu spisany.

— A nazwisko pańskie?

— Jan Oliński.

— Aha! coś sobie przypominam... To pan jesteś ponoś dzierżawcą hrabiego Czarnokońskiego, trzymasz Nowosiółki. Czy tak?

— Do usług pana dobrodzieja.

— Proszę się chwilę zatrzymać, zaraz uwiadomię pana mecenasa.

To powiedziawszy, Kazio podniósł się zwolna, i nie poprosiwszy nawet gościa by usiadł, jeszcze wolniej udał się do gabinetu swego pryncypała. Dobra chwila minęła, nim wrócił.

— Pan mecenas zaraz przyjdzie — rzekł, na dawnym miejscu siadając, poczem całą głowę w aktach utopił.

Pan Oliński stał dotąd na środku pokoju i dalej czekał cierpliwie. Nakoniec, po dobrym kwadransie, drzwi skrzypnęły, i w nich ukazała się, znana nam już postać pierwszego adwokata stolicy.

— A, pan Oliński, bardzo mi przyjemnie — rzekł sztywnie mu się kłaniając, przyczem ręce w kieszeniach trzymał — czem mu mogę służyć?

— Przyszedłem w sprawie mojej dzierża-

wy, która jest bardzo przykra, nawet wstrętą. Jeżeli pan mecenas pozwoli, zaraz ją opowiem.

— Bardzo proszę, tylko niech pan dobrodziej zechce się spieszyć, bo jestem niezmiernie zajęty. Co tylko nie widać księcia Jerzego, a po nim przyjdzie zaraz hrabia Stefan... Obowiązki adwokata są bardzo ciężkie, czas jego drogi.

— Pan mecenas może być spokojny, dołożę starań żeby być treściwym.

I jak stał, opowiedział w krótkich słowach jakie go nieszcześnie spotkało. Mecenas słuchał głowę zwiesiwszy, a gdy pan Oliński mówić przestał, wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Cóż ja tu łaskawemu panu mogę poradzić?

— Sądzę, że skoro w kontrakcie nie było punktu, broniącego moich praw na przypadek pożaru, więc pan mecenas powinien by teraz wpłynąć na hrabiego, żeby mnie nie krzywdził.

— Najpierw muszę zaprotestować przeciw końcowemu wyrażeniu pana dobrodzieja, hrabia Czarnokoński bowiem, jest obywatelem tak powszechnie znanym i dla prawości swego charakteru tak szanowanym, że go zarzut podobny nie może dosięgnąć. Żeby kogokolwiek krzywdzić zamierzał, w to nigdy nie uwierzę. Co się zaś tyczy mojej interwencji, to nawet nie rozumiem, jak pan dobrodziej mogłeś przyjść do mnie z tem żądaniem. Pan masz kontrakt i to niech mu wystarczy.

— Ale ośmielę się przypomnieć panu mecenasowi, że kiedyśmy go spisywali, powiedziałem te słowa: Ja osobnego adwokata nie biorę, gdyż spuszcza się na uczciwość pana mecenas. Proszę napisać, ja zaś w dobrej wierze wszystko podpiszę. Wtedy pan mecenas raczyłeś odpowiedzieć: „Bądź pan spokojny, w każdym wypadku znajdziesz we mnie obrońcę.” Teraz ośmielam się te słowa przypomnieć.

— Bardzo wątpię, panie dobrodziej, czym kiedy co podobnego powiedział... Ale choćby i tak było, toć przecie rzecz prosta, że mogłem mieć tylko taką obronę na myśli, któraby z kontraktu wypływała. Gdy w nim atoli wcale nie ma wyznaczonego terminu, w jakim hrabia ma budynki postawić, więc zdaje mi się, że najlepiej pan dobrodziej zrobisz, jeżeli zdasz się na jego łaskę. To obywatel tak zacny, że z pewnością wszystko uczyni, co będzie w jego mocy...

Pan Oliński chciał jeszcze coś powiedzieć, mecenas jednak spojrzawszy nagle na zegarek, zawołał:

— Już pół do piątej, a JEks. hrabia Prezydent przysłał dziś rano, bym o trzy kwadransy na piątą był koniecznie u niego. Przepraszam pana, bardzo przepraszam, ale nie mam czasu.

To powiedziawszy ukłonił się gościowi, i z żywością młodzieńczą zniknął za drzwiami swego gabinetu.

Pan Oliński wpatrywał się jakiś czas w podwoje bogato rzeźbione, które tak niegrzecznie przed nim się zamknęły, potem spojrzął po siedzących.

Wszyscy pisali, żaden na niego wzroku nie podniósł; wyglądali jak ludzie, którzy nawet nie słyszeli jego rozmowy z mecenasem.

Cóż miał począć? Powiedział: Sługa panów! i krokiem wolnym wyszedł na ulicę.

O! jak ciężko biednemu człowiekowi żyć na świecie!

Chociaż pan Oliński nie był temperamentu porywczego, i lubo w życiu nie na jedną przykrość był narażony, przecie nie pamiętał, by go kiedy co tak zabolalo, nawet oburzyło, jak to przyjęcie u adwokata. Niegrzecznym był także niegdyś dla niego hr. Czarnokoński, lecz tamten to przynajmniej pan z panów, mający wielkich przodków i świetne koligacje, ale znosić obelgi od Sakowicza, którego ojciec był ekonomem, i którego, o czym pan Oliński wiedział, wszyscy ludzie niezawisli doktorem Lokajewiczem nazywali, tego było trochę za wiele, nawet dla tak cierplivej jak jego natury. Bądź co bądź, mimo twardych życia warunków, w naszym przyjacielu tkwił zawsze szlachcic, który zeń czasami wyzierał.

Wyszedłszy na ulicę, aby się uspokoić, ruszył w głąb miasta. Przeszło godzinę błąkał się tak bez celu. Dopiero gdy odzyskał całą ducha równowagę, skierował się ku tej części

miasta, gdzie stał pałac pani Dobrzynieckiej. Ponieważ do dnia zamierzał odjechać, przeto mimo godziny spóźnionej należało ją odwiedzić.

Z początku szedł prędko; wszakże im bliżej był celu, tem krok jego robił się wolniejszym, stanął zaś gdy przed sobą zobaczył czarne mury pałacu.

Znał go oddawna, wiedział, że należy do dalekiej kuzynki nieboszczki jego matki, lecz jak dotąd, nigdy go jeszcze nie zebrała chęć przestąpienia tych progów; odkąd bowiem zerwał z możnymi tej ziemi i na wsi się zagrzebał, poczytywał się za szczęśliwego, że nie potrzebował widzieć ani ich spojrzeń podejrzliwych, ani uśmiechów pełnych politowania, ani tych ukłonów niby to grzecznych, a jednak tak zimnych, że każdy z nich może człowiekowi, czuć umięjącemu, zamrozić krew w żyłach.

Teraz miał pierwszy raz wejść do tego pałacu, a po co? Takie sobie pytanie zadawał, na ulicy stojąc, i ku swemu zdumieniu czuł, że mu się robi jakoś nie swojsko, że mu serce drga niespokojnie, że się lęka czegoś. A czego? Czyż mógłby na to odpowiedzieć! Wszak myśli, że zobaczy daleką kuzynkę nieboszczki swojej matki, nie mogła go wzruszać, osoba ta bowiem była mu zupełnie obca, nawet sobie nie przypominał, kiedy ją ostatni raz widział. Najprawdopodobniej zatem, on, wieśniak, który zapomniiał kiedy się na salonach obracał, bał się, ażali w pałacu tej możnej damy potrafi odpo-

wiednio się poruszać... Trudno jednak było dłużej wahać się i namyslać, zegar na najbliższej wieży szóstą już wydzwonił, czas więc był największy pójść i usłyszeć po co go wezwano.

Mimowoli przeżegnał się i wszedł do pałacu.

W tym samym pokoju, i w tym samym fotelu, w którym widzieliśmy pierwszy raz panią Dobrzyniecką, siedzi ona i teraz, patrząc na karty, które przed nią, na małym stoliku, panna służąca układa. Pani Dobrzyniecka lubi kabałę, to też ilekroć nie ma u niej gości, każe ją kłaść swojej Zuzi, osobie w tej sztuce wielce biegłej, i z niemałym zaciekawieniem słucha, co ją jeszcze na tej ziemi spotka.

Wszedł służący, i krokiem lekkim, ledwie się posadzki dotykając, zbliżył się do swojej pani.

— Przyszedł pan Jan Oliński — rzekł cicho — i pyta, czy może widzieć się z jaśnie panią.

Staruszka żywo głowę podniosła.

— Przyszedł? Dobrze, niech wejdzie... Wprowadź go Franciszku.

Nie długo trwało, a ukazał się nasz przyjaciel, trochę blady i zakłopotany. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, stanął, nie wiedząc co z sobą począć.

— Panie Oliński, proszę pana tu bliżej, do mnie — dał się słyszeć głos z głębi fotelu.

To go ośmieliło. Zebrał tedy odwagę i

zbliżywszy się do staruszki, ucałował ją w rękę, mówiąc:

— Jestem na rozkazy pani hrabiny.

— Bardzo mi miło, żeś pan usłuchał mego zaproszenia. Proszę, usiądź pan tu, koło mnie, bym ci się mogła dobrze przypatrzeć, bo jam już stara, wzrok mam osłabiony. Zuziu — dodała do służącej — idź, i uważaj, żeby mi kto nie przeszkodził.

— A gdyby panny hrabianki przyszły? — Zuzia zapytała.

— Powiedz, że ich przyjąć nie mogę, bo chcę być sama, lub że jest doktor... zresztą mów co chcesz. Proszę pana, usiądź.

Nasz przyjaciel uczynił zadość wezwaniu i czekał co nastąpi.

Pani Dobrzyniecka przysłoniła sobie oczy dłonią, aby gościowi swemu lepiej się przypatrzeć. Trwało to kilka minut. Nareszcie zaczęła mówić, jakby do siebie:

— Rzeczywiście jej oczy i czoło... bardzo podobny... tylko starszy, niż ona wtedy była... To pan jesteś synem Salusi Barzyckiej, która wyszła za pana Zygmunta Olińskiego? — głośniejszej dodała.

— Do usług pani hrabiny.

— Piękna to była osoba, bardzo piękna... szkoda, że tak wczesnie umiała. A czy panu wiadomo, że Salusia była moją stryjeczną kuzynką i że w latach panieńskich bardzośmy się kochały?

— Nieboszczka matka nieraz mi o tem wspominała, pani hrabino.

— Skoro tak, więc nie pięknieś pan sobie postępował, żeś się do mnie nigdy nie zgłosił. Nawet teraz nie byłabym wiedziała, że pan żyjesz, gdyby nie przypadek. Oto gdy kilka dni temu, panna moja czytała mi gazetę, dowiedziałam się ze spisu pożarów, żeś pan pogorzał. Czy tak?

— Tak jest, pani hrabino.

— Więc pan masz wioskę?

— Nie, pani hrabino. Ja jestem dzierżawcą w Nowosiólkach, które są własnością hr. Hieronima Czarnokońskiego.

— Więc pan jesteś tylko dzierżawcą... u hr. Czarnokońskiego... znam go, znam. To ojciec panu nie nie zostawił?

— Prawie nic. Przewrót, jaki nastąpił w stosunkach gospodarskich po zniesieniu pańszczyzny, zniszczył go do szczytu.

— Prawda... prawda... biedny mąż Salusi wszystko wtedy stracił. A panu jak się też powodzi?

— Pracuje się pani hrabino, i jakoś się tam żyje. W każdym razie na biedę nie mogę się skarżyć.

— Kiedy tak, to pięknie. Pan żonaty?

— Byłem żonaty — odrzekł z westchnieniem — lecz żona moja już nie żyje.

— Umarła... biedaczka! A dzieci panu zostawiła?

— Dwoje. Syna i córkę.

— Słuszne?

— Chłopiec już pełnoletni, córka skończyła piętnaście.

— I kontent pan z nich?

— Bardzo, pani hrabino. Choćbym największą miał zgryzotę, jak tylko spojrzę na które z nich, zaraz mi lżej i weselej, bez nich życie nie miałoby dla mnie żadnej wartości.

— To pięknie, że pan tak dzieci kochasz... A chłopiec do czego się też aplikuje?

— Będzie gospodarzem, bo do roli ma szczególne zamiłowanie. Niedawno skończył szkołę rolniczą, teraz jest w Nowosiólkach i prawdopodobnie stale przy mnie zostanie, bom już stary. Co mam, to dla niego i dla Maryni. Może się ożeni i na ludzi wykieruje.

Gdy pan Oliński mówić przestał, staruszka schyliła głowę i w milczeniu jakiś czas przesiedziała. Potem oczu na swego gościa nie podnosząc, zapytała:

— A nie ma też pan jakiego interesu, jakiej potrzeby? Wszak jestem zawsze jego kuzynką, choć trochę daleką, przytem bezdzietną...

Nasz przyjaciel chciał na to w pierwszej chwili odpowiedzieć, że właśnie szuka dzierżawy, którą hrabina mogłaby mu łatwo dać w swoich dobrach. Wszelako gdy pomyślał, że pani Dobrzyniecka gotowaby to może wziąć za wpraszenie się w jej łaskę, postanowił o nic nie prosić.

— Ja, pani hrabino, umiem na małym po-przestawać i tego samego uczyć moje dzieci — rzekł spokojnie. — Prośby też nie mamy żadnej, krom tej, by czcigodna nasza kuzynka, która raczyła sobie biedaków przypomnieć, zachowała nas nadal w swojej pamięci. Oto wszystko, pani hrabino, czego sobie życzę, proszę zaś o to szczerze, nie obłudnie, bo ja nie polityk, udawać nie umiem i co mam w sercu to i na języku.

Staruszka głowę podniosła, i w mówiącego wpatrywała się uważnie, przenikliwie prawie, jakby chciała zajrzeć na dno jego duszy. Co myślała, niepodobieństwem było dociec, na jej twarzy bowiem, wysuszonej, pomiętej, już oddawna nie odbijały się żadne uczucia.

— Skoro mi pan żądań nie stawiasz — rzekła, gdy gość mówić przestał — więc chyba ja będę miała prośbę do pana. Oto spodziewam się, że odtąd za każdą bytnością w mieście zechcesz mnie pan odwiedzić, i że kiedyś, gdy ci okoliczności pozwolą, przedstawisz mi swoje dzieci. Ja cię bardzo o to proszę, mój kuzynie!

To powiedziawszy wyciągnęła ku gościowi swoją rękę drżącą i zimną, którą tenże ucałował.

Na tem skończyła się wizyta pana Olińskiego u hrabiny Dobrzynieckiej.

XI.

Nerwowa.

Władysław Oliński i Włodzimierz Szerbanowski, bardzo się kochali, i gdyby nie owe spory narodowościowe, których małą próbkę mieliśmy niedawno, nie byłoby między nimi nigdy najmniejszego nieporozumienia. Marynia, jak tylko kiedy usłyszała, że walka się zaostrza, spieszyła natychmiast ze swoją interwencją, ilekroć zaś ta nie pomogła, bo i to się zdarzało, sprowadzała ojca, który swoją powagą rozbrajał zawsze zwaśnionych.

Gdy ojciec do miasta wyjeżdżał, ona ręce przed nim złożywszy, prosiła:

— Ojczulko kilka dni w domu nie będzie, a oni w tym czasie gotowi się tu pozabijać. Aż mnie strach zbiera, gdy pomyślę, że sama z nimi zostanę... Ja sobie nie dam tu rady... Niech drogi ojczulek weźmie od nich słowo, że nie będą dysputowali ani o Rusinach ani o Polakach.

— Alboż my to dzieci, byśmy takie słowo dawali?! — Władysław zawołał.

— Ja bronie zawsze tylko słuszności — Włodzimierz odparł — a tom do końca życia czynić powinien.

— A ja może nie jestem za słusznością? — pierwszy zapytał.

— Nie zawsze, tyś stronniczy! — drugi odpowiedział.

— To raczej ty stronniczy, bo utrzymujesz, że Polacy Rusinów uciskają!

— Przepraszam, to ty stronniczy, bo mówisz że ich nie uciskają.

Marynia stojąc na środku pokoju, załamała ręce rozpaczliwie.

— Ojczulku! Słyszysz ojczulek, oni znowu zaczynają!...

Pan Oliński uśmiechnął się, widząc przestrach na twarzy córki, i zwróciwszy się do młodych ludzi tak przemówił:

— Marynia ma rację, że się waszych dysput boi, i dlatego jeżeli mi nie dacie na to słowa i ręki, że podczas mojej nieobecności o polityce mówić nie będziecie, ja, mimo iż mam pilne interesa w mieście, będę musiał w domu zostać.

— Alboż my to panie dobrodzieju nie wiemy, cośmy damom winni? — Włodzimierz zapytał.

— Tak jest, myśmy dla nich zawsze grzeczni — Władysław potwierdził.

— Wcale wam tego nie odmawiam — pan Oliński odpowiedział — ale ponieważ nawet

w pacierzu powtarzamy: „nie wódz nas na pokuszenie“ więc okazuje się z tego, że pokusa musi być silniejsza niż nasza wola. Abyście więc tem odważniej mogli jej czoło stawić, dacie mi słowo, o które was proszę.

Młodzi ludzie milczeli. Marynia spojrzała najpierw na brata, potem na gościa i zbliżywszy się do tego drugiego, wzięła go za rękę, mówiąc:

— Panie Włodzimierzu, chodźże prędzej i daj rękę tatkowi. Władzia już o to nie proszę, bo to uparciuch.

— Uparciuch? A przecie tylko o Rusinach mówią, że są uparci... Jeżeli więc kto, to ja powinienbym na tę nazwę zasługiwać.

— Pan chcesz być upartym... doprawdy?

Ton jej głosu był niezwykle, a nieuchwytny, przytem głęboki, jakby na dnie jego zlewały się razem zdziwienie z wyrzutem; w jej spojrzeniu zaś, gdy nań teraz patrzyła, tyle było niemej prośby, że Włodzimierz, wobec tego dziewczęcia bezsilnym się czując, dał jej się całkiem powodować, i zbliżywszy się do pana Olińskiego, rzekł rękę mu podając:

— Daję słowo.

Władysław rad nie rad musiał pójść za jego przykładem.

— Jak to ślicznie! Jak ja was za to kocham! — krzyknęło dziewczę w ręce klaszcząc.

Mężczyźni uśmiechnęli się równocześnie, choć każdy inaczej. W uśmiechu ojca była mi-

łość; brata politowanie; gościa jakby zadowolenie. Marynia ze zdziwieniem spojrzała na każdego z osobna, zarumieniła się jak wisznia i w pilnym interesie do kuchni wybiegła.

Pan Oliński wyjechał do miasta; młodzi sami zostali. I nie mogli powiedzieć, by im źle było. Od dni kilku nastało powietrze suche, pogodne, rankami mroźne, wychodzili więc razem na przechadzkę, mężczyźni codziennie wybiegali ze strzelbami to do lasu, to w pole; wieczorem bądź co czytali, bądź Marynia do fortepianu usiadłszy, nuciła jaką piosenkę. Fortepian był wprowadzie stary i rozstrojony, Władysław żartobliwie o nim utrzymywał, że sprawił go jeszcze Adam w raj, gdy starał się o rękę Ewy; śpiew Maryni nie był także uczony, a mimo to całość składała się jakoś harmonijnie, i Włodzimierz słuchał jej zawsze z nateżoną uwagą. Jeżeli kto, to on był nadzwyczaj muzyczny, i sam grywał na skrzypcach, z którymi nigdy się nie rozstawał. Jak tylko Marynia wstawiała od fortepianu, on zaraz brał skrzypce, i z pamięci, w nuty nie patrząc, wygrywał dumki żałośnie, piosenki rzewne, romanse tęskne. W każdym tonie były łzy, jak pełną łez była od wieków ta ziemia, na której urodził się biedny Rusin.

Drugiego dnia po wyjeździe gospodarza, młode nasze towarzystwo szło drogą prowadzącą do Zawadowiec. Rozmowa toczyła się ochoczo, Marynia była wesoła jak zwykle, i

śmiała się swobodnie. Byli już dosyć daleko od domu, gdy Władysław sobie przypomniał, że nie wziął strzelby, bez której w tej porze roku nie lubił w pole wychodzić. Wrócił więc po nią, zostawiając siostrę samą z przyjacielem.

— Czy poczekamy tu na niego? — Włodzimierz zapytał.

— Alboż nie ma nóg dobrych? Niech nas dopędza!

To rzekłszy, puściła się przez wieś krokiem przyspieszonym, i zatrzymała się dopiero na pagórku, z kąd odślaniał się piękny widok, z jednej strony na Zawadowce, z drugiej na Nowosiółki.

— Nieprawdaż, panie Włodzimierzu, że nasza ziemia śliczna! — zawołała z zapałem, puszczając wzrok ku górom, które na tle nieba szafirowego, rysowały się wyraźnie, w konturach nieregularnych, potarganych, a jednak pięknych.

— Prześliczna, panno Marjo, i trzeba by być wyrzutkiem społeczeństwa, żeby jej nie kochać.

— Prawda, prawda — szepnęła, jakby do siebie, w jeden punkt zapatrzona, a po krótkiej pauzie jeszcze ciszej dodała: — Ja trzeba kochać nawet z jej błędami i z jej niedolą, bo ona nasza.

— O! jak pani jesteś dobra! — zawołał Włodzimierz pełen uniesienia, za rękę ją chwy-

tając. — Są ludzie, którym się zdaje, że gdzie słońce cieplejsze a ziemia bujniejsza, tam przyjemniej i szczęśliwiej żyć można, ja atoli nie podzielam ich zapatrywań. Ja wolę tę rolę niezbyt bogatą, te lasy szumiące, te chaty dymne i ten lud ubogi, niż wszystkie piękności obce i cudzej ziemi bogactwa.

— I jam tego zdania, panie Włodzimierzu — dziewczę potwierdziło, mając ciągle w jeden punkt oczy utkwione. Tak była zamyślona, że ręki nie cofnęła, którą młody człowiek silnie w swojej dłoni trzymał. — Ja ją kocham nad wszystko — dodała —

Bo bez niej życie nie miałoby treści,
I duch zbłąkany tęskniłby w przestworzu —
Albo jak żeglarz rozbity na morzu
Płynąłby z falą, i zginął bez wieści...
Bo bez ojczyzny...

Urwała, i duże, a wyraziste oczy ku Włodzimierzowi zwracając:

— Co ja plotę? — zapytała ze zdziwieniem.

— Mów pani, mów! — prosił usilnie.

— Ach! pan gotów jeszcze śmiać się ze mnie! — zawołała. — Ja tak lubię poezję i tyłem się już wierszy naczytała, że nieraz, mimo iż o tem nie myślę, same zaczynają mi się składać rymy częstochowskie. Lecz pan mnie za to nie wyśmiesz, prawda?

— O! panno Marjo! — zawołał, jej rękę

do ust swych podnosząc, i choć o tem nie myślał, gorąco ją pocałował.

Ona ani się zarumieniała, ani ręki nie cofnęła. Przeciwnie, jej usta uśmiechały się tak swobodnie a szczerze, że ktokolwiek by ich teraz zobaczył, wziąłby ją prędzej za siostrę tego młodzieńca, niż za osobę całkiem obcą, która tu przypadkiem z nim się znalazła.

Może byliby jeszcze dłużej rozmawiali o swojej ziemi i swojej dla niej miłości, gdyby nie tentent, który dał się słyszeć od strony Zawadowiec. Spojrzeli.

Na dzielnych dwóch koniach jechały dwie osoby. Na przedzie amazonka w czarnym stroju i w wysokim kapeluszu z welonem, za nią groom po angielsku ogolony, w liberji nowej a wytwornej.

— Kto to być może? — Marynia ciekawie zapytała.

— To hrabina Albińska! — Włodzimierz odpowiedział.

— Pan ją zna?

— Osobiście nie, tylko z widzenia. Kilka razy spotykałem ją koło Przygody.

— Bywa u pani Emerencji?

— Ponoś bywa, lecz odkąd ja tam jestem, jeszcze nie była.

Aby tę odpowiedź zrozumieć, musimy w tem miejscu nadmienić, że Włodzimierz Szczerbanowski, nie mogąc dla braku funduszków ukończyć uniwersytetu, musiał przed dwoma miesią-

cami puścić się na gorzki chleb nauczyciela domowego. Pierwsze jego miejsce było w Przygodzie, leżącej w pobliżu Nowosiółek, której właścicielką była pani Emerencja, wdowa, mająca pełnego nadziei jedynaka, Dziunia. Włodzimierz kierował więc edukacją tego młodzieńca.

Podczas gdy nasi znajomi tak rozmawiali, amazonka zbliżyła się do nich na kroków kilkadziesiąt, i nagle konia ściągawszy, kłus jego wyciągnięty zmieniła w trucht łagodny.

Chociaż nie była to osoba pierwszej już młodości, mimo to uderzała niezwykle wyglądem. Francuz by może o niej powiedział, że była *une belle laide*, żaden bowiem rys jej twarzy nie miał linii regularnych a tem mniej klasycznych. Przeciwnie, wszystko w niej było pogmatwane, począwszy od noska ciekawie do góry zadartego, a skończywszy na ustach pełnych i wydatnych. A mimo to całość była dziwnie ujmująca, powiemy więcej, pociągająca, tak że na nią patrząc, o jej latach całkiem się zapomniało.

Włodzimierz przypatrywał jej się znieziemną ciekawością, a gdy do nich się zbliżyła, sięgnął ręką do kapelusza, by nie zawinąć przeciw zwyczajom na wsi przyjętym. Ściągnęła swego anglika i z jego wysokości spojrzała na nieznajomego.

Nie musiał na niej niemiłego zrobić wrażenia, skoro odpowiedziała mu lekkim głowy skinieniem, przyczem uśmiechnęła się niezna-

cznie. Zaledwie jednak od młodzieńca powiodła wzrokiem do jego towarzyszk, uśmiech zaraz zniknął, usta dumnie się wyduły, w oku promień gniewu zamigotał, uderzyła konia szpicrutem i jak strzała naprzód pomknęła.

Nasi znajomi wzrokiem ją odprowadzili.

— Śliczna kobieta! — wołał Władysław z daleka, właśnie bowiem ze strzelbą wracał.

— Byłaby piękniejsza, gdyby nie to jej dumne wejście, — Włodzimierz odpowiedział — i gdyby miała choć o tuzin lat mniej.

— Ależ to osoba młoda, dość na nią spojrzeć, by się o tem dowiedzieć!

— Nie tak bardzo... wszak ma syna mało co od nas młodszego.

— Co to szkodzi, mój Włodku! W każdym razie przyznasz, że ma szyk co się zowie, a to najważniejsze. Co mi po najmłodszej i najprzystojniejszej, jeżeli nie umie ust otworzyć, i wygląda jak lalka, lub jak ciele. Że zaś ta nie jest lalką, o tem wie świat cały, bo już nie jednego młodego człowieka zgubiła.

— Zgubiła? A jak to się stało Władziu? — Marynia zapytała.

— Jak zgubiła?... Tak, jak zwykła mężczyzn gubić kobieta prawdziwie niebezpieczna. Jeden rozpił się, drugi w łeb sobie strzelił, trzeci dostał suchot i umarł.

— Boże! ależ to okropne! I dla czego oni tak źle skończyli, dla czego?!

— Dla tego, że się w niej kochali.

— Jak to, w niej? A przecie to kobieta zameżna.

— Ach! moja Maryniu, nie ciągnij mnie za język, bo ci nic więcej nie powiem — odrzekł brat opryskliwie i zwrócił się do Włodzimierza by go o coś zapytać.

Marynia spojrzała na brata, lecz już w tym przedmiocie ust więcej nie otworzyła.

Tego samego dnia nad wieczorem, przyjaciele strzelali kuropatwy daleko pod lasem, Marynia zaś przy oknie siedząc, po raz setny odczytywała „Marję“ Malczewskiego.

Nagle na podwórzu coś zaturkotało. Wyjrzała oknem.

Przed gankiem zatrzymał się prześliczny faetonik jesionowy, szklący jak złoto. W nim siedziała dama zawelonowana. Obok faetonu siedział na kucu młodzieniec szczególnie ubrany. Miał na sobie kurtkę aksamitną, drogiem futrem podbitą, na głowie czapeczkę także aksamitną, kształtu podłużnego, ze szkockiem w tyle wstążkami, na nogach aksamitne pantaloney po kolana tylko, niżej czerwone pończochy wełniane i trzewiki ze sprzączkami srebrnymi.

Podczas gdy Marynia głowę sobie nad tem łamała, coby to były za osoby i po co tu przyjechały, młodzieniaszek z kuca zsiadłszy, oddał go lokajowi, który z kozła zeskoczył, sam zaś chciał podejść do parobka, nieopodal drzewo rąbiącego.

— Dziuniu, *cher enfant*, uważaj, żeby cię tu jaki pies nie ukąsił — przemówiła dama z faetona nad ustami woalkę podnosząc.

Na jej szczęście wyszła dziewczynka z kuchni.

— Moja panienko, czy tu mieszka pan Oliński? — zwrócił się do niej z grzecznem zapytaniem aksamitny kawaler.

— A gdzieby indziej — dziewczyna odrzekła.

Po tej odpowiedzi dama wysiadła z faetonu, i wsparłszy się na ramieniu swego Dziunia, weszła przez ganek do domu.

Marynia, która dotąd namyślała się, czy wyjść naprzeciw, czy zostać w pokoju, zobaczyła nagle przed sobą wyniosłą postać damy nieznajomej.

— *Ah! comme il fait ici chaud!* — rzekła dama zaraz we drzwiach, i w tejże chwili z jej ramion spadł na ziemię płaszcz ciepły a kosztowny, którym była otulona.

— *Chère maman, tu te sent mal?* — zapytał niespokojnie kawaler aksamitny.

— Nie... nie... tylko tu zanadto gorąco, *et cela me donne sur les nerfs!*

W pokoju było w rzeczy samej dobrze na palone, pan Oliński bowiem od lat kilkunastu na reumatyzm cierpiąc, potrzebował ciepłego mieszkania.

Marynia stała ciągle na dawnem miejscu, i mimo że całą swoją inteligencję na pomoc we-

zwała, nie mogła sobie zdać sprawy z położenia, w jakim się znalazła.

Dama tymczasem, upadłszy na kanapę, która na szczęście była od niej ledwie o dwa kroki, podniosła woalkę aż na czoło, i do Maryni się zwracając, przemówiła głosem tak sentymentalnym i pieszczotliwym, że ludzi do niego nieprzyzwyczajonych można by nim łaskotać.

— Więc to jest mieszkanie pana Olińskiego, moja piękna panienko?

— Tak jest, pani. Tu mieszka mój ojciec.

— Twój ojciec, mój aniołku? *Une belle chaumière* — dodała, przykładając lornetkę do oczu, aby się wszystkiemu lepiej przypatrzeć. — Przepraszam cię, moje dziecko, żeśmy tu nieproszeni przyjechali, lecz musiałam to uczynić dla mojego Dziunia, *oui, pour mon cher bijou. N'est ce pas mon enfant?*

— *Oui maman* — Dziunio potwierdził.

Podczas gdy dama mówiła, a syn jej odpowiadał, Marynia otrząsnąwszy się z pierwszego zakłopotania, zaczęła im się spokojnie i uważnie przypatrywać.

Ona miała rysy regularne, nos grecki, oczy ciemne, przysłonięte rzęsą długą i wiecznie zmrużoną, cerę bladą, a jak śnieg białą, usta rumiane, profil podłużny. Zmarszczka nie było widać na jej twarzy ani jednego, ale chociaż cera była gładka i połyskująca, jakby emaliowana, mimo to nie czuło się w niej prawdy i życia. Wyglądała raczej jak owe lalki woskowe na wy-

stawach fryzjerskich, które mimo iż są piękne, odtrącają od siebie, bo są sztuczne.

On, gdy tak stał koło matki w tym stroju aksamitnym i pończoszkach czerwonych, na pierwsze wejrzenie wyglądał na bardzo jeszcze młodego chłopczyka. Tak go też i Marynia na wstępie osądziła. Wszakże przypatrzwszy mu się bliżej, musiała nabrać przekonania, że jak młodość u matki, tak i wiek dziecięcy u niego był sztucznie podtrzymywany. Wzrostu bynajmniej nie był małego, oczy miał już dosyć znużone, skóra zaś na górnej wardze tak jakoś wyglądała, jakby ją kilka razy w tygodniu męczyła brzytwa nielitościwa.

— Pan Szczerbanowski wybrał się do państwa tylko na tydzień — piękna dama dalej mówiła — a dziś już dzień dziewiąty. Niestety, mój Dziunio tak doń przylgnął, że godziny bez niego żyć nie może. *N'est-ce pas mon bijou?*

— *Oui maman.*

— A więc to pani Emerencja ze swoim synem! — Marynia pomyślała.

— Dziś już od rana wybierał się do państwa, bał się bowiem, czy pan Włodzimierz, broń Boże! nie zachorował, o! mój Dziunio ma serce złote, zupełnie wdał się we mnie... chciał więc jechać, lecz czyż mogłam puścić takie dziecko samo jedno? A gdyby się czego przestraszył, po drogach włóczę się złe psy, dziady, Bóg wie kto jeszcze, całe życie wyrzucała bym to sobie. Tak więc z miłości dla dziecka,

wybrałam się aż tu, do państwa, chociaż droga okropna, zwłaszcza pod lasem. Ah! jakie tam wyboje... Gdyśmy tamtędy przejeżdżali, wszystkie moje nerwy drgały. *N'est-ce pas cher enfant?*

— *Oui maman.*

— Pan Włodzimierz bardzo będzie żałował, że nie miał przyjemności widzieć pani dobrodziejki — Marynia nareszcie przemówiła.

— Jakto, czyż by go tu nie było?

— Jest jeszcze u nas, tatko bowiem odjeżdżając do miasta, usilnie go prosił, by został aż do jego powrotu, lecz przed godziną wyszedł z moim bratem na polowanie i prawdopodobnie nie prędko wróci.

— W takim razie poczekamy — dama odpowiedziała, układając się wygodnie na sofie. Potem skierowawszy wzrok na książkę, którą Marynia przed jej wyjazdem czytała, rzekła:

— Pani, jak widzę, w tem ustroniu samotnem zajmujesz się lekturą?

— Tak, pani... jest to najprzyjemniejsza moja rozrywka.

— A wolno wiedzieć, co pani czyta?

— Rozmaite rzeczy. To, na przykład, jest „Marja“ Malczewskiego, ale mam także wszystkie dzieła Mickiewicza i Słowackiego, z powieści zaś kilkanaście utworów Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Kraszewskiego...

— Wszystko to, moje dziecko są rzeczy bardzo pospolite, *oui, ce sont des choses très vul-*

gaires. Prawdziwej poezji trzeba szukać gdzie indziej, pod niebem włoskiem, gdzie pomarańcza dojrzewa, gdzie cyprys smutny marzy, a laur ogrody zdobi. O! tak, czytaj moje dziecie Petrarke, a on ci powie, jak się kochać powinno. Nasi poeci, to ludzie rubaszni, prostacy. A umiesz ty moje dziecko po włosku?

— Nie — krótko odpowiedziała. Słowa właśnie słyszane tak ją podrażniły, że potrzebowała wyteńczyć całą siłę woli, by nie wybuchnąć.

— A po francuzku czytasz? — dama znowu pytała.

— Słabo.

— To ćwicz się moje dziecko, ćwicz w tej mowie, gdyż boski ten język ma dzieła, któreś powinna umieć na pamięć. Czem bo nasza cała poezja w obec jednego *Jocelyna*, czem nasze powieści wobec takiego *Solitaire*, lub *Indi any*? *C'est quelque chose de sublime!* Tam każde słowo do duszy przemawia, tam każda karta łączy z oczu wyciska, tam myśl każda w niebo cię unosi! Ach! gdybym nie była tak nerwowa, to z temi dziełami nie rozstawiała bym się ani na chwilę, lecz niestety, moje biedne nerwy cierpią zanadto, to też z poświęcenia dla nich bardzo rzadko mogę sobie pozwalać tych rozkoszy. A ty, mój aniołku, nie jesteś nerwowa?

— Nie, pani.

— Szczęśliwaś moje dziecko, szczęśliwa...

Chociaż z drugiej strony muszę się także nad tobą litować, ponieważ choćbyś nawet pragnęła, nie zdołała byś nigdy odczuć w swojej duszy prawdziwej poezji! Idealną kobietą, moje dziecie, może być tylko kobieta nerwowa...

— Ja, pani dobrodziejko, nie mam czasu być idealną i marzyć, gdyż muszę doglądać krów, drobiu, wieprzków...

— *Ah! comme c'est vulgaire!* — zawołała pani Emerencja, woniejącą chusteczkę do nosa przykładając. — Sama nazwa tych stworzeń nerwy mi porusza... Jakże cię, moje dziecie, żałuję, że musisz żyć w takim otoczeniu.

— A ja przeciwnie, czuję się w niem bardzo szczęśliwą.

— Boś do tego przywykła, mój aniołku... ale niech byś raz zaczęła żyć życiem innem, podniosłem, idealnem, przekonałabyś się wtedy, jaki wstręt okropny budziłaby w tobie ta nieznośna życia proza. Zaiste, tyś moje dziecko do lepszego życia stworzona. Przyjedź kiedyś do mnie, z papą lub z braciszkiem, poznamy się bliżej, zrozumiemy i pokochamy... Ja umysł twój młody rozwinę, ja twojej duszy skrzydła przypnę... Wprawdzie nie wiem, czy cię będę rewizytowała, bo moje biedne nerwy tak rzadko pozwalają mi z domu wyjeżdżać, lecz nie przypuszczam, byś tem mogła czuć się obrażoną. Wszystkie moje przyjaciółki znają mnie już z tego. Niedawno temu, gdy będąc w mieście, chciałam odwiedzić księżnę Sydonię, ta, przez

okno mnie zobaczywszy, natychmiast na dół zbiegła, objęła mnie za szyję i zawołała: „Moja droga! nie trudź się aż do mnie, na górę, bo ja wiem jak moje nerwy cierpią... Ilekróć zechcesz, daj mi tylko znać, a ja sama zaraz przyjdę do ciebie.“ To były słowa księżnej Sydonii, a czy wiesz, moje dziecko, czemu tak mówiła?

— Nie wiem, pani.

— Dlatego, że to osoba dobrze wychowana, *par ce qu'elle est bien élevée*.

— *Maman* — przemówił nareszcie Dziunio — na dworze zaczyna się ściemniać.

— Prawda, *mon cher bijou*, lecz pana Włodzimierza jeszcze nie ma.

— Ale jak się dostaniemy do domu? Pod lasem droga zła... nerwy mamy będą rozstrojone.

— O! mój Dziuniu, jaki ty uważający *Vraiment, tu est mon trésor!* Widzi pani, jakiego ja mam syna — dodała, na Marynię patrząc — na krok mnie nie odstępuję, o mnie tylko myśli... Szczęśliwą będzie kiedyś kobieta, która go za męża dostanie. Serce złote, pełne uczuć szlachetnych i podniosłych, zupełnie jak moje... O! mój Dziuniu, jaka szkoda, żeś jeszcze takim dzieckiem małym, gdybyś tak był choć trochę starszy, zawiozła bym cię do stolicy i pokazała światu, aby wszyscy zobaczyli, jakiego mam syna. Chodź tu do mnie, *cher bijou*, chodź!

To powiedziawszy, do serca go przycisnęła. Potem z kanapy się podnosząc, rzekła:

— Jak widzę, nie doczekam się pana Włodzimierza, ja zaś jechać muszę, gdyż lękam się złej drogi. Pani jednak raczy mu łaskawie powiedzieć, że jutro będziemy go niecierpliwie wyglądali, Dziunio bowiem z tęsknoty za nim umiera. *Adieu, ma belle jardinière* — dodała, Marynię za szyję obejmując — i pozwól się ucałować. Mam nadzieję, że mnie z papą kiedyś odwiedzisz, wtedy skończymy rozmowę dziś przerwana.

Pocałowała ją w czoło, Marynia dygnęła, jak umiała najpiękniej, Dziunio skłonił się posuwiście, a po chwili jesionowy faetonik ruszył z przed ganku, obok niego zaś aksamitny kawaler, mając nogi na ziemi prawie, pokłusował na kucyku.

Marynia, patrząc na nich przez okno, w duchu myślała:

— Byłaż to rzeczywistość, czy marzenie senne?

XII.

Energiczna.

Po powrocie pana Olińskiego, Włodzimierz zaraz się pożegnał i do Przygody odjechał. W chwili rozstania, wszystkim było przykro; nawet Marynia kilkakrotnie go zapytywała:

— A rychło pan nas znowu odwiedzi?

— Jak tylko czas mi pozwoli — odrzekł i zaraz dodał: — A może przedtem pani przyjedzie do nas z tatkiem, bo przecie pani Emerencja zaprosiła ją do siebie.

— O! jeźlibyś pan na to czekał, to byśmy się chyba nigdy już nie widzieli! Pani Emerencja to dama wielkiego świata, idealna, nerwowa, której taka, jak ja, wieśniaczka, nawet zrozumieć nie może. A więc zamiast na nas tam czekać, lepiej pan wybierz się tu do nas, a wszyscy radzi ci będziemy.

Pożegnali się raz jeszcze na ganku i rozłączyli.

W kilka dni później, Włodzimierz i Dziwnio, po rannej lekcji, która na żądanie o zdrowie jedynaka troskliwej mamy, zwykle krótko

trwała, wyjechali wierzchem na spacer. Nauczyciel siedział na pięknym kasztanie, elew na swoim kucu.

Ponieważ dzień był pogodny i droga sucha, więc ani postrzegli, kiedy się znaleźli w Studniewiczach, majątności hr. Albina Albińskiego.

Gdy koło pałacu przejeżdżali, Włodzimierz, uderzony niezwykłym widowiskiem, pierwszy konia zatrzymał.

Przed pałacem był duży gazon, na którym wprawna ręka ogrodnika pozasadzała w różnych odstępach liczne róż krzaki. Chociaż róż były już na zimę w słomę pootulane, dotąd przy każdej tkwił jeszcze smukły palik, zakończony u góry kulą szklaną, a jak srebro świecąca. Każda kula była innego koloru.

Na ostatnim stopniu schodów kamiennych, prowadzących z pałacu do ogrodu, stała hrabina w kapeluszu strzeleckim. W ustach miała papieros, w prawym ręku trzymała pistolet. Za nią, obok stolika, na którym leżały przybory do nabijania broni, stał groom nieruchomy jak posąg; na stopniu zaś najwyższym, zajął miejsce syn hrabiny, dobrze nam już znany Gucio.

— W którą kulę? — zapytała matka po francuzku, ku niemu się zwracając.

— W tę zieloną, na końcu — odpowiedział.

Zmierzyła się i ze strzałem zielona kula rozprysnęła się w tysiączne kawałki.

— Strzał niezrównany! — syn zawołał.

Oddała służącemu pistolet wystrzelony, a wzięwszy od niego drugi, świeżo nabity, znowu zapytała:

— A teraz w którą?

— W ową niebieską, na lewo.

Padł drugi strzał i druga kula zniknęła ze szczytu palika.

— Jabym się z nią nie chciał pojedyńkować — szepnął Dziunio do swego mentora.

Włodzimierz uśmiechnął się tylko, lecz nie odpowiedział. On wpatrywał się w hrabinę tak uporczywie, że ani na chwilę oka od niej nie oderwał. Pierwszy to raz w swoim życiu spotkał kobietę palącą papierosy, i w strzelaniu z pistoletu mogącą iść o lepsze z wszystkimi Nemrodami, więc też dziwić się nie można, jeżeli oryginalne to zjawisko miało dlań siłę prawie odurzającą. Podczas gdy tak stał i jej ruchy śledził, hrabina zwróciwszy się nagle jakby ku niemu, podniosła pistolet do oka i dała ognia. W tej samej chwili spadł ze sztachet śliczny kogut, który tam wzleciał, nie przeczuwając niebezpieczeństwa.

Kogut upadł, ale i nasz przyjaciel o mało nie poszedł za jego przykładem. Kasztanek, na którym siedział, przestraszony nietyle może strzałem, wprost ku niemu skierowanym, co trzepotaniem się ptaka konającego, skoczył w bok gwałtownie, a że jeździec nie był na to przygotowany, więc o mało nie nastąpiła katastrofa, która dla młodego człowieka mogła się

skończyć tragicznie, miejsce bowiem, gdzie się znajdowali, było całe wyłożone ostrymi kamieniami.

Dziunio krzyknął z przestachu, lecz zamiast mentorowi z pomocą pospieszyć, sam swojego kuca oburącz chwycił za szyję. Hrabina głos jego usłyszawszy, i widząc jakiegoś jeźdźca, szamocącego się przy bramie, ciekawością zdjęta do niej się zbliżyła. Walka trwała dosyć długo, szala przeważała się to na tę, to na ową stronę, położenie Włodzimierza było ciągle krytyczne, koń bowiem poczuwszy na sobie niezbyt wprawnego jeźdźcę, dawał ciągle szczipaki, chcąc go koniecznie z siebie zrzucić. Hrabina paląc cygaro, przypatrywała się tej scenie obojętnie, jak obojętnie patrzy widz w cyrku, gdy płatni jeźdźcy popisują się przed nim swoją zręcznością.

Nareszcie Włodzimierz konia opanował, który zmęczony, spocony, stał teraz spokojnie, robiąc bokami.

— Brawo! brawo! — zawołała hrabina, i zwracając się do Dziunia dodała po francuzku: Nie spodziewałam się, moje dziecko, że to ty jesteś. Ten pan zapewne twój nauczyciel?

— *Oui madame.*

— Guciu, poproś tych panów do siebie na śniadanie — rzekła hrabina, do pałacu odchodząc.

Gucio, lubo dość niechętnie, spełnił rozkaz matki, poczem wszyscy trzej udali się do jego pokoju.

Włodzimierz, do Przygody wróciwszy, ani słowem nie wspomniał o bytności w Studniewiczach. Chciał nawet prosić Dziunia, by to samo uczynił, lecz gdy pomyślał, jak by to było brzydko, jeźliby swego elewa uczył prawdę tać, zaniechał tego zamiaru, zdając się na los szczęścia. Myślał, że może Dziunio będzie tak samo, jak on ostrożny, tymczasem zupełnie na nim się zawiodł.

Pani Emerencja jeszcze na dobre ust nie otworzyła, by zapytać gdzie się tak długo bawili, a jedynak zaraz wyrecytował wszystko jak pacierz od początku do końca.

Czoło matki bardzo się zasepiło, lecz nie powiedziała. Dopiero gdy z mentorem znalazła się sam na sam, przemówiła słodkim swoim głosem, mrużąc oczy sentymentalnie:

— Panie Włodzimierzu, jeżeli nam dobrze życzysz, daj mi słowo, że do Studniewicz więcej z Dziuniem nie pojedziesz.

— Czy to konieczne?

— Niezbędne, mój przyjacielu... Hrabina to kobieta niebezpieczna, straszna, a Dziunio taki młody!... Zresztą nie sądz pan, bym się i o ciebie nie bała... Serce ludzi młodych a niezsutych, łatwo lgnie ku wszystkiemu co niezwykłe, a hrabina jest w rzeczy samej osobą niezwykłą... O! strzeż się, panie Włodzimierzu, kobiet zimnych, prozaicznych, co to konno jeżdżą i cygara palą, bo te nie mają serca. Ale ponieważ już natura tak nas stworzyła, że

trudno nam żyć samotnie, bez duszy co by nas rozumiała, bez serca coby w takt odpowiadało uderzeniom naszego serca, przeto gdy w piersi twojej obudzi się pełniejszego życia pragnienie, rozglądnij się w koło, a może znajdziesz istotę idealną, co cię zrozumie i uszczęśliwi... W każdym atoli razie zaklinam cię, mój przyjacielu, strzeż się tej awanturnicy, ona bowiem każdego młodzieńca gotowa by zaprowadzić na manowce.

To powiedziawszy, obdarzyła naszego przyjaciela spojrzeniem tak zamglonem, tkliwem i głębokiem zarazem, że aż zakłopotany oczy na ziemię spuścił...

Aby pani Emerencji przykrości nie sprawiać, Włodzimierz nigdy odtąd nie wyjeżdżał z Dziuniem ku Studniewiczom; nawet w ogóle bardzo rzadko brał go z sobą na konną przejażdżkę. Za to sam całemi godzinami uganiał gdzieś po polach, i nieraz dawno już było po obiedzie, który w Przygodzie dość wczesnie jadano, nim się w domu pokazał. Na troskliwe zapytania pani Emerencji, gdzie był, zawsze jedno odpowiadał:

— Taką dziś szaloną miałem migrenę, że potrzebowałem się przejechać.

Że prawdę mówił, w to każdy, coby go teraz widział, musiałby uwierzyć. W ostatnich dniach wychudł, przybladł, zmizerniał. Widocznie migrena często mu dokuczała. Pani Emerencja kazała mu na drugie śniadanie smażyć angielskie bifsteeki i gotować jaja na miękko; Włodzimierz

wprawdzie jadł, nawet z apetytem, lecz zdrowia w dawnej pełni jakoś nie odzyskiwał.

Na drodze między Przygodą a Studniewicami znajdował się las długi i gęsty, w którym na niewielkiej polance stała chata gajowego. Gajowym był człowiek bezzenny i niemłody, a taki w swoim zawodzie rozmiłowany, że ledwie na noc do domu przychodził, cały zaś dzień spędzał ze strzelbą w kniei.

Pewnego popołudnia hrabina znalazła się na tej drodze sama jedna, bez grooma. Koń szedł wolno, cugle spadały mu na szyję. Już spory kawał drogi lasem ujechała, gdy w tem słyszy za sobą najpierw konia galopującego, potem wołanie:

— *Comtesse! Chère comtesse!*

Drgnęła, i konia ściągnawszy, w miejscu nawróciła. O kroków kilkadziesiąt przed sobą zobaczyła Leandra Wolewicza, na tak samo wysokim i chudym, jak on, angliku.

— Co za cudowne spotkanie, *chère comtesse!* — zawołał, rękę jej podając — chociaż gdyby nie moje oko sportsmeńskie, niestety, byłoby mnie ominęło szczęście widzenia tu pani... Wracając od Alfonsa, obrałem umyślnie drogę poprzeczną, przez las, gdyż chciałem zobaczyć, jaki tu drzewostan. Właśnie dojeżdżałem do tej oto drogi, gdy przedemną coś mignęło. Pomyślałem zaraz, to niewątpliwie nasza cudowna amazonka, i jak teraz widzę, wcalem się nie omylił.

— A dokąd pan zmierza? — sucho go zapytała.

— Dokąd nasza królowa rozkaże.

Pani Zefiryna nieznacznie usta przygryzła, potem na zegarek spojrzawszy, rzekła:

— Mam pilny interes do gajowego, który ztąd niedaleko mieszka. Biedakowi żona zachorowała i dwoje dzieci... Jeżeli mi pan chcesz towarzyszyć, w takim razie będziesz łaskaw potrzymać mi konia przed chatą, a potem na herbatę do siebie go proszę.

— *O! chère comtesse!* pani jesteś godną najwyższego uwielbienia! — zawołał Leander z uniesieniem.

— Jedźmy.

Uderzyła konia szpicrutem, i pierwsza pomknęła, kawaler w jej tropy.

Po kilku minutach zatrzymali się przed chatą gajowego.

Hrabina puściwszy w koło wzrok badawczy, lekko z konia zeskoczyła, i cugle swemu towarzyszowi rzucając, rzekła z przymileniem:

— Mam nadzieję, że mój rycerz cierpliwie tu na mnie poczeka, i nikomu do chaty wejść nie pozwoli, bo nie chciałabym, by mnie tu ktośkolwiek widział.

— *O! pani!* życzenie twoje jest dla mnie rozkazem! — zawołał przyszyły dziedzic Kocijowa z przyległościami.

Hrabina wbiegła szybko do chaty i drzwi za sobą zatrzasnęła; Leander został na drodze,

siedząc ciągle na swoim koniu, a drugiego luzem trzymając.

Z początku rola rycerza spełniającego rozkazy swej damy, wielce mu się podobała; lecz gdy wiatr robił się coraz bardziej mroźny, a hrabina nie wychodziła, zaczął tęskne spojrzenia ku chacie wysyłać. Wszelako i to nie pomogło. Wtedy aby czas zabić, jął liczyć drzewa najwyższe, co przy drodze rosły, a gdy i to ukończył, znowu spojrzał na mieszkanie gajowego. W okienkach nie było widać żywej duszy, wewnątrz panowała cisza uroczysta, jak w grobowcu. Tylko z małej stajenki za chatą, od której brama była zamknięta, dolatywało niekiedy rzenie konia, któremu na drodze oba angliki głośno odpowiadały.

— Ciekawym na co konia gajowemu? — Leander pomyślał, i aby ogrzać się trochę, puścił się kawałek dobrym kłusem. Powtarzało się to dotąd, póki nie wyszła piękna hrabina.

Zjawiała się nareszcie, mając twarz woalką zasłoniętą. Wzięła cugle, wskoczyła na siodło, i pół ciałem do rycerza swego się zwracając, rzekła:

— Przepraszam pana, żem mu tak długo kazała czekać na siebie, ale biedna kobieta taka chora, że nie wiem czy do rana doczeka. Musiałam ją nakłaniać do zażycia lekarstwa, to prostactwo tak nie chce się ratować, trzeba ją było także uspokajać, pocieszać... Ale teraz,

kiedys mi pan pomógł spełnić czyn miłosierdzia, pojedziemy jak wicher.

Omoknęła pełnemi ustami i nad głową konia nieco się pochyliła. Rumak zrozumiawszy, co to znaczyło, puścił się pełnym galopem.

Leander pędził tuż za nią, nie widząc nic, krom jej przed sobą. W miejscu atoli, gdzie droga tworzyła znaczne kolano, mimowoli się obrócił. I wtedy mu się zdawało, że od chaty gajowego, ktoś także konno wyjechał, ale powcwałował w przeciwnym kierunku.

To spostrzeżenie wielce mu się nie podobało. To też chociaż wstąpił do Studniewic, i był na herbacie, nie miał jakoś humoru, i prędzej, niż to zwykł był czynić, do domu odjechał.

Za to nazajutrz do dnia, wysłał swojego pachciarza na zwiady do chaty gajowego, a gdy żyd przyniósł mu wiadomość, że gajowemu nikt chorować nie może, ponieważ jest sam jak palec, i że konia w życiu swoim nigdy nie posiadał — uderzył się gniewnie w czoło i zawołał:

— Mnie się odrazu zdawało, że to koń rasowy, prosty bowiem nie byłby tak rzał pysznie! Więc ona miała *rendez-vous*, a jam ich strzegł! *Sacré-bleu!*

Ponieważ samo to przypuszczenie wielką mu boleść sprawiało, więc w nadziei, że się może błędem okaże, wybrał się zaraz nazajutrz do fatalnego lasu. Tym razem jednak ko-

nia zostawił w głębi kniei, sam zaś zajął w krzakach, w pobliżu chaty gajowego, stanowisko obserwacyjne, z kąta mógł wszystko zobaczyć, sam nie będąc widzianym.

Przez trzy dni z rzędu tu przyjeżdżał, a czwartego rano powiedział sobie, że najświeższą tajemnicę hrabiny zbadał należycie.

Wątpimy, czy pani Zefiryna, byłaby się bardzo zmartwiła, usłyszawszy, że młody pan Wolewicz szpiegował ją tak wytrwale. Ją samą znudziły już te samotne wycieczki, skutkiem czego postanowiła zrobić to jawnem, co dotąd było skrytem.

Pewnego popołudnia, z chaty gajowego nie wyszła już sama, lecz w towarzystwie Włodzimierza Szczербановskiego. Młody człowiek otworzył stajenkę i z niej wyprowadził dwa wierzchowce. Dosiedli koni.

— A więc jutro nieodwołalnie! — rzekła, na pożegnanie rękę mu podając.

— Dobrze... chociaż może byłoby lepiej, gdybym się jeszcze jakiś czas zatrzymał — odpowiedział nie bez zakłopotania.

— Nie pozwalam więcej na żadną zwłokę! — odparła energicznie.

— A jeżeli ludzie zaczną to sobie źle tłumaczyć?

— Cha! cha! cha! to mi niewiniątko!... Ja się nie boję, a on ma skrupuły. Lecz dosyć już tego mój kawalerze. Albo jutro, albo się więcej nie zobaczymy!

To powiedziawszy, rzuciła mu jedno z tych spojrzeń, któremi wszystkich mężczyzn podbiła, spięła konia i z oczu mu znikła.

Podczas gdy Włodzimierz, z głową zwieszoną, krok za krokiem wraca do Przygody, hrabina przed pałacem stanawszy, oddaje konia służącemu, poczem wybiega szybko po schodach kamiennych i mówi do kamerdynera:

— Poproś zaraz do mnie pana hrabiego.

Kamerdynier udał się na drugie piętro, gdzie mieszkał mąż pani Zefiryny; ona odeszła do swego buduaru, i tu usiadłszy, w amazonce, w kapeluszu i ze szpicrutem w ręku, czekała na przybycie męża.

W kilka minut drzwi się otworzyły, i w nich ukazał się kamerdynier poważnie anon-sując:

— Pan hrabia.

Wszedł lekko, na palcach, w czarnym turkurku, etykietałnie zapiętym, mężczyzna czterdziestokilkoletni, brunet, okrągły, tłuściutki, bez wąsów, a tylko z bokobrodami, uśmiechnięty i pełen troskliwej grzeczności. Stanawszy przed żoną, pocałował ją w rękę i zapytał po francuzku:

— Pani życzyłaś sobie ze mną mówić?

— Usiądź mój hrabio — odrzekła, szpicrutem na najbliższy fotel wskazując — mam pilny interes familijny.

— Bardzo mi przyjemnie... słucham.

— Nie uważasz, hrabio, że wykształcenie naszego Gucia jest dosyć zaniedbane?

— Niestety, uważam to oddawna. Nie źle strzela, dobrze konno jeździ i znakomicie gra „djabełka“, ale wątpię, czy co więcej umie. Uważałem nawet, że gdym mu odczytywał najpiękniejszą moją komedię, „Corinnę“, ziewał... Ależ to okropne! Przecie jeśli czego, to najmniej słuchania łatwo mógł się nauczyć.

Po ustach hrabiny przemknął uśmiech ironiczny.

— Kto jednak temu winien hrabio? — odrzekła. — Przecie nie powiesz, że ja. Syn do ojca należy.

— Reklamowałem go też kilkakrotnie, hrabino, jednakże wtedy zawsze słyszałem, że dziecko do matki należy. Był więc dzieckiem, dopóki nie został... jakby to powiedzieć?... Aha! dopóki nie został pod względem wykształcenia słabo rozwiniętym młodzieńcem.

— Mów pan co chcesz, a ja ci powtarzam, że nikt nie winien, tylko ty, hrabio. Gdzie kto słyszał, żeby chłopiec, mający niespełna lat dwadzieścia jeden, żenił się, i potem syna wychowywał! Zresztą pan miałeś swoje stosunki, towarzystwa...

— I pracowałem wiele w literaturze — przerwał.

— Zwłaszcza w kulinarnej — hrabina dokończyła.

— *Ah, comme vous êtes malicieuse!* — mąż

zaprotestował. — Wszak dotąd napisałem sześć komedji i jedną epopeję...

— Które własnym kosztem wydałeś, i których nikt nie kupuje.

— Teraz zaś przygotowuję wielkie studjum krytyczne o naszych poetach — hrabia spokojnie dokończył.

— Dajmy jednak temu wszystkiemu pokój, pani Zefiryna żywo zawołała — bo to do rzeczy wcale nie należy. Skoro hrabio sam przyznajesz, że nasz Guccio pod względem wykształcenia jest zaniedbany, więc o ile to się jeszcze da, musimy starać się złe naprawić. Dziś od młodych ludzi świat tyle wymaga! Syn księcia Ludwika został doktorem filozofii, a hrabiego Kaliksta doktorem praw.

— Niestety! świat wymaga, wymaga...

— Ponieważ wiem hrabio, że ty, literaturą zajęty, nie masz czasu synem się zajmować, więc jam cię w tem postanowiła zastąpić. Przyjęłam już nawet mentora, człowieka bardzo przyzwoitego, który tu jutro przyjedzie.

— Mentora? A czegoż on go będzie uczył? Wszak Guccio kończy już rok dwudziesty...

— To do mnie nie należy, to rzecz nauczyciela — hrabina odrzuciła, niespokojnie szpicrutem o swój bucik uderzając.

— A ten mentor, czy to człowiek starszy?

— W każdym razie starszy od Gucia, o cztery lub pięć lat.

— A! tak...

— Sądzę hrabio, że jeśli od jakiego mentora, to właśnie od takiego, który będzie z nim postępował po koleżeńsku, syn nasz może się jeszcze czegoś nauczyć.

— Zapewne... zapewne, będą doskonale grali „djabełka“ i studjowali żywe żniwiarki— rzekł hrabia jak do siebie i zaraz głośno dodał: — A jak się nazywa ten pan mentor?

— Włodzimierz Szczerbanowski.

— To coś pospolitego.

— Przeciwnie, hrabio, człowiek to bardzo dystyngowany.

— Nie wątpię.... A gdzie był dotąd, jeśli wolno wiedzieć?

— U pani Emerencji.

— U tej?... O! to w dobrej był szkole, musi już mieć rutynę...

— Ponieważ nie zwykłam nic robić bez twojej wiedzy, hrabio, przeto kazałam cię tu prosić, aby Cię uwiadomić o mojem postanowieniu. Równocześnie chciała bym także twoje zdanie usłyszeć. Zgadzasz się z tem hrabio?

— Alboż mógłbym się nie zgodzić...! Wszak to majątek twój, hrabino, a ja tu jestem tylko na chlebie łaskawym.

Hrabia mówiąc to, miał oczy spuszczone. Żona drgnęła, szpicrut coraz prędzej o bućki uderzał, w jej spojrzeniu, gdy męża mierzyła, była pogarda. Chwilę z sobą się pasowała, potem przybierając nagle ton czuły szepnęła:

— Nie mów tak, mężu, bo mi to wielką,

wielką przykrość sprawia! Ty sądzisz, że egoistka, a ja li o tobie myślę... Właśnie chciałam ci zaproponować, byś w tych dniach dał objad dla swoich przyjaciół, bo generał Heinrich przysłał nam z Czech dwanaście bażantów, hrabia zaś Conrad z Paryża całą skrzynię najpyszniejszych konserwów i łakoci... Zabawisz się więc mój mężu, a potem trocha zagracie. Jeżeli zechcesz, zaraz dziś wypłacę ci pensję za trzy miesiące, po świętach zaś pojedziemy do miasta na cały karnawał. I ty możesz mówić mężu, że o tobie nie myślę?

Hrabia słuchał, na wspomnienie objadu obliżał się z apetytem, zmrużył oczy i odrzekł:

— *Comtesse! vous êtes irresistible!...* Co chcesz zrobić, tylko uważaj moje dziecko, żeby świat nie potrzebował zajmować się twoją osobą.

— Jam wyższa po nad sądy motłochu! — odrzekła dumnie się prostując. — Zgadzasz się więc hrabio?

— Najzupełniej... A kiedy damy ten objad, hrabino?

— Kiedy sam zechcesz. To zupełnie od twojej woli zależy.

— A więc dobrze, pomyślę o tem... Bądź tak dobra hrabino, i przyslij mi zaraz pieniądze, bo w rzeczy samej bardzo ich potrzebuję.

Powstał, w rękę ją pocałował, skłonił się głęboko i wyszedł.

Ona wysłała za nim szyderskie spojrzenie...

— *Quel gourmet!* -- szepnęła. — Co chcesz, zrobisz z nim, byleś mu dał dobry obiad... A jaka przytem zniewieściaość, prawie kobiecość! I jam miała kochać tego człowieka!

XIII.

Gwiazdy wykolejone.

W pałacu studniewieckim, jest obok apartamentu Gucia pokój niewielki wprawdzie, za to wytwornie umeblowany, którego okna wychodzą na dziedziniec.

Po nim przechadza się dobry nasz znajomy, Włodzimierz Szczurbanowski. Dziś właśnie tydzień mija jak tu przyjechał, i nie może powiedzieć, by mu źle było. Gospodyni domu otacza go troskliwością prawie macierzyńską, i na równi ze swoim Guciem uważa; hrabia jest może trochę zimny, lecz przytem bardzo grzeczny; służba słucha każdego jego skinienia, jeden Gucio nie był z początku zadowolony z przybyśsza, wszakże powoli i on się włożył, mentor bowiem ma tę nieporównaną metodę, że nie każe mu się uczyć z książek, tylko wśród swobodnej konwersacji stara się w jego umysł różne rzeczy wpoić.

Staął przed oknem, i na dziedziniec patrząc, sam do siebie uśmiechnął się z zadowoleniem. Jakże nie miał być wesół, skoro przypominał sobie ową chwilę, kiedy to piękna hra-

bina strzelała z pistoletu do kul i kogutów. Od tego dnia pamiętnego z jakąż szybkością następowały wrażenia po sobie — i ile w tym czasie przeżył!

Podobała mu się jak zjawisko czarodziejskie, jak doskonałość, o której wolno tylko śnić i marzyć. Biedny chłopiec nie miał też z początku żadnych innych pragnień, krom, by ją mógł czasami widywać i podziwiać. W tym też zamiarze wyjeżdżał często ku Studniewicom, a jeżeli dalszy bieg wypadków inaczej się ułożył, niż przypuszczał, jeżeli przeznaczenie, którego nie miał uniknąć, wplotło go w swoje koło zwyciężkie, to czyż za to mógł się na swój słodki los skarżyć?

I tak przy oknie stojąc, przypominał sobie, jak dnia pewnego spotkał ją samą. Ukłonił się, odkloniła się uprzejmie... Gdy obok niej przejeżdżał, postrzegł, że chusteczka, którą w rękę trzymała, na ziemię jej upadła. Mógłże nie stanąć i nie podnieść? Jakkolwiek urodził się w domku księdza ruskiego i na wielkim świecie dotąd się nie poruszał, przecie sam już dobry smak, z którym się urodził, mówił mu, że dla dam trzeba być grzecznym.

Staął tedy i chusteczkę podniósł, a że ona z tego skorzystawszy, dłuższą rozmowę nawiązała, i że z tej rozmowy, jak z chustki kuglarza, wysnuł się cały szereg niespodzianek, to czyż on był temu winien? Czyż każdy na jego miejscu nie byłby tak samo postąpił? Czyż

jest na świecie człowiek młody, pełen sił, zdrowia i wyobraźni, łaknącej pożywienia, któryby mógł być obojętnym na uśmiech tak pięknej kobiety i na uprzejmość tak wielkiej damy?

O! jeżeli co Włodzimierzowi najbardziej pochlebiało, to właśnie okoliczność, że on, człowiek biedny i bez nazwiska, zjednał sobie względy damy wielkoświatowej, przed którą wszyscy lwy stolicy pokłony wybijali, że mieszkał w pałacu i licznej służbie rozkazywał.

Zaiste, Włodzimierz był dumny, jak dotąd jeszcze nigdy.

Przypomniawszy sobie Przygodę, panią Emerencję, Dziunia i skrzywił się niesmacznie. Cokolwiekby to, forma, w jakiej rozstał się z poprzednim elewem, bynajmniej nie zasługiwała na uznanie, i bardzo była podobna do prostej ucieczki po spełnieniu czynu karygodnego.

Wróciwszy z owej przejażdżki, kiedy to od hrabiny otrzymał był rozkaz kategoryczny, żeby nazajutrz stawił się w jej domu, spakował swoje rzeczy w największej cichości, i do dnia chłopca nająwszy, wyniósł się z Przygody. Snać musiał rozumieć, że źle postępował, skoro nie usiłował nawet usprawiedliwić swojego kroku, i ani słowa po sobie nie zostawił. Ale z drugiej strony, czy pani Emerencja i Dziunio, mogli go tak bardzo obchodzić? W ich domu życie było ciasne, ograniczone — teraz zupełnie inne widnokreśli przed nim się roztaczały.

Gdy tak w pamięci niedaleką przeszłość

roztrząsał, stanął przed nim cichy domek w Nowosiólkach, pan Oliński i Władysław i Marynia... Co to jednak znaczy, że twarz mu nagle szkarłatem spłonęła? On sam bał się o powód zapytać, bo raz to uczyniwszy, byłby od własnego sumienia usłyszał, że jeśli kogo, to tych ludzi musiałby się wstydzić, gdyby teraz przed nim stanęli...

Z przykrego zamyślenia zbudził go trzask z bata i turkot powozu zajeżdżającego. Spojrzał i cofnął się z przestachem. Przed schodami zatrzymał się dobrze mu znany faeton pani Emerencji.

Najpierw zatoczył się jak pijany, potem stanął, pomyślał, chwycił czapkę, i jak był w lekkim surducie, pobocznymi schodami zbiegł do ogrodu. Tu nie obrócił się nawet, tylko czapkę głęboko na czoło i uszy nacisnąwszy, puścił się w głąb alei lipowej.

Pani Emerencja, ona to bowiem była we własnej osobie, tym razem nawet bez jedynaka, weszła po schodach krokiem wolnym i chwiejnym, a ujrawszy w przedpokoju kamerdynera, poleciła mu z westchnieniem, by ją natychmiast hrabinie zaanonsował. Służący odszedł, ona zaś udała się do pobocznego saloniku, który przytykał do apartamentu gospodyni domu.

Wkrótce zjawiała się hrabina. Weszła prędko, i wyglądała jakby trochę zmieszana.

— Dzień dobry ci, Emerencjo! Jak to pięknie, żeś mnie odwiedziła... już tak dawno temu

jakośmy się ostatni raz widziały — przemówiła z roztargnieniem, rękę do przyjaciółki wyciągając.

Ta jednak ręki nie uściśnęła, tylko siedząc na otomance, wpatrywała się w nią okiem powłóczysem a żałośnem, przyczem lekko głową potrząsała.

— Co to ma znaczyć? Nie poznajesz mnie, Emerencjo? — zapytała pani Zefiryna dumnie, zatrzymując się tuż przed siedzącą.

— Pytasz, jakbyś nie wiedziała, Zefiryno, co mi jest, dlaczego moje serce boleje...

— Ależ upewniam cię, Emerencjo, że się nawet nie domyślam.

— O! Zefiryno, i ty to mówisz ze spokojnem sumieniem? Myślałam, że mam w tobie przyjaciółkę szczerą, wierną, przecie znamy się od tak dawna, byliśmy razem u *Sacré-coeur*, tymczasem dziś, niestety, przekonywa mnie zimna rzeczywistość, że chociaż ja byłam ci zawsze całą duszą oddana, ty, Zefiryno, nie byłaś nigdy moją przyjaciółką.

— Rzeczywiście? To arcyzabawne! — hrabina odrzekła. — Radabym jednak dowiedzieć się nareszcie, do czego ten sentymentalny wstęp zmierza, a ponieważ nie umiem zagadek rozwiązywać, więc proszę się jaśniej tłómaczyć.

Pani Emerencja zamiast na to odpowiedzieć, wyjęła niewielki świstek papieru, który miała ukryty za rękawiczką na dłoni i podając go hrabinie, rzekła patetycznie:

— Czytaj kobieto, i niech wstydem czoło ci się zarumieni!

Pani Zefiryna gniewnie brwi ściągnęła. Zdawało się, że wybuchnie, wszakże ciekawość wzięła górę nad dumą obrażoną. Pochwyciwszy szybko podany sobie papier, zaczęła czytać.

„Jako wierna przyjaciółka, muszy pani donieść, że pan Szczurbanowski jest już guwernyrem u hrabiny w Studniewiczach, która go sama zbałamuciła, bo sy przedtym z nim widywała w chaci gajowego w lesi.“

— I cóż ty na to? — pani Emerencja zapytała.

— Na to mogę tylko tyle odpowiedzieć, że tego anonimu nie pisała kobieta, bo jest zanadto krótki i treściwy, kobiety lubią pisać długo i szeroko, przytem pełno u nich wykrzykników i achów, a tu ani śladu tego. Ten anonim zatem jest dziełem mężczyzny, nie kobiety, a że co słowo to błąd ortograficzny, więc także nie trudno mi się domysleć, jak się nazywa niktacz, który jest jego autorem.

— Któż taki, kto? — zapytała pani Emerencja ciekawie.

— Pozwolisz, że to zostanie moją tajemnicą.

— Niech i tak będzie, chociaż wyznam ci szczerze, że to dość niegrzecznie wiedzieć coś takiego, a przyjaciółce nie powiedzieć.

Hrabina niecierpliwie ramionami wzruszyła, lecz nic nie odrzekła.

— Cóż ty teraz na to, Zefiryno? — pani Emerencja po chwili zapytała.

— Na co?

— Na to, co ten anonim pisze?

— A dajże mi święty pokój, ciekawam co mnie mogą obchodzić jakieś tam niedorzeczności i plotki bezimienne.

— Niedorzeczności? Plotki?... A wszak prawdą jest, że Włodzio... chciałam powiedzieć pan Szczurbanowski, jest teraz tu guwernerem?

— Nie przeczę temu. Jest, i dobrze mu się powodzi.

— O! nie wątpię... Więc jest tu, już od tygodnia, a jam się dopiero dziś o tem dowiedziała! Biedni, myśleliśmy, że Bóg wie co się z nim stało, że go wilki pożarły, a on tymczasem odjechał uwiedziony...

— Cha! cha! cha! pierwszy raz słyszę, żeby można uwieść mężczyznę, zwłaszcza pełnoletniego — hrabina odpowiedziała, głośnym śmiechem parskając.

— Odjechał z Przygody, i odjechał potajemnie, a teraz mój biedny Dziunio, który go kochał jak przyjaciela, jak brata, jak ojca, został bez opiekuna, bez guwenera...

— Ach! Dziunio jest już w tym wieku, że stokroć prędzej przydałaby mu się guwernantka...

— Kobieto *sans foi ni loi!* — pani Emerencja krzyknęła. — W twoich oczach, jak widzę, nie ma nic świętego, skoro śmiesz nawet targać

się na cnotę takiego dziecka! Gdybyś mówiła o swoim Guciu, to co innego, ten sławny lampart, lecz o moim Dziuniu!

— Nareszcie radabym się dowiedzieć, czego właściwie chcesz odemnie? — zapytała hrabina tym razem bardzo już wyniośle.

— Chcę, byś mi zwróciła tego, bez którego mój syn żyć nie może.

— Doprawdy? A może nie tyle syn, ile jego mama....

— Skoro tak mówisz Zefiryno, więc ci powiem wszystko, co myślę. Nietylko dlatego tu przyjechałam, że p. Szczerbanowski zgodził się na cały rok i że mój syn niezmiernie go pokochał, ale może jeszcze więcej przez wzgląd na jego osobę.... To człowiek młody, niedoświadczony, ufający, jeżeli więc z rąk ci go nie wyrwę, ty go zgubisz!..

— Weźmiesz go zaś tylko po to w swoje ręce, byś go tem pewniej sama mogła zgubić! — hrabina szydersko odrzuciła.

— Kobiety, jak ja, idealne, mężczyźni gubią! To tylko materialistki zatracają ich ciało i duszę.

— Kobiety, jak ja, praktyczne, wiedzą, kiedy się zatrzymać, gdy przeciwnie sentymentalne lafiryndy, kłamiące tak samo uczucie, jak jest skłamaną ich piękność i młodość, oplatają młodego człowieka jak pajak muchę, i krew zeń wyssawszy, duszą go w swoich uściskach!

— Pani! to potwarz!

— To, z czem pani tu przyjechałaś, jest nikczemne!

— Ach!

Z tym okrzykiem pani Emerencja padła na otomanę. Była blada, oczy miała zamknięte, usta jednak ciągle różowe; w ręce kurczowo na piersiach zaciśniętej, trzymała chustkę batystową.

Hrabina pobiegłszy szybko do swego buduaru, przyniosła spory flakon wody kolońskiej, którą wylała na twarz omdlonej.

— Boże! ona mnie witryolem oblała! — krzyknęła pani Emerencja, zrywając się na równe nogi.

Ruch jej był tak szybki i tak pełen siły, że patrząc na nią teraz, nikt by nie przypuścił, iż ta kobieta była nerwowa i jeszcze przed chwilą w omdleniu leżała.

W najwyższej trwodze przyskoczyła do zwierciadła. Na twarzy były ciemne smugi i plamy, niedyskretny bowiem spirytus zmył w tych miejscach bielidło paryskie.

— Nie lękaj się pani o swoją piękność, to nie witryol, to zwykła woda kolońska.

— Ach! — jęknęła twarz sobie chusteczką zasłaniając — ten dom to Sodoma i Gomora!... Gdzie moje futro? gdzie mój kapelusz? — dodała, w koło się roglądając.

— Pomóż tej pani ubrać się i odprowadź ją do powozu — rzekła hrabina do kamerdy-

nera, i krokiem równym a spokojnym odeszła do swego apartamentu.

Podczas gdy te dwie gwiazdy, wykoleiwszy się na swoich drogach, zetknęły się z sobą w sposób tak nieprzyjemny, równocześnie dworek w Nowosiólkach był także widownią małej sceny.

Władysław wróciwszy z miasteczka powiatowego, gdzie na jarmark jeździł, wszedł do pokoju z miną człowieka, który ciekawą nowinę przywozi.

— Wiesz co się stało? — rzekł do Maryni, ojca bowiem nie było w pokoju.

— Cóż takiego?

— Poczeiwy nasz Włodzimierz drapnął ci chaczem od pani Emerencji i przeniósł się, zgadnij gdzie?...

— Ani się domyślam.

— Do Studniewic, do pięknej hrabiny Albińskiej.

— Jakto, do tej, którą widzieliśmy niedawno na drodze?

— A tak, do tej. Kobieta pyszna! szynkowna!

— Ależ na litość boską! Władziu! wszak sam wtedy mówiłeś, że ona młodych ludzi gubi! Jeżeli więc jego przyjacielem, jedź, wytłómacz mu to. Przecie go szkoda...

Mówiła z takim przejęciem i tak błagalnie ręce przed nim składała, że brat musiał głośnym śmiechem wybuchnąć.

— Nie taki bo znowu djabeł czarny, moja droga, jak go malują! — zawołał. — Wierz mi, tak, jak hrabina gubi, przyjemnie ginąć, i bardzo żałuję, że nie jestem na jego miejscu. Ale co począć, nie wszyscy urodzili się pod gwiazdą szczęśliwą. Włodek zrobi karierę!

Marynia słuchała, to bladła, to się rumieniła, ale daleką była od istotnego zrozumienia słów brata. Czuła tylko, że do oczu gwałtem łzy jej się cisną i że jej smutno, bardzo smutno.

XIV.

Hrabia Czarnokoński wstępuje na arenę polityczną.

Choroba pana Wolewicza była cięższą, nawet groźniejszą niż z początku przypuszczano. Chwilowa niedyspozycja zmieniła się w ostry katar żołądkowy, który zaledwie po dwóch tygodniach zaczął zwolna ustępować. Tak więc wyjazd deputacji musiał się opóźnić.

Zwłoka nie tyle jednak dokuczała panu Wolewiczowi i jego sąsiadom, co hr. Czarnokońskiemu. Tamci czekali dosyć cierpliwie, zwłaszcza, że w czasach ostatnich jakoś u nich przycichło; hrabia natomiast wyglądał godzinę, kiedy wyjedzie, i codzień kazał sobie donosić, jak się ma pan Wolewicz. Już to hrabia należał do ludzi energicznych, w całym znaczeniu tego wyrazu. Jak skoro co postanowił, wpierw za dobre uznawszy, natychmiast wykonywał, i nie było siły, która by go od tego mogła odciągnąć. Rzecz więc naturalna, że zwłoką terazniejszą niecierpliwił się, nawet niepokoił, bo nużyby choroba pana Wolewicza zechciała się

jeszcze przewlec, co w następstwach pociągnęłoby niewątpliwie za sobą skutki najzgubniejsze.

— Jeżeli działać, to teraz! — sto razy sobie powiedział — gdy jesteśmy w przededniu ogólnych wyborów, tak do Sejmu jak do Rajchsratu. Nasze wystąpienie zrobi swoje, kraj wybierze takich ludzi, jakich my zechcemy, poczem ten człowiek, nie mając większości za sobą, będzie musiał ustąpić. Jeżeli się spóźnimy, wszystko będzie stracone!

Był jeszcze jeden powód, który hrabiego pędził do miasta. Oto właśnie teraz miał pieniądze, bez których przecie z domu nie można się ruszyć. Szmul bowiem dał za dęby 2 000 guldenów, lecz kto mógł zaręczyć, że powoli się nie rozjedą? Wprawdzie hrabia, ilekroć szło o sprawy publiczne, umiał sobie, a właściwie żonie, odmawiać pieniędzy na rzeczy choćby jak ważne, wszakże gdyby terazniejsze prowizorium dłużej trwało, łatwo mogłyby zająć okoliczności i potrzeby, o które rozbiłaby się nawet jego wola żelazna. Tak więc wszystko parło do działania.

Nareszcie zaświtał dzień szczęśliwy, bo pan Wolewicz, zasiągnąwszy wpierw zdania aż trzech lekarzy, uwiadomił hrabiego, że nazajutrz przyjedzie do Zawadowiec z oboma sąsiadami, by ukończyć ważne zadanie, które im powiat w zaufaniu powierzył.

Hrabia, stosownie do danego przyrzeczenia, zatelegrafował natychmiast o tem Grzmotowi-

czowi, poczem Tomasza przywoławszy, kazał mu spakować swoje rzeczy.

— A co mam włożyć, proszę jaśnie pana, frak czy kontusz? — służący spytał.

— Kontusz i to ten od wielkiej parady, który jak wiesz sprawiłem na przyjęcie N. Pana. Zapakujesz mi także żupan karmazynowy, żółte buty, karabelę, delję i kołpak z piórem.

— Ale do kołpaka nie ma spinki brylantowej — Tomasz ośmielił się przypomnieć.

— Prawda, tyle już razy myślałem o tem, a jakoś się zawsze nie pamięta! Ale pójdziesz do pani hrabiny i poprosisz ją o tę broszkę, którą miałem, gdyśmy cesarza przyjmowali... Przy najbliższej jednak sposobności muszę sobie kupić taką samą spinkę, jak moja dawniejsza, którą zięciowi darowałem na imieniny. Trudna rada, bez tego przecie nie można się obejść...

Gdy Tomasz ułożywszy w kufrze bieliznę, chciał zapakować delję i kontusz, hrabia zawołał:

— Poczekaj! trzeba wpierw spróbować, bo zdaje mi się, że trochę przytył... Kobiety w garderobie mogłyby temu jeszcze zaradzić.

Zrzucił suknie codzienne i w kilka minut stanął w pełnym stroju dawnego możnowładcy. Nawet kołpak rysy na głowę włożył. Hrabia miał zawsze postawę okazałą i minę pańską. Czem atoli ta postawa i ta mina powszednia, z teraźniejszym jego wyglądem? To nie hrabia austriacki, poczytujący za szczyt ziem-

skiej szczęśliwości klucz szambelański i tytuł ekszellencji; to dumny wojewoda z lat ubiegłych, któremu ledwie sam król, i to własny, mógł być równy, lecz którego na tej ziemi nikt nie przewyższał.

Spojrzał w zwierciadło, uśmiechnął się z zadowoleniem i wąs pogładził.

Ktoś do drzwi zapukał.

— A tam kogo licha niesie? — zawołał brwi ściągając.

Drzwi uchyliły się nieco, i w nich ukazała się broda Szmula.

— Przepraszam jaśnie pana hrabiego, ale jam myślał, że wolno...

— Kiedyś już przyszedł, to chodź i mów czego chcesz.

Żyd wsunął się jak piskorz, wszelako zamiast przemówić, przechylił nieco w tył głowę, zmrużył oczy, i dłoń prawej ręki ku hrabiemu zwróciwszy, jakby zasłaniał się od blasku, co bił od jego stroju, zaczął ustami cmokać.

— I cóż, podobałem ci się, Szmulu?

— Strach, jak jaśnie pan wygląda, jak sam król!...

— A widzisz... Dawni Polacy wszyscy tak wyglądali, bo mieli pieniądze i władzę. Dziś biedaków nie stać na strój okazały, bo dokoła bieda i lada chłystek im przewodzi.

— Żeby tylko zdrowie było, to już wszystko będzie dobrze... Jak jaśnie pan hrabia zechce, to pieniądze zawsze będą... Ojoj! żeby tak o co, jak o to.

Żyd zamiast powiedzieć, w jakim przyszedł interesie, zaczął teraz na palcach hrabiego w koło obchodzić, przyczem ciągle głową kręcił, uśmiechał się i ustami cmokał.

— Mów, czego chcesz? — rzekł hrabia po chwili.

— Przyszedłem w tym samym interesie, jasnie panie, o którym mówiliśmy wczoraj wieczór.

— Więc namyśliłeś się na koniec?

— Jak to się namyśleć, kiedy tyle nie można dać... Jasnie pan hrabia chce za Wolice rocznie 2.500, a ja wiem, że ona nawet 1.500 nie warta. Ale ponieważ mój zięć uparł się, i koniecznie chce ją wydzierżawić, chociaż ja mu odradzam, więc co mam robić, muszę już dać 1.500.

— Mój Szmulu, powiedziałem ci to już wczoraj, i dziś dobitnie powtarzam, żebyś mi się z takimi propozycjami więcej nie pokazywał.

— Z przeproszeniem jasnie pana hrabiego, zapomniałem jeszcze dodać, że mój zięć daje 2.000 kaucji, i pieniądze za rok z góry.

— Mów, co chcesz, a ja ci powtarzam, że za tę kwotę nie wypuszczę. Jeżeli nie dasz 2.500 guldenów rocznie, wyperswaduj sobie Wolice. Ponieważ dęby za bezcen sprzedałem, więc ci się zdaje, że taksamo będzie i z tą dzierżawą. Ale omyliłeś się mój Szmulciu. Chociaż cię lubię, boś żyd nie głupi i lepszy niż

inni, mimo to nie możesz żądać, bym ci aż takie robił prezenta, zwłaszcza że rok poprzedni był okropny.

— Chwała Bogu, jasnie panie, że był i taki, a nużby nie było żadnego.

Hrabia usłyszawszy tę sentencję głęboką, parsknął głośnym śmiechem. Szmul poczytując to za dobrą wróżbę, zaczął kuć żelazo, w przekonaniu, że było już dość gorące, lecz wkrótce przekonał się, że jego wzrok bystry zawiódł go tym razem. Chociaż mówił płynnie i przekonująco, hrabia licznych argumentów wysłuchawszy, powiedział mu na końcu, żeby poszedł z Bogiem, gdyż za kwotę ofiarowaną Wolicy nie dostanie.

Nazajutrz hrabia, na czele deputacji powiatowej, wyruszył do miasta.

Grzmotowicz, otrzymawszy telegram, którego od tak dawna, i z takim upragnieniem wyglądał, stosownie do planu z góry ułożonego, uwiadomił zaraz swego pryncypała, że przez dwa dni będzie tylko gościem w jego kancelarii, aby najważniejsze rzeczy pozalać, a gdy mecenas, lubo z bolem serca, na to przystał, pan Kazimierz puścił się natychmiast między przyjaciół i znajomych.

Przez całe dwa dni widziano go jak się w dorożce uwijał. Był w rozmaitych stowarzyszeniach, konferował z młodzieżą akademicką i z terminatorami szewskimi, odwiedził mieszczan wybitniejszych i redakcje wszystkich dzienni-

ków naradzał się z rajcami miejskimi i członkami kahału żydowskiego. I musiał być zadowolony ze swoich zabiegów, skoro wieczorem do domu przyjechawszy, siostrę, która go zawsze pierwsza witała, objął za szyję i zawołał:

— Wkrótce przekonasz się Olesiu co twój brat może!

— O! ja wiem, mój Kaziu, żeś ty wielki! odpowiedziała, wznosząc ku niemu duże, piwne oczy, w których malowało się najwyższe uwielbienie.

Mimo, że był znużony, nie poszedł spać wcześniej, tylko do drugiej po północy pisał w swoim pokoju, a o szóstej rano był znowu na nogach. Gdy o pół do ósmej, siostra, jak zwykle, stanęła pode drzwiami, by go zapytać, czy będzie pił kawę u siebie, czy też z nią razem i z matką, usłyszała, że Kazio chodził po pokoju, ucząc się czegoś na pamięć.

— Nie przeszkadzam? — zapytała, drzwi lekko odchylając.

— Przeciwnie, proszę cię...

Weszła. On stał przed nią, trzymając w ręku arkusz papieru zapisany na wszystkie cztery strony.

— Zapewne masz dziś w sądzie ważną obronę — przemówiła.

— Bynajmniej, moja Olesiu! Mam nadzieję, że dziś spełnią się rzeczy o wiele ważniejsze. Wczoraj wieczór, pod przewodnictwem hr. Hie-

ronima Czarnokońskiego, przyjechała deputacja do Prezydenta, który od hrabiego nie jedną prawdę usłyszy. Ponieważ przypuszczam, że nie obejdzie się bez demonstracji, więc przygotowałem już sobie mowę, której się właśnie uczę. Posłuchaj tylko Olesiu: „Dostojny panie, i czcigodny obywatelu!“

— A do kogo będziesz tak Kaziu przemawiał?

— Do hr. Czarnokońskiego.

— I nie powiesz mu: hrabio?

— Nie mogę, moja droga, bo ze mną będzie sama hołota demokratyczna, więc czułaby się tem obrażoną. Hrabia zaś usłyszawszy, że jest „dostojnym panem“ i „czcigodnym obywatelem“, będzie z tego niezmiernie uradowany, bo przecie nawet do książąt krwi możnaby w ten sposób przemawiać. Nie uważasz, Olesiu, że to nawet ładniej brzmi, niż zwyczajne: „Panie hrabio!“

— Prawda, Kaziu, prawda.. Ty masz pomysły genialne!

— Słuchaj teraz Olesiu.

Brat cofnął się o dwa kroki, i przybrawszy minę uroczystą, wyrecytował mowę bez zająknięcia. Musiała się siostrze podobać, bo gdy skończył i o zdanie ją zapytał, ona zamiast odpowiedzieć, rzuciła mu się na szyję i zawołała:

— O! tak, tak, Kaziu! tyś wielki!...

Na podziękowanie w czoło ją pocałował.

— Bardzo mnie to cieszy, że ci się moja

mowa podobała. Nie wątpię, że jeżeli wszystko stanie się, jak przewiduję, i ja ją będę mógł wygłosić, to zrobię furorę, i nazwisko moje zpopularyzuje się w najdalszych kraju zakątkach... A teraz, Olesiu, przynieś mi tu kawę, bo się spieszę. Muszę wyjść zaraz, aby zobaczyć, co się w mieście dzieje.

Siostra wyszła, rzucając jeszcze w drzwiach pełne uwielbienia spojrzenie na brata ukochanego.

Nim kawę przyniosła, on stanął przed zwierciadłem, siwy włos w brodzie naprzód wyciągnął, twarz ustroił w powagę łagodną i razem szlachetną, potem cofnął się o krok, mając ciągle na swoją osobę wzrok skierowany, nareszcie drugi raz zbliżył się do zwierciadła, i przyłożywszy dłoń do czoła, rzekł uroczyscie:

— W rzeczy samej, ja widzę, że człowiek niepospolity!

Wkrótce wypił kawę i wybiegł do miasta.

Z uderzeniem godziny 3. z południa, przed pałac Prezydenta, zajechały dwie kryte remizy hotelowe. Z pierwszej wysiadł hr. Czarnokoński z p. Wolewiczem, z drugiej panowie Sowiński i Rakowski. Wszyscy byli w kontuszach, przy karabelach i w czapkach sobolowych; ale jeden tylko hrabia miał na sobie delję i kołpak rysi, boć tylko on jeden wywodził ród swój od wojewodów i hetmanów. Dzięki też tej delji, drogiem futrem podbitej, strój jego był zupełny, gdy przeciwnie trzej inni wyglądali dość za-

bawnie. Ponieważ na dworze był trzaskający mróz grudniowy, więc p. Wolewicz, bojąc się recydywy, włożył po kontuszu sutą baranicę, która na dziesięć kroków w koło powietrze zatrzymała; p. Sowiński miał na sobie szopy z kołnierzem dość wytartym, a p. Rakowski przywdział paletę, dość ciepłą wprawdzie, lecz tak krótkie, że z pod niego wyzierało przeszło pół łokcia karmazynowego kontusza.

Tych braków nie musieli jednak dojrzeć żołnierze, stojący w bramie pałacu, bo gdy panowie z powozów wysiedli, jeden drugiego pytał spojrzeniem, ażali powinien broń prezentować. Hrabia, którego oku bystremu nie nigdy nie uszło, prędko to zauważywszy, skinął ręką najpierw do jednego, potem do drugiego żołnierza, jak by chciał powiedzieć: Nie trudźcie się, ja tego od was nie żądam, — i pierwszy wszedł do pałacu. Za nim panowie deputaci, jeden za drugim, gęsiego.

Prezydent przechadzał się właśnie po sali audjencjonalnej, gdy kamerdyner uwiadomił go o przybyciu naszych znajomych. Kazał ich wprowadzić, sam zaś stanąwszy na środku sali, nie bez pewnej ciekawości w drzwi się wpatrywał, przyczem ołówkiem o swoje palce uderzał.

Drzwi rozwarły się na oścież, i pierwszy pojawił się hrabia z głową hardo podniesioną, za nim trzej inni z minami dość zakłopotanymi. Prezydent ani pół kroku na przód nie postą-

pił, i dopiero gdy hrabia aż do niego się zbliżył, skłonił się uprzejmie, pytając:

— Czem panom mogę służyć?

— Przyjeżdżamy w deputacji z naszego powiatu — hrabia odrzekł.

— W takim razie racz mi panie hrabio powiedzieć, jaka sprawa panów do mnie sprowadziła.

Podczas gdy Prezydent mówił, hrabia puścił badawczy wzrok do koła sali, jakby szukał miejsca gdzie by usiąść. Nie dostrzegłszy tu jednak żadnego przedmiotu, któryby służył do tego użytku, a widząc od przyległego saloniku drzwi otwarte, zamiast Prezydentowi na zapytanie odpowiedzieć, skinął ręką ku swym towarzyszom i ruszył prosto do salonu, gdzie wygodnie usiadł na środku kanapy.

Była chwila, że pp. Wolewicz, Sowiński i Rakowski zawahali się, nie wiedząc co począć; lecz gdy zobaczyli, że Prezydent, mimo iż z gniewu pobladł, sam idzie za ich przewodzcą, zebrali odwagę i zaszli aż do saloniku. Wszakże gdy tu stanęli, dali już za wygraną, i żaden z nich nie ośmielił się usiąść.

— Przepraszam WEkscellencję, żem usiadł nieproszony — hrabia przemówił — ale w moim rodzie taki już zwyczaj, żeśmy przed nikim niezwykle stać... prócz tego noga mnie boli, bom za piecem nie siedział, tylko gdy ojczyzna żądała, godnie jej służyłem.

— Rzeczywiście, polując raz z chartami,

spadłeś hrabio z konia i ponoś nogę złamałeś — Prezydent odparł szydersko — to też wcale się nie dziwię, że zasłużywszy się tak około dobra powszechnego...

— Ekscellencjo! — przerwał hrabia gwałtownie.

Pp. Wolewicz, Sowiński i Rakowski spojrzeli po sobie, i dotknawszy się łokciami, tem sobie wzajemnie odwagi dodali. Szczególnie potrzebował jej p. Wolewicz, mina bowiem jego, była już dobrze wystraszona.

— Pozwolisz hrabio, że dokończę — mówił dalej Prezydent z naciskiem, przyczem coraz silniej ołówkiem bił się po ręce. — Stwierdziwszy tę arcyważną okoliczność, że jeżeli kto, to ty, hrabio, jesteś u nas mężem zasłużonym, wcale się nie dziwię, że teraz siedzisz, ja zaś przed tobą stoję, urzędnicy bowiem, do których i ja mam zaszczyt należeć, są tylko sługami obywateli. Czy tak, panie hrabio?

— Źle mocumpanie — pierwszy z deputatów pomyślał.

— Nie wiedzieć, mosterdzieju, czy drwi czy o drogę pyta — drugi sobie powiedział.

— A tom wlażł w pasztet, *kurz gesagt* — trzeci pod nosem mruknął.

Jeden tylko hrabia nie stracił animuszu. Ten nie zwracając nawet na to uwagi, że Prezydent przed nim stoi, odpowiedział:

— W państwie konstytucyjnem, jeżeli się nie mylę, jeden tylko monarcha jest panem, a my wszyscy jego słudzy.

Deputaci spojrzeli po sobie, jakby chcieli powiedzieć: A to mu dał, to się odciął!

Prezydent drwiąco się uśmiechnął i rzekł sucho:

— Czekam.

Hrabia odchrząknął, wąż sumiasty pogładził, i głosem płynnym zaczął opowiadać, jakie niebezpieczeństwo grozi szlachcie w jego powiecie ze strony socjalistów, przyczem ciągle się powoływał na swoich towarzyszków. Z tych żaden ust nie otworzył, tylko w miejscach ważniejszych każdy potakująco głową kiwał.

Gdy skończył, Prezydent, który słuchał go uważnie, chociaż ironicznie się uśmiechał, tak odpowiedział:

— Mogę panów upewnić, że rząd gorliwie czuwa nad bezpieczeństwem wszystkich obywateli, i dlatego nie powinniście się niczego obawiać.

Hrabia zerwał się jak oparzony.

— Chociaż z dawien dawna wiemy, że W. Eksceleńcja nie raczysz nas szczególniejszą otaczać opieką, mimo to nikt z nas nie byłby przypuszczał, że tak mało obchodzimy W. Eksceleńcję. Jak widzę dopiero wtedy uwierzyć, gdy kilka głów szlacheckich u nóg wam się potoczy.

— Panie hrabio! Zapominasz gdzie jesteś i do kogo mówisz!

— Mówię Eksceleńco do urzędnika, który

nas bronić powinien, bo za to płacimy podatki i dajemy żołnierzom!

— Żle, mocumpanie — szepnął p. Wolewicz, ku drzwiom pierwszy się zwracając.

— Jeszcze nas gotów kazać uwieźć, mosterdzieju — pomyślał drugi deputat.

— Najlepiej wynieść się, *kurz gesagt* — ostatni zakonkludował.

Już wszyscy trzech chcieli plac boju opuścić, nie dawszy wprawdzie ani jednego strzału, gdy na szczęście hrabia honor ich ocalił, ten bowiem nie czekając, czy Prezydent mu co odpowie, tak zakończył:

— Ponieważ przekonaliśmy się niestety, że W. Eksceleńcję nic nie obchodzimy, więc odwołamy się do narodu i N. Pana! A teraz kłaniamy się W. Eksceleńcji, bo jak widzę, nie mamy tu co więcej robić.

To powiedziawszy, dumnie się wyprostował i przez salę audjencjonalną wyszedł ostatni, przed nim bowiem ruszyli jego towarzysze, tak w jeden kłęb zbici, że we drzwiach ledwie mogli się pomieścić.

Prezydent wzrokiem ich odprowadzając, uśmiechał się jak dawniej, przyczem jeszcze szybciej bił się ołówkiem po ręce, i jedną nogą ruchem nerwowym o dywan uderzał.

— Myśli, że jest możnowładcą dawnych wieków! — przez zęby zaszydził. — Myśli, że będzie sejmy zrywał, trybunały rozpędział i

przeciw królom się buntował... I takimi miało stać państwo!...

Wzruszył ramionami i do okna się obrócił.

Hrabia tymczasem zbiegł na dół czerwony, zaperzony i rękami wymachując, swoim towarzyszom głośno zapowiadał, że odtąd będzie z Prezydentem walczył do upadłego, ponieważ taki człowiek nie może stać na czele kraju. Gdy się zatrzymał przed pałacem na chodniku, aby rozmowy dokończyć, ujrzał Grzmotowicza, jak biegł z miasta. Po drugiej stronie ulicy widać było kilkunastu szewskich terminatorów, przypatrujących się ciekawie okazałym strojom panów deputatów.

— A! pan Grzmotowicz! — zawołał, rękę ku niemu wyciągając — chwała Bogu, że pana tu spotykam. Chciałem pracować cicho, sam panu mówiłem w Zawadowcach, że nie chcę rozgłosu, ale teraz przekonywam się, że jeżeli będziemy cicho siedzieli, nic się nie zrobi. Posłuchaj pan co i jak było, i jeżeli chcesz, możesz to każdemu powtórzyć.

Tu opowiedział mu wiernie co zaszło u Prezydenta, poczem wsiadł do powozu. Grzmotowicz skinął ręką, i w tejże chwili szewscy terminatorowie, przyskoczywszy do powozów, w których deputaci już siedzieli, krzyknęli z pełnej piersi:

— Wiwat deputacja! Niech żyje hr. Czarnokoński! Wiwat!

Hrabia zawołał na woźnicę, żeby prędko

jechał, p. Wolewicz bowiem wynurzył obawę, aby ich policja nie zechciała uwięzić — ale chociaż konie szparko z miejsca ruszyły, chłopcy nie dali za wygraną, tylko pędząc obok powozów, wołali coraz głośniej:

— Wiwat deputacja! Niech żyje hr. Czarnokoński! Wiwat!

Ludzie idący ulicą zaczęli stawać, gapić się, nareszcie pytać co by to znaczyło, ci zaś między nimi, którzy szli, aby się tylko przejść, jak niemniej owi, co nie chcieli prędko tam zdążyć, dokąd ich wysłano, bądź połączyli się zaraz z krzyczącymi chłopcami, bądź krokiem wolnym ruszyli ku głównemu hotelowi, dokąd skierowały się oba powozy.

Gdy deputaci wysiedli przed hotelem, tłum krzyczący liczył już głów kilka tysięcy. I wszyscy wołali: Wiwat deputacja! Wiwat hr. Czarnokoński! chociaż nikt nie wiedział ani za co to, ani na co.

Gdy hrabia sąsiadów do swego apartamentu wprowadził, ci zaczęli nad tem radzić, co z tego może wyniknąć. Z początku, z wyjątkiem hrabiego, wszyscy byli zakłopotani, wieśniakom bowiem, nieprzywykłym do miejskich owacyj, to, co zaszło, wydało się czemś nadzwyczajnem, mogącym pociągnąć za sobą niemiłe dla nich następstwa, wszelako gdy hrabia jasno im wytłumaczył, że w państwie konstytucyjnem, rzeczy takie są dozwolone, i gdy im honorem swoim zaręczył, że żadnemu z nich włos z głowy

nie spadnie, uspokoił się szczęśliwie, w końcu nawet zaczęły im się podobać te głośne krzyki i wiwaty, które z ulicy ciągle do nich dolały.

Podczas gdy oni tak rozmawiają, pod oknami zjawia się nagle miejska kapela i od ucha zaczyna grać wspaniałą serenadę. Niespodzianka była tak wielka, a wrażenie tak niezwykle, że mimo, iż na dworze zaczęło się już ściemniać, nasi znajomi zapomnieli o obiedzie.

Na chwilę muzyka ucichła, a gdy tłum przestał bić oklaski, dało się słyszeć wołanie kolporterów:

— Nadzwyczajny dodatek *Trąby ludowej*, z opisem audjencji hr. Czarnokońskiego u Prezydenta — cztery centy!

— Już wydrukowali! — hrabia zawołał, i zadzwoniwszy na służącego, kazał mu przynieść kilka egzemplarzy owego dodatku.

Gdy służący wrócił, nasi znajomi zaczęli czytać i własnym oczom nie mogli uwierzyć. Ich wizyta u Prezydenta była opisana tak dokładnie, słowa zaś hrabiego powtórzone tak wiernie, że żaden z nich nie byłby tego sam lepiej uczynił. Najbardziej ich zaś uderzył ustęp na końcu, pochodzący od redakcji, którego osnowa brzmiała jak następuje:

„Dziś gdy reakcja głowę podnosi, a zimny konserwatyzm coraz bardziej się rozzuchwała, dziś gdy mężowie u szczytu stojący z cynizmem głoszą, że kraj nasz dotąd nie nauczył się ko-

rzystać ze swobód konstytucyjnych, i że autonomia powinna być usunięta — dziś odważne wystąpienie hr. Hieronima Czarnokońskiego nabiera tem większego znaczenia, ile że ten mąż, mówiąc prawdę człowiekowi, którego, z bardzo małemi wyjątkami, wszyscy za nieprzyjaciela swego poczytują, tem samem rzucił reakcji rękawicę, i stanąwszy na gruncie prawdziwie narodowym, ocalił nasz honor! W hr. Hieronimie Czarnokońskim mamy typ prawdziwego Polaka, i dla tego wraz z okrzykami, które miasto na jego cześć wznosi, łączymy nasze gorące życzenie, by w chwili tak ciężkiej nie opuszczał ojczyzny, lecz gorliwie dla niej pracował, za co znajdzie żywą wdzięczność w sercach swoich współbraci. Kończąc, wynurzamy nadzieję, że miasto uczci dziś iluminacją wielkiego patrjotę i gościa dostojnego i z całego serca wnosimy okrzyk:

Niech żyje hr. Hieronim Czarnokoński!
Niech żyje jego deputacja!“

Po przeczytaniu, p. Wolewicz wytreszczył oczy na pana Sowińskiego, a ten tak samo wypatrzył się na p. Rakowskiego. Dobrodusznisi szlachcice dotąd nie rozumieli, jak wielką rolę ich przewodniczący odegrał przy ich pomocy. Czuli atoli instynktowo, że musiała być olbrzymią, skoro miasto było poruszone, skoro muzyka grała pod oknami, i skoro o nich w „gazetach“ pisało.

Ledwie czytać przestali, pod oknami gwar

zrobił się jeszcze większy, muzyka na nowo zagrała, i z tysiąca piersi podniósł się okrzyk:

— Deputacja na balkon! Hrabia niech się pokaże narodowi!

Hrabia spojrzął po swoich towarzyszach, jakby ich o radę pytał. Oni jednak milczeli. Wtem o okna łuna uderzyła. Pan Wolewicz pierwszy się zerwał.

— *Fakelzug*, mociumpanie, jak pana Boga kocham, *fakelzug*!

— Tak jest, mosterdzieju, korowód z pochodniami — poprawił pan Rakowski, ten bowiem przestrzegał, by każdy przy nim mówić czysto po polsku.

— *Fakelzug, kurzgesagt*! — zakonkludował p. Sowiński.

— Na balkon hrabia! Na balkon deputacja! — dały się słyszeć nowe głosy.

— Chodźmy panowie, chodźmy! — hrabia zawołał — bo jakbyśmy nie wyszli, gotowi by nam za to okna powybijają. Z ulicą trzeba się liczyć...

To powiedziawszy otworzył drzwi od balkonu i wyszedł pierwszy, za nim trzej towarzysze.

Plac przed hotelem był szczelnie nabity, ludzi roilo się na nim kilkanaście tysięcy, a środkiem przez tę masę czarną i zwartą, przesuwwały się długie smugi światła różnobarwnego. To młodzież rzemieślnicza i akademicka niosła

pochodnie i lampiony kolorowe, aby godnie uczcić wschodzącą gwiazdę narodu.

Na widok czterech szlachciców w kontuszach, a z głowami odkrytymi, co na tym mrozie było najlepszym dowodem, że się ukorzyli przed majestatem ludu, zerwały się okrzyki do ryku burzy podobne. Hrabia kłaniał się na prawo i na lewo, kłaniał się taksamo p. Wolewicz, pp. Sowiński i Rakowski poszli za ich przykładem, i kto wie, czy ukłony byłyby się kiedy skończyły, gdyby nie nowa niespodzianka.

Oto do salonu hrabiego weszła deputacja z Grzmotowiczem na czele, którą nasi znajomi musieli przyjąć i wysłuchać. Tak więc balkon opuścili.

Kazio Grzmotowicz przybrawszy tę samą minę, którą dnia tego rano przed zwierciadłem ułożył, zaczął od: — „Dostojny panie i czciogodny obywatelu!“ poczem bez zająknięcia a z deklamacją, wypowiedział długą mowę na temat miłości kraju i poświęcenia się dla dobra powszechnego, które to cnoty, prawdziwie rzymskie, widział wcielone w stojącym przed sobą hr. Hieronimie Czarnokońskim.

Mowa była tem świetniejsza, że jej autor, nie zapomniawszy o stronie uczuciowej, tak niezbędnej dla serca każdego Polaka, przeplótł ją tytuł zwrotami łzy wyciskającymi, że w końcu sam hrabia, choć dotąd mężnie się trzymał, uczuł, że oczy zrobiły mu się wilgotne. Co do jego towarzyszków, ci już na dobre płakali.

Gdy Grzmotowicz skończył, hrabia rzucił się najpierw jemu na szyję, potem kolejno uściśkał innych członków deputacji, do której należeli dwaj radni miasta, jeden szewc, a drugi krawiec, prócz tego jeden akademik i jakiś obywatel wiejski, dobry znajomy Grzmotowicza, który mu się na placu pod rękę nawinął. Po skończonych uściskach, w których za przykładem hrabiego wzięli także udział pp. Walewicz, Sowiński i Rakowski, hrabia zwrócił się do obecnych i przez łzy przemówił:

— Dziękuję wam, panowie, serdecznie dziękuję, za te dowody życzliwości waszej, na które, jak dotąd, niczem sobie jeszcze nie zasłużyłem. Zakopany na wsi, żyjąc li dla rodziny i moich włości, nie mogłem się jeszcze dać poznać tak jakbym pragnął i może powinien, ale dziś, kiedy sama Opatrzność powołuje mnie do działania, i gdy do niego wzywają mnie także tak zacni jak wy obywatele, otrząsam się z wszelkich skrupułów, i zwracając się do was mówię: Rozporządzajcie moją osobą! Jak dotąd, nie chciałem przyjąć żadnego obowiązku, który zaszczyt przynosi. Teraz, jeżeli zechcecie, będę wam marszałkował, pozwolę wybrać się do Sejmu, pojadę do Rady państwa, poświęcę się zupełnie, bo jak widzę, grzechem by było usuwać się dziś od pracy publicznej! Raz jeszcze z serca wam dziękuję i mówię: Rozporządzajcie mną jak sobą!

— Niech żyje hr. Czarnokoński! — pierw-

szy Grzmotowicz zawołał, i przyskoczywszy do drzwi balkonowych na oścież je otworzył.

— Niech żyje! — powtórzyli zgromadzeni w salonie członkowie dwóch deputacji.

— Wiwat hr. Czarnokoński! Wiwat! — ryknęły tłumy na ulicy, poczem lampiony i pochodnie, stosownie do planu z góry ułożonego, zaczęły odtąncowywać kontredansa, muzyka zaś grała ochoczo, aż serce skakało.

W oknach kamienic pojawiły się światła, z początku gdzieś tylko, potem coraz gęściej, w końcu wszystkie ulice zajaśniały rzesistą iluminacją.

Hrabia patrząc na to, musiał uwierzyć, że jest człowiekiem niezwykłym, którego Opatrzność do wielkich czynów powołała.

Z zadumy zbudził go głos Grzmotowicza, który chciał się pożegnać.

— A! przepraszam, kochanego pana, jeszcze słóweczko! — hrabia zawołał, i wzięwszy Kazia pod ramię, zaprowadził go do przyległego gabinetu. — Nie wiem zaiste, czem i jak panu dobrodziejowi podziękować za tyle trudów, za tak niezasłużone przyjęcie.

— Panie hrabio, ja tylko mój obowiązek spełniłem.

— Tak, prawda... ale bądź co bądź miłście panowie wydatki... pochodnie, lampiony, muzyka...

— Co do tego, to stosownie do życzenia pana hrabiego, jutro przyszedłem rachuneczek.

Ja się tem wprawdzie nie zajmuję, takie rzeczy załatwia komitet osobny, lecz skoro pan hrabia każe, więc go uwiadomię.

— Bardzo proszę. Jeszcze jedno... Ponieważ tak bezinteresownie postępuje pan dobrodziej, więc niech mi będzie wolno wynurzyć nadzieję, że przynajmniej objadek pojutrze razem zjemy.

— Z całego serca przyjmuję, i jeżeli przy tej sposobności pan hrabia pozwoli mi wypowiedzieć co myślę, to zdaje mi się, że nie źle by było, gdyby pan hrabia dał równocześnie objad dla osób wybitniejszych, których bym mu wskazał.

— Ależ ma się rozumieć... Jutro ja sam będę służył panu dobrodziejowi i spokojnie o tem pomówimy...

Gdy za chwilę Grzmotowicz na dół zszedłszy, ze stosownemi dodatkami to powtórzył, co na jego przemówienie hrabia odpowiedział, tłumy zaczęły znowu wołać, by hrabia i jego towarzysze na balkon wyszli, a gdy to nastąpiło, dał się słyszeć okrzyk:

— Wiwat Grzmotowicz! Pokażcie go narodowi!

W mgnieniu oka Kazio był na rękach najbliższych stojących, którzy go do góry podnieśli. Okrzyk tłumy powtórzyły, muzyka znowu zagrała, poczem wszystko jak rzeka wążbrana ruszyło ku kamienicy, gdzie Grzmotowicz mieszkał. On wprawdzie prosił, by go na ziemię

postawiono, wszelako jego wielbiciele do tego nie dopuścili, i pierwszy dependent dra Sakowicza, jak nowy tryumfator, dostał się do domu na rękach swoich współobywateli.

Panna Aleksandra i jej matka, które przez okno widziały, jak wśród okrzyków, przy odgłosie muzyki i w blasku tysiąca światła, nieśli ich brata i syna, z sercem bijącym wyglądały jego przybycia, a gdy on nareszcie zziębnięty i zmęczony wpadł do ich pokoju, rzuciły mu się równocześnie obie na szyję wołając:

— Kaziu! Kaziu! jakiś ty wielki!

XV.

Podróż dla dobra kraju.

Nazajutrz po wypadkach w poprzednim rozdziale opowiedzianych, hrabia w łóżku leżąc, odczytywał pilnie dzienniki poranne. Wszystkie, za przykładem *Trąby ludowej*, opisywały szczegółowo wczorajszą audjencję u Prezydenta i demonstrację, która po niej nastąpiła, i każdy wynosił pod niebiosa, pełne szlachetnej dumy zachowanie się hr. Hieronima Czarnokońskiego. Wprawdzie żaden z nich w głąb rzeczy nie wchodził, i ani jeden nie zastanowił się nad tem bliżej, czem właściwie teraźniejszy Prezydent tak bardzo przeciw krajowi zawinił, a czem znowu hrabia zasłużył się około jego dobra — lecz czy taka krytyka zimna, a pedantyczna, była by potrzebną? Alboż nie wystarczało, że z każdego słowa przebijała niechęć do Prezydenta, a żywa sympatja dla hrabiego? Uczucia mas ludowych, są tak samo niewytłumaczone, jak uczucia pojedynczych osób, które najczęściej bez zastanowienia jednych lubią, drugich nie nawidzą. Prezydent od samego początku swojej kariery stał jedynie wolą mo-

narchy, nie miłością kraju; hrabia zaś od najwcześniejszej młodości miał licznych zwolenników i gorących wielbicieli...

Znalazł się jednak dziennik, który ani słowem o tem nie wspomniał, co wczoraj zaszło, a tym był *Porządek*, redagowany przez Wiklińskiego. Hrabia jednak nie wiele sobie z tego robił. Chociaż dopiero od dwóch dni był w mieście, miał się już czas dowiedzieć, że *Porządek*, dopiero przed tygodniem założony, był organem Prezydenta, podtrzymywanym w części jego własnymi a w części rządowymi funduszami. Hrabia przejrzawszy więc to pismo od początku do końca, zmiął je i pod łóżko rzucił, inne zaś dzienniki poskładał i Tomaszowi kazał włożyć do kufra.

Ktoś do drzwi zapukał.

— Idź Tomaszu i zobacz kto tam jest i czego chce.

— Przyszedł jakiś żyd z listem.

— Czemuś go nie wziął od niego?

— Bo powiada, że nie może go nikomu oddać tylko jaśnie panu.

— To coś ważnego... Wprowadź go Tomaszu.

Zjawił się żydek mały, ryżawy, wśród głębokich ukłonów zbliżył się do łóżka i hrabiemu podał list w dużej kopercie ze sporą pieczęcią.

— Od kogo? — hrabia zapytał.

— Wid komitetu — żyd odpowiedział po-nownie się kłaniając.

Hrabia rozłamał pieczęć, rozerwał kopertę i list z niej wyjął. Był to rachunek za wczorajszą owację, wynoszący 1.387 guldenów i 34½ centów.

Zmarszczył czoło, i papier ciągle w rękę trzymając, usiłował oswoić się z cyfrą, która mu przed oczyma migotała.

— Nie ma co mówić, rachunek dokładny, są nawet półcenty — mówił do siebie ciągle na papier patrząc. Potem przeczytawszy u spodu dopisek, że oddawca listu jest upoważniony do odebrania pieniędzy, sięgnął ręką pod poduszkę, wyjął pugilares, i odliczywszy 14 setek, dał je żydowi mówiąc: — Dwanaście guldenów i coś tam centów weźmiesz sobie za fatygę, bo zapewne i tyś wczoraj pracował.

— I jak, jasnie wielmożny panie hrabio! Ja cały dzień latał jak pies, bo ja faktor wid komitetu.

Żyd wyszedł, hrabia zaś prędko się ubrawszy, udał się najpierw na chwilę do pana Wolewicza i jego sąsiadów, by się z nimi porozumieć, potem wypił kawę, nareszcie w remizie hotelowej pojechał do Grzmotowicza.

U tego zabawił przeszło godzinę, tyle bowiem czasu zajęło ułożenie listy osób, które miały być na objad zaproszone. Po ukończeniu tej pracy, hrabia pojechał z wizytami do kilku domów, między innymi odwiedził także hr. Albina Albińskiego, który z żoną, z Guciem i z guwernerem, zjechał już był do miasta na zi-

more leże, nakoniec wrócił do hotelu, aby z jego właścicielem pomówić o objedzie.

Na drugi dzień przyjechało na objad osób pięćdziesiąt. Każdy z zaproszonych był we fraku i w białym krawacie, i o każdym hrabia mógł śmiało twierdzić, że coś reprezentował. Arystokracja miała przedstawicieli w ośmiu hrabiach, mieszczaństwo dostarczyło siedmiu radnych; prawników zastępował dr. Kazimierz Grzmotowicz, z obywatelstwa wiejskiego przybyło kilkunastu członków wybitniejszych; dziennikarstwo było podejmowane w osobach trzech naczelnych redaktorów; nawet z duchowieństwa zjawił się jeden kanonik, z gminy zaś żydowskiej pierwszy rabin.

Objad był suty, szampan lał się strumieniem, muzyka pod oknami wygrywała fanfary, toastom i mowom patryjotycznym końca nie było. Zapał był tak wielki, a harmonia tak szczerą, że gdy nazajutrz dzienniki o tem donosiły, nie mogły równocześnie nie wynurzyć głębokiego przekonania, że jeżeli kto, to hr. Hieronim Czarnokoński potrafi cały naród skupić do koła swojej osoby, on bowiem ma zdolności, energię i miłość powszechną, a więc przymioty, jakimi w kraju nie poszczyci się żaden drugi obywatel.

Lecz jak po wielkiem przepiciu następuje uczucie, na którego wierne określenie napróżno w języku naszym szukalibyśmy wyrażenia, a które Niemiec tak znakomicie tłumaczy jednym słó-

wem *Katzenjammer*, tak po tych owacjach i objadach hrabia doznał bardzo niemiłego wrażenia. Oto obliczywszy swoją kasę, postrzegł nie bez goryczy, że nie tylko nie do domu nie przywiezie, lecz co nierównie było gorsze, że z 2000 guldenów, wziętych za dęby, tyle mu nawet nie zostało, by mógł objad i hotel zapłacić. Wprawdzie inny na jego miejscu nie byłby się tem martwił, p. Wolewicz bowiem dotąd nie wyjechał, i jeżeli kto, to ten poczytywał by się za najszczęśliwszego, gdyby go pan na Zawadowcach zaszczylił żądaniem pożyczki, hrabia atoli nie uczyniłby kroku tak fałszywego. Jakkolwiek głośno zawsze utrzymywał, że jest tylko szlachcicem, i lubo czasem, jakby w obawie, by go kto broń Boże nie posądził o kierunki arystokratyczne, w gronie sąsiadów był nawet rubasznym, mimo to lubił, jeżeli panowie szlachta trzymali się od niego w przyzwoltem oddaleniu, i bacznie przestrzegał, żeby się z nich żaden z nim nie poufalił. Dlatego to żądnemu „ty“ nie mówił i od żadnego pieniędzy nie pożyczał.

Pomyślawszy chwilę, udał się do dyrektora Banku powszechnego, p. Kampfa, którego znał oddawna, i ten tyle mu dał na weksel, że mógł hotel zaspokoić i do domu wyjechać. Jego towarzysze przed nim wyruszyli, unosząc wspomnienie chwil uroczystych i podniosłych, które losy pozwoliły im spędzić u boku hr. Czarnońskiego.

Przed samym odjazdem hrabia konferował jeszcze z Grzmotowiczem i kilkoma wybitniejszymi osobami, zajmującymi się polityką. Ci byli zdania, że ponieważ za cztery miesiące nastąpią w całym kraju powszechne wybory tak do sejmu jak do reichsratu, przeto rzeczą jest niezbędną, aby on, hrabia, jak najprędzej znowu przyjechał, i wraz z nimi zawiązał komitet, któryby następnie wyborami kierował. Hrabia, dawszy uroczyste przyrzeczenie, że za sześć tygodni najpóźniej przyjedzie, pożegnał swoich przyjaciół politycznych, i do Zawadowiec wyruszył.

Właśnie gdy do powozu wsiadał, mróz, który od dni kilku trzymał, nagle puścił, poczem z ołowianego nieba deszcz lunął strumieniem.

Hrabia tak był zajęty swojemi planami, że mu nawet na myśl nie przyszła rzeka, przez którą potrzebował przeprowić się, chcąc się do domu dostać. Z głębokiej zadumy, wśród której roztrząsał przeszłość a układał plan działania przyszłego, zbudziła go dopiero zimna rzeczywistość w postaci małego żydka, dozoruującego przewoźników na promie. Ten, gdy powóz hrabiego do rzeki dojechał, rzekł z flegmą, właściwą rasie semickiej:

— Dziś prom nie wozi.

— Nie wozi? A to czemu?...

— Bo łód pęka i woda idzie górą.

— Głupiś! Hej! ludzie! — zwrócił się ku przewoźnikom. — Dam wam piątkę, jeżeli mnie zaraz przewieziecie.

Spojrzeni na hrabiego, potem na rzekę i głowami pokręcili.

— I cóż?

— Ani za setkę, proszę pana hrabiego — starszy z nich odpowiedział. — Dziś w południe ledwieśmy przewieźli panią z Przygody, która do miasta pojechała, ale ta była już ostatnia. Niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie.

Hrabia, nie chcąc dać za wygraną, wysiadł z powozu i sam na prom poszedł, aby się naocznie przekonać, czy przewoźnicy mówią prawdę. Śnać słuszość im przyznał, skoro wróciwszy ust do nich więcej nie otworzył, tylko dał znak woźnicy, żeby nawrócił.

O jakie ćwierć mili od promu, pod wioską na pagórku, stał dosyć porządný dom zajezdny, utrzymywany przez katolika, co w tych stronach było rzadkością. Tam postanowił hrabia teraz zajechać, noc bowiem coraz szybciej zapadała. Dopiero nazajutrz rano zamierzał udać się do domu drogą inną, na most, stojący pod miasteczkiem powiatowem.

Jakież atoli było jego zdziwienie, gdy wjechawszy do oberży, ujrzał powóz i ludzi pani Emerencji. Wkrótce i ją także zobaczył, jak stojąc we drzwiach pokoju gościnnego, owinięta szalem i w kosztowne futro otulona, pytała o coś swojego lokaja.

— *Ah! chère comte!* — zawołała na widok hrabiego — sama Opatrzność ciebie mi przysła. Wyobraź sobie kochany hrabio, jakie mię

nieszczęście spotkało. Dziś, w południe, gdyś tędy przejeżdżała, złamał mi się dyszel u powozu, przy wozie zaś, na którym są moje pakunki, koło się rozsypało. *N'est ce pas, chère comte, que c'est une vraie calamité.* Zdawało mi się, że we wsi dam sobie przecie radę, tymczasem *dans cet endroit barbar*, nietylko dyszla, nawet prostego koła nie można nigdzie pożyczyć. Musiałam je dać zrobić, i dopiero jutro rano będą gotowe... *Ah! que le bon Dieu soit bon!* żeś tu kochany hrabio przyjechał... Twoja obecność doda mi odwagi i nerwy mi uspokoi, bo przyznam ci się otwarcie, że już kilka razy byłam bliską omdlenia.

Hrabia znał dobrze panią Emerencję; niegdys, przed laty piętnastu, często nawet bywał w Przygodzie i różnie tam ludzie wtedy o tem mówili, ale w ostatnich czasach bacznie jej unikał, bo, jak sam powiadał, miał wielki bardzo respekt przed jej nerwami. Dziś jednak wcale go one nie przeraziły. Może to słodkie wspomnienie dawnych i lepszych czasów taki tryumf nad nim odniosło, a może rad był w duchu, że nie mogąc do domu zajechać, w tym „zakątku barbarzyńskim“, jak go pani Emerencja nazwała, znalazł osobę znajomą, z którą łatwiej, niż sam jeden, będzie mógł zabić nudy wieczorne.

Powiedziawszy kilka grzeczności zdawkowych, pozwolił się zaprosić do jej pokoju, w drugiej bowiem izbie, dla niego przeznaczonej,

dopiero palić zaczęto, i tu, czekając na herbatę, około której krzatali się lokaj z panną służącą, wszczął rozmowę o pogodzie, złej drodze i podróżach, rozmowę jak te, które słyszemy zawsze w wagonach kolejowych.

Ponieważ lampa panią Emerencję zbyt nie w oczy raziła, co dla osób nerwowych ma być rzeczą nie tyle nawet nieprzyjemną, ile niebezpieczną, przeto kazała pannie wyjąć z walizki ombre różową i nią lampę nakryć. Odtąd panowało w pokoju światło łagodne, tajemnicze, niby półsenne, podobne do owego z hare-mów muzułmańskich, które wpadając przez okna różnobarwne, rozkosznie ciało nastroja, a ducha ubezwładnia...

Ona siedziała po jednej stronie stolika, on po drugiej. Każde miało pełną herbaty filiżankę, lecz pili ją bardzo powoli. Ona wsparłszy głowę na dłoni, podniosła powieki z jedwabnymi rzęsami i wpatrując się w arabeski na ombrze, myślała... myślała... Bóg wie jeden o czym! W każdym atoli razie jej myśli nie musiały być przykre, skoro usta słodkim uśmiechem na pół się rozwarły, na twarzy zaś zwykle tak bladej, pojawił się rumieniec łagodny, a jak mgła nieuchwytny. Gdyby ją tak złośliwy Markiz teraz zobaczył, z pewnością by powiedział, że ów rumieniec był dziełem ombrzy różowej, cała zaś jej postawa, pozą wystudjowaną; hrabia jednak, który wierzył jeszcze w ideały, i dotąd opierał się wpływom nowo-

czesnego materjalizmu, prawdopodobnie innego był zdania, skoro ukosem na sąsiadkę spoglądając, wąż gładził i nieznacznie się uśmiechał...

— Więc pani do Méran jedzie? — pytał po raz dziesiąty.

— Ach! tak, do Méran... U nas zima okropna, szczęśliwy, kto ją przeżyć może... ja z moimi nerwami na nic podobnego nie odważyła bym się narażać...

— I pani jedziesz sama?

— Sama, jak palec... zwyczajnie jak biedna wdowa, *comme une pauvre orpheline!*... Biorę tylko pannę służącą, lokaja i furmana wracającego z miasta z końmi do Przygody.

— A syn pani?

— *Hélas!* — westchnęła — musiałam go w domu zostawić, guwerner bowiem, którego przyjąłem, osądził, że mój biedny Dziunio w naukach bardzo się zaniedbał. Ale wszystkiemu temu winna ta straszna Zefiryna, *cette Messaline abominable.*

— Rzeczywiście? A czemuż tu ona mogła zawinąć?

— Czem? Swoją rozpustą! — pani Emerencja zawołała, i pierś jej, mimo gorsetu paryskiego, falować zaczęła. — *Ce n'est pas une femme, c'est...*

Nie dokończyła, gniew bowiem zdławił jej w gardle straszne słowo, które w zapamiętałości byłaby może wypowiedziała.

Hrabia chwilę przeczekał, a gdy się uspokoiła, znowu zapytał:

— Wyznaję, że mnie to wszystko wielce intryguje.

— O! i mnie, *chère comte*, toby tylko intrygowało, gdyby niestety, mój biedny Dziunio nie był padł jej ofiarą. Ale wyobraź sobie, przyjął mu guwernera dobrego, rozumnego, skromnego, *vraiment c'était un jeune homme si chaste, une ame si pudique*, że o lepszym dla mojego dziecka nawet marzyć nie mogłam. Tymczasem ta Messalina zbałamuciła go, porwała, i to pod pozorem, że jej Guccio, *écoutez seulement chère comte*, że jej dryblas także guwernera potrzebuje. *N'est ce pas, que ce bien drole!*

Hrabia uśmiechnął się i ramionami wzruszył...

— Tak to się zwykle wychodzi — rzekł — gdy się młodym ufa. Młodzi ludzie to furfanci...

— O! zupełną masz rację, kochany hrabio! Tamten dał się uwieść, i mój biedny Dziunio bardzo się skutkiem tego zaniedbał, gdyż dłuższy czas był bez mentora, teraz jednak przyjął mu nauczyciela nowego. Człowiek to już starszy, szpakowaty, więc mu i zaufać można...

Hrabia was poglądził, pani Emerencja bowiem takie w tej chwili ku niemu spojrzenie wysłała, że chcąc nie chcąc musiał sobie w duchu powiedzieć:

— Wcale jeszcze smaczna kobieta, nawet przystojniejsza, niż była przed piętnastu laty...

Chwilę oboje milczeli; potem ona pierwsza zapytała:

— *Et vous chère comte*, dokąd pan teraz jedziesz?

— Chciałem do domu, ale że prom nie przewozi, więc bardzo być może, że jutro zamiast błotami wlec się do mostu, raczej szosą do miasta wrócę.

Spojrzała mu w oczy, a potem głowę zwieszając

— Tak? — szepnęła.

— Tak jest, najprawdopodobniej wrócę do miasta, ponieważ sprawami publicznymi zajęty, zapomniałem poradzić się lekarzy. A mam nieznośny katar płucny, którego by się przecie raz trzeba pozbyć.

— Na to tylko ciepły klimat — zauważyła, głowy nie podnosząc.

— I mnie się tak zdaje — hrabia odpowiedział, mierzając ją ciągle z ukosa.

Znowu czas jakiś siedzieli nic do siebie nie mówiąc. Nareszcie hrabia pierwszy zaczął.

— Dziwi mnie, że pani do Meran jadąc, bierzesz z sobą pannę służącą. W czasach terazniejszych najprzyjemniej podróżować po angielsku. Torba i parasol, nic więcej. Za pieniądze można wszystkiego kupić i mieć usługę doskonałą.

— Może i racja — szepnęła, mając ciągle w stół oczy wlepione — przyjechawszy do miasta, pomyślę o tem...

Wkrótce żegnali się, życząc sobie nawzajem dobrej nocy. Gdy hrabia wziął ją za rękę, uczuł, że lekko drżała, ona zaś, gdy jej rękę pocałował, zrobiła spostrzeżenie, że chociaż hrabia miał już lat zwyż pięćdziesiąt i włosy dobrane szpakowate, usta jego były jeszcze gorące i całował jak młodzieniec pełen wyobraźni i zapału.

Dnia następnego, nad samym wieczorem, hrabia wrócił do swego hotelu w stolicy, pani Emerencja zaś zajechała do innego, który stał w przeciwnej części miasta.

Hrabia nie zszedł nawet do restauracji, tylko kazał sobie przynieść kolację do pokoju, poczem usiadłszy napisał listy następujące:

„Kochana Wandziu! Niezawodnie wiesz już z *Gazety*, przynajmniej w głównych zarysach, cośmy tu zrobili i jakie nas za to spotkało przyjęcie, ale ponieważ sprawozdanie w naszej *Gazecie* nie jest dokładne, przeto posłałam ci inne dzienniki, które w tym wypadku ze swego obowiązku sumiennie się wywiązały... Jak widzę, Opatrzność powołuje mnie do wielkich rzeczy, a ponieważ czuję w sobie zasób sił odpowiednich, przeto, aby nie zawinić opieszałością, zaraz dziś jadę ztąd do Wiednia, gdzie prawdopodobnie dłużej zabawię. Będę u Najj. Pana, u wszystkich ministrów, wszędzie... Niezwłocznie po otrzymaniu mojego listu, przywołaj Szmulę, i gdyby żadną miarą nie chciał dać za Wolice więcej niż 1.500 guldenów, weź pieniądze

za rok z góry, wraz z kaucją, która wynosi 2.000 guldenów, z tych 500 zostaw sobie, a 3.000 przyslij mnie do Wiednia, adresując „zum Erzherzog Karl.“ Alfons niech gospodarstwa pilnie dogląda, abym się nie potrzebował gniewać, gdy wrócę. Panu Bogu was oddaję — Twój szczerze cię kochający mąż — *Hieronim*.“

List drugi, wystosowany do Grzmotowicza, brzmiał w całej osnowie:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Po ostatniej naszej konferencji, wyjechałem był do Zawadowiec, w drodze atoli powstał w mej głowie nowy plan działania, który dla dobra kraju postanowiłem natychmiast wykonać. Zażądałście panowie odemnie przyrzeczenia, że za kilka tygodni stanę między wami, by przystąpić do utworzenia komitetu wyborczego. Co jednak przez tych kilka tygodni mam robić? Zajmować się może gospodarstwem? O! Panowie! gdy dobro publiczne naszej pracy potrzebuje, wtedy interesa osobiste powinny zejść na plan ostatni, sobkostwem bowiem byłoby mówić o patriotyzmie, jeżeli się sumiennie nie wykonywa jego przykazań. Ponieważ Bóg postawił mnie na stanowisku, na którym więcej niż inni mogę zdziałać, przeto aby zgłębić sytuację i pod sieć rolę przygotować, postanowiłem wyjechać *incognito* do Wiednia, gdzie niewątpliwie spełnię czego honor i sumienie obywatelskie odemnie żądają. Rzecz naturalna, że będę u wszystkich, i o wszystkim z nimi pomówię...

Powróciwszy, opowiem co i jak się zrobiło. Tymczasem wynurzam nadzieję, że wy, zachci panowie, opieszałością także tu nie zgrzeszycie, jeżeli co bowiem, to brak wytrwałości w życiu politycznem najwięcej nam szkodzi. Pamiętajmy, żeśmy dziedzicami naszych wielkich przodków, którzy żyli i umierali *pro patria*! Gdyby zaszło co nadzwyczajnego, racz pan dobrodziej uwiadomić mnie o tem pod adresem „zum Erzherzog Karl“ a tymczasem proszę przyjąć wyraz głębokiego poważania, z którym mam zaszczyt pisać się Wpana dobrodzieja szczerze życzliwym przyjacielem i sługą — Hieronim Czarnokoński.“

„P. S. List niniejszy proszę zakomunikować tylko naszym przyjaciołom politycznym, aby przypadkiem nie dostał się do dzienników, przedwczesne bowiem zdradzenie moich planów, wyszłoby tylko na korzyść naszych nieprzyjaciół. Zresztą byłby znówu rozgłos, a tego ja unikam, bo nie lubię.“

Zapieczetowawszy oba listy, hrabia zadzwonił na Tomasza.

— Z tym listem — rzekł — pójdziesz do tego pana z czarną brodą, u którego byłeś już kilka razy, a ten drugi weźmiesz z sobą do domu dla pani hrabiny. O jedenastej odwieziesz mnie [na kolej, do dnia zaś wyruszysz do Zadowiec, ale nie na prom, tylko na most... W domu powiesz ludziom, aby robili, bo jak wrócę będzie źle próżniakom. Pamiętaj także abyś

ani jednym słowem o tem nie pisał, żeśmy się przy promie zjechali z panią z Przygody. Teraz masz tu na drogę.

To powiedziawszy, wręczył Tomaszowi list i kilka guldenów. Stary sługa, przywiązany jak pies do swego pana, nie byłby i w takim razie wspominał o pani Emerencji, gdyby hrabia zapomniiał był zażądać od niego utrzymania tej rzeczy w tajemnicy. Wszak przez lat trzydzieści niemało widział i słyszał, a jednak wszystko spoczywało na dnie jego pamięci, jak w grobie.

XVI.

Ostatnia wola.

Przed pałacem pani Dobrzynieckiej ruch niezwykle. Powozy i dorożki zajeżdżają; krokiem przyspieszonym wchodzą księża świeccy i zakonnicy; coś wnoszą, tragarze i słudzy kościelni; po obu stronach bramy, pojawiają się olbrzymie plakaty z krzyżami i czarnymi obwódkami, wreszcie w bramie staje portjer w żałobnej liberji, a ze środkowego okna na pierwszym piętrze służba wywiesza pierwszą chorągiew. Równocześnie druga taka sama, ukazuje się tuż obok, w oknie należącym do prywatnego mieszkania prezydenta.

A więc pani Dobrzyniecka umarła.

Jeszcze wczoraj wieczór rozmawiała jak zwykle, kazała sobie kłaść kabałę, z uśmiechem słuchała szczepiotu córek prezydenta, które ją pożegnały dopiero o dziesiątej, z lekarzem naradzała się także dość długo, potem zwiesiła głowę na piersi i usnęła. Powtarzało jej się to u niej codzień prawie. Dopiero gdy tak dobrą chwilę podrzemała, otwierała znowu oczy, poczem z fotelem służba toczyła ją do

łóżka, gdzie się kładła. Tym razem panna służąca napróżno czekając, by się zbudziła, po godzinie zbliżyła się do śpiącej. Cera staruszek wydała jej się niezwykle bladą i głowa jakoś bardziej zwisała.

Nachyla się nad nią — nie słyszy oddechu. Bierze ją za rękę — bezwładna, a jak lód zimna. Przestraszona dziewczyna krzyknęła — śpiąca nie zbudziła się więcej.

Zbiegła się służba, wkrótce lekarz się pojawił, nic nie pomogło. Pani Dobrzyniecka umarła.

Dziś w pałacu krzątają się domownicy, aby wspaniale a poważnie ozdobić salę, w której będą spoczywały zwłoki nieboszczki, i prócz nich nie jeden jeszcze myśli, kto też zamieszka w tym pałacu i kto posiada rozległe dobra Dobrzynieckich?

Najbardziej ciekawym, lecz i najspokojniejszym jest prezydent. On był tak szczerym i bezinteresownym przyjacielem nieboszczki, córki zaś jego tak ją kochały i pielęgnowały, iż chwili nie wątpi, że jeżeli tylko zrobiła testament, jemu wszystko zapisała. Prezydent wiedział, że liczni jego przyjaciele i zwolennicy, nie raz tę myśl pani Dobrzynieckiej podsuwali, mówiąc jej, że spadkobiercą swojego mienia powinna zrobić najbardziej w kraju zasłużoną osobistość, którą, według ich przekonania, był właśnie prezydent. Zresztą wielki ten mąż stanu miał szczęście do ludzi, i jak dotąd,

wziął już cztery sukcesje po osobach całkiem mu obcych, które znacznie powiększyły jego majątek rodzinny. Czemuż by więc nie miała tego samego uczynić i pani Dobrzyniecka, skoro była bezdzietną i nawet nie wiedziała, czy żyli jacy jej krewni?

Właśnie gdy na katafalku układano zwłoki nieboszczki, do gabinetu prezydenta, zgięty w pałąk, wchodził dr. Sakowicz.

— I cóż? — prezydent żywo zapytał.

— Testament znaleziony.

— Komuż zapisała?

— Jeszcze nie wiemy, testament bowiem zapieczętowany.

— U kogoż był? W sądzie, czy u rejenta?

— U niej w kasie. Dziś rano, ja jako prawny jej doradca za życia, udałem się do rejenta, i z nim razem poszliśmy do mieszkania nieboszczki, by opieczętować papiery, a pieniądze zabezpieczyć. Myślałem, że może dzień cały będziemy musieli stracić, tymczasem w pół godziny byliśmy gotowi. W kasie znaleźliśmy 700.000 guldenów w papierach, najporządniej poukładanych i wstążeczkami powiązanych, w osobnej kryjówce leżały dokumenta familijne, w najmniejszym zaś schowku duża koperta z napisem: Ostatnia moja wola.

— Jej pismo?

— Jej, Ekscellencjo.

— Nie otwieraliście więc testamentu?

— Zwyczajem jest przyjętym, że robi się to dopiero po pogrzebie.

— Siedmkroć w gotówce, a przeszło dwa miliony w nieruchomościach!... Zaiste, fortuna książęca! Tak prezydent półgłosem sobie powtarzał, przechadzając się po gabinecie. Potem stanął przed adwokatem i rzekł sucho: — Zdaje mi się, że nie zaszkodzi, jeżeli zamiast czekać do pogrzebu, zaraz testament otworzymy, słuszną bowiem jest rzeczą, by ten, komu na pogrzebie wypadnie żałować jej i po niej płakać, naprzód o tem wiedział...

— Jeżeli W. Ekscellencja rozkaże, mogę w tym kierunku przedsięwziąć kroki odpowiednie, ośmielę się tylko zwrócić uwagę W. Ekscellencji, że przy rozłamaniu pieczęci nieboszczki i odczytywaniu testamentu powinniśmy mieć kilku świadków, majątek bowiem wielki...

— A więc ja będę.

Mecenas skłonił się głęboko, lecz dalej mówił:

— Zdaje mi się, że rejent będzie się także upierał, by i sąd kogoś ze swej strony delegował.

— To najmniejsze, zaraz ci dam bilet do prezydenta sądu. Idź z nim, mój kochany Sakowiczu, i powiedz mu, że życzę sobie, by natychmiast wysłał delegata. Spodziewam się, że mi tego nie odmówi.

— Ja z mej strony wezmę jeszcze Grzmotowicza — adwokat dokończył.

— Tego warchoła? — prezydent spytał.

— On się tylko takim wydaje, Ekszellencko. W gruncie to chłopiec nie zły... On ma rozum...

Wypowiedział to takim tonem, że prezydent mimowoli drwiąco się uśmiechnął.

— Skoro tak, to weź go... Zobaczymy jak z bliska wygląda przyjaciel i protektor hr. Czarnokońskiego. Spodziewam się, a właściwie życzę sobie, byście panowie z uderzeniem godziny pierwszej byli na miejscu. Ja tam przyjdę ztąd prosto, bo jak wiesz, mam bezpośrednią komunikację.

Adwokat ciągle w pałak zgięty, cofnął się, idąc tyłem, i zniknął za drzwiami.

Z uderzeniem godziny 1szej z południa, w tym samym pokoju, w którym widywaliśmy panią Dobrzyniecką, i gdzie stała także kasa ogniотrwała, widzimy kilku mężczyzn z poważnymi minami. Wszyscy stoją, krom prezydenta, który siedząc przy stoliku, album przegląda. Między obecnymi jest także ks. Eustachy i delegat sądowy. Grzmotowicz trzyma się z rezerwą w pewnem oddaleniu, by mu przypadkiem kto nie zarzucił, że się naprzód wysuwa. Prezydent wszedłszy tu ostatni, raz tylko spojrział na niego, tem okiem, które na wskrós przenika, lecz nie kazał go sobie przedstawić.

Po dopełnieniu rozmaitych formalności, rezydent rozłamał pieczęć i głosem donośnym zaczął czytać:

„W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.“

„Chociaż czuję się na ciele zdrową, a na umyśle przytomną, bojąc się jednak, by mnie śmierć niespodziewanie nie zaskoczyła, spisuję na dniu dzisiejszym moją wolę ostatnią, która jest jedyną i nieodwołalną.“

„Cały mój majątek w dobrach, gotówce, sprzętach i wierzytelnościach, zapisuję na wyłączną własność i bez żadnych zastrzeżeń, dalekiemu krewnemu mojemu, panu Janowi Olińskiemu, dzierżawcy w Nowosiólkach. Tenże mój spadkobierca, będzie miał tylko obowiązek, utrzymywać nadal sługi, które po mnie zostaną, i zajmować się szczerze gospodarstwem w swoich dobrach, aby majątek nie stracił na wartości.“

„Hrabiankom Żozie i jej siostrze Emilii, za dobroć, jaką mi okazały, zapisuję: Pierwszej wszystkie kwiaty z salonu, te bowiem ona najchętniej sama podlewała, unosząc się nad ich pięknością; drugiej poduszkę na kanapie leżącą, mojej własnej roboty, dla której dobra ta osoba nie miała dość pochwał.“

„Ks. Eustachemu zostawiam mój różaniec jerozolimski, przechowywany u mnie po ks. Hołowieńskim, jako nad wszelki wyraz droga pamiątka, J. E. zaś hr. prezydentowi wynurzam raz jeszcze w tem miejscu moją wdzięczność za niezliczone dowody przyjaźni, jakie od niego otrzymywałam, i błogosławiąc go proszę zara-

zem, by jak najprędzej kazał zamurować owe drzwi, któremi przez zbytnią dla mnie troskliwość, połączył swoje mieszkanie z mojem, pragnę bowiem, by mój spadkobierca miał na początku spokój zupełny, i nie potrzebował zaczynać życia w tym domu od restauracji.“

Następują data i podpis bardzo czytelne, na boku jako świadek: dr. Filip Zacharjusz.

Rejent przestał czytać i mimowoli spojrzął po obecnych. Delegat sądowy miał minę obojętną; dr. Sakowicz stał w pałak zgięty i ani głową nie ruszył; prezydent dalej album przeglądał, i tylko twarz miał jakby żółtą; ks. Eustachy, spuściwszy w dół oczy, uśmiechał się swoim codziennym, słodkim uśmiechem; jednego Grzmotowicza rejent nie dojrzał, gdyż ten stał w tyle, przy drzwiach samych.

Cicho było, jakby makiem posiał. Nawet prezydent tak ostrożnie przerzucał karty w albumie, że tego nikt nie słyszał...

Nagle zerwał się, przystąpił do rejenta i wzięwszy z jego rąk testament, okiem bystrem zaczął go sam odczytywać. Na miejscu, gdzie był podpis nieboszczki, oko jego dłużej się zatrzymało. Wreszcie skończył, rejentowi zwrócił testament, i powiedział: —

— Wszystko w porządku! — wyszedł.

Tuż za nim wymknął się niepostrzeżenie Kazimierz Grzmotowicz. Kapelan w głąb się usunął, myśląc sobie w duchu:

— Dałbym gardło, że doktor jej dyktował.... To jego styl złośliwy!...

Grzmotowicz tymczasem wybiegłszy na dwór wpadł do pierwszej dorożki i co koń wyskoczy kazał wieźć się do domu. Tu stanąwszy z pospiechem gorączkowym włożył do torby podróżnej kilka takich przedmiotów, bez których w drodze obejść się nie można i zarzucił futro na ramiona. Gdy go siostra pytała dokąd jedzie, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Później się dowiesz... za kilka dni wrócę! Ucałuj rączki mamy!...

Na placu najął sobie dwukonną dorożkę, co bez trudności mu przyszło, gdyż tyle dał ile dorożkarz zażądał, i w pół godziny po wysłuchaniu testamentu był już w drodze do Nowosiółek.

Tak jest, p. Kazimierz Grzmotowicz jechał do p. Jana Olińskiego.

Była godzina przedobiadowa i ojciec Maryni skończywszy właśnie czytać gazetę, przechadzał się po pokoju fajkę paląc, a ona coś sobie w komodzie układała, gdy nagle drzwi się otworzyły i przed nimi stanął Kazio Grzmotowicz. Ponieważ na dworze było błoto, więc tak cicho zajechał, że go nikt nie słyszał. Pan Oliński zatrzymał się, kroku nie dokończywszy i cybuch z ust wyjął; Marynia zaś obróciła się pół ciałem do gościa mając jeszcze w komodzie prawą rękę.

On z uprzejmością człowieka wielkoświatowego, a śmiałością wysłańca zwiastującego dobrą nowinę, postąpiwszy na przód kilka kroków, rękę wyciągnął i rzekł z uśmiechem:

— Chociaż prawie całkiem nieznany, poczytuję się za najszcześliwszego, że mogłem tu przyjechać z dobrą wiadomością. Pani Dobrzyńska umarła...

— Umarła! — powtórzyli równocześnie ojciec i córka, wpatrując się w nieznajomego, może nie tyle z przestachem, co ze zdziwieniem, że on to dobrą wiadomością nazywa.

— Tak jest, umarła, i cały swój majątek olbrzymi, a przytem bez żadnych zastrzeżeń, zapisała tobie, czcigodny panie!

P. Oliński stał ciągle na jednym miejscu, i w dawnej pozycji. Oko jego było nieruchome, na twarzy nie miał żadnego wyrazu. Nagle włożył cybuch do ust, kilka razy pociągnął, i dopiero gdy wypuścił kłęby dymu czarnego, zapytał:

— Coś pan dobrodziej powiedział, co?

— Powiedziałem, że pani Dobrzyńska umarła, i cały swój majątek, wynoszący w dobrach, ruchomościach i w gotówce, razem przeszło trzy miliony, zapisała tobie, czcigodny panie!

— A to kobieta szlachetna i mądra! — dał się w tej chwili słyszeć głos za plecami Grzmotowicza. To Władysław, ujrzawszy powóz przed gankiem, przybiegł ze stajni, by usłyszeć te

rozkoszne dłań słowa. — Jeżeli co kiedy rozumnego zrobiła — dalej mówił — to właśnie to, że teraz umarła, a nam wszystko zostawiła! Niedarmo, ojcze, zawsze przepowiadałem, że będziemy jeszcze panami. Ale ojciec, widzę, nie dziękuje za dobrą wiadomość, przecie to pan Grzmotowicz, nasz wielki patrijota, o którym niedawno wszystkie gazety pisały... znam go z widzenia... Lecz skoro ojciec milczy, więc ja pierwszy panu dziękuję — dodał, gościa zaszczepiając — to żeś się pan do nas z tem trudził, jest najlepszym dowodem pańskiej szlachetności.

Grzmotowicz uściskawszy młodego człowieka, odpowiedział:

— Dziś, gdy u góry panuje samolubstwo, gdy ludzie bogaci i ze znaczeniem, którzyby krajowi powinni przyświecać, o niczem innem nie myślą tylko o dogadzaniu swoim zachciankom, dziś każdy dobrze myślący poczytuje się za szczęśliwego, jeżeli w życiu zdarzy mu się kiedy usłyszeć, że znaczniejsza fortuna spadła na męża, który ani jej nie roztrwoni, ani jak sknera w kufrach swoich nie zamknie, lecz jej użyje na pożytek swojego kraju. Chociaż mało cię panie znałem, i lubo za ostatniej pańskiej bytności w naszej kancelarii zachowywałem się może nawet dosyć zimno, co jednak czyniłem z konieczności, przez wzgląd na mego pryncypała, który jest wielkim zwolennikiem hr. Czarnokońskiego, mimo to przeczcucie zawsze mi mó-

wiło, że w tobie, czcigodny panie, mamy przedstawiciela tej warstwy dotąd jeszcze zdrowej i uczciwej, która się szlachtą nazywa, a którą samolubni magnaci we własnych celach często wyzyskują. O! ja wiem, że pan Oliński będzie godnie swój stan reprezentował, i dlatego jak tylko usłyszałem, że pani Dobrzyniecka jemu wszystko zapisała, postanowiłem pierwszy go o tem uwiadomić, bo tak uczynić, nakazywało mi moje sumienie patriotyczne.

P. Oliński patrzył, słuchał, rozważał, wreszcie na krzesło siadając, rzekł do Grzmotowicza:

— Proszę, niech pan dobrodziej usiądzie, i raczy mi przebaczyć, że to pierwszy sam uczynił, ale coś mię trochę nogi bola, nie dziwota, starość... Niech też pan dobrodziej opowie mi teraz dokładnie, a powoli, co się stało, bo mi jakoś dziwnie w głowie huczy i mało dotąd zrozumiałem... Ja tam panie nie łakomy, do biedy przywykłem, ale mam dzieci... zresztą możeby się i co dobrego jeszcze uczyniło...

Podczas gdy ojciec tak przemawiał, a Grzmotowicz mu na to odpowiadał, Marynia, której umysł dotąd nie obejmował szczęścia, jakie na nich spadło, przypomniawszy sobie, że trzeba jeszcze dodać coś do objadu, by gość nie był głodny, chciała udać się do kuchni. Brat atoli dopadł ją w drugim pokoju, i w pół objawszy, zaczął z nią tańcować, przyczem wołał:

— Maryniu! Maryniu! toż to będziemy szy-

ku zadawali! W kąś Wolewicz, w kąś sam hr. Czarnokoński! Maryniu! czy mogła ta ciotunia, czy tam babunia, coś rozumniejszego uczynić, niż nam wszystko zapisać, i właśnie teraz umrzeć! A bodaj jej pan Bóg dał za to królestwo niebieskie!

Tak wołał, śmiejąc się i w kółko obracając, póki siostra z objęć mu się nie wyrwała.

— Czyś oszalał Władziu, czy co? Ja nawet sobie nie wyobrażam, jak z tym majątkiem będziemy wyglądali, a ty się cieszysz, sam nie wiedząc czego.

— Wiem ja, moja droga, czemu się cieszę, i wiem jak z milionami będziemy wyglądali. Przecie nawet ruski chłop mówi: *Prybud' szczastie, rozum bude*. Sama się zadziwisz, jak łatwo będziesz grała rolę wielkiej pani! O! Maryniu! czy przypuszczaliśmy kiedy coś podobnego!

— A wiesz, Władziu, co mi teraz na myśl przyszło?

— Radbym usłyszeć.

— Teraz, gdy tyle będziemy mieli pieniędzy, powinien byś pamiętać także o swoim przyjacielu.

— O Szczerbanowskim?

— Tak jest, o panu Włodzimierzu...

— Że ci też on tak często na myśl przychodzi, Maryniu?

Siostra objęła brata za szyję, i miłośnie woczy mu się wpatrując, zapytała:

— Alboż go nie kochasz? Alboż nie jest twoim przyjacielem? A tym, których ty kochasz, mogłabym nie być życzliwą?

— Skoro mu tak dobrze życzysz, to nie kłopotz się jego losem, moja droga. Chłopiec opływa, jak pączek w maśle, i chyba mu brakuje mleka ptasiego. Niedawno hrabina wyjechała z całym domem do miasta, ręczę więc, że Włodzimierz bywa wszędzie, je doskonale, pije, i...

— I co? — podchwyciła.

— I... i nie nie robi! — dokończył.

— Lecz czy pamiętasz Władziu, jakieś raz mówił, że ona młodych ludzi gubi? Wprawdzie potem usiłowałaś mi to na dobre wytłumaczyć, ale mimo to nie uspokoiłaś mnie całkiem... Skoro on z biedy został guwernerem, bo nie miał za co uniwersytetu ukończyć, więc teraz powinien byś mu dopomóc i wydobyć go z tego domu.. Uczynisz to Władziu?

— Będę się starał, lecz czy mi się uda, nie wiem... Tobie się zdaje, że on nieszczęśliwy, a on może najszcześliwszy z ludzi.

— Doprawdy?

— Nieinaczej.

Chciała dalej jeszcze mówić, i byłaby o obiedzie całkiem zapomniiała, gdyby nie głos ojca, który syna wołał. Władysław pobiegł do drugiego pokoju, ona zaś odeszła krokiem wolnym. Po chwili rozmawiała z kucharką, wydawała ze spiżarni, ale wszystko to czyniła tak jakoś opieszale, bezmyślnie, jakby jej dusza

nie była z nią razem tu obecna, tylko gdzieś daleko błędziła. Prócz tego zamiast cieszyć się jak brat z wielkiego majątku, czuła, że serce żalność jej zalewa, a do oczu łzy cisną się gwałtem...

P. Oliński nie prędko zrozumiał i oswoił się z tem, co go spotkało. Nie był on tyle przytłoczony szczęścia ogromem, ile zdumiony wypadkiem, którego ani pragnął ani nie przewidywał. Kilkakrotnie przecierał oczy, jakby chciał się upewnić, że nie śni.

Grzmotowicz złożył z dyplomacji egzamin z wyszczególnieniem. Uderzywszy raz w struny patriotyczne, grał na nich bez wytchnienia, znajomość bowiem świata, i ludzi powiedziała mu, że ten szlachcic cichy, skromny a zacny, ma swoje ideały. Kto więc przed nimi się ukorzy, ten niewątpliwie zdobędzie najpierw jego życzliwość, potem zaufanie. I nie zawiódł się w swoim obliczeniu. Stawiając ciągle na piedestału tylko tych ludzi, co się bezinteresownie dla ojczyzny poświęcają, sławiąc naszych poetów, których dzieła bystre jego oko dojrzało na stole i w szafce oszklonej, wreszcie wynosząc pod niebiosa co wzniosłe i szlachetne, a potępiając równocześnie prywatę i sobkostwo, tak tem olśnił p. Olińskiego, że ten wszystko puścił w niepamięć, mianowicie dość niegrzeczne przyjęcie, jakie go ongi spotkało w kancelarji dra. Sakowicza i bliższe stosunki Grzmotowicza z hr. Czarnokońskim, do którego

miął żal słuszny — poczem gościowi swemu zaczął przypatrywać się okiem coraz łaskawszem a to u niego było już zapowiedzią zupełnej ufności.

Co do syna gospodarza, tego Kazio nawet zjednywać sobie nie potrzebował. Władysław spoglądał nań ciągle jak na wielkość, którą wolno mu tylko było podziwiać i naśladować. Grzmotowicz, między młodzieżą arystokratyczną, mógł mieć sobie niechętnych, wszelako dla drobnej szlachty wiejskiej, dowiadującej się jedynie z gazet o tem, co się w świecie dzieje, był zawsze zjawiskiem niezwykłym. Wszak nazwisko jego było już w kraju głośne, a prócz tego miał rozum, dobrą postawę, ubierał się według ostatniej mody, i co najważniejsze, zdobył sobie stosunki w sferze najwyższej, a to dla parafian będzie miało zawsze urok wielki, siłę prawie czarodziejską.

Grzmotowicz tak był uważającym, że chociaż z ojcem ciągle rozmawiał, nie zapominał także o córce, dla której miał bez przerwy słodkie spojrzenia i słowa uprzejme. Marynia słuchała, odpowiadała, ale chociaż o jej uszy obić się nie jeden komplement, wcale się nie rumieniła, tylko wpatrując się w mówiącego swemi dużemi oczyma, zdawała się nad tem zastanawiać co usłyszała.

Kazio mierzając ją bystrem spojrzeniem, nie mógł w duchu nie przyznać, że młode to dziewczę, jakkolwiek w skromnej sukience i zacze-

sane po wiejsku z warkoczami na ramiona spadającymi, było bardzo ładne, piękne prawie. Zdawało mu się tylko, że w ruchach nie miała jeszcze dosyć dystynkcji, lecz czego to się nie można nauczyć, gdy się ma miliony!...

Odkąd zrobił to spostrzeżenie, coraz częściej wysyłał ku niej uśmiechy i spojrzenia, wieczorem zaśpiewał jej piękną dumkę, był bowiem muzykalny, i głos miał przyjemny, a gdy p. Oliński wspomniał coś o poetach i Wallenrodzie, stanawszy na środku pokoju, jednym tchem, i do tego bardzo dobrze oddeklamował „Alpuhare“. Gospodarz był uniesiony, Władysław gościa drugi raz uściskał, i tylko jedna Marynia patrzyła jak przedtem spokojnie, swemi dużemi, czarnemi oczyma....

Grzmotowicz korzystając z zaproszenia p. Olińskiego, postanowił przenocować, nazajutrz zaś do dnia mieli wszyscy, z wyjątkiem Maryni, pojechać na pogrzeb pani Dobrzynieckiej.

Gdy gość udał się do swego pokoju, ojciec rzekł do syna:

— Pomódl się dziecko, i podziękuj Bogu, bo stał się cud, na jaki nie zasłużyliśmy sobie niczem w życiu.... Proś go także, by nas nauczył, jakeśmy z jego dobrodziejstwa powinni korzystać, bo nie sztuka, mój Władziu, mieć majątek, lecz sztuka umieć go dobrze użyć.

Syn słuchał z oczyma spuszczonemi, ale nic nie odpowiedział. Potem ojciec zapytał:

— Pójdiesz jeszcze do pana Grzmotowicza?

— Pójdę... zaniiosę mu gazetę, może będzie czytał.

— Idź, idź, to człowiek zacny i dobrze myślący. Jak to nigdy z pozorów ludzi sądzić nie można. Dawniej, gdy go widywałem w kancelarii adwokata Sakowicza, wcale mi się nie podobał, przyznam ci się, że także dość niechętnie czytywałem o nim w gazetach, a tymczasem to człowiek taki bezinteresowny! Chociaż nas prawie nie znał, po tych drogach aż tu się trudził, żeby nam dobrą nowinę zwiastować... O! trzeba mu koniecznie jakoś to wynagrodzić, najlepiej na św. Kazimierza... Idź, Władziu, idź!

Syn odszedł, ojciec zaś ukląkł przed swoim łóżkiem i zaczął modlić się gorąco.

Grzmotowicz jeszcze nie spał, choć już w łóżku leżał, gdy Władysław wszedł do jego pokoju. Wyciągnawszy rękę ku młodemu człowiekowi, posadził go obok siebie i szepnął:

— Nie chciałem przy ojcu mówić o życiu rozkosznym, jakie was, a właściwie pana czeka teraz na wielkim świecie, szlachta bowiem, do której ojciec pański należy, ciągle jeszcze marzy o jakichś tam cnotach staropolskich, które, mówiąc między nami, psu na budę się zdały. Dobrze one dla ludzi starych i biedaków, lecz nie dla takiego jak pan, do którego życie się uśmiecha!... Wszak cała sztuka umieć żyć i

użyć... Trzeba tylko, mój młody przyjacielu, abyś w mieście nie czynił nic na oślep, wpierw mnie się nie poradziwszy. O krok fałszywy, zwłaszcza wśród ludzi, których się nie zna jeszcze, bardzo łatwo, a to by się mogło zemścić na tobie. Ja zaś, który znam sfery najwyższe jak złamany szeląg, tak tobą pokieruję, że mi z pewnością wdzięcznym będziesz. A teraz na dowód, że chcę być wiernym twoim przyjacielem, upoważniam cię, byś mi odtąd „ty“ mó wił.

Z temi słowy objął go za szyję, Władysław zaś przycisnął z uniesieniem do swej piersi nowego przyjaciela.

Koniec tomu I.

*El. Orzechowa***DZISIEJSI BOHATEROWIE.**Tom II.

wp.

H. Wreszkowa.

JÓZEF ROGOSZ.

DZISIEJSI BOHATEROWIE

Powieść współczesna

w dwóch tomach

Difficile est satyram non scribere.

Tom II.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA.
Z drukarni „Gaz. Nar.“ J. Dobrzańskiego i K. Gromana.
1884.

Tegoż Autora wyszły dotąd:

<i>Wojewodzie, powieść obyczajowa</i>	2 tomy
<i>Złamane serca, " "</i>	2 tomy
<i>Tak być musiało " "</i>	1 tom
<i>Pokuta " "</i>	1 tom
<i>Zdrajca, powieść społeczna</i>	2 tomy
<i>Motory życia " "</i>	4 tomy
<i>Kalejdoskop (Kłosy r. 1883) pow. społeczna</i>	2 tomy
<i>Dzisiejsi bohaterowie, " "</i>	2 tomy
<i>Marzyciele, powieść historyczna</i>	3 tomy
<i>Ostatni karmazyn, powieść historyczna . .</i>	1 tom
<i>Ostatni Szaraczek, " "</i>	1 tom
<i>Choroby Galicyi, obrazy społeczne . . .</i>	2 tomy
<i>Wspomnienia z Włoch, obrazy społeczne</i>	1 tom
<i>A. Grottger, J. Matejko, studja</i>	1 tom

Pod prasą:

W śmiertelnych zapasach, powieść społeczna w 2 tom.
Dla idei, powieść historyczna w 2 tomach.

Wkrótce wyjdzie:

*Na dziejowym przełomie, powieść historyczna z wie-
ku XV. w 4 tomach.*

Difficile est, satyram non scribere

I.

Moralisci.

Już dość dawno, jakeśmy nie widzieli Włodzimierza Szcherbanowskiego. I nawet dobrze się stało, żeśmy jego spokoju nie mącili, bo jeśli kto, to on, znajdował się w stosunkach, które lubo, iż są bardzo przyjemne, nie koniecznie znoszą blask światła dziennego. On atoli swego położenia jeszcze nie zrozumiał, i dotąd poczytywał się za najszcześliwszego z ludzi.

Od miesiąca bawił w mieście, dokąd hrabina na całą zimę zjechała, wynajawszy na ten cel jedną z piękniejszych kamienic. Na pierwszym piętrze mieszkała z synem, którego Włodzimierz, jako mentor, nie odstępował; na drugim hrabia ze służbą. Życie płynęło im swobodnie i wcale przyjemnie. Włodzimierz miał nie tylko wszelkie wygody i dobrą pensję, lecz także, ilekroć zechciał, mógł wyjechać czy to powozem, czy konno, w stajni bowiem stały zawsze dwa wierzchowce, jeden dla Gucia, drugi dla niego.

Z początku nigdzie nie chodził, krom do dawnych znajomych lub kolegów; wszakże powoli tak się jakoś złożyło, że prawie wszędzie, gdzie hrabina z synem bywała i on się pojawiał. Czynił to zaś nietylko z posłuszeństwa dla niej, gdyż wprost tego odeń żądała, lecz także dla dogodzenia coraz bardziej budzącej się w nim miłości własnej. Bądź co bądź, młodzieniec jego sfery, a przy tem ambitny, czuł się nad wszelki wyraz szczęśliwym, że mógł tam być, dokąd mu dawniej nawet w marzeniach nie było wolno wlatywać. Hrabia sam nigdzie im nie towarzyszył, ten bowiem miał własne stosunki i przyjemności.

Włodzimierz dotąd nie zauważał, żeby mu gdzie chciano ubliżyć. W niektórych domach przyjmowano go z większą uprzejmością, w innych może trochę chłodniej, lecz wszędzie grzecznie. Jeden tylko Leander Wolewicz, który także na zimę do miasta przyjechał, usiłował mu kilka razy zaimponować; Włodzimierz jednak zbył to uśmiechem, co mu tem łatwiej przyszło, że dziedzic Kociejowa, mimo całej swojej pretensji do „szyku“, nie tylko nie umiał sobie wśród złotej młodzieży wywalczyć stanowiska wybitniejszego, lecz przez wielu był nawet wprost wyśmiewany.

Miedzy osobami bywającemi u hrabiny, znalazła się atoli jedna, której Włodzimierz chętnie unikał, a tą był Markiz. Złośliwy ten człowiek, nie robiący sobie nic z niczego i z

nikogo, nieraz rzucał mu spojrzenia tak szyderskie, słowa zaś tak uszczypliwe, że młody nasz przyjaciel nie wiedział co z sobą zrobić. Mimo to nie powiemy, by Markiza nie lubił. Przeciwnie, choć bał się go jak ognia, miał dlań wewnętrzną sympatję, przeczucie bowiem ciągle mu powtarzało, że ten człowiek wcale nie jest zły, choć ma tak zły język.

Włodzimierz dotąd jeszcze nie pytał swego sumienia, ażali rola, jaką gra w domu pani Zefiryny, jest uczciwa i honorowa. Uczynił to dopiero pierwszy raz po poznaniu się z Markizem, i odtąd powtarzało się to za każdą jego bytnością u hrabiny; a że zawsze po takim zapytaniu czuł natychmiast w twarzy gorąco, jak ongi, gdy mu na myśl przyszedł p. Oliński i Marynia, więc łatwo teraz zrozumiemy, czemu Markiza bał się i unikał.

Włodzimierz miał dosyć pieniędzy, gdyż prócz pensji miesięcznej, hrabina, licząc się z jego drażliwością, umiała pod najrozmaitszemi pozorami zasilać jeszcze dodatkowo kasę biednego mentora. Wszakże na jego korzyść musimy powiedzieć, że pieniędzy ani nie trwonił, ani ich na swoje przyjemności nie obracał. Głównym jego wydatkiem była garderoba, którą miał świetną; co się zaś po niej zostawało, odsyłał ojca. I dobrze czynił, jeżeli kto bowiem, to jego ojciec pieniędzy bardzo potrzebował.

Był on księdzem ruskim, na maleńkiej parafijce, o której inni księża żartobliwie mó-

wili, że gdy w jego parafii pies się położy, to koniec ogona ma na jednej jej granicy, nos zaś na drugiej. Ale mimo że dochody jego były szczupłe, nie mógł się skarżyć na życia jednostajność. W ciągu lat dziesięciu, żona powiła mu jedenastu synów, z których żaden nie umarł. Za to ona biedaczka po ostatniem dziecku, osierociła dom biednego księdza, którego była podporą i pociechą.

Ojciec śpiewał akafysty, zbierał chleby i knysze, czasem w kącie cicho popłakał, ale jakoś wychował swoje dzieci. Raz, gdy mu już było najgorzej, stał się cud, i ten mu dopomógł. Do szkół miał właśnie odwieźć czterech synów, między tymi także Włodzimierza, a w kieszeni nie było ani grosza. Wprawdzie chłopcy nie wiele go kosztowali, gdy już raz byli w mieście, tam każdy z nich łatwo dostawał lekcje, ojciec zaś co mógł, to im posyłał: mąkę, krupy, knysze, lecz największy był kłopot jak ich odwieźć, żaden bowiem nie miał ani butów na nogach ani dobrego na sobie odzienia.

Nazajutrz powinien był koniecznie wyjechać, jeżeli chciał, by chłopcy roku nie stracili; w kieszeni jednak ciągle nic nie było. Zakłopotany, poszedł do dnia odprawić mszę w cerkwi, która stała niedaleko od probostwa. Skończywszy nabożeństwo, ukląkł i modlił się długo a gorąco.

Miedzy probostwem a cerkwią był kawałek ogrodu. Na tem miejscu, według poda-

nia utrzymującego się we wsi, stała przed stu laty parochia, która spłonęła od piorunu, ksiądz bowiem ówczesny był człowiek zły i cheiwy. Gdy nasz proboszcz teraz tędy przechodził, wzrok jego zatrzymał się na jakimś przedmiocie niewielkim a świecącym. Schyla się, patrzy ciekawie, kilkakrotnie przedmiot znaleziony w ręku obraca i ledwie własnym oczom może dać wiarę. Wszak to dukat obrączkowy! Schyla się, szuka, widzi drugiego, trzeciego dukata. Przywołuje synów, zaczynają wszyscy szukać, kopać i do południa znajdują dziesięć dukatów. Stał się więc cud prawdziwy, i biedny ojciec odwiózł chłopców do szkoły.

Włodzimierz dobrze pamiętał tę chwilę, a że do braci bardzo był przywiązany, ojca zaś od dziecka czcią otaczał, więc każdy grosz, jaki mu teraz zbywał, jemu posyłał, by ostatnich trzech synów miał zaco na ludzi wykierować. Starsi mieli już w ręku kawałek chleka. Dwaj byli księżmi, inni urzędnikami, a jeden gimnazjalnym profesorem na Mazurach.

Włodzimierz bardzo się ucieszył, usłyszawszy, że p. Oliński odziedziczył olbrzymi majątek po hrabinie Dobrzynieckiej. Ale mimo to ani do Nowosiółek nie pojechał, by mu złożyć swoje gratulacje, ani w mieście go nie odszukał, gdy tenże przybył na pogrzeb swojej kuzynki. Nawet Władysława nie pragnął widzieć, chociaż niedawno jeszcze tak go kochał, o Maryni zaś bał się nawet myśleć... Teraz przynaj-

mniej mógł się tem tłumaczyć, że odkąd oni takimi panami zostali, on, biedny nauczyciel, nie powinien wciskać się do ich domu, by nie sądzili, że wprasza się w ich łaskę. W ten sposób usprawiedliwiał się sam przed sobą, ale mimo to rumienił się, gdy o nich myślał...

Raz, nad wieczorem, hrabina dając mu kwotę znaczniejszą, rzekła:

— Bądź tak dobry, mój panie Włodzimierzu, i potrudź się do naszego Markiza, gdyż potrzebuję szampana na bal, który za kilka dni u nas się odbędzie. Powiedz mu tylko, że go proszę, by wino było lepsze, niż jego język.

O! jakże chętnie byłby się od tej usługi wymówił! Lecz czy mógł to uczynić? Gdzież mężczyzna jak on, młody a ambitny, któryby się odważył powiedzieć kobiecie przez siebie ubóstwianej, że tej lub owej rzeczy dla niej nie uczyni, bo się boi? Włodzimierz nie krył przed sobą, że się Markiza bał jak ognia, lecz przed hrabiną musiał to taić.

Wziął pieniądze, pocałował rączkę, którą mu je z uśmiechem podała — i odszedł z czołem zaspionem.

Markiz mieszkał w małym dworku pod rogatką. Mieszkanie taniej go tam kosztowało, zresztą miał dużą i suchą piwnicę, prócz tego na przedmieściu mógł łatwiej parę koni utrzymać, których potrzebował do częstych wycieczek po prowincji.

Właśnie cygaro paląc stał przed oknem, i

palcami na szybie jakiegoś marsza wybębniał, gdy Włodzimierz furtkę otwierał. Po ustach przemknął mu uśmiech złośliwy.

— Ciekawym, czego ten chce odemnie — pomyślał do drzwi się obracając.

Wszedł Włodzimierz krokiem dość niepewnym i po pierwszych słowach powitania, rzekł do gospodarza:

— Przyszedłem do pana dobrodzieja po 50 butelek najlepszego szampana.

— Pan dla siebie potrzebujesz?

— Nie... pojutrze bal u nas...

— Prawda, zapomniałem!... Ale kto panu polecił ten sprawunek, hrabina czy hrabia?

Włodzimierz nie wiedział jaką dać odpowiedź. Markiz postrzegłszy jego wahanie dodał:

— Muszę to koniecznie wiedzieć, bo innego mam szampana dla dam, a innego dla panów. Mężczyźni potrzebują takiego co wzmacnia, panie takiego co rozmarza... A więc kto pana przysłał?

— Hrabina.

— Nie wątpię! — tak drwiąco odrzucił, że Włodzimierzowi od razu fala krwi do głowy uderzyła.

— Sądzę, że nie wiele powinno to pana obchodzić, z czyjego polecenia przyszedłem, jestem bowiem interesentem, który kupuje, pan zaś...

Urwał.

— Handlarzem, który sprzedaje, chciałeś dokończyć mój młody przyjacielu — Markiz podchwycił. — Nie żenuj się pan, i mów co ci się tylko podoba, bo za to u mnie się nie płaci... Pamiętaj jednak, że jestem tak dobrze handlarzem jak człowiekiem złośliwym...

— Wiem o tem.

— Skoro pan wiesz, więc zapewne nie wiesz mi za złe, jeżeli sobie pozwolę nieco złośliwości. Usłyszawszy że pana hrabina tu przysłała, pomyślałem sobie zaraz, że pan w jej domu odgrywasz tę samą rolę, co w Niemczech *Mädchen für Alles*.

— Panie! — młody człowiek zawołał.

— Tylko nie unos się bezpotrzebnie, mój młody przyjacielu — Markiz rzekł spokojnie. — Wszak gniewać się można jedynie za potwarz, nigdy za prawdę. A ja, czym się potwarzy dopuścił? Wszak jesteś pan guwernerem jej syna, z którym cygara palisz; jesteś jej masztalerzem, bo z nią konno jeździsz; jesteś jej towarzyszem, bo wszędzie się pojawiaasz; wreszcie jesteś zarządcą jej domu, bo do mnie po wino przyszedłeś. Powiedz mi teraz, mój piękny kawalerze, nie jestże to rola takiej *Mädchen für Alles*, tylko rodzaju męskiego?

— Jakiem prawem śmiesz mnie pan obrażać w swoim domu? — krzyknął Włodzimierz gwałtownie. — Ja za tę zniewagę będę żądał...

— Satysfakcji? — Markiz spokojnie dokończył. — O! jeżeli tylko tej drobnostki, to

zaraz mogę nią panu służyć. Jak widzisz, na tej oto ścianie wiszą szpady i pistolety, proszę wybierać, i mogę cię upewnić, mój piękny kawalerze, że nierównie prędzej na tamten świat pojedziesz, niż na ten przyjechał...

Ton Markiza tak był drwiący, że Włodzimierza na wskrósł przeszywał. Ale mimo to, i chociaż nie był tchórzem, nie chwycił ani za szpadę, ani za pistolet, tylko stał na dawnym miejscu i okiem ponurem wpatrywał się w mowiącego. Bądź cobądź, ten człowiek mu imponował, tem bardziej, że z wszystkich, których w ostatnich czasach poznał, ten jeden wydawał mu się w gruncie najbardziej uczciwym.

— Mój panie, radbym właściwie wiedzieć, czego chcesz odemnie, i za co mnie znieważasz? — nareszcie głucho zapytał.

— Od pana chcę tylko prawości charakteru, znieważam zaś pana jedynie dlatego, że ci dobrze życzę.

— Cha! cha! cha! szczególna życzliwość!

— Nie śmiej się tak głośno, mój piękny kawalerze, bo gotowa na tobie stwierdzić się prawdziwość przysłowia, że kto się na początku śmieje, ten na końcu płacze; a ja bym tego nie chciał, zwłaszcza w moim domu... Zostawmy jednak żarty na boku, i pomówmy z sobą całkiem serjo. Powiedziałem panu, że dlatego go obrażam, ponieważ mu dobrze życzę, i zaraz to bliżej wyjaśnię. Od pierwszego wejścia powziąłem dla pana sympatję, nieklamana,

szczera, bo wydałeś mi się człowiekiem dobrym, niezepsutym, który, jeżeli co złego robi, czyni to bezwiednie, nad takimi zaś trzeba się tylko litować, lecz ich nie wolno potępiać.

— Dziękuję za współczucie — przerwał mu młody człowiek z uśmiechem ironicznym.

— Podziękujesz mi pan przy końcu, gdy mówić przestanę, teraz proszę mi nie przerywać. Otóż, jak powiedziałem, mam dla pana sympatię, i ta mi mówi, żeś cię powinien ostrzedz, byś nie utonął, utoniesz zaś niewątpliwie, jeżeli się będziesz trzymał hrabiny.

— Panie! proszę dam nie mięszać do naszej rozmowy!

— Ho! ho! ho! jaki z pana trubadur waleczny! Lecz rozważ, że dziś czasy inne, materialne, a w dodatku jam cynik, niemogący uwierzyć w pewne ideały... Otóż powiedziałem, i raz jeszcze powtarzam, żeś powinien ustąpić z zajmowanego obecnie stanowiska i takowe komu innemu zostawić.

— Najprawdopodobniej panu — Włodzimierz szydersko podchwycił.

— Mylisz się mój młody kawalerze — markiz obojętnie odrzucił. — Ja mam już lat czterdzieści i głowę łysą, a więc dwa przymioty, w których piękne damy nie gustują... Zresztą ja ją znam od lat dwudziestu, kiedy tobie, mój piękny kawalerze, jeszcze nossek obcierali, ale chociaż pół miliona w Paryżu straciwszy, do domu niegdyś wróciłem goły jak święty ture-

cki, nie poszedłem jednak w ślady owych paniczów, co to wisząc przy kobiecie lekkich obyczajów, a bogatej, żyją życiem najędźniejszych pasożytów. Jeśli chcesz, gniewaj się, mój panie, lecz mimo to ja ci prawdę powiem, bo mi cię żał serdecznie. Czyż to pięknie, aby człowiek młody, pełen sił i niepozbawiony zdolności, zamiast pracować uczciwie, odgrywał w domu kobiety bogatej rolę *Mädchen für Alles*? Czy sądzisz, mój kawalerze, że świat nie wie, kto ci trzyma wierzchowca, kto sprawia modne tużurki, drogie pierścienie, i że się nie domyśla, za co cię zbytiami obsypują? A jeżeli mimo to świat grzecznie cię przyjmuje, to nie dla tego, iżby ci to za dobre poczytywał, lecz z tej prostej przyczyny, że ludzie korząc się przed bogactwem, sami do tego stopnia spodleli, iż na słowo prawdy żaden z nich zdobyć się nie może! Ja jednak chcąc być innym, jestem aż niegrzeczny w moim własnym domu, wszelako czynię to przez sympatię dla pana. Teraz zaś, gdy już wszystko wypowiedział, co mi na sercu ciążyło, podaję ci mój młody przyjacielu rękę, na znak, że cię nie potępiam, a tylko nad tobą ubolewam. Gniewasz się pan jeszcze na mnie?

Włodzimierz stał, ponuro w posadzkę zaopatrzony. Gdy markiz jego ręki zażądał, podał mu ją machinalnie, lecz w tejże chwili odwrócił się i cwałem wybiegł z pokoju.

Markiz patrząc nań przez okno, mówił do siebie:

— Wstydzi się, ucieka... Nie całkiem jeszcze zgubiony... Będą z niego ludzie!..

O tej samej godzinie, w gabinecie hr. Albina Albińskiego widzimy Leandra Wolewicza. Hrabia na pół leży w miękkim fotelu, mając oczy przymrużone. Godzina to poobiedna, a że kucharz dał dziś na stół pasztet całkiem nowy, przedziwnego smaku, hrabia zatem spokojnie teraz trawi i marzy. Ze słodkiej beczczynności, w którą, razem z ciałem, popadł duch jego, nie mogą go nawet wyrwać słowa Leandra, serdecznego przyjaciela, który dziś postanowił przypuścić doń ostatnie ataki.

Leander już oddawna nosił się z wielkimi myślami. Odkrycie, uczynione ongi w lesie, teraz zaś pewność niezbita, że ta, o której od lat kilku marzył, stanowczo przeniosła nad niego jakiegos tam guwernera i w dodatku syna „popskiego“, taką goryczą, przytem zawziętością, serce mu napełniła, że bądź co bądź postanowił ostatnie sprężyny poruszyć, byle tego złamać, który go upokorzył. O! Leander nie mógł bez zgrozy o tem pomyśleć, że jakiś tam chłystek ni z pierza ni z mięsa, nie mający ani antenatów, co pod Cecorą na hanach tatarskich żelazne zbroje zdobywali, ani rozległych włości z pałacami, parkami i zbrojowniami, że jakiś tam chudeusz mógł odnieść pierwszeństwo przed nim, Leandrem Wolewiczem, przyszłym dziedzicem Kociejowa z przyległościami, pierwszym lwem powiatowym i pierwszym sportsmenem na sześć mil w około.

Był czas, że liczył na kapryśność tej pięknej kobiety. — Sprzykrzy jej się — w duchu się pocieszał — i pożegna go, jak tylu innych.. Wtedy ja się wysunę. — Cekał więc jakiś czas dość cierpliwie, wszelako gdy zobaczył, że piękne nadzieje nie chcą się ziścić, postanowił użyć innej broni. Oto zaczął z góry traktować guwernera, myśląc, że tem niewątpliwie zmusi go do ustąpienia z zajmowanego stanowiska. Gdy jednak i to nie pomogło, Włodzimierz bowiem, na każde zuchwałe spojrzenie, jeszcze zuchwalszem sam odpowiadał, nasz bohater postanowił uderzyć w całkiem inną stronę. Bystry jego umysł powiedział mu teraz, że najlepszym jego sojusznikiem, może być tylko sam mąż pani Zefiryny.

— Dziwi mnie niezmiernie, mój drogi Albinie — mówił też teraz do niego dym z cygara puszczając — że Guciovi wziąłeś jeszcze mentora. Chłopiec prawie pod wąsem, mógł by się dziś ożenić. Czegoż go więc ten popowicz nauczy? Chyba zamiast w djabełkę wyćwicz go w straszaka, bo to ulubiona gra ruskich popów.

Hrabia wydał usta, wypuścił spory zapas powietrza, i rzekł obojętnie:

— Im więcej się umie, tem lepiej...

— Prawda... lecz czy do takiej rzeczy warto trzymać nauczyciela? Gdyby choć dobrze konno jeździł, to jeszcze bym ci się nie dziwił,

ale ten popowicz siedzi na koniu, jak pies na płocie.

— Ja się tam na tem nie wiele znam, mój Leandrze, do sportu nie miałem nigdy szczególniejszego pociągu, hrabina jednak, która jest przecież w tem specjalistką, utrzymuje, że młody ten człowiek jeździ wyśmienicie.

— Ale jak można mówić coś podobnego! — zawołał Leander z oburzeniem. — Popatrz tylko, mój drogi, jak on w siodle się trzyma.

To powiedziawszy, skoczył na krzesło najbliższe, i usiadłszy na niem po napoleońsku, zaczął pociesźnie wymachiwać rękami a nogami wyrzucać.

— Trzeba być ślepym, żeby się na takiej jeździe nie poznać — dokończył.

— Rzeczywiście... jeżeli tak jeździ, to nie-szczególnie — gospodarz wycodził — i dziwi mnie, za co go hrabina tak chwali.

— A mnie jeszcze bardziej! — Leander podchwycił.

— Trudna rada, mój drogi, damy mają swoje kaprysy.

— Niech je mają, lecz niech przynajmniej wiedzą, jak niemi kierować... Ręczę, że ten popowicz musi cię nawet drogo kosztować.

— O! i bardzo!

— I pięknie to, mój Albinie, że takiego próżniaka jeszcze opłacasz?

— Trudno, żeby mentor nie brał pieniędzy.

— Ależ to nie mentor, Albinie! Gucio niedawno temu przyznał mi się pod słowem honoru, że ten popowicz literalnie niczego go nie uczy, bo prawdopodobnie sam nic nie umie. Powiedz mi teraz, czy godzi się, aby taki człowiek brał sutą pensję? Rozważ tylko, że w czasach dzisiejszych, gdy nędza jest tak ogólna, opłacanie darmozjadów jest rzeczą nawet niemoralną.

— Doprawdy? — hrabia zapytał.

— Ależ tak, mój drogi! I jeżeli tylko zechcesz, ja temu wszystkiemu zaradzę.

— Istotnie? Radbym wiedzieć jak.

— Ja chętnie tego popowicza zastąpię za darmo, jedynie z przyjaźni dla ciebie!

Hrabia, który dotąd oczy miał zmrużone, szeroko je teraz otworzył, i najpierw wypatrzył się na mówiącego, potem zmierzył go od stóp do głowy.

— Ha! pomów o tem z hrabiną — odrzekł ramionami wzruszając — ja się do syna nie mięszam...

Leander oniemiał. Na wszystko był przygotowany, tylko nie na taką odpowiedź. Siedział też jak fizyk, i byłby więcej ust nie otworzył, gdyby nie gospodarz, który go wybawił z kłopotliwego położenia.

— Wspomniałeś coś, mój Leandrze, o niemoralności — rzekł po chwilowej przerwie — lecz pewnieś nie przypuszczał, że i ja sam o niej myślę oddawna. Niemoralność w rzeczy sa-

mej jest u nas wielka, i to wszędzie, w literaturze, sztuce, w urzędach, nareszcie w życiu politycznym i prywatnym. Bo na przykład, czy to rzecz moralna, aby taki Grzmotowicz dążył do władzy, lub żeby pierwszy lepszy chłystek wciśkał się do naszych salonów, i nas samych chciał z nich rugować...

— To przedewszystkiem jest bardzo niemoralne! — Leander przerwał.

— Zupełną masz rację — hrabia potwierdził. — Niemoralność jest więc powszechna, jak gangrena toczy ona społeczeństwo, obowiązek przeto nakazuje nam, których sama Opatrzność przez urodzenie postawiła na straży porządku społecznego, pracować gorliwie nad usunięciem tej choroby niebezpiecznej. Leandrze, cóż ty na to?

Zapytany przysunął się bliżej do mówiącego, i w nadziei, że dusza jego zboliała nareszcie coś pocieszającego usłyszy, odpowiedział:

— Każde twoje słowo, Albinie, to szczere złoto!

— Skoroś tego samego co ja zdania, więc teraz powiem ci pod sekretem, z jakim się planem noszę. Wkrótce założymy wielki klub moralistów, do którego wejdą wszyscy ludzie dobrze urodzeni i dobrze myślący. W kasynie wspomniałem już o tem kilku osobom, i myśl moja wielce im się podobała. Ale ponieważ klub taki, choćby najliczniejszy, nie będzie nigdy wielkiego wpływu wywierał, jeżeli nie znajdzie

ludzi, którzyby jego zasady na zewnątrz głosili i rozszerzali, przeto postanowiłem urządzić szereg prelekcij, na oko niby literackich, w gruncie rzeczy jednak społeczno-politycznych, w których będą najszczerze koła zapoznawał z zasadami naszego klubu.

— Albinie! myśl twoja jest genialna! W tych prelekcjach będziesz więc mówił o ludziach, wściskających się przemocą w obcą im sferę, i jak należy będziesz ich piętnował.

— Ma się rozumieć, wszak jedno z drugiego wypływa.

— W takim razie możesz na mnie liczyć jak na Zawiszę, i zaraz wpisz mnie do swego klubu...

— Dobrze, mój Leandrze. Teraz zaś podaj mi rękę na znak, że nas wspólność idei łączy.

Leander serdecznie dłoń mu uściśnął.

— Tak jest, wspólność idei i niedoli — w myślach odpowiedział, głową smutno potrząsając.

II.

Przed wyborami.

W całym kraju ruch niezmierny. Za miesiąc nastąpią powszechne wybory do sejmu i wiedeńskiej Rady państwa, więc kto może krząta się, by go wypadki nie zaskoczyły. Ten fraka z siebie nie zrzuca, bo od rana do wieczora jeździ po mieście i osobom wpływowym wizyty robi, żeby przypadkiem która z nich nie zechciała przeciw niemu agitować. Tamten, na prowincji, ustroił się w kontusz, i chociaż droga najgorsza, jedzie rzemiennym dyszlem od sąsiada do sąsiada, od szlacheica do szlacheica, jednych całuje i ściska, drugim kłania się nisko, wszystkim zaś złote góry obiecuje, byle go za to mandatem obdarzyli. Szlacheice przyjmują serdecznie kochanego sąsiada, podziwiają jego cnoty, rozum i wymowę, wielbią przenikliwość polityczną, i jednomyślnie przyrzekają na niego głosować, bo czyż między nimi mógłby znaleźć się człowiek do tego stopnia niedobry, odarty z wszelkiej czci i wiary, iżby się ośmielił odmówić tej drobnostki swemu sąsiadowi, a mężowi w powiecie tak zasłużonemu?

Ci, co już oddawna stoją na świeczniku, nie bawią się w takie rzeczy. Oni zawiązują tylko komitety przedwyborcze, którym pozwalają za sobą agitować, aby broń Boże polityka krajowa nie poszła na manewce. Do tych w pierwszym rządzie należeli hr. Hieronim Czarnokoński i dr. Kazimierz Grzmotowicz.

Hrabia z Wiednia wróciwszy, gdzie trzy tygodnie spędził, nikomu wprawdzie nie powiedział, co zrobił, ale ponieważ przedtem jeszcze doniosły były dzienniki wiedeńskie, co miejscowe niezwłocznie za niemi powtórzyły, że hrabia był na posłuchaniu u cesarza, i złożył wizyty wybitniejszym ministrom, więc każdemu było teraz wolno wszystkiego domyślać się i spodziewać. Hrabia ze swej strony zręcznie to podsycił, robiąc takie miny które dawały wiele do myślenia, tudzież rzucając słowa urywane, jak: „Hm... zobaczmy... mam nadzieję, że będzie lepiej“ — i tym podobne.

Zaledwie w mieście stanął, Grzmotowicz, który go niecierpliwie wyglądał, przyszedł doń zaraz z ważną wiadomością. Oto marszałek jego powiatu, usłyszawszy od pana Wolewicza i reszty członków pamiętnej deputacji, że hrabia dla dobra kraju postanowił wyjść z dotychczasowej rezerwy, niezwłocznie złożył swoją godność, poczem Rada powiatowa na walnem posiedzeniu wybrała hrabiego swoim marszałkiem. Przy wyborze, chłopci i księża rusczyli mu z początku przeciwni, wszelako gdy paroch

zawadowiecki upewnił ich uroczyście, że jego kolator jest dla Rusinów jak najlepiej usposobiony, ponieważ grając z nim ostatni raz wista, kilkakrotnie z naciskiem powtórzył, że Rusini powinni koniecznie coś otrzymać, bo jeszcze mało mają, wtedy chłopci i księża stanęli po stronie większości, dzięki czemu wybór hrabiego został jednogłośnie dokonany.

Hrabia umówiwszy się z Grzmotowiczem, kiedy do miasta przyjedzie, aby komitet wyborczy zawiązać, skoczył na kilka dni do domu, gdzie sprawy publiczne w taki go wir porwały, że nie miał czasu ani rodziną się zająć, ani w gospodarstwo wglądać. Najprzód wypadało wszystkich członków Rady powiatowej na obiad zaprosić, potem musiał przyjąć kilkanaście wizyt *de digestion*, po nich, jakkolwiek z pewną niechęcią, wybrał się sam z wizytami do wybitniejszych obywateli w powiecie, w końcu należało rozpatrzyć się choć trochę w czynnościach biura powiatowego, i poznać bliżej jego urzędników. Między nimi podobał mu się bardzo sekretarz. Mężczyzna to był jeszcze młody, a umysłu tak bystrego, że prawie zgadywał myśli swojego marszałka. Była jednak chwila, że w gorliwości swojej zaszedł trochę za daleko, lecz hrabia zaraz go za to skarcił należyście. Rzecz tak się miała.

Hrabia przypatrując się grubej księdze z ustawami, rzekł:

— Jak widzę, na starość trzeba będzie zostać studentem i na pamięć tego się wyuczyć.

— Pan hrabia nie potrzebuje tem się troszczyć — sekretarz odpowiedział — ustawy do mnie należą. W całym kraju marszałkowie tylko podpisują, a sekretarze za nich robią.

— O! mój panie! ja nie będę marszałkiem malowanym! hrabia odparł tak poważnie, że sekretarz kornie głowę skłonił, myśląc sobie w duchu: A tom palnął głupstwo!

Mimo tego intermezzo, hrabia okiem przyjaźnem przypatrywał się sekretarzowi, i odjeżdżając, na pożegnanie nawet mu rękę podał.

Wieczorem tegoż dnia, (nazajutrz wybierał się już do miasta) i to właśnie w chwili, gdy zamierzał dłużej pomówić z żoną i z dziećmi, zgłosił się Szmul. Z początku nie chciał go przyjąć, lecz gdy sobie przypomniał, że Szmul pod jego nieobecność wziął dla swego zięcia Wolice w dzierżawę, i że prawdopodobnie wkrótce znowu go będzie potrzebował, z pięniędzy bowiem, które mu żona do Wiednia przysłała, grosza nie przywiózł, kazał go wpuścić.

Wszedł żyd we dwoje zgięty i wśród gestych ukłonów zaczął unosić się najpierw nad wyglądem i zdrowiem jaśnie pana hrabiego, potem nad jego wielkim rozumem i szczęściem.

— O jakim mówisz szczęściu?

— Ta o tem, o którym gazety piszą... Jaśnie pan myśli, że Szmul nie wie... ojoj! Szmul wszystko słyszał, bo teraz na całym

świecie nie ma takiego drugiego jak jaśnie pan z Zawadowiec.

Ucho hrabiego wcale przyjemnie polectało to pochlebstwo.

— Cóż mi Szmulciu powiesz? — zapytał.

— Ja mam kilka doskonałych interesów — odpowiedział, ustami cmokając. — Jaśnie panie, *git Geschäft!*

— Jakież to interesa?

— Teraz kiedy jaśnie pan wszystko robi, co tylko zechce, trzeba by się koniecznie postarać o rogatkę koło mojej karczmy. Co to ludziom będzie szkodziło, jak będą płacili po dwa centy od konia, a na rok to się przecie coś zbierze. Ja sam dam za rogatkę 600 papierków rocznie.

— Rogatkę, powiadasz? A z jakiego tytułu my się o nią mamy starać?

— Z jakiego? Z takiego, że pan hrabia zechce... Ale jeżeli koniecznie potrzeba tytułu, to przecie na naszej drodze jest kilkanaście mostków, które dwór utrzymuje... prawda, że są małe, ale kto je tu przyjdzie mierzyć? Dobrze, że są i takie.

— Hm! hm! — hrabia mruknął, lecz nie nie odpowiedział.

— Rogatka to jeszcze nie największy interes — żyd dalej szybko mówił — ale co jaśnie pan powinien zrobić, to kazać sobie teraz dobry gościniec wybudować. Przecie od Wolicy do Rzepnina, jest półtorej mili, wskrósł dobra

pana hrabiego, droga zaś taka, że na wiosnę i w jesieni można się utopić, a w lecie po dziurach kości połamać. A ile by wtedy były warte lasy, jakby była dobra droga? Jaśnie pan nie sprzedawałby już dębów po 4 reńskie, tylko po 14! A jakby drogę murowali, ile by wtedy niosła we wszystkich wsiach propinacja? Ja już mam takiego, który zaraz by dał za nią o 4.000 więcej, niż teraz płacą. A co, jaśnie panie, nie jest to *a git Geschäft?*

— Hm... tak — hrabia znowu mruknął.

— Jeszcze jeden interes — żyd ciągnął. — W lasach pana hrabiego drzewo nie dziś nie warte, nawet złodzieje nie chcą go kraść za darmo, lecz ja mam taką honorową spekulację, że i ono by coś przynosiło.

Szmul urwał i oczy przymrużywszy, z uśmiechem przypatrywał się swojemu panu.

— Jakaż to spekulacja? — hrabia nareszcie zapytał.

— Niech jaśnie pan hrabia tylko zażąda, żeby sejm kazał tu założyć dwie szkoły, jedną bednarstwa, drugą kołodziejstwa, to zaraz drzewo będzie miało wartość, i propinacja znowu, się podniesie, przytem strach jaki będzie honor!... W całym kraju wszyscy krzykną: Wiwat! bo jaśnie pan będzie przecie wspierał przemysł domowy.

— Mój Szmulciu, chociaż jesteś bardzo sprytny, przecie nie posądzam cię aż o taki rozum, byś to wszystko, com tu słyszał, mógł być wy-

snuć ze swojej głowy. Przyznaj mi się, kto ci podsunął te projekta?

— Ja jaśnie panu wszystko powiem... Pan hrabia był jeszcze we Wiedniu, jak my tu już o tem mówili z sekretarzem Rady powiatowej. On pierwszy z tem do mnie przyjechał, bo on jaśnie panu bardzo dobrze życzy. A co to za głowa! *Fejn kepele, wojler Jing! Achuchem!*...

— Więc on to ułożył?... Szkoda tylko, że zapomniał o rzeczy najważniejszej, mianowicie o tem, że ja, jako marszałek, nie mogę przez Radę powiatową niczego takiego żądać, co by na moją korzyść wychodziło, złośliwi bowiem zaraz by powiedzieli, że pracuję dla siebie.

— My i o tem mówili, jaśnie panie. Sekretarz jest jednak zdania, że wszystko to da się zrobić pod nieobecność jaśnie pana, jak Radzie będzie wiceprezes przewodniczył. Zresztą czy może Rada będzie co uchwalała? Przecie ani roгатki, ani murowane gościńce, ani szkoły do niej nie należą. Ona tylko do sejmu wniesie petycję, a że sejm zrobi wszystko dla pana hrabiego, to już ja za to ręczę.

— Być może żeby i zrobił, mój Szmulciu, mam bowiem przyjaciół i wpływy, i o ile już dziś widzę, w przyszłym sejmie będziemy mieli większość niewątpliwą, ale zechciej niezapominać, że ja tylko to mogę uczynić, co jest połączone z dobrem kraju. Interes osobisty przed publicznym musi zawsze ustąpić. Dopóki tedy nie nabiorę bezwzględnej pewności, że to, coś

mi tu proponował, wyszłoby w rzeczy samej na pożytek kraju, ręki do tego pewnie nie przyłożę. Zresztą inicjatywa do tego musiałaby także wyjść od innych, nie odemnie, ja prywatą nigdy się nie plamię. A teraz bądź zdrów Szmulciu, bo nie mam czasu.

Żyd wyszedł, uśmiechając się złośliwie, czego jednak nikt nie widział, hrabia zaś udał się do żony.

W kilka dni po tej rozmowie, widzimy hr. Czarnokońskiego na konferencji z Grzmotowiczem i kilku innymi osobistościami, należącymi do rozmaitych warstw społeczeństwa. Przedmiot narady jest bardzo ważny. Idzie o utworzenie komitetu, który by w całym kraju kierował ruchem wyborczym.

Prezydent, człowiek przezorny i energiczny, przewidując, że hr. Czarnokoński, którego popularność ciągle wzrastała, zechce ze swoimi zwolennikami wejść tak dobrze do sejmu, jak do Rady państwa, za pośrednictwem swoich przyjaciół utworzył cichaczem komitet wyborczy, nazwany centralnym, którego organem był *Porządek*. Chociaż prezydent trzymał się ostrożnie na uboczu, każdy wiedział, że w Komitecie centralnym on jest alfą i omegą. Hrabia, Grzmotowicz i ich przyjaciele orzekli tedy, aby ich komitet nazywał się „obywatelskim i niepodległym.“ W samej więc jego nazwie miała być wskazówka, że komitet przeciwny jest „zawisłym i rządowym.“ Po tej uchwale nastą-

pił wybór członków komitetu, co bez trudności nastąpiło, gdyż hrabia miał już gotową listę w kieszeni. Tym sposobem w skład jego weszło trzech hrabiów, dwóch bogatszych szlachciców ze wsi, jeden biskup, szkolny kolega i osobisty przyjaciel hr. Czarnokońskiego, jakiś burmistrz z prowincji, dwóch mieszczan, z których jeden z dawien dawna szył hrabiemu buty, drugi zaś suknie, rabin żydowski, w końcu dr. Grzmotowicz. Wypada tu nadmienić, że w komitecie centralnym zasiadał dr. Sakowicz. Tak więc w jednym widzimy pierwszego mecenasa stolicy, w drugim pierwszego jego dependenta, co jawnym było dowodem, że każdy z nich szedł tylko za swoim przekonaniem, i żaden nie zwracał uwagi na stosunki prywatne, jakie ich z sobą łączyły.

Po wyborze komitetu, w którym przewodnictwo objął sam hrabia, powierzono Grzmotowiczowi zredagowanie manifestu do narodu, który miał być ogłoszony we wszystkich dziennikach krajowych, potem zaczęto zastanawiać się nad rozmaitemi kandydaturami.

— Co do większych posiadłości — hrabia przemówił — to tam nie potrzebujemy się niczego obawiać, nasz komitet bowiem jest właściwym wyrazem obywateli. Cięższą nierównie walkę będziemy mieli do stoczenia w miastach, gdzie na tajny rozkaz prezydenta, wszyscy urzędnicy będą agitowali za kandydatami komitetu centralnego, najcięższą zaś w okręgach

wiejskich, gdzie chłopci i księża zechcą koniecznie swoich posłów przeprowadzić.

— Obawy pana hrabiego, są niestety, całkiem słuszne — Grzmotowicz się wnieśczał — ale chociaż tak jest, nie sądzę jeszcze, byśmy się porażki lękać potrzebowali. Skoro szlachty jesteśmy pewni, więc, zdaniem mojem, miasta powinniśmy całkiem z rachuby wyrzucić, abyśmy naszych sił nie zużywali, za to tem energiczniej zabierzmy się do okręgów wiejskich, które po szlachcie najwięcej posłów wybierają. Jeżeli panowie pozwolą, to w ogólnych zarysach wyłuszcze, według jakiej metody winniśmy tu postępować.

— Prosimy! Prosimy! — ozwały się liczne głosy.

— Otóż tam, gdzie nie grozi zbyt wielkie niebezpieczeństwo, gdzie marszałek umiał sobie zaskarbić powszechną miłość i zaufanie, jak na przykład czcigodny nasz przewodniczący w swoim powiecie, tam nikt inny, tylko on powinien ubiegać się o mandat włościański, który przyłada jakiej agitacji niewątpliwie zdobędzie. Tym sposobem opróżnione miejsce w kurji większych posiadłości, będzie mógł ustąpić temu lub owemu przyjacielowi politycznemu. Chociaż czcigodny nasz przewodniczący do tego mnie nie upoważnił, ośmielę się jednak dosłownie to powtórzyć, com wczoraj z ust jego słyszał: — „Jadam się u siebie chłopom wybrać, a ciebie, mój Grzmotowiczu, lubo szlachcicem nie jesteś, wy-

bierze u mnie szlachta, bo tak sobie życzę!“ Oto, panowie, jak postępuje mąż, prawdziwie kraj swój miłujący. Dla jego dobra wyrzeka się nawet tradycyjnych antypatji do mieszczaucha i pozwala, by on szlachcie posłował.

Przemówienie pana Kazimierza potężne na obecnych zrobiło wrażenie. Tylko jakiś hrabia, w głębi siedzący, skrzywił się, jakby po zażyciu gorzkiego lekarstwa.

— Plan pana dobrodzieja jest wyborczy — przemówił jeden z obywateli wiejskich — zawsze to piękniej będzie wyglądało, jeżeli szlachcica wyszle do sejmu chłop, nie sąsiad. Nie wątpię także, że w. bardzo wielu okręgach da się to łatwo przeprowadzić, bo gdzie gładko nie pójdzie, tam trochę posmarujemy... wszelako nie da się także zaprzeczyć, że we wschodniej części naszego kraju mamy dosyć takich okręgów, w których nie nie wskóramy, gdyż w nich rządzą popi, a ci są nam przeciwni.

— Jest i na to sposób! — Grzmotowicz odrzucił. — Ponieważ księży ruscy przemawiają do ludu w imię jego narodowości, więc sam rozum nakazuje nam, broń tę z ręki im wytrącić.

— Jak to się ma stać? — kilka głosów naraz zapytało.

— Jak? W bardzo prosty sposób. Pisząc manifest, umieszczę w nim ustęp pełen sympatji dla Rusinów i zapowiem uroczystie, że nasze stronnictwo nie zapomni ani o ich sztuce, ani o ich literaturze.

— Fe! fe! — dał się słyszeć głos tego samego hrabiego, który skrzywił się, gdy była mowa o mieszczechach, mających szlachcie posłować.

— Sprawa ruska to rzecz bardzo niesympatyczna — przemówił krawiec.

— Nawet niebezpieczna — szewc dorzucił.

— Tak! tak! — inni zakończyli.

Grzmotowicz słuchał tych głosów z uśmiechem; gdy ucichły rzekł poważnie:

— Panowie, jak widzę, posądzacie mnie o brak patrijotyzmu, przypuszczając, że byłbym może gotów takie Rusinom poczynić ustępstwa, któreby im potem pozwoliły nad nami zapanować. O! panowie! ja podobnych zamiarów nie miałem, i nigdy ich mieć nie będę. Jeżlim powiedział, że w manifestcie wspomnimy o naszych sympatjach dla Rusi, to przecie nie to jeszcze nie znaczy, sympatja bowiem jest czysto plato-nicznem uczuciem, które nikomu ani pożytku, ani szkody nie przyniesie. Co zaś do obietnicy, że będziemy wspierali ich sztukę i literaturę, toć i ta rzecz nikogo przestraszać nie powinna. W najlepszym razie damy kilka tysięcy na jaki ich teatr wędrowny, wesprzemy pierwszą lepszą burzę, darujemy szkołom ludowym kilka tysięcy elementarzów i na tem skończymy. Czy to nam zaszkodzi?

— Pomysł doskonały! Głowa dobra! — ten sam szlachcic zawołał, który już przedtem głos zabierał. — Ale co pan dobrodziej zrobisz,

jeżeli Rusini wczas się połapią... bo trzeba panu dobrodziejowi wiedzieć, że to naród chytry, podejrzliwy, nie taki jak nasz, otwarty a szczerzy.

— Temu, by się nie połapali, my chyba nie zaradzimy — Grzmotowicz odpowiedział — wszakże za to możemy sprawą tak pokierować, że nawet i wtedy nie wiele nam zaszkodzą, gdy nam karty podpatrzą. Między Rusinami, jak panowie wiecie, są dwie partje, z których jedna grupuje się dokoła ks. Mudrykiego, druga dokoła radcy Szczerbanowskiego. Z tą drugą można się układać, gdyż jej kierownik marzy o orderach i synekurze... Jego zatem trzeba koniecznie pozyskać, a wszystko pójdzie jak z płatka.

— Panie Kazimierzu! ty masz przenikliwość prawdziwego męża stanu — przemówił hr. Czarnokoński, który dotąd słuchał i rozważał. — Cały twój plan, jakeś go nam tu wytłuszczył, jest wyborny, a ponieważ tylko ten może go dobrze przeprowadzić, w czyjej głowie powstał, przeto poręczamy go twojej pieczy z zupełnem zaufaniem. W manifestcie napiszesz więc o naszych sympatjach dla Rusi, a z radcą Szczerbanowskim pomówisz w cztery oczy. Możesz mu nawet obiecać w moim imieniu, że jak tylko sejm się zbierze, zaraz mu coś dobrego wyszukamy. Tak jest, panowie — hrabia kończył, ku obecnym się zwracając — dziś gdy kraj w niebezpieczeństwie, powinniśmy wszyst-

kie siły wyteżyc, żeby nasze stronnictwo, jako prawdziwie narodowe, najwięcej mandatów zdobyło. Jeślibyśmy upadli, człowiek, który nam uraga, doprowadziłby niewątpliwie nawet do obalenia konstytucji. Przeciwnie, jeśli zwyciężymy, on będzie musiał ustąpić. Ale podczas gdy z nim będziemy walczyli, bacznie przestrzegajmy, by na tem trzeci nie skorzystał, i to nie mniejszy nasz nieprzyjaciół, niż sam prezydent, a tym jest Rusin! Wierście mi, panowie, lepszy żyd, Niemiec, Turek, niż Rusin!

— Racja! racja! — dały się słyszeć liczne głosy.

— Lepszy żyd, Niemiec i Turek niż Rusin! — potwierdzili równocześnie obadwaj mieszczenie.

III.

Rodzeni bracia.

Włodzimierz po rozmowie z Markizem, nie wrócił prosto do domu, lecz puścił się w przeciwną stronę miasta. Szedł prędko, przechodniów potrącał, a nikogo nie przepraszał. Był cały rozgorączkowany. Pierwszy raz dopiero usłyszał, jak ludzie uczciwi zapatrują się na jego postępowanie, i pierwszy raz także, odkąd został mentorem Gucia Albińskiego, zaczął się nad sobą zastanawiać. Więc to, co czynił, nie było honorowe!... Więc ludzie, na jego widok, dlatego tak ironicznie czasem się uśmiechają! Więc świat potępia go, gardzi nim, a tylko mu w oczy tego nie mówi! Wzdrygnął się, bo mu się zimno zrobiło, jakby go śmierć swoim techniem owiała.

Stanął i myślał. Cóż cię tak przeraża? Czyś już tak nisko upadł, że choć byś chciał nawet, nie potrafiłbyś się dźwignąć? A przecie to od ciebie zależy... Podziękuj tylko za posadę, która ci zaszczytu nie przynosi, oderwij się od kobiety, która cię gubi. i wróć na drogę pracy a świat rychło ci wszystko przebaczy.

Ależ uczynię to, uczynię! w duszy sobie powtarzał i biegł dalej z twarzą już weselszą, rad, że na swoją chorobę znalazł skuteczne lekarstwo.

Ale jeżeli jej dom opuścisz, wrócisz napowrót do dawnej nicości — zły geniusz mu podszeptował. Teraz wieszysz życie przyjemne, wygodne — potem będziesz znowu głód i chłód znosił. Teraz ci zazdroszczą — potem będą się nad tobą litowali. Teraz los postawił cię na równi z pierwszymi lwami stolicy, dla których wszystkie salony na oścież są otwarte — potem będziesz znowu popskim synem, na którego ludzie dobrze urodzeni spoglądają przez ramię. O! z gorzkich tych myśli, jak okropnie bolała go ta ostatnia! Wszystkiego byłby się już chętnie wyrzekł, nawet namiętnych uścisków tej pięknej kobiety, której był niewolnikiem, byle zato mógł ocalić chociażby pozory teraźniejszej pozycji, byle nie potrzebował zsuwać się znowu w tę głęb społeczną, z której przypadek go wydobył!

W pamięci stanął mu jednak Markiz, z zabójczym sarkazmem na ustach bladych a wąskich. Jak on go zraził, upokorzył, nogami podeptał! I kto to uczynił, kto? Człowiek obcy, który mu nie był ani swatem, ani bratem... Lecz mimo to Włodzimierz nie mógł Markizowi słuszności nie przyznać. Przeciwnie, on mu był nawet wdzięczny, że oczy mu otworzył.

Teraz przynajmniej wiedział, co o nim świat sądził, i mógł się poprawić.

Ależ uczynię to, uczynię! — po raz setny powtarzał, i biegł dalej, znowu trochę weselszy.

Zbliżywszy się do rogu jednej z główniejszych ulic, ujrzał o kilkanaście kroków przed sobą Władysława Olińskiego, jak szedł w kosztownym futerku, ze szkiełkiem w oku, swobodnie laseczką wymachując. Jeżeli kiedy, to teraz widok dawnego przyjaciela, który najłatwiej mógł go zrozumieć i pocieszyć, był dlań zjawiskiem nieocenionem. Nie namyślając się tedy długo, biegnie wprost do niego, i za szyję go obejmując, woła:

— Jak się masz, mój drogi Władku! Co za szczęście, że cię spotykam?!

— A!... to ty... Jak się masz... jak się masz — odpowiedział Władysław, wszakże nie tym, co niegdyś tonem, tylko z pańska, słowa przez zęby cedząc, i zaraz dodał: — Że też nie uważasz mój Włodzimierzu, gdzie jesteśmy. Przecie tu nie wiesz, tylko miasto, a twoja „szerokaja słowiańska natura“ niepotrzebnie kazała ci zaraz brać się do gęby.

— Przepraszam cię, Władysławie, nie przypuszczałem jednak że ci to przykrość sprawi — odrzekł, okiem zdziwionem wpatrując się w przyjaciela.

— Mnie osobiście nie jest to jeszcze tak przykre, lecz zważ, że na nas ludzie patrzą...

Właśnie przeszli hr. Alfred i księżę August, z którymi dałem dziś sobie rendez-vous w kasyne. Co więc oni powiedzą?

— O! przykro mi, bardzo przykro, i mogę cię upewnić, że to się więcej nie powtórzy... Wszakże nie dziw się mój drogi... Zobaczywszy ciebie, takem się ucieszył, żem się nie umiał powstrzymać.

— A i mnie cieszy, Włodzimierzu, że cię widzę. Jakże się masz, jak ci się powodzi?

— Nie źle.

— Więc jesteś u pani Zefiryny?

— Dotąd jestem mentorem hr. Gustawa Albińskiego.

— Smaczna kobietka, bardzo smaczna... gratuluje ci takiej posady — Władysław dalej mówił. — Właśnie jutro wybieram się do niej z pierwszą wizytą, od tygodnia bowiem nic innego nie robię tylko wizyty, więc może się zobaczymy. Ty bywasz w salonie hrabiny?

— Czasem... ale jeżeliś łaskaw, to za jednym zachodem może i mnie odwiedzisz. Mam pokój całkiem osobny.

— Być może... chociaż nie przyrzekam. Ani byś dał wiarę, jak mało mam teraz czasu. Już to prawdę powiedziałwszy, za majątkiem idą także wielkie kłopoty.

— Prawda, Władysławie, żeś teraz bardzo bogaty. Zapomniałem ci nawet pogratulować...

— Nie ma tak bardzo czego... Ale przepraszam cię, mój Włodzimierzu, że dłużej nie

mogę ci służyć, bo oto nadchodzą znajomi, z którymi muszę się połączyć. *Adieu!* mój kochany, *adieu!*

Ledwie końcami palców dotknął się jego ręki i krokiem przyspieszonym pobiegł ku grupie młodych ludzi, między którymi widać było Leandra Wolewicza i Alfonsa Czarnokońskiego.

— Jakże się odmienił — myślał Włodzimierz, wzrokiem odchodzącego odprowadzając. Tak niepodobny do dawnego Władysława, jak niepodobną dzisiejsza jego fortuna do dawniejszej skromnej pozycji.

Rozżalony wrócił do domu.

Tu czekała go nowa niespodzianka. Zaraz na wstępie służący wręczył mu list mówiąc:

— Przed kwadransiem przyniósł go jakiś żydek z hotelu, ale ja nie wiem czy to do wielmożnego pana profesora, bo po rusku nie umiem czytać.

Adres był w rzeczy samej ruski. Włodzimierz po pierwszym wejrzeniu poznał rękę swojego stryja, ks. Dymitra Szczerbanowskiego. Trzymając list, obracał go machinalnie, ale nie otwierał. Myśl jego dotknęła teraz nowego przedmiotu.

Ojciec jego miał dwóch braci rodzonych, Dymitra i Michała. Pierwszy był dość zamożnym księdzem ruskim, przytem wdowcem bezdzietnym. Drugi, emerytowany radca sądowy, miał żonę i dzieci kilkoro.

Stryj Dymitr bardzo kochał Włodzimierza,

i chciał go nawet niegdys adoptować, lecz ojciec na to nie przystał. Ponieważ parafia ks. Dymitra znajdowała się w pobliżu miasta, więc Włodzimierz rokrocznie był u stryja kilka razy, jeżdżąc doń zawsze na święta i na krótsze ferje. Dzięki tym częstym odwiedzinom, związał się między nimi stosunek dość ścisły, który nie pozostał bez wpływu na dalszy rozwój umysłu Włodzimierza.

Ks. Dymitr był gorącym obrońcą narodowości ruskiej, a zapamiętałym nieprzyjacielem Polaków, którym zarzucał, że Ruś od wieków ciemieją. Tę nienawiść starał się on we Włodzimierzu głęboko zaszcześcić; a jeżeli mu się to w zupełności nie udało, to jedynie dlatego, że chłopiec w domu rodzicielskim otrzymał był podstawę zupełnie inną, podstawę miłości, która nienawiść wykluczała. Ojciec Włodzimierza, zajęty wychowywaniem synów, nie miał czasu zajmować się sporami narodowościowymi; przytem z natury człowiek serca dobrego, chętnie wracał pamięcią w owe czasy, kiedy to Polacy i Rusini żyli w zgodzie, razem przeciw Niemcom spiskowali i razem w więzieniach jęczeli. Zresztą choćby był nawet chciał, nie byłby potrafił między patryjotami ruskimi jakiegokolwiek roli odgrywać, gdyż do dziś dnia nie nauczył się jeszcze dobrze mówić po rusku. Niegdys, w domu rodzicielskim, rozmawiał tylko po polsku; później żonę miał Polkę, z synami mówił także po polsku. Języka ruskiego uży-

wał jedynie w stosunkach z ludem wiejskim, z kazalnicy zaś przemawiał dawniej po polsku i dopiero w ostatnich czasach, gdy mu konsystorz surowo to nakazał, zaczął z ambony głosić słowo Boże z polska po rusku, czem się ks. Dymitr niezmiernie gorszył.

Włodzimierz, wychowany pod okiem takiego ojca, nie mógł na wskrós przesiąknąć zasadami stryja Dymitra, lecz równocześnie przy najmniej tyle od niego przyjął, że się nauczył kochać swoją narodowość. Chociaż Polaków ani nie nienawidził ani ich nie unikał, mimo to garnał się chętnie do swoich, i każdej chwili gotów był z całym światem wystąpić do walki o nigdy nieprzedawnione, jak utrzymywał, prawa Rusi. Takim był jeszcze niedawno, gdy w Nowosiólkach sprzeczał się z Władysławem. Ale od tego czasu jak wielka nastąpiła w nim zmiana!

Odkąd zamieszkał w pałacu magnata polskiego, odkąd piękna Polka zaszczycała go swojemi względami, odkąd polska służba w złocistej liberji zaczęła go tytułować „wielmożnym panem“ odkąd zobaczył, że wszystko co wyższe stanowiskiem, to polskie, odtąd wychowanek ks. Dymitra zapomniał o Rusi całkowicie, i bacznie strzegł się przyznać, że był ruskiego księdza synem. Ludzie dowiedzieli się jednak o tem od innych... Nawet teraz, gdy w całym kraju wszczęła się agitacja wyborcza, gdy dzienniki ruskie z większą, niż kiedykolwiek namiętno-

ścią występowały przeciw Polakom, a polskie bardziej jeszcze niż dawniej, drażniły Rusinów, nawet teraz nie przypominał sobie zasad stryja i był głuchym na to, co się w koło niego działo.

Dopiero list z ruskim adresem, na który spoglądał, stanął przed nim groźnie, jak wyrzut sumienia!... A jednak, w tej chwili, nie tyle może wstydział się swojego odstępstwa, co tego lokaja w liberji, który wręczając mu list z ruskim adresem, miał minę lekceważącą! Wszak Rusin a chłop, to pojęcia równorzędne.. Tak jest, Włodzimierz wstydział się tego lokaja bo mu tenże mógł teraz zarzucić jego niskie pochodzenie.

Wbiegł do swego pokoju i kopertę rozerwawszy, zaczął czytać.

Ks. Dymitr donosił mu krótko, że przyjechawszy z jego ojcem, którego przemocą prawie z sobą zabrał, na zjazd przedwyborczy, zwołany do stolicy przez kierowników narodu ruskiego, życzy sobie, by on, Włodzimierz, natychmiast go odwiedził, ponieważ pragnie z nim o ważnych rzeczach pomówić. Na końcu listu znajdował się adres hotelu, w którym bracia stanęli. Młody człowiek przeczytawszy, że jego ojciec jest w mieście, nie poszedł nawet do hrabiny, by jej zdać relację ze swej bytności u Markiza, tylko czempredzej udał się do wskazanego hotelu.

Wyprzedźmy go na krótką chwilę.

W jednym z mniejszych hotelików żydowskich, w izbie, wychodzącej na podwórze, ciemnej, brudnej i zimnej, widzimy trzech mężczyzn. Wszyscy siedzą w ciepłych ubraniach, prócz tego dwaj mają na głowach czapki futrzane, a tylko jeden, wysoki kapelusz, nazywany cylindrem.

Na stole w lichtarzu mosiężnym stoi świeca łożowa, przy której słabym blasku możemy jako tako przypatrzeć się siedzącym.

Niższy, szczupłej ciała budowy, ma twarz okrągłą, uśmiechniętą, spojrzenie łagodne. Choć siedzi, głowa białym włosom okryta, ciągle na piersi opada, jakby pod ciężarem wielkich trosk i zawodów, co przez ciąg życia całego nawiedzały go pasmem nierozzerwanym. To ojciec Włodzimierza, ks. Grzegorz Szczerbanowski.

Tuż obok siedzący w czapce drugi mężczyzna, jest nieco młodszy. Budowa jego ciała krępa i silna, spojrzenie bystre, prawie zuchwale, nos krótki a gruby na końcu, kości policzkowe wystające, usta energiczne. Twarz ma nieogoloną, zaniedbaną. To ks. Dymitr Szczerbanowski.

Mężczyzna trzeci, najmłodszy, w cylindrze i miejskim paletocie, ma na pozór spojrzenie obojętne, nawet dosyć łagodne, w głębi atoli jest ono przebiegłe i chytre. Uśmiecha się wprawdzie taksamo jak pierwszy mężczyzna, lecz podczas gdy uśmiech tamtego jest słodki, przyciągający, przeciwnie uśmiech tego jest taki

wymuszony i zimny, że zamiast ośmielać, odtrąca. Twarz ma całą ogoloną, i tylko dwa ciemne paski po obu jej bokach, świadczą, że w tych miejscach mogłyby rość piękne bokobrody, gdyby ich ręka nielitościwa co tydzień nie przysstrzygała. To emerytowany radca sądowy, p. Michał Szczerbanowski.

Mamy więc przed sobą trzech braci rodzonych, którzy różnią się tak dobrze wyglądem, jak językiem. Pierwszy mówi tylko po polsku; drugi tylko po rusku; trzeci w połowie po polsku, a w połowie po rusku, ilekroć zaś chce co dokładnie i stanowczo wyrazić, posilkuje się językiem niemieckim.

— Powiedziałem ci Dymitrze, i raz jeszcze powtarzam — mówił ks. Grzegorz — że przyjechałem tylko Włodzimierza zobaczyć, bo już dość dawno nie miałem listu od niego, i do niczego nie chcę się mieszać.

— Nie chcesz Hrehory? A to piękny z ciebie Rusin! Gdyby tak wszyscy postępowali, Lachy łatwoby nas do reszty zgnieli.

— Czy oni nas gniotą, Dymitrze, tego ja nie wiem, bo nie widzę.

— Nie widzisz? A w szkołach czemu nasze dzieci każą uczyć po polsku, na ruskie podania czemu starostwa zawsze po polsku odpowiadają, większe posiadłości czemu wszystkie w rękach Lachów, najlepsze posady, czemu im się dostają?

— Przez miłosierdzie Boże! — zawołał ks. Grzegorz, uszy sobie zatykając — jeżeli nie przestaniesz, w głowie mojej zrobi się chaos, jak w trybunale lubelskim.

— A toś się zlaszył, Hrehory, skoro nawet przysłówiów polskich używasz.

— Daj mu pokój Dymitrze — wmieszał się brat najmłodszy, p. radca Michał. — Przecie wiesz, że on do polityki nigdy się nie mieszał, bo nie jest... *politisch genug ausgebildet*.

— Tak, tak, ja się na polityce nie znam, potwierdził ks. Grzegorz.

— Biedna Ruś, biedna! skoro nawet kapłani, ci, co ją najgoręcej kochać powinni, gdyż oni najwięcej z ludem przestają, tak się jej zapierają, jak Piotr Chrystusa! — zawołał ks. Dymitr, zaciskając pięści i usta. Chwilę tak siedział, potem zwróciwszy się do brata młodszego zapytał: — Jak ci się zdaje, Mychajło zwyciężymy my tym razem?

— Będziemy się starali.

— Ty mi zawsze jedno odpowiadasz, a dwuznacznie, jak wyroczenia delficka...

— Bo inaczej nigdy nie odpowiada *ein echter Staatsmann*.

— A ja ci mówię, Mychajło, że *ein echter Staatsman* powinien być także *ein guter Feldherr*, wódz zaś, który znając siły nieprzyjaciela, nie wie, czy go pokona, wart djabła!

— My tych sił jeszcze całkiem dobrze nie znamy — radca odparł. — Jenerał, nim bitwę

wyda, powinien wpieryw wybadać nieprzyjaciela, wysłać do niego szpiegów....

Ja, man muss den Feind zuerst gut ausforschen.

Ks. Dymitr przysunął się do mówiącego i bystro mu w oczy patrząc, zapytał:

— Powiedz mi prawdę, Mychajło, nie chcesz ty przypadkiem Rusi sprzedać za miskę soczewicy?

Radca drgnął i pobladł, lecz prędko się opanowawszy odrzucił:

— Czyś oszalał, Dymitrze!

— Skoro mnie zrobił zaprzańcem — wmieszał się ks. Grzegorz — więc jeszcze tylko brakuje, żeby ciebie nazwał zdrajcą.

— Wiem ja, moi kochani, co mówię, i nigdy nie odwołam co raz powiem! — odparł ks. Dymitr. — Ty, Mychajło, już oddawna mi się nie podobasz, a teraz, gdy tak patrzę na ciebie, coś mnie wewnątrz aż świdruje.... Ja się ciebie trzymam, nie Mudryckiego, boś mój brat i stoisz na czele partji młodych, a ja tylko w młodych widzę przyszłość, lecz gdybym tak wiedział, że obawy moje są słuszne, jak Boga kocham, pierwszy bym ci w oczy pluł.

Radca uśmiechnął się dyplomatycznie, lecz nic nie odpowiedział. Natomiast ks. Grzegorz ciekawie zapytał:

— Jakież są te obawy?

— Ja przeczuwam, że Mychajło, gdyby mu

tak Lachy dobrze zapłacili, sprzedałby nas jak stado baranów.

— *Du bist ein Narr!* — Radca mruknął niechętnie.

— Nie nazywaj mnie warjatem, Mychajło, bo ja wiem co mówię. Ile cię razy o co zapytałem, nigdyś mi nie dał jasnej odpowiedzi, tylko zawsze wymijającą, a teraz mówisz, że trzeba Lachów badać, szpiegować.... Ej! Mychajło, czy ty przypadkiem nie chcesz zwąchać się z nimi.

— Możesz być spokojny!

— Doprawdy?

— Daję ci na to słowo, *mein Ehrenwort!*

Ks. Dymitr rzucił się bratu na szyję.

— Dziękuję ci, mój Mychajło, z całego serca dziękuję! — zawołał ze łzami w oczach. — Nie bierz mi za złe, jeżeli ci co przykrego powiedział, ale ty wiesz przecie, żem to uczynił jedynie przez miłość dla mojej biednej ojczyzny, którą Lachy ciemieją! Ty wiesz, że ją kocham nad życie, że ona jedyną moją miłością! Jeszcze raz dziękuję ci Michajło, żeś mnie uspokoił, bo jakbyś ty nas zdradził, musiałbym albo zwarjować, albo sobie w łeb pałać!

— Dymitrze? co pleciesz... zapominasz, jaką masz suknię na sobie! — przemówił ks. Grzegorz.

— Bądź cicho babo! Ty się na tem nie rozumiesz!

Dalszą sprzeczkę przerwało pojawienie się Włodzimierza.

Wpadł uradowany, ojcu do kolan się rzucił, który na jego widok rozplakał się z radości, i każdego stryja z uszanowaniem w rękę pocałował. Usiedli w jednym rzędzie i zaczęła się żywa rozmowa.

Po słowach powitania ks. Dymitr chciał wrócić do polityki, starszy brat jednak do tego niedopuszczł, gdyż pragnął dowiedzieć się od syna jak mu się powodzi i jakie plany na przyszłość sobie układa.

— Jeżeli ten hrabia, u którego mam lekcję stale w mieście zostanie — Włodzimierz odpowiedział — w takim razie będę zdawał egzamina jeszcze w tym roku na profesora gimnazjalnego.

— A jeżeli na wieś wróci? — stryj Dymitr wpadł mu w słowo.

— Jeżeli na wieś wróci — odrzekł z pewnem wahaniem i jakby zakłopotany — to prawdopodobnie z nim nie pojedę, aby roku nie stracić.

— Szkodaby jednak było takiej dobrej lekcji — ojciec zauważył.

— Pewnie, że szkoda...

Przez czas tej rozmowy ks. Dymitr wpatrywał się w bratanka uporczywie, radca zaś wcale się do niej nie mieszał, tylko ciągle uśmiechał się swoim jednostajnym lodowatym uśmiechem.

Gdy Włodzimierz, spędziwszy z ojcem i stryjami przeszło godzinę na rozmowie, żegnał się nareszcie, obiecując wrócić nazajutrz rano, ks. Dymitr także się podniósł i rzekł do niego:

— Poczekaj chłopcze, odprowadzę cię kawalek, mam jeszcze pilny interes do miasta.

Wyszli razem na ulicę.

— Wstąpmy na chwilę do tej kawiarni — przemówił, zwracając uwagę bratanka na kawiarnię niepokazanej powierzchowności, której drzwi szklane były czerwonymi firankami zasłonięte. — Chciałbym z tobą na osobności pomówić.

— Do tej? — zapytał Włodzimierz nieco zdziwiony.

— Wstydzisz się?... O! tybyś chciał zapewne pójść do takiej, gdzie tylko panowie chodzą, aleś zapomniał Włodku, że my chłopci... Rusini wszyscy chłopci. To tylko Lachy mają panów, arystokratów, którzy nas ciemieją!... Chodź chłopcze, chodź, bo kiedy ja, ksiądz, nie wstydzę się, to i tyś nie powinien się wstydzić, choć ubranyś jak hrabia.

Pociągnął go za sobą przemocą prawie, a gdy w kawiarni usiedli na boku przy dwóch szklankach herbaty z rumem, stryj pierwszy tak przemówił:

— Więc ty doprawdy myślisz zostać profesorem?

— Chcę nim być koniecznie, bo do tego zawodu mam najwięcej zamiłowania.

— Ale czy zapomniałeś Włodku, com ci tyle razy mówił, że każdy Rusin powinien sobie taki zawód wybierać, w którym by najskuteczniej mógł pracować dla swojej ojczyzny.

— A czyż, proszę stryja, jako profesor, zwłaszcza gimnazjalny, który ma ciągle stosunki z młodzieżą więcej rozwiniętą, nie mogę dla Rusi skutecznie pracować?

— Więc ty myślisz, chłopcze, że Lacha w pole wywiedziesz? Ależ on ma rozum, i jak tylko zobaczy, żeś dobry Rusin, natychmiast przetrzuci cię, tak samo jak twego brata, na Mazury. A Mazury dla Rusina, to jeszcze gorsze niż Syberja dla Lacha. Zresztą zapewne pamiętasz, com ci tyle razy powtarzał, że podstawą naszej narodowości jest lud, nie inteligencja, która się laszy. Jeżeli więc prawym Rusinem, zostań księdzem, popem, aby codziennie z ludem obcować i nań oddziaływać.

Włodzimierz uśmiechnął się nieznacznie.

— Za późno mi o tem myśleć, stryju — odrzekł. — Wszak już dwa lata, jakem się zapisał na wydział filozoficzny, a w czasach terażniejszych ludzie zbyt krótko żyją, by mogli tracić po dwa lata.

— Nie stracisz chłopcze, ani jednego dnia, ks. Dymitr żywo zaprotestował. — Jak się tylko zdecydujesz, pójde sam do metropolity, zresztą w konsystorzu mam także plecy, i przekonasz się, że ci policzą te dwa lata, po dwóch zaś następnych na księdza cię wyświęcą. Cóż, zgoda?

Włodzimierz milczał.

— Chłopcze, synu mój, namyśl się przecie! — stryj prosił głosem błagalnym. — Wiesz że cię kocham, jak własne dziecko, i jeśli komu, to tobie, chciałbym to zostawić, co się przez życie zapracowało. A mam sześć wołów, ośm krów, dwanaście sztuk jałownika, wozy, pługi, brony, 30 pni pasieki, no i grosiwa trochę się znajdzie... Pamiętasz, com ci powiedział, gdyś po maturze do mnie przyjechał? Jeśli pójdziesz na księdza, wszystko twoje, jeśli zechcesz być profesorem, nie dam ani grosza. To samo i dziś powtarzam... Słuchaj Włodku. Ksiądz Mudrycki ma córkę „fajna dońka“ — przytem jedynaczka, a chociaż on sam sknera wielki, już ja go wezmę na siebie i z pewnością dobrze go poduszę. Jak się z nią ożenisz, to i parafję kiedyś po nim dostaniesz, a parafja doskonała, prócz pola samej gotówki rocznie 2000, jak jeden grosz! I cóż Włodku, zgoda?

— Bardzo jestem kochanemu stryjowi wdzięczny za jego dobrą radę — młody człowiek odpowiedział — ale żadną miarą nie obiorę sobie zawodu, do którego nie mam powołania. Księdzem nie będę! Jest to nieodwołalne moje postanowienie.

Stryj wsparłszy głowę na dłoni, czas jakiś wpatrywał się w bratanka okiem żałośnem. Potem westchnął i tak przemówił:

— Jak widzę, chłopcze, nie będę miał z ciebie pociechy... Ale że też ja, stary, do-

świadczony, mogłem jeszcze łudzić się nadzieją!... Przecie odkąd ta laszka wzięła cię w swoje ręce, tyś sam musiał się już także zlaszyć!

— Jaka laszka? — zapytał Włodzimierz, zdziwienie udając.

— Nie graj tylko ze mną komedji, mój kochany, bo przecie ja nie twój ojciec. On w górach zakopany, nie wie, co się na świecie dzieje, ale ja mam wszystko w małym palcu! Stryj Mychajło pierwszy mi to powiedział, bo przecie w mieście mieszkając, nie od jednego musiał słyszeć, co jego bratanek porabia, lecz po nim nie poznałeś że co wie, bo to dyplomata, *ein Staatsmann*, jak się sam nazywa. Ja przy twoim ojcu takżem udawał, że nic nie wiem, bom go nie chciał martwić... Więc ty, mój Włodku, dałeś się laszczę w sidła uwikłać? I nie szkodaż ciębie? Wprawdzie to honor dla nas, że między swoimi nie mogła znaleźć takiego, jak ty, waleznego chłopca, lecz pomyśl tylko, na czem to się skończy. Taka pani prędzej lub później znudzi się tobą i za drzwi cię wyrzuci! O! te laszki, wszystkie one jednakowe!... Włodku, Mudryckiego dońka nie gorsza, a młodsza i uczciwa, nie jakaś tam rozpustnica!

— Niech kochany stryj daruje, że mu się ośmielę zrobić przykrą uwagę... O damach, których nie znamy, nie powinniśmy nigdy sądu wydawać. Zresztą sąd stryja jest także niesprawiedliwy, bo ta osoba zasługuje na szacunek.

— A to cię już lachy przerobili, skoro nawet tych bronisz, których cały świat potępia! Szkoda cię, chłopcze, szkoda! Ale nie sądź, że cię mam za całkiem straconego. Jeszcze ty się do mnie wrócisz, bo w twym świecie, w którym teraz jesteś, z pewnością nie znajdziesz szczęścia! Odrąca, podepcą biednego Rusina, a wtedy on chcąc nie chcąc, będzie musiał wrócić do Rusi... Przekonasz się Włodku, nie za długo się przekonasz, że twój stryj prawdę powiedział...

Młody człowiek słysząc to, czoło zasępił, ale nic nie odrzekł.

IV.

Ojciec, córka i gość codzienny.

-- Maryniu!

— Słucham ojczulka.

— Masz czas?

— Aż za wiele ojczulku!

— Skoro tak, to przeczytaj mi „Wallenroda.“

— Ach! dobrze! dobrze! — dziewczę zawołało, biegnąc do swojej biblioteczki.

Wyjęła książkę, usiadła przy stoliku pod oknem i czytać zaczęła. Ojciec, za jej krzesłem stojąc, słuchał.

Tak samo spędzali niegdyś czas w Nowosiólkach. Dziś, mimo wielkiego bogactwa, które na nich spadło, nie wyrzekli się dawnych przyjemności. Stosownie też o nich można było powiedzieć, że ich szczęście nie zepsuło. Co do p. Olińskiego, ten nawet ubierał się jak dawniej. Na codzień nosił szarą kapotę z pętlcami, a tylko od wielkiej parady przywdziewał czarną czamare.

Suknie Maryni także były skromne, i w całym jej wyglądaniu chyba ta jedna zmiana

nastąpiła, że teraz, stosownie do zwyczajów w mieście przyjętych, musiała czesać się inaczej. A szkoda było tych cudnych jej warkoczów po ramionach spadających, takich bowiem z pewnością żadna panna w mieście nie miała. I bardzo być może, że Marynia nie byłaby ich zamieniła na modną fryzurę, gdyby Władysław, nie był jej o to prosił.

— Jeżeli mnie kochasz Maryniu, to zarzuć te warkocze, bo w nich wyglądasz jak parafianka — codzień jej powtarzał. — Osoba z tą, co ty, pozycją, powinna ton nadawać, nie śmieszoną się robić.

Dziewczę patrzyło na brata dużemi oczyma, lecz pojąć nie mogło, w jaki sposób ma ton nadawać, ani jak ten ton ma wyglądać. Ona jedynie to wiedziała, że odtąd jej ojciec będzie miał mniej kłopotów, gdyż ma więcej pieniędzy.

Inaczej jednak na ich obecne położenie Władysław się zapatrywał. Ten w ciągu dwudziestu czterech godzin zmienił się, jakeśmy to już widzieli, do niepoznania prawie, lub właściwie takim się zrobił, jakim oddawna być pragnął, a tylko przed tem nie mógł dla braku majątku. Zaledwie z rąk ojca otrzymał część fortuny, p. Oliński nie chciał bowiem, by mężczyzna w tym wieku co jego syn, ciągle mu w ręce patrzył, zaraz sobie powiedział, że będzie godnym reprezentantem złotej młodzieży, w szeregi której powołał go wypadek szczęśliwy. Nie upłynął też miesiąc, a wszyscy panicze już go znali

i kochali. I wcale temu dziwić się nie trzeba, że tak prędko zjednał sobie ich sympatje. Wszak Władysław ubierał się wytwornie, miał piękne ekwipaże, służył w liberji, mieszkał w pałacu i nie wiedział co znaczy brak gotówki. Takie przymioty są nieocenione w oczach złotej młodzieży, a cóż dopiero, jeśli ten, kto je posiada pochodzi z rodziny dobrej, prawie senatorskiej? Olińscy zaś byli z dawien dawna szlachtą dobrą, i w kraju zasłużoną, a tylko nieszczęścia familijne i krajowe zepchnęły ją były na to podrzędne stanowisko, z którego znowu dźwignął ją zapis pani Dobrzyńskiekiej.

Ojciec, patrząc na syna postępowanie, wcale się tem nie cieszył; z początku nie raz nawet robił mu z tego powodu wymówki, lecz gdy się przekonał, że to groch na ścianę, dał pokój wszystkiemu, i jedynie to go pocieszało, że Władysław majątku nie trwonil, a tylko dochody wydawał, i że Marynia na włos się nie zmieniła. Zresztą kto wie, czy tak patrząc na jedynaka, nie pomyślał także w duchu o świetniejszym jeszcze losie dla niego, któryby mógł osiągnąć przez dobre ożenienie i koligacje? Cokolwiek bądź, pan Oliński, mimo wrodzonej skromności, był szlachcicem, a któryż szlachcic nie chciał być dawniej równym wojewodzie, któryż z nich dziś jeszcze, choć stosunki się zmieniły i życie innem korytem popłynęło, nie marzy o wielkości, jeśli już nie dla siebie, to przynajmniej dla swoich dzieci? Być więc może,

że i nasz przyjaciel nosił się z takimi nadziejami, które nawet łatwo mogły się ziścić, lecz mimo to ani przed swoimi, ani przed obcymi nigdy się z nimi nie zdradził. O tem, że je w głębi duszy żywił, mogłaby chyba świadczyć ta jedna okoliczność, że teraz ~~radziej~~ Władysławowi skromność zalecał, i coraz chętniej patrzył na jego otoczenie, składające się z samych losu wybrańców...

Pan Oliński myślał, że potrafi żyć jak niegdyś cicho; tymczasem prędko się przekonał, że człowiek bogaty jest czasem większym niewolnikiem, niż ubogi. Wprawdzie gdyby był chciał koniecznie tego, mógł się być zamknąć i nikogo do swego domu nie wpuścić, lecz czy wolno mu było to uczynić i zostać dziwakiem, skoro miał córkę? Rad nie rad musiał tedy dla niej żyć ze światem, aby zaś Marynia miała odpowiednie towarzystwo, wziął do domu swoją siostrę cioteczną, panią Klemencję, która od lat dziesięciu była wdową. Z początku zamierzał przyjmować u siebie tylko ludzi zacnych i rozumnych, wszelako gdy zobaczył, że taki wybór jest niemożliwy, powoli otworzył swoje salony i dla tych także, co z tego lub owego tytułu mogli na nich bywać. Najwięcej gości sprowadzał mu Władysław, między jego przyjaciółmi bowiem, nie było ani jednego, któryby nie chciał poznać „wielce zacnego“ pana Olińskiego, i „prześlicznej“ panny Marji. Tym sposobem w dawnym pałacu Dobrzynie-

ckich, pojawili się nawet Leander Wolewicz, i młody Alfons hr. Czarnokoński, którzy na śmierć zapomnieli, jak pan Oliński był niegdyś traktowany bądź przez nich samych, bądź przez ich rodziców.

Nasz sędziwy przyjaciel miał serce zbyt szlachetne, by im dawne błędy pamiętał i teraz ich za nie upokarzał. Udawał więc, jakby sobie nic nie przypominał i chyba tem jednym ich karał, że był dla nich obojętnym, nawet zimnym. Oni atoli na to uwagi nie zwracali, każdy z nich bowiem przychodził tu nie dla ojca, lecz dla córki. O! panna Marja wszystkim się podobała, i nie było między nimi takiego, któryby chętnie nie oddał jej swojego serca wraz z ręką.

Najczęstszym gościem, prawie już domownikiem, był Kazio Grzmotowicz. Ten od przyjazdu naszych przyjaciół do miasta, prawie na krok ich nie odstępował, i umiał zrobić się tak niezbędnym, że teraz pan Oliński sam nic nie przedsięwziął, nie poradziwszy się wprawdzie swego przyjaciela.

Już to największe usługi mógł mu Grzmotowicz oddawać jako doradca prawny, bo chociaż majątek był czysty, bez grosza długu, zawsze tyle w nim było sporów granicznych i procesów z dzierżawcami, że pan Oliński bez adwokata nie mógł się obejść. Kazio załatwiał wszystko prędko i chętnie, ilekroć zaś pan Oliński zapytał go, co mu jest dłużny, zawsze jednakową odpowiedź otrzymywał:

— O tem, potem, panie dobrodzieju. Za kilka tygodni otworzę własną kancelarię, więc wtedy rachunek wygotuję. Tymczasem szkoda nad takimi rzeczami czas tracić. Pomówmy lepiej o czemś ważniejszym.

I tu zaczynał zawsze długo a szeroko rozprawiać o rzeczach publicznych. Chociaż pan Oliński nie myślał wysuwać się na widownię polityczną, znając bowiem siebie, osądził, że do tego nie ma ani zamiłowania, ani zdolności, mimo to chętnie słuchał swego gościa, który nierównie lepiej był we wszystko wtajemniczony niż gazety. Szlachcie polski, to jak Rzymianin. Nie każdy mieszkaniec starej Romy brał czynny udział w życiu publicznym, lecz każdy z nich musiał codziennie na forum politykować.

Jeżeli za uprzejmość, na każdym kroku mu okazywaną, pan Oliński lubił Grzmotowicza, tak, że bez niego nie mógł się prawie obejść, to za gorliwe zajmowanie się sprawami publicznymi wysoko go cenił. Za słuszne też uważał, że młody ten człowiek coraz wyżej rósł w opinii i tylko jednej rzeczy nie mógł z początku zrozumieć, to tego ścisłego stosunku, jaki zachodził między nim, Grzmotowiczem, przemawiającym zawsze w imię ludu, a hr. Czarnokońskim, reprezentującym najwyższą magnaterję.

— Gdybyś pan siedł ręką w rękę z jakim szlachcicem — rzekł raz do niego, — to by mnie wcale nie dziwiło, pan bowiem jesteś

demokratą, a szlachta była także zawsze demokratyczną. Ale Czarnokoński, to arystokrata, on tylko udaje, że szlachcie sprzyja i z nią trzyma... Już ja go znam!

— Pan dobrodziej ma zupełną słuszość — Kazio odpowiedział. — Hrabia w rzeczy samej nie jest wolny od kierunków arystokratycznych, to prawdziwy możnowładca, lecz ponieważ w głębi duszy jest to człowiek bardzo dobry, choć trochę znarowiony, przytem całem sercem ojczyźnie oddany, więc z dawien dawna postanowiłem zbliżyć się do niego, by jego działalność obrócić na pożytek kraju.

— I pan sądzisz, że ci się to uda?

— Jestem tego nawet pewien.

— Szczęść Boże! — odrzekł pan Oliński, lecz takim tonem, jakby o tem wątpił.

Marynia czytywała ojcu „Wallenroda“ z tym samym co niegdyś zapalem, choć może nie tak często jak dawniej, gdyż nie raz się zdarzało, że ją Grzmotowicz w tem wyręczał. Poezja i kwiaty stanowiły też najmielszą jej rozrywkę, ale mimo że na oko nic się w niej nie zmieniło, badacz natur ludzkich byłby w niej jednak dostrzegł rzecz jedną, której w sobie dawniej nie miała, a tą był niepokój, objawiający się wyraźnie tylko wtedy, gdy była sama.

Ileż to razy, usiadłszy z książką pod oknem, po przeczytaniu kilkunastu wierszy, szybko ją zamykała, poczem bądź długo wpatrywała się w głąb ulicy, jakby tam kogo spo-

dziewała się zobaczyć, bądź też po pokoju biegała, często stając i nadsluchując. Zagadkowy ten niepokój, objawiał się w niej także czasem, gdy była w mieście. Nieraz, jakby w obawie by nie upadła, chwytła się silniej ramienia ojca, ten bowiem prawie zawsze wychodził z nią na przechadzkę, a zdarzało się i tak, że stanąwszy bez powodu puszczała wzrok w tłum ciągnący ulicą, i wtedy na przemian to bladeła, to się rumieniła. Na drobne te rzeczy nikt uwagi nie zwracał, nie uderzyło to nawet ciotki Klemencji, chociaż ta prawie ciągle była z Marynią; nikt także nie wiedział, że w skrytości młode dziewczę nieraz westchnęło, i czasem późno w noc płakało do poduszki.

Snać pan Oliński nie miał dziś zamiaru wysłuchać do końca Wallenroda, skoro gdy Marynia doszła do połowy, usiadł obok niej mówiąc:

— Dosyć już moje dziecię, dosyć. Teraz pogawędźmy trochę.

Wypatrzyła się na niego dużemi oczyma, potem książkę zamykając rzekła:

— Niech i tak będzie...

Ojciec, chwilę milcząc córce się przypatrywał. — Ona miała oczy spuszczone. Potem przemówił pół żartem, pół serjo.

— Maryniu, przyznaj mi się, nie myślałaś ty jeszcze dotąd o swojej przyszłości?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ja? A w jaki sposób?

— W taki, aby wyjść za mąż.

Zarumieniła się jak wiśnia.

— Wprawdzie bardzoś jeszcze młoda, — mówił dalej — dopiero za dwa miesiące skończysz szesnaście, lecz dziewczęta w twoich latach ponoszą już wszystkie marzą o małżeństwie. I jabym się wcale za to na ciebie nie gniewał, moje dziecko... Mnie tam na tym świecie może już nie długo, więc dobrze by było, gdybyś wcześniej o sobie pomyślała.

Podczas gdy ojciec tak mówił, oczy Maryni łzami się napełniły.

— Że też ojczulek może mnie tak martwić! — szepnęła. — Wszak nikt z nas nie wie, kto z brzegu.

— No, no, nie płacz, moje dziecko... przecież dzięki Bogu jeszcze nie umieram... Ot, wspomniałem o tem, bo mi jakoś było łatwiej tak zacząć. Teraz jednak mówmy dalej o życiu, nie o śmierci... Widząc moje dziecię, ilu młodych ludzi ciebie otacza, a że każdy z nich chętnie by cię poślubił, o tem nie wątpię, nie raz myślę, czy nie byłoby to dobrze, jeźlibyś już dziś jednego z pomiędzy nich wybrała. Chcąc, mogłabyś jeszcze poczekać, rok, dwa, lub więcej nawet, a tymczasem poznałabyś bliżej narzeczonego, abyś kiedyś nie potrzebowała sobie wyrzucać, żeś wyszła na chybił-trafił. Jakże ci się Maryniu mój plan podoba?

Ciągle siedziała, z oczami spuszczonemi, ale nic nie odrzekła.

— Nie odpowiesz mi dziecko?

Dawne milczenie.

— To może wcale nie chcesz iść za mąż?

Podniosła ku niemu oczy duże, wyraziste, w których lży się szklily i uśmiechnęła się słodko.

— Tego nie powiem, bo bym skłamała, a tyś mi, ojczulku, zawsze mówił, że kłamstwem powinniśmy się brzydzić.

— Jeżeli tak, to chwała Bogu, pierwsze lody szczęśliwie przełamane — rzekł ojciec żartobliwie. — Skoro małżeństwu nie jesteś przeciwną, mam więc nadzieję, że i męża sobie wybierzesz. A jest w czem wybierać, jest!.. Chociaż mnie romanse nie w głowie, jednak gdy tak na nich patrzę, z oczu każdego czytam, że z największą radością poprowadził by cię do ołtarza. Powiedz że mi teraz, który ci się z nich podobał?

— Żaden, ojczulku.

— Żaden? Czy być może?

— Niestety, tak jest w rzeczywistości — stanowczo odpowiedziała.

— A cóż powiesz o panu Leandrze Wolewiczu?

— Nie więcej, tylko dosłownie to powtórzę, co ojculek niegdyś powiedział, z Kociejo-wa wróciwszy.

— Cóż takiego? Ja sam na śmierć zapomniałem...

— Że to młodzieniec bardzo dystyngowany, tylko szkoda że zanadto do małpy podobny.

— Nie wiedziałem, Maryniu, żeś taka złośliwa — ojciec z uśmiechem odrzucił. — Ale skoro masz tak dobrą pamięć, więc dajmy chyba pokój panu Leandrowi i przejdźmy do innych. O hr. Alfonsie Czarnokońskim nie będziesz mogła powiedzieć, że nie jest przystojny i naturalny.

— Chętnie mu przyznaję te przymioty, ale równocześnie nie wątpię, że gdyby mnie wziął, a właściwie mój posag, potem, tak samo jak niegdyś jego ojciec, i on by może tatka na obiad nie zaprosił. Hrabia poślubiając mnie, byłby pewin, że się do nas zniżył.

Pan Oliński przygryzł nieznacznie koniec wąsa.

— A baron Marcelli Lewkoński? — po chwili zapytał.

— To człowiek taki próżny, że z nim nawet mówić nie lubię.

Ojciec zaczął kolejno wymieniać młodych ludzi, którzy u nich bywali. Każdemu jednak córka miała coś do zarzucenia, żaden jej się nie podobał. Gdy skończył szereg świetnych nazwisk, rzekła:

— Mnie się zdaje, ojczulku, że ja o żadnym z tych paniczów nawet myśleć nie powinnam. Ja nie dla nich... Któż bo mi zaręczy, że choć jeden z nich poślubił by mnie dla mnie samej, nie dla moich pieniędzy? Czemuż mnie nie znali wtedy, gdym była biedną?

— Bo wtedy, moje dziecko, siedziałas na wsi zakopana, więc poznać cię nie mogli.

— O! ja jestem pewna! — Marynia żywo odrzuciła — że tak samo znowu by mnie nie znali, jeśliby przypadkiem ojczulek majątek stracił. Zresztą żaden z nich nie zapomniał by także, żeśmy niegdyś byli biedni, a tylko przypadek zrobił nas bogatymi. Nie, nie, ojczulku, ja nie wyjdę za żadnego z tych ludzi bez serca, zimnych spekulantów, którzy tylko o tyle pannę cenią, o ile ona jest bogatą; ja, jeśli wyjdę kiedy za męża, to chyba za człowieka uboższego a zanego, bo jedynie taki, zdaniem mojem umie kochać i sam na miłość zasługuje.

Podczas gdy córka tak mówiła, ojciec patrząc na nią, był zachwycony. Potem wstał, wziął jej głowę w swoje ręce i w czoło ją pocałował.

— Dopiero teraz widzę, żeś takim dzieckiem, Maryniu, jakim cię zawsze mieć pragnąłem. Nie majątek, nie blichtr zewnętrzny powinien nas ku sobie pociągać, lecz wewnętrzna wartość człowieka. Ja sam, patrząc na tych paniczek wyperfumowanych nie raz myślałem, że każdy z nich stara się w pierwszym rzędzie o twój posag, który do kilku lat puściłby z szampanem... Zresztą gdzie pewność, że mąż z tej sfery, nie zdradzałby także żony na rozmaite sposoby, i że poszanowałby siwe włosy jej ojca. Wszyscy oni po jednych pieniądzech!... Żebyś atoli nie sądziła, że jestem oj-

cem-tyranem, który córce chce swoją wolę gwałtem narzucić, więc dotąd nie usiłowałem nawet zniechęcić cię do tego świata, wśród którego znaleźliśmy się przypadkiem... Niech im się przypatruje i radzi się swojego serca — w duchu myślałem. Ale ponieważ nie znalazłaś między nimi żadnego, więc szukaj teraz gdzieindziej.. A może już znalazłaś takiego?

Zakłopotanie Maryni tak wielkie było teraz, że każdy inny byłby ją o coś skrytego podejrzywał. Nie uczynił tego sam tylko ojciec, jeśli kto bowiem to on był zawsze dalekim od wszelakich przypuszczeń i podejrzeń. Czekał dość długo na odpowiedź, zapytał jakby od niechcenia.

— A o panu Grzmotowiczu co sądzisz?

— O panu Grzmotowiczu? — przeciągle powtórzyła i urwała.

— Tak jest, o nim... Człowiek stateczny, nie lekkoduch, młody, przystojny, mający świetną przyszłość przed sobą, przytem, o ile mogłem zauważyć, na śmierć w tobie zakochany.

Marynia niecierpliwie ramionami wzruszyła.

— Czy mnie kocha, tego nie wiem, ale że codzień radby we mnie wmówić, iż za mną szaleje, to niestety, jest aż nadto widoczną i nie-mniej smutną prawdą.

— Dlaczego smutną? — ojciec zapytał nie bez zdziwienia.

— Bo jeżeli komu ojczulku, to temu zgoła

nie nie wierzę, i gdybym miała z pomiędzy tych, co dziś u nas bywają, koniecznie jednego wybrać, to wolałabym nawet pana Leandra niż jego... O! tak, ojcuzku, ja pana Grzmotowicza nietylko nie lubię, ja się go nawet boję!...

— Aż tak?... Kto was tam kiedy zbada, kobiety!... Byłbym dał szyję, że gdyś zaczęła mówić o biednym, miałaś pana Kazimierza na myśli, tymczasem trafiłem jak kulą w płot... Skoro tak, Maryniu, to radź sobie sama jak umiesz, wybieraj według własnego gustu, a ja od wszystkiego ręce obmywam, bo jak widzę, nie znam się na tych rzeczach.

W ten sposób skończyła się pierwsza ważna rozmowa między ojcem a córką.

Gdy tego dnia Kazio Grzmotowicz przyszedł jak zwykle do pana Olińskiego, ten zamknawszy się z nim w swoim gabinecie, zaczął rozmawiać o różnych sprawach, które przy jego pomocy załatwiał.

— Cóż powiedział dyrektor gimnazjum? — zapytał.

— Niezmiernie się ucieszył, i bezimienne-
mu dawcy, gdyż stosownie do życzenia pana dobrodzieja, nazwiska jego nie wymieniłem, kazał złożyć gorące podziękowanie. Mówił mi, że te pięćset guldenów, które otrzymał, niejednemu biedakowi pomogą rok ukończyć, wielu bowiem dobrych uczniów zostało bez obuwia i odzienia.

— Biedna diatwa! — przerwał p. Oliński.

— Wczoraj zaszło małe nieporozumienie —

mówił dalej Grzmotowicz. Wręczając prezydentowi miasta ową tysiączkę, którą pan dobrodziej ofiarowałeś dla ubogich, zapomniałem był dodać, że pochodzi ona od osoby bezimiennej, której ja jestem tylko pośrednikiem. Ponieważ prezydent miasta we wszystkich dzisiejszych dziennikach za ten dar hojny składa podziękowanie mnie osobiście, przeto jeżeli pan dobrodziej sobie życzy, ja zaraz jutro to sprostuję, bo nie dałby nikt wiary, jak mnie ta omyłka zmartwiła.

— Nie rób sobie kochany pan nic z tego i nie myśl o sprostowaniach... Mniejsza o to, kto daje... rzecz najważniejsza by biedni coś mieli... Myślałem, panie Kazimierzu — dalej mówił — o redaktorze *Trąby ludowej*, który tak odważnie walczy z *Trąbą archanielską*, i pragnę coś dla niego uczynić. Przyznam się panu, że chociaż jestem dobrym katolikiem, nie mogę tego znieść, by się duchowieństwo do spraw publicznych mieszało, a ci ultramontanie, jak ich w gazetach nazywają, chcieliby dziś cały świat opanować.

— Istotnie tak jest, czcigodny panie! — Grzmotowicz żywo potwierdził — a że ja sam dzielam także pod tym względem zapatrywania pana dobrodzieja, więc dlatego przed tygodniem ośmieliłem się być wspomnieć o biednym redaktorze *Trąby ludowej*, który z wszystkich stron przez wrogów ściśnięty, niewątpliwie zgi-

nie, jeżeli jaki zacny patryjota z pomocą mu nie pośpieszy.

— Nie mamy potrzeby mówić tu ani o za-
cności, ani o patryjotyzmie, panie Kazimierzu,
bo to prosty obowiązek... Kto może, powinien
wspomódz szermierza wolności, walczącego z re-
akcją bo ta nam najgorszego piwa nawarzyła.
Skoro więc redaktor *Trąby ludowej* walczy z
nią mężnie, to co mogę, zrobię dla niego. Ju-
tro powiesz mu, kochany panie Kazimierzu, że
znalazł się człowiek, pragnący zachować swoje
incognito, który uważając jego działalność za
prawdziwie pożyteczną, będzie go wspierał sta-
łym zasiłkiem po 100 guldenów miesięcznie. Pie-
niądze będą go dochodziły przez pańskie ręce.
Za warunek atoli kładę, że programu swego pi-
sma w niczem nie zmieni, inaczej cofnąłbym
subwencję.

— Pan jesteś nie tylko dobrodziejem ludz-
kości, lecz także jej aniołem opiekuńczym! —
z uniesieniem Grzmotowicz zawołał.

— Tylko bez przesady, panie Kazimierzu,
bo wiesz, że tego nie lubię. Skoro mam tyle
pieniędzy, że prawie nie wiem, co z nimi ro-
bić, więc rad nie rad, muszę je gdzieś lokować,
a sam przyznasz, że lepiej wspierać ludzi uczci-
wych, niż darmożjadów... Ja nie zubożęję, a ich
może z nieszczęścia podźwignę.

— I z wielkiego nawet, panie dobrodzieju!
Redaktor, o którym mówimy, ma tak mało pre-
numeratorów, że ledwie może druk i papier o-

płacić, jemu zaś samemu prawie nic się nie zo-
staje, a biedaczysko ma żonę i dzieci kilkoro,
z których dwoje ciągle choruje. Jeżeli teraz o-
trzyma 100 guldenów miesięcznie, będzie się po-
czytywał za najszczęśliwszego na kuli ziemskiej.

— Bardzo mnie to cieszy, że mu taką dro-
bnostką będę mógł dopomódz... Powiedz mu tyl-
ko, kochany panie Kazimierzu, by się nigdy nie
starał dowiedzieć, od kogo pieniądze dostaje,
nie chcę bowiem, by mi dziękował. A teraz
śmiej kochanego pana zapytać, co w banku
słychać?

— Byłem u samego dyrektora, Kampfa, i
ten mi powiedział, że wszystkie papiery, które
pan dobrodziej u niego zdeponował, są dobre,
z wyjątkiem akcyj kolei Południowej. To też
radzi sprzedać je jak najprędzej.

— Jeżeli tak, to zechciej mu pan łaskawie
powiedzieć, żeby je sprzedał natychmiast, i ku-
pił mi lepsze papiery.

W tem miejscu rozmowa przeszła na przed-
mioty inne, natury ogólniejszej. Grzmotowicz o-
powiadał głównie o walce wyborczej, która wła-
śnie toczyła się w całym kraju, zajmując wszyst-
kie umysły. Gdy niedługo potem powstał, pan
Oliński, podając mu rękę na pożegnanie, rzekł:

— Jeżeli dziś wieczorem kochany pan nie
będzie miał nic lepszego do czynienia, to może
zechcesz do nas przyjść na herbatkę. Będziemy
sami.

— Z największą przyjemnością, panie do-
brodzieju.

Gdy Grzmotowicz odchodził, pan Oliński
wzrokiem go odprowadzając, myślał:

— Dzielny człowiek! Jeżeli kto, to on ma
przyszłość... Ciekawym jednak, czemu go Ma-
rynia tak nie lubi?... A szkoda, bo że mąż był-
by z niego wzorowy, za to ręczę. Wprawdzie
ma jedną wadę, że nie jest szlachcicem, ale
wielkie jego zdolności brak ten całkiem zacie-
rajają... Wszak któryś tam poeta powiedział, że
gust kobiet jest zmienny, jak pogoda w jesieni...
Może więc i ona z czasem się namysli...

V.

Prelekcja.

Wybory odbyły się w całym kraju, tak do
Sejmu, jak do wiedeńskiego Raichsratu. Przy-
urnie ścierały się głównie dwa stronnictwa. Na
czele pierwszego, które nazwano rządowem,
stał Prezydent, chociaż niewidomie: na czele
drugiego, które nazywało się samo bądź „oby-
watelskiem“ bądź „niezawisłem“, widziano hr.
Hieronima Czarnokońskiego, i jego szefa sztabu,
p. Kazimierza Grzmotowicza. Wprawdzie tu i
owdzie, występowały także do walki komitety
lokalne, pragnące przeprowadzić wybór ludzi
idących zgodnie z biegiem czasu, ale ponieważ
nie były one dość silne, więc też rzadko które-
mu z nich powiodło się dla swojego kandydata
zwycięstwo wywalczyć.

Co do Rusinów, ci podzieleni na dwa obo-
zy, tak zwanych „starych“ i „młodych“ pod
wodzą ks. Mudryckiego i radcy Szerbanow-
skiego, tak zawzięcie kłócili się z sobą, że cał-
kiem zapomnieli o rozwinięciu agitacji wybor-
czej, skutkiem czego ponieśli zupełną klęskę.
Wprawdzie gdzieś odzywały się głosy,

że sprawcą niepowodzenia Rusinów był radca Szczerbanowski, który jakby umyślnie wszystko paraliżował; znaleźli się nawet ludzie, którzy w sam dzień wyborów zarzucali mu konszachty z Polakami i narodowe odstępstwo, ale ponieważ pan radca przyjął to obojętnie, jak na prawdziwego męża stanu przystało, i gdy z drugiej strony nikt mu odstępstwa nie potrafił udowodnić, więc też i zarzuty gołosłowne bez odźwięku przebrzmiały...

Po dokładnem obliczeniu głosów, okazało się, że ani stronnictwo „obywatelskie“ ani „rządowe“ nie zdobyło dla siebie bezwzględnej większości, gdyż oba placem boju równo się podzieliły. Wszystko zależało teraz od tak zwanych „dzikich“, którzy dotąd nie należeli ani do jednego, ani do drugiego obozu; że zaś tych było kilkadziesiąt w Sejmie, a kilkunastu w Reichsracie, rzecz więc naturalna, iż każde ze stronnictw starało się ich do siebie przyciągnąć. Hr. Czarnokoński był pewien, że większość „dzikich“, z których prawie każdy był szlachcicem i właścicielem dóbr ziemskich, stanie pod jego sztandarem. Prezydent zaś liczył także na to samo, gdyż nie tylko sam reprezentował kierunek zachowawczo-arystokratyczny, dla szlachty wielce pojętny, lecz co jeszcze było ważniejsze w jego oczach, to okoliczność, że stojąc tak wysoko w hierarchii urzędniczej, i opierając się o samego monarchę, mógł nie jednego pozyskać orderem, kluczem szambelańskim lub poosadą zyskowną.

We dwa tygodnie po dokonanych wyborach, miał się Sejm pierwszy raz zebrać.

Na trzy dni przed tą ważną chwilą hrabia Albin Albiński przechadzał się zamyślony po swoim gabinecie. Plany, z którymi się nosił, dojrzały już oddawna w jego umyśle; teraz należało je tylko wykonać. Człowiek ten miał może swoje błędy, obok żony mógł zabawnie wyglądać, jego zamiłowanie do gastronomii było nawet godne politowania, pretensja zaś do tworzenia dzieł nieśmiertelnych, robiła go wprost śmiesznym; lecz mimo to, nikt bezstronny nie odważyłby się powiedzieć, że hrabia nie miał pewnych zdolności. Przeciwnie, umysł to był ruchliwy, bystry, niewidzący wprowadzić własnych błędów, lecz dostrzegający w innych najdrobniejszą nawet ułomność. Prócz tego hrabia zastanawiał się także nad ogólnem położeniem, a że dzięki swemu urodzeniu poczytywał się za istotę wyższą, którą Bóg na to stworzył, by jej niższe służyły, więc nie bez pewnej obawy patrzył teraz na ruch od dołu, który we wszystkich krajach cywilizowanych masy najniższe naprzód wysuwa. Jeżeli tej fali — często w duchu powtarzał — nie cofniemy w dawne łożysko, to stany uprzywilejowane zginą śmiercią gwałtowną. Bojąc się tego, postanowił wedle sił swoich przyczynić się do ratowania tradycji, którą uważał za główną podstawę swego istnienia.

Tak w jego umyśle powstał projekt założenia „Klubu moralistów.“

Plan był dosyć rozległy i niezwykle. Hrabia postanowił wciągnąć do swojego klubu najpierw ludzi dobrze urodzonych, którzy bez wyjątku prawie podzielali jego przekonania; następnie ich zwolenników, w końcu tych wszystkich, których interes materialny łączy z wyższemi sferami. W ten sposób mógł w rzeczy samej powstać klub olbrzymi. Miał się zaś dlatego nazywać „Klubem moralistów“, że jego członkowie powinni byli przedewszystkiem szerzyć moralność tak społeczną, jak polityczną...

Właśnie gdy hrabia po gabinecie chodząc, plan swój szczegółowo rozbierał, wpadł młody pan Wolewicz.

— Jak to pięknie, mój Leandrze, że cię tu widzę! — zawołał wesoło, do gościa się zbliżając. — Właśnie chciałem sam być u ciebie.

— W takim razie szczęśliwym, żem cię uprzedził.

— Jak wiesz, za trzy dni zbierze się nowy Sejm, a że w tym dniu zjazd będzie wielki, więc postanowiłem skorzystać ze sposobności, i wystąpić z pierwszą prelekcją.

— Wybornie! Wyśmienicie! — Leander zawołał. — Zaraz to w mieście rozgłoszę, i nie wątpię, że sala będzie nabita.

— I ja się tego spodziewam — hrabia potwierdził. — Dołożyłem starań, żeby już dziśszejsze dzienniki wieczorne doniosły o moim odczycie, a że całe „towarzystwo“ zbierze się w komplecie, to więcej niż pewne... Prócz tego

przyjdą także posłowie i inni ludzie dobrze wychowani. Mam nadzieję, że wszyscy będą zadowoleni, gdyż przedmiot, jaki wybrałem na pierwszą prelekcję, jest bardzo zajmujący.

— Co to będzie takiego?

— Postanowiłem mówić o Trembeckim, o jego pracach, życiu i cnotach. Ty znasz przecie Trembeckiego?

— Trembeckiego? Trembeckiego? — Leander powtarzał, przyczem czoło zmarszczył i głowę podniósł do góry. — Być może, Albinie, żem go gdzieś widział, lecz sobie nie przypominam.

— Ależ ja mówię o tym Trembeckim, który był poetą za Stanisława Augusta! — hrabia odrzekł z naciskiem.

— A! o tym.. Nie, nie, Albinie, tego nie miałem sposobności bliżej poznać. Zresztą muszę ci się przyznać, że ja z poetami jestem trochę na bakier, bo w żaden żywy sposób nie jestem w stanie zrozumieć, jak człowiek może wierszami mówić... Dla mnie szczytem poezji jest koń, i dlatego dziś właśnie kupiłem dzieło hr. Czapskiego, o „Koniu“. Książka pyszna, papier welinowy, ryciny doskonałe, całość *plus ultra!* Jeżeli nie znasz tej publikacji, zaraz ci ją przyniosę.

— Ależ znam ją, mój Leandrze, znam od dawna, mam nawet to dzieło w mojej bibliotece. Wracam jednak do sprawy, którą mój umysł najbardziej teraz zaprzątnięty. Pierwszą

prelekcję poświęcę zatem Trembeckiemu, gdyż jeżeli w którym pisarzu, to właśnie w tym kryształizuje się to wszystko, czem dziś ogół powinien się przejąć. Wprawdzie demokraci wygadują na niego, lecz kogo ta hołota nie czerni!... Jeżeli jednak chcemy, by już ten pierwszy mój występ wydał zbawienne owoce, to trzeba mój kochany tak zarządzić, żeby nietylko ci, co będą w sali, lecz także całe miasto dowiedziało się, o czem mówiłem, i jakim przedkonania wygłosił.

— Słuszna uwaga, Albinie... Lecz jak to ma się stać?

— To już, mój drogi, do mnie nie należy... to rzecz moich przyjaciół i gorliwszych członków naszego obozu... Pomnij tylko Leandrze, że najzbawienniejszy nawet projekt zginie bez śladu, jeżeli szersze koła o nim się nie dowiedzą... Słuszną jest także rzeczą, by ci, którzy poświęcają się dla dobra powszechnego, nie potrzebowali potem skarżyć się na brak uznania, bo to zniechęca... Sądzę, mój kochany Leandrze, żeś mnie zrozumiał...

— Hm.. tak... choć może nie całkiem...

— W takim razie, mój drogi, ja ci więcej nie powiem, bo mi nie wypada... Jeżeli mi jednak dobrze życzysz, czego się spodziewam, to pomów o moim projekcie z jakim dobrym przyjacielem, najlepiej z Markizem, ten bowiem ma rozum, a nie wątpię, że ci coś dobrego poradzi. W chwili tak ważnej, jak terazniejsza,

gdy mam przed krajem wystąpić i nowe myśli rzucić, powinni mnie przede wszystkim wesprzeć ludzie dobrej woli.

Leander słuchał, ale całe przemówienie hr. Albińskiego tak było niejasne, że z niego nic nie zrozumiał. Czas jeszcze jakiś u niego zabawił, lecz gdy hrabia nie uznał za stosowne jaśniej się wytłumaczyć, pożegnał go i drogą najkrótszą udał się do Markiza.

Zastał go leżącego na sofie z cygarem w ustach. Ponieważ Leandrowi pilno było usłyszeć, czego właściwie żądał od niego mąż pięknej pani Zefiryny, więc rozmowę, jaką z nim miał, natychmiast Markizowi dosłownie powtórzył.

Markiz wysłuchawszy, śmiechem parsknął.

— Wiesz co, Leanderku — zawołał — ty musisz mieć *une tête bien carrée*, jak Francuz mówi, skoroś go nie zrozumiał. A wszak z tego, coś mi tu powiedział, jasno wypływa, że nasz kochany Albin chce klaki, świetnego przyjęcia, owacji!

— Tak sądzisz?

— Ależ to leży jak na dłoni!... Skoro przez miłość dla niej, stałeś się jej o wielbicielem, prawdopodobnie bowiem spodziewasz się teraz przez jego protekcję dostać się do jej serca, więc urządz mój synu klakę i owację, bo to w modzie. Bez tego dziś ani rusz.

— Urządź, urządź — odparł Leander ra-

mionami wzruszając. — Jabym to chętnie uczynił, ale cóż, kiedy nie wiem jak...

— Mój drogi, ja ci także nie poradzę, gdyż takimi sprawami nigdy się nie zajmowałem. Dość mam kłopotu, że muszę rozgłaszać sławę mego wina i herbaty, więc choćbym nawet pragnął, nie potrafiłbym zajmować się ludźmi sławnymi.

— Przecie Albin nie jest jeszcze sławnym — Leander zauważył.

— Dziś jeszcze nie jest, lecz jeżeli dobrze się zawiniesz, będzie nim jutro. A hr. Czarnokoński jak prędko wyrósł na bohatera? W czasach teraźniejszych, mój kochany, wszystko zależy od reklamy. Choćbyś miał głos, jak Mario, jeżeli nie znajdziesz dobrego impressaria, zginiysz... Przeciwnie, choćby ryczał jak wół prosty, zręczny impressario potrafi z siebie zrobić pierwszego śpiewaka. W świecie literackim, naukowym, politycznym, to samo się dzieje. Reklama roznosi sławę, klaka ją uznaje, a głupi tłum wierzy w nią jak w dogmat. Jeżeli więc mój Leanderku chcesz się Albinowi przysłużyć, to, jak powiedziałem, urządz mu klakę, a w nagrodę za sławę męża, piękna jego żoneczka gotowa cię uszczęśliwić. Cóż, Leanderku, jakie są twoje zamiary?

Młody człowiek uśmiechnął się dwuznacznie, lecz wprost na to nie odpowiedział.

— Chciałbym coś uczynić, gdyż jestem jego

przyjacielem, ale daję ci słowo honoru, że ani wiem jak się wziąć do tego.

— Leanderku! wygrałeś! — zawołał Markiz z sofy się zrywając. — Udać się do Grzmotowicza, on ci najlepiej poradzi! Jak to szczęśliwie, że ten mi na myśl przyszedł. Wszak pod słońcem nie ma większego mistrza klaki. Przypominasz sobie, jak to on swego czasu przyjął świetnie deputację, do której twój ojciec należał? Poczciwy pan Wolewicz, nie raz mi potem mówił, że dotąd ani się domyśla, za co wówczas został wielkim człowiekiem. Zresztą kochany Kazio nie zapomniał także o sobie, bo jest już posłem i delegatem. Idź tylko do niego, idź, a on cię z pewnością nauczy, jak z Albina zrobić znakomitość.

Leander nie słyszał słów ostatnich, bo już był na ulicy.

W pół godziny później siedział w pokoju Grzmotowicza i cicho z nim rozmawiał, a że prócz tego narada odbywała się przy drzwiach zamkniętych, więc nietylko my nic o niej nie możemy powiedzieć, lecz i siostra Kazia, osoba lubiąca wszystko badać, napróżno ucho do dziurki od klucza przykładala.

Trzeciego dnia powietrze było łagodne, słońce jasno świeciło, w mieście zaś wszystko wyległo na ulice, by przypatrzeć się bogatym strojom panów posłów, którzy jechali do katedry na nabożeństwo.

Najokazalej wyglądał hr. Hieronim Czar-

nokoński. Jego strój był wspaniały, jego postawa była pańska, jego krok, gdy do świątyni wchodził, był spokojny. Każde spojrzenie biegło najpierw ku niemu, potem zaraz do Kazia Grzmotowicza, który w czarnym kontuszu ze srebrnymi guzami, wyglądał wprawdzie najskromniej, lecz zarazem najbardziej interesująco.

O! Kazio musiał tego dnia stać długo przed zwierciadłem, skoro na czole miał tyle trosk, a w oczach tak głęboką zadumę, że więcej nie miał ich pewnie sam Napoleon, gdy na czele swoich zastępów spieszył przeciw kolosowi Północy!

Kazio zrobił szczególnie dobre wrażenie między damami, które w strojach balowych, zgromadziły się przed wielkim ołtarzem. Ta uśmiechnęła się na jego widok; druga przypatrywała mu się długo przez lornetkę; inna podziwiając jego piękny profil i czarną brodę, w której srebrzył się włos jeden, jako dowód pracy i cierpień, cicho westchnęła.

Po Mszy i po odśpiewaniu *Veni Creator*, panowie posłowie odjechali na posiedzenie, na którym w imieniu cesarza przemówił sam Prezydent. Posiedzenie było krótkie, zwyczajnie jak każde pierwsze, poczem ojcowie narodu udali się do bufetu na przekąskę, ztamtąd zaś pojechali prawie wszyscy do sali ratuszowej, gdzie hr. Albin Albiński miał w tym dniu mówić o Trembeckim.

Z całego Sejmu nie zjawili się tylko Rusini

i kilku posłów młodych, których z góry oba wielkie stronnictwa uznały za warcholów i jako takich potępiły.

Plac przed ratuszem był istnem mrowiskiem. Jedni biegli na odczyt, drudzy przypatrywali się powozom ciągle nadjeżdżającym, z których wysiadali bądź posłowie, bądź damy wielkiego świata, w towarzystwie eleganckich kawalerów, inni nareszcie stawali i gapili się jak drudzy, chociaż ci nawet nie wiedzieli, co zapowiadają wielkie ogłoszenia na rogach ulic, po co jadą bogaci a idą pieszo ubożsi, i co w ratuszu dzieć się będzie.

Pod samą kolumnadą, tam, gdzie się powozy zatrzymywały, widać było kilkunastu terminatorów szewckich, z którymi połączyli się chłopcy piekarscy i sklepowi. Zbici w jedną masę, głośno o czymś rozprawiali.

Zajechały dwa ekwipaże. Z pierwszego wysiadł hr. Albin Albiński z żoną, z drugiego Gucio z Włodzimierzem Szczerbanowskim.

— To on! Jak Boga kocham, on! Wiwat! — krzyknął wśród tłumu chłopców szewckich jeden z najcieńszych głosów.

— Cicho Józek! — drugi zawołał. — To przecie nie teraz, tylko potem...

— A za com wziął papierka?

— Cicho ośle! bo ci dam poza uszy!

Podezas gdy chłopcy tak rozmawiali, hrabia podał ramię żonie i wszedł na schody. Za nimi postępowali Gucio i Włodzimierz.

Sala była nabita. Prócz całej arystokracji i jej adherentów, zebrało się w niej także dosyć ludzi uczonych, profesorów, dziennikarzy i akademików. Panie były wystrojone. Na galerjach siedziały przeważnie takie figury, że nikt z pewnością nie byłby ich posądził o zamiłowanie do literatury.

Nieopodal drzwi wchodowych stał Leander, obok niego Markiz. Pierwszy wyglądał jakby go co niepokoiło; drugi uśmiechał się ironicznie. Leander to puszczał wzrok dokoła sali, to podnosił go na galerje, z kąda ten i ów wysyłał mu jakieś znaki.

— Cóż Leanderku, boisz się zrobić fiasco? — Markiz do ucha mu szepnął.

— Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

W tej chwili na estradzie pojawił się hr. Albiński. Miał na sobie frak czarny i biały krawat, w rękę trzymał rękopis w trąbkę skrecony. Oczy jego były trochę zmrużone, usta słodko się uśmiechały.

Kilka dam w pierwszym rzędzie uderzyło w drobne rączki. W tejże chwili Leander z całej siły zaczął bić oklaski, przyczem wołał: Brawo! Jakby na komendę z galerji i z różnych kątów sali zerwała się burza oklasków, wśród której strzelał czasem świst urywany. To jeden z akademików objawiał w ten sposób swoje niezadowolenie. Świst jednak zamiast kogo przestraszyć wręcz przeciwny skutek wy-

wołał. Oklaski zrobiły się teraz ogólne, w sali zakipiało.

Hrabia stał ciągle na estradzie słodko się uśmiechając, i dopiero gdy się wszyscy uspokoiłi, co nie tak prędko nastąpiło, siadł i zaczął czytać.

Wykład jego był potoczysty, jasny, wytworny. Brak w nim może było tego ciepła co porywa, tego ognia co zachwyca i tej siły, przed którą każdy musi się ukorzyć, gdyż ona jest znamię geniuszów i wielkich talentów; lecz za to pojedyncze okresy były starannie wydziergane, jak koronki brabanckie, nigdzie prelegent nie użył gwałtowniejszego wyrażenia, każde zdanie było eleganckie, każdy zwrot przypominał mowę salonową. Taksamo przemawiali i pisali niegdyś akademicy francuzcy, w epoce upadku narodu, dopóki energiczniej myśleć i mówić nie nauczyła ich wielka Rewolucja.

Panie były oczarowane, panowie udawali, że wszystko zrozumieli, i że się także zachwycają.

— On mówi boskim językiem! — szepnął Leander do Markiza.

— Rzeczywiście — odparł Markiz. — Mówi jakby smarował pomadą a polewał lemoniadą.

— Cicho, ty cyniku!

Prelekcja trwała całą godzinę. W kilku miejscach przerywano ją hucznymi oklaskami. Sens zaś moralny był następujący:

Trembecki należy do ludzi niepospolitych z wielu powodów. Najpierw dlatego, że był szlachcicem, szambelanem i królewskim poetą; powtóre, powtóre, że pisał wytwornie; наконец że umiał szanować magnatów, którzy mu dali chleb łaskawy. Na niego powinni tedy zapatrywać się wszyscy ludzie umysłowo pracujący; niech nikt nie buntuje się przeciw możnym tej ziemi, a że każda władza pochodzi od Boga, więc też słuszną jest rzeczą, by panowie zawsze byli i w narodzie rej wiedli. Ludzie dzielący te przekonania są prawdziwie moralni — ci zaś, którzy ośmielają się wyznawać inne zasady, są niemoralnymi warchołami.

Po skończonej prelekcji oklaskom i brawom końca już nie było. Leander widząc, że hrabia z estrady zstępuje, zbiegł na dół czempredzej. Za nim pomknął Markiz.

Gdy niedługo potem hrabia znalazł się pod kolumnadą, prowadząc pod ramię swego jedy-naka (hrabina szła teraz z młodym hr. Czarnokońskim) Leander dał znak chłopcom szewskim, i ci chórem krzyknęli:

— Niech żyje nasz wielki mistrz słowa! — inne głosy dodały.

— Niech żyje!

— Niech żyje! — zagrzmiało na placu.

Hrabia uklonił się w prawo i w lewo, poczem wsiadł do powozu.

— Leandrze! to za mało — Markiz przemówił. — Alboż nie wiesz, że takim ludziom konie się wyprzega?

Wielka ta myśl tak oślnęła przyszłego dziedzica Kociejowa z przyległościami, że w tej-że chwili zwracając się do szewckich chłopaków krzyknął:

— Wyprzadz konie!

Jakoś nikt się nie ruszył.

— Wyprzadz konie! Dam pięćdziesiąt papierków!

Magiczne te słowa zrobiły swoje. Tłum uliczników rzucił się do powozu, i mimo łagodnych protestacji hrabiego, wyprzągnął mu konie w czym sam Leander czynnie dopomagał. Potem on pierwszy chwycił za dyszel, przy nim znalazło się jeszcze dwóch czy trzech łobuzów inni zaś popychali powóz bądź z boku, bądź z tyłu.

Hrabia wodził okiem zadowolonym to w prawo to w lewo, i z uśmiechem kłaniał się tłumom, które coraz głośniej wołały:

— Wiwat! Niech żyje!

Markiz podbiegł i szepnął do ucha Leandrowi:

— *Ma foi* znakomicie! Jak widzę, dopiero teraz znalazłeś się w swojej roli!

VI.

Na salonach Prezydenta.

Chociaż tak w ratuszu, jak na placu, ludzi było bez liku, kraj jednak nie byłby może wiedział, jak wielkie powodzenie miał w tym dniu hr. Albin Albiński, gdyby nie *Trąba archanielska*, *Niepodległy* i *Porządek*, które w trzy godziny po owacji, ogłosiły *urbi et orbi* co następuje:

„Do szeregu świetnych nazwisk, z których nasza ojczyzna jest dumną, a które niewątpliwie przejdą do potomności, przybyło teraz nazwisko hr. Albina Albińskiego. Znakomity ten pisarz, którego liczne dzieła znajdują się oddawna w handlu księgarskim, miał dziś w ratuszu odczyt, będący prawdziwym fenomenem w tej gałęzi polskiej literatury. Ponieważ czasu mamy bardzo mało, właśnie bowiem nasze piśmo idzie pod prasę, przeto ocenę odczytu odkładamy do przyszłego numeru, tu zaś wynurzymy tylko nadzieję, że czcigodny Hrabia ceną swoją pracę wkrótce drukiem ogłosi; by

w najdalszych nawet zakątkach poznano jego wielkie myśli i głębokie poglądy!”

Markiz przeczytawszy to wieczorem w gazecie, parsknął na całe gardło.

— I niech kto teraz powie, że opinia publiczna jest sprawiedliwą! — zawołał. — Ręczę, że za całą wielkość tego sybaryty, Leander dał najwyżej pięćset guldenów. Kupił klaskierów, zabawił się w konia, z czem mu było wcale do twarzy, dał kubana reporterom dziennikarskim i rzecz skończona. *Ma foi* w zabawnych czasach żyjemy. Ale mniejsza o to, niech robią, co im się rzewnie podoba, my lepiej pomysłmy o dzisiejszej recepcji.

Markiz miał w rzeczy samej o czem myśleć. Dnia poprzedniego otrzymał był od Prezydenta zaproszenie na recepcję, którą tenże dawał w pałacu prezydjalnym dla posłów sejmowych i innych znakomitości. Z recepcją miał być wyjątkowo także bal połączony. Chociaż Markiza, mimo jego bankructwa, cała arystokracja dotąd przyjmowała, zawsze lękał się on w duchu, by to się kiedy nie urwało. Nastąpiło by zaś to niewątpliwie wtedy, gdyby ta lub owa wybitniejsza osobistość, zapraszając do siebie matadorów miasta, jego pominęła. W kraju, w którym żył, szczególne były zwyczaje. Począwszy od sfer najwyższych, a skończywszy na najniższych, każdy poczytywał tylko tych za prawdziwie znakomitych, którzy bądź mieli tytuły i stanowiska wybitne, bądź bogactwem

jaśnieli, lub przynajmniej ocierali się o osobistości do tej kategorii należące. Przeciwnie, ludzie nauki, charakteru i zasług choćby największych, lecz w cichości spełnionych, nie należeli do znakomitości. Skutkiem tego na obiedzie u księcia X. lub hrabiego Y. niewątpliwie mogłeś spotkać wielkich pieczeniary, lecz nigdy nie byłbyś zobaczył ani profesorów uniwersytetu, ani wybitniejszych pisarzy. Od tej słabości nie był wolny sam Prezydent, chociaż pod wielu innymi względami przewyższał on o całą głowę swoje otoczenie. Ilekroć zapraszał do siebie „znakomitości“ czy to na bal, recepcję lub obiad, zawsze sekretarz jego wpisywał na listę najpierw wszystkich członków tak zwanego „towarzystwa“ od najstarszych do najmłodszych, bez względu na ich wartość umysłową i moralną, a dopiero potem zastanawiał się uważnie, kogo mu jeszcze zaprosić wypadnie. Dzięki tej taktyce, p. Juliusz na przykład, który w kraju tylko tem się wstawił, że damom wielkiego świata kupował zawsze bilety do teatru i za nimi zarzutki nosił, bywał u niego na wszystkich wielkich przyjęciach, lecz nigdy nie widziano tam ani p. Erazma ani dr. Michała, którzy napisali kilkanaście dzieł znakomych.

Chociaż Markiz w głębi duszy drwił z takich zwyczajów, jeżeli kto bowiem, to on, który całą fortunę stracił w Paryżu, wiedział najlepiej, jak powinien wyglądać salon prawdziwie arystokratyczny i cywilizowany, mimo to rad

był temu, że Prezydent zamiast jakiego filozofa, raczej jego zaliczył do rzędu znakomitości i na dzisiejszy wieczór zaprosił, fakt ten bowiem utrwał jego stanowisko wśród „towarzystwa“, które, kto wie, czy nie byłoby sobie chciało kiedyś przypomnieć, że dawny milioner i dziedzic wielkiego nazwiska, był dziś skromnym komisantem win francuskich i herbaty rosyjskiej. Po takim przypomnieniu, nastąpiłoby niewątpliwie wykluczenie, a myśl o tem Markiza dreszczem przejmowała. Wszak jako człowiek miał i on swoje słabości... Zresztą utrata dotychczasowego stanowiska, spowodowałaby także ostateczną jego ruinę, gdyż w „towarzystwie“ miał najliczniejszych i najlepszych klientów.

Markiz, ubierając się na recepcję, uśmiechał się bez przerwy i sam z sobą rozmawiał, co u niego było zawsze objawem wielkiego zadowolenia.

Zanim powóz po niego zajędzie, musimy pośpieszyć do pałacu Prezydenta.

Wszystkie okna rzęsiście oświetlone. Dr. Sakowicz, na czele lokajów, szybko, jakby młodzik jaki, przebiega salony, i bacznie okiem śledzi, czy gdzie czego nie brakuje. Pierwszy mecenas stolicy nie sądzi, by mu to ubliżało, w jego przekonaniu bowiem, trzymanie się klamki wielkich panów, jest nie tylko rzeczą korzystną, lecz także wielce zaszczytną, a o to każdy człowiek rozumny przedewszystkiem dbać powinien. Kilka świec sam poprawił, jeden stół, na któ-

rym zobaczył trochę kurzu, strzepał własną chustką od nosa, jedno zwierciadło, które w ostatniej już chwili popstrzył pajak niedyskretny, natarł własną śliną, czem lokajowi pracę ułatwił. Dokonawszy tak wielkiego zadania, poszedł do bufetu.

Tu zastał piwniczego i dwóch starych kamerdynerów, zajętych ustawianiem butelek szampańskich.

— Panie Macieju — przemówił do piwniczego — masz pan jeszcze co z tego szampana, którego sto butelek przed dwoma laty przysłał Jego Ekscellencji książę de Ligne?

— Mam tylko ośm butelek. Oto te ze złotymi szyjkami a z zieloną etykietą.

— Odstaw je pan na bok, ja sam będę z nich nalewał.

— Pan mecenas?

— Cóż cię tak zadziwiło, panie Macieju? Wszak i tu będą ludzie rozmaici... Niejeden z nich na takim szampanie nawet by się nie poznał... Osoby znakomitsze trzeba honorować, a tem ja sam się zajmę.

Podczas gdy mecenas rozgląda się po bufecie, Prezydent, stojąc z żoną w pierwszym saloniku, przytykającym do sali głównej, przyjmuje gości, którzy co chwila nadjeżdżają.

Prezydent ma minę poważną, acz wielce uprzejmą; żona jego słodko się uśmiecha. On wszystkim rękę podaje, damy zaś znakomitsze, chociaż to się rzadko zdarza, sam do sali wpro-

wadza; ona przyjmuje każdego grzecznie, lecz bardzo chłodno.

Salony były już dobrze napełnione, gdy we drzwiach pojawił się pan Oliński z Marynią i Władysławem. Pan Oliński miał na sobie czarną czamare pod szyję zapiętą. Marynia wystąpiła w sukni prześlicznej, którą ojciec na ten wieczór z Paryża jej sprowadził; Władysław wyglądał jak prawdziwy lew salonowy.

— A, szanowny sąsiad! — Prezydent przemówił wesoło. — Baliśmy się, czy nas ten zaszczyt i dziś nie minie...

Pan Oliński odpowiedział coś niezrozumiałego, Marynia dygnęła, jak umiała najpiękniej, Władysław uklonił się wzorowo.

— Służę pani — rzekł Prezydent, ramię Maryni podając.

Dziewczę wypatrzyło się na niego, na szczęście wszakże swoje prędko zrozumiawszy, że wahanie mogłoby być za śmieszność poczytane, podała mu rękę. W tej samej chwili prezydentowa, wsuwając swoją rączkę pod ramię panu Olińskiemu, rzekła:

— Tak rzadkich a miłych gości, nie możemy samych puścić, boby nam gotowi znowu na długo zginąć.

Pan Oliński złożył był swego czasu wizytę Prezydentowi, którą mu tenże oddał zaraz nazajutrz, lecz dotąd nie był jeszcze na żadnem u niego przyjęciu. Zrobił to dopiero dziś, ulegając głównie prośbom Władysława. Na grze-

czne słowa wielkiej damy, nie wiedząc co odpowiedzieć, uśmiechnął się tylko i tak w milczeniu siedł za Prezydentem, który jego córkę prowadził.

Gdy weszli do sali, wszystkich oczy na nich się zwróciły i szmer niewyraźny przebiegł ją od początku do końca. Mężczyźni rozstępując się, głęboko się kłaniali; panie, siedzące na nieznacznie podwyższeniu, żywo z sobą rozmawiały.

— A to co za figury? — przemówiła hr. Eufemia, przykładając do oczu lornetkę w złotej oprawie. — On ubrany jak podstarość, ona, jak widzę, ma wprawdzie suknię od Wortha, lecz jej ruchy zdradzają parafiankę. I takie osoby sami prezydentostwo wprowadzają?...

— Rzeczywiście w tem jest coś zagadkowego! — potwierdziła księżna Sydonia.

— Ależ to pan Oliński ze swoją córką i synem — wzięła się Żoza, najstarsza córka Prezydenta, która w tem miejscu z siostrą siedziała.

— Jaki pan Oliński?

— Ten, co po hrabinie Dobrzyńieckiej odziedziczył cały majątek.

— Aha! — odpowiedzieli równocześnie księżna i hrabina, poczem pierwsza, nachyliwszy się, szepnęła drugiej do ucha: — Teraz nie dziwię się, skąd się u nich wzięła ta grzeszność. Wszak to tylko polowanie na miljony.

— Ależ to skandal! — hrabina odrzekła. — Patrząc na to, nawet dziecko najmniejsze domyśli się, że Prezydent chciałby swego syna ożenić z tą dziewczyną, a za jej brata wydać jedną ze swych córek.

— Rzecz naturalna. Tym sposobem całe trzy miljony zostałyby w rodzinie.

— Jakiż to człowiek łakomy!

— A prezydentowa jaka niebaczna, że do tego rękę przykładą i tak się z tym szlachetką kompromituje!

Damy przestały mówić, właśnie bowiem ci, któremi się zajmowały, do nich się zbliżyli. Zaczęła się prezentacja, poczem Prezydent, żonnie ramię podawszy, zwolna się oddalił. Na odchodnym rzekł jeszcze do Żozy:

— Uważaj duszko, żeby się nasi goście nie nudzili...

Księżna i hrabina zamieniły z sobą wieloznaczające spojrzenia. Nie minął jednak kwadrans, a postać rzeczy zupełnie się zmieniła. Księżna, która miała na wydaniu córkę już niemłodą i do tego ułomną, zrobiła spostrzeżenie, że pan Oliński po bliższem poznaniu niezmiernie zyskuje, i że jego syn jest młodzieńcem *comme il faut*; hrabina zaś, która już od lat kilku, na próżno starała się swego jedynaka do brze ożenić, tyle wdzięków i rozumu odkryła nagle w Maryni, że jej odtąd na krok od siebie nie puszczała.

Jedni z ostatnich pojawili się w sali hra-

biostwo Albińscy, z synem i guwernerem. Tak więc nie tylko Gucio, lecz i jego mentor, Włodzimierz Szczerbanowski, został uznany za znakomitość. Wprawdzie na bilecie, który hrabia Albin otrzymał, znajdowało się zaproszenie tylko dla niego i jego rodziny, hrabina jednak napisała natychmiast woniejący liścik do sekretarza Prezydenta, poczem zjawilo się zaproszenie także dla nauczyciela jej jedynaka, którego bądź przez omyłkę, bądź umyślnie, zatytułowano doktorem filozofji.

Hr. Albiński był przedmiotem ogólnego zajęcia. Nietylko posłowie i przedstawiciele rodów starożytnych składali mu swoje gratulacje; nawet sam Prezydent, aczkolwiek nie należał do ludzi lubiących mówić komplementa, w słowach bardzo grzecznych chwalił jego talent oratorski i życzył mu powodzenia na drodze świeżo obranej. Hrabia dziękował ukłonami i uśmiechem, hrabina zaś, ujrzawszy jakiegoś jenerała, podała mu ramię. Meża zostawiła z Prezydentem.

Po rozmowie, która kilkanaście minut trwała, hr. Albiński, pospieszył do panów, stojących w głównej sali pod oknem, przeczcucie bowiem powiedziało mu, że ci chwalą właśnie jego prelekcję; Prezydent zaś, opuściwszy mały salonik z żoną, i odprowadziwszy ją do córek, podniósł głowę i brwi lekko zmarszczył, gdyż kogoś w tłumie szukał. Musiał znaleźć, bo się uśmiechnął i głową skinął nieznacznie.

Nie długo trwało, a zbliżył się do niego ks. Eustachy. Prezydent oddalił się z nim w głąb sali, gdzie chwilowo nikogo nie było, i tu zapytał prędko a cicho:

— I cóż, nie będzie?

— Nie, Ekscellencjo.

— Jakiż powód?

— Grzmotowicz utrzymuje, że hr. Czarnokoński, wystąpiwszy jawnie do walki z W. Ekscellencją, nie chce się kompromitować wobec kraju, który jego obecność na salonach W. Ekscellencji mógłby uważać za odstępstwo...

— Ale to samo nie przeszkadza ani zwolennikom hrabiego jaśnieć tu dziś w komplecie, ani jego prawej ręce, zacnemu p. Grzmotowiczowi, tak teraz dysputować, że go aż tu słyszeć. Ha, jeżeli hrabia życzy sobie wojny, może być pewny, że ją będzie miał. Z początku myślałem, że mu szło tylko o wybór do Sejmu i Reichsratu, ale skoro na coś większego kroi, więc trzeba mu zadanie ułatwić... A to warchoł arystokratyczny!.. Sama przyzwoitość nakazywała przyjść dziś do mnie, skoro zaprosiłem wszystkich posłów bez wyjątku, lecz, jak widzę, on woli być nawet impertynentem, niż stracić choćby najmniejszą częśćkę ze swej sztucznej popularności... No, no, zobaczymy jak to długo potrwa...

Prezydent umilkł. Kapelan uśmiechał się ciągle słodziutko, ale ust nie otwierał.

O kilkanaście kroków przed nimi, prawie w samym środku sali, stał Grzmotowicz otoczony posłami, urzędnikami i złotą młodzieżą. On mówił, a oni go słuchali. Kazio wyglądał jak człowiek, który widząc, że mu szczęście dopisuje, nabiera coraz większej pewności siebie. Odkąd, dzięki pomocy hr. Czarnokońskiego, został posłem na Sejm i delegatem do Reichsratu, w ruchach jego przebijała się jeszcze większa niż dawniej dystynkja, ton głosu był głośniejszy, mowa bardziej stanowcza. Niedarmo mówi ruskie przysłowie: *Prybud' szczoście, rozum bude*. Kazio Grzmotowicz przekonywał się na sobie, że teraz miał już te siły, których człowiek potrzebuje, gdy wiele pragnie i o wiele rzeczy się kusi. Nawet tu, na tych salonach, o których dawniej nie było mu wolno ani zamarzyć, czuł się dziś jak u siebie w domu, i powoli zaczynał z góry tych traktować, przed którymi niedawno pokłony wybijał. O! jak wielka zachodziła już różnica między owym Kaziem, którego przyjaciele Leandra po polowaniu w Kocijowie pytkami rozgrzewali, a dzisiejszym panem Kazimierzem, wytyczającym nowe drogi polityczne i mającym kraj zbawić!

Prezydent przypatrywał mu się czas jakiś z uśmiechem sarkastycznym, potem do kapełana się zwracając, szepnął:

— Że ten będzie jadł z ręki, za to ręczę!

Podczas gdy tu tak rozmawiano, Włodzimierz Szczerbanowski, którego Gucio prędko

porzucił, błąkał się po salonach. Wprawdzie znał nie jednego, lecz do nikogo nie miał odwagi przystąpić, czuł bowiem, że tu każdy pragnie się wywyższyć, i nikt nie zechce zniżyć się do jego osoby. Tak więc wśród największego tłumu był osamotniony, jak na pustyni.

Gdy właśnie o tem myślał, czy nie byłoby dlań lepiej, jeżeliby niepostrzeżenie opuścił te salony, wzrok jego padł na grupę młodych ludzi, wśród których dostrzegł pannę Marję Olińską. Odkąd był w mieście, pierwszy dopiero raz się zdarzyło, że ją zbliżka zobaczył. Przedtem spotykał ją kilka razy na ulicy, lecz zawsze z daleka; dopiero dziś miał ją o kilka kroków przed sobą. Stanąwszy za wielkim krzewem egzotycznym, w które sala była ubrana, przypatrywał jej się uważnie.

Wyglądała jak niegdyś skromnie, naturalnie, tylko twarzyczka bledsza się zrobiła, spojrzenie było głębsze, i na ustach nie igrał dawny uśmiech pełen swobody a zalotności niewinnej. Spoważniała. Im dłużej Włodzimierz w nią się wpatrywał, tem mu trudniej było wzrok od niej oderwać. Z jakąż rozkoszą przypominał sobie teraz chwile, w Nowosiólkach spędzone, z jakąż radością wróciłby w owe czasy, kiedy to sumienie miał spokojne, i nikogo nie potrzebował się wstydzić! Niestety, od rozmowy z Markizem i ze stryjcem Dymitrem, Włodzimierz wstydził się wszystkich,

najbardziej zaś siebie samego, i jeżeli dotąd nie potargał więzów, na wspomnienie których, twarz jego oblewała się zawsze szkarłatem, to li dla tego, że nie miał w sobie tyle siły, ile jej potrzebował, by zerwać z wygodną teraźniejszością, dla niepewnej przyszłości.

Czy pójść do niej? w duchu się zapytał. Żłem zrobił, żem dotąd u nich nie był, bo tem samem wydałem na siebie wyrok potępiający... Wprawdzie Władysław przyjął mnie na ulicy zimno i do siebie nie zapraszał, lecz czym powinien być na to uważać? Wszak znam nie tylko jego, lecz także ją i pana Olińskiego... A więc pójdę!

Ledwie krok na przód postąpił znów się cofnął. Przypomniawszy sobie pana Olińskiego, chciał go wprawdzie zobaczyć. Jakiś czas szukał go wzrokiem uważnie, wreszcie znalazł go o kilkanaście kroków od córki, rozmawiającego z kilku posłami. Wszakże jego widok nie sprawił mu przyjemności. Przeciwnie, poważna twarz tego starca była dlań jakby nowym wyrzutem sumienia...

Podczas gdy on, na dawnym miejscu stojąc, dalej zbiera odwagę i w Marynię, choć ona tego nie widzi, uporczywie się wpatruje, tymczasem młodzież, która bogatą dziedziczkę dotąd otaczała, nagle rozsypała się po salonach, by damy angażować. Marynia została więc sama jedna, między hrabiną Eufemją, a księżną Sydonią, które jej na krok nie odstępowały.

To osamotnienie nie trwało jednak długo, nagle bowiem wysunął się Markiz, i lekko a posuwicie zbliżywszy się do panny Olińskiej, w te słowa przemówił:

— Daruje pani, że się sam przedstawię. Jestem Stanisław R. niegdyś bogaty szlachcic, dziś dostawca win francuzkich i herbaty rosyjskiej, nazywany także Markizem, dla pokrewieństwa z rodziną markizów *de Sanfaçon*; indywiduum zażywające dla złego języka najgorszej opinii, człowiek, o którym serdeczny jego przyjaciel, pan Leander de Wolerogi Wolewicz, mówi, że jest pierwszym cynikiem na świecie!

Księżna i hrabina, zasłoniwszy sobie usta chusteczkami, chichotać zaczęły. Marynia natomiast, zwróciwszy na mówiącego swoje oczy wyraziste, zdawała się wzrokiem pytać, co by to wszystko znaczyło. Markiz widząc na jej twarzy ciekawość, ze zdziwieniem zmieszaną, dalej mówił:

— Jak widzę, otwartość moja, zadziwia panią... Lecz co począć! *Ma foi!* choćbym nie chciał, muszę być takim, bo inaczej źli ludzie na śmierć by mnie zadzióbali. Czy dałabyś pani na przykład wiarę, że z licznych moich przyjaciół, nikt mnie nie chciał pani zaprezentować?

— Rzeczywiście? — zapytała.

— Niestety, każdy mi odmówił. A wie pani dlaczego?

— Nie mogę się domyśleć.

— Z tej prostej przyczyny, że każdy z nich,

lubo żaden nie przyznał się do tego otwarcie, bał się, bym nie zechciał zostać jego współzawodnikiem. *Ma foi!* ci ludzie przypuszczają, że ja, szlachcic zbankrutowany, przytem łysy i do- brze już podstarzały, mógłbym marzyć o kwie- cie, o którym, prawdę powiedziawszy, i oni tak- że nie powinni by myśleć... *Ma foi!* to zabawne! Rozgadawszy się jednak, zapomniałem o spra- wie, z którą tu przyszedłem... Ponieważ nie wątpię, że wszystkie tańce pani masz już przy- rzeczone, więc ośmielę się ją tylko prosić o wy- bór podczas kotyliona. Jeżeli to pani uczynisz, będę ci nieskończenie wdzięcznym. Mogę na to liczyć?

Marynia, która na początku tego przemó- wienia lekko się zapłoniła, rozzbrojona nastę- pnie żartobliwym tonem mówiącego i oryginal- ną prośbą, z jaką przyszedł, uśmiechnęła się, i przyjacielsko rękę wyciągając rzekła:

— Przyrzekam.

Zamiast, jak inni kawalerowie, dotknąć się tylko jej rękawiczki, Markiz serdecznie uści- snął dłoń sobie podaną, potem skłonił się głę- boko, najpierw przed Marynią, następnie przed obiema damami, które jej asystowały i odszedł w głąb sali. Zaledwie odstał, księżna z je- dnej a hrabina z drugiej strony, nachyliły się natychmiast do Maryni, by jej coś ciekawego do ucha szepnąć. Ona atoli zamiast słuchać, odpro- wadzała wzrokiem Markiza, przyczem uśmiecha- ła się z zadowoleniem. A więc oryginalny ten

człowiek, nie musiał na niej ujemnego zrobić wrażenia...

Podczas tej rozmowy, Włodzimierz stał ciągle na dawnym miejscu, i kto wie, czy był- by się nareszcie odważył zbliżyć do Maryni, gdyby nie nagłe pojawienie się Leandra Wole- wicza, który prosto do niej spieszył. Widok te- go człowieka, którego nie lubił, dodał mu od- wagi. Aby mu więc przeszkodzić, naprzd się wy- sunął. Przyszły dziedzic Kociejowa z przyległo- ściami zatrzymał się w pół drogi, zgrzytnął zę- bami, mruknął coś niezrozumiałego i obróciwszy się w miejscu, odszedł do drugiej sali.

Marynia, na widok Włodzimierza, omało nie krzyknęła. Na swoje szczęście wstrzymała się cudem prawie; ale że przymus, jaki sobie musiała zrobić, nie był mały, więc rumieniec palący oblał nietylko całą jej twarzyczkę, lecz rozszerzył się także po gorsie toczystym. Zdra- dzieckiego rumieńca, nie dostrzegły jednak są- siadki, te bowiem, widząc przed sobą nieznajo- mego mężczyznę, podniosły lornetki do oczu, by mu się lepiej przypatrzeć.

Ledwie Włodzimierz słów kilka przemówił, na które Marynia nie miała jeszcze czasu od- powiedzieć, gdy w tem dał się słyszeć głos pana Olińskiego:

— Maryniu! proszę cię!

Dziewczę powstało, Włodzimierz zaś zwró- cił się ku mówiącemu. Chciał mu się uklonić, przywitać, zagadać, nie miał jednak odwagi, pan

Oliński bowiem zmierzył go wzrokiem tak zimnym i przenikliwym, że zamiast naprzód postąpić, wtył się cofnął.

— Przejdziemy się trochę — rzekł do córki, ramię jej podając, a potem zwróciwszy się do Włodzimierza, rzekł sucho: — Hrabina pana szuka.

Młody człowiek nie oprzytomniał jeszcze, gdy na ramieniu uczuł dotknięcie wachlarza, i usłyszał głos, który go wołał:

— Panie Włodzimierzu!

Machinalnie głowę obrócił. Przed nim stała hrabina Albińska, wsparta jeszcze ciągle na ramieniu starego generała.

— Panie Włodzimierzu, nie wiesz jak się nazywa ów młody człowiek, z czarną brodą?

— Który?

— Ten, co tak głośno tam rozmawia.

Włodzimierz zaczął oczy przecierać.

— Cóż to, nie widzisz go pan?

— Aha, widzę, widzę...

— Któż to taki?

— To adwokat, pan Kazimierz Grzmotowicz.

— Więc to on!... Znasz go pan?

— Bardzo dobrze. Jako student mieszkałem u jego matki.

Skoro tak, to przedstaw mi go pan. Zawsze to człowiek niezwykły, znakomitość!...

Włodzimierz odszedł krokiem chwiejnym, w kwadrans zaś później, hrabina Albińska prze-

chadzała się już wsparta na ramieniu Kazia Grzmotowicza.

Pan Oliński z Marynią odchodząc, rzekł do niej pół głosem:

— Musiałem przerwać twoją rozmowę z tym jegomością, bo toby cię kompromitowało... Radzi nie radzi musimy zapomnieć, żeśmy go dawniej znali.

Nie odważyła się zapytać: dla czego, ale gdy doszli do końca sali, szepnęła:

— Ojczulku! drogi ojczulku! jeśli mnie kochasz, odprowadź mnie do domu.

— Co ci jest, dziecię?

— Nie wiem, ale mi zimno, i głowa mnie boli.

Spojrzał na nią. Była przerażająco blada i usta miała sine, dłońmi zaś kurczowo trzymała się jego ramienia.

— Musiałaś się przeziębnić, Maryniu.

— Być może... Ale chodźmy ojczulku, chodźmy!...

Jednemi drzwiami wyprowadzał ojciec córkę, drugimi Włodzimierz Szczerbanowski opuszczał te salony, na których przed chwilą spotkał go wstyd najwyższy!

VII. Addio!

Włodzimierz, znalazłszy się w swoim pokoju, biegał po nim jak opętany. Wstyd rozrywał mu serce, targał wnętrzości i mózg wypalał. A więc gardzą nim, gardzą okropnie, skoro swoim córkom nie pozwalają z nim rozmawiać! Wszak wyczytał to ze spojrzenia tego starca surowego, który nawet nie dopuścił, by on, Włodzimierz, z nim się przywitał. A jak złowrogo brzmiał jego głos, gdy mówił: — Hrabina pana szuka! — Więc umyślnie na nią zwrócił jego uwagę, by mu okazać, iż wie, jakie go z nią łączą stosunki!... Lecz czemu tak niemiłosiernym był właśnie przy Maryni?! Włodzimierz byłby stokroć wolał, żeby go pan Oliński był gdzie indziej nawet wypoliczkował, niż że go tak znieważył w przytomności swojej córki. O! czemu wtedy nie rozstała się pod nim ziemia, czemu na wieki w przepaść nie runął!

Włodzimierz nie od dziś dopiero zastanawiał się nad swoim położeniem. Rozumiał jego ohydę, lecz, jak wiemy, nie miał dość siły, by wejść na inną drogę. Wszelako teraz, gdy tak

biegał po pokoju, przysięgał już sobie uroczście, że cokolwiek się stanie, rozerwie węzły, które go hańbią.

Około trzeciej po północy, głucha dotąd ulica ożywiła się turkotem szybko jadących powozów. To goście Prezydenta wracali do domu. Wkrótce przed bramą zatrzymał się ekwipaż, poczem w sieni dało się słyszeć głośnie dzwonięcie. Włodzimierz stanął przy oknie. Wracała więc i ona... Gdy o niej pomyślał, zatrzęsł się, sam nie wiedząc czemu... Czyżby ją kochał? On jeszcze dotąd nie pytał o to swojego serca, lecz bardzo być może, że choćby to uczynił, nie otrzymałby od niego żadnej odpowiedzi. O tem, by ją kochał miłością prawdziwą, mowy nie było; wszakże z drugiej strony nie dało by się także zaprzeczyć, że ją bardzo lubił, i że żał mu było życia, które honor nakazywał porzucić.

Wbiegł Gucio i ust nie otworzywszy, przeszedł do swego pokoju. Włodzimierz udał, że go nie widział. Najlepszy to był jeszcze sposób postępowania z elewem, który z mentora nie sobie nie robił.

Włodzimierz powstał czas jakiś przy oknie, potem nierozzebrany rzucił się na łóżko.

Gdy się zbudził, dzień już był wielki. Na stoliku, obok łóżka, stała kawa wyziębiona, obok list leżał. Zerwał się i szybko go rozpieczętował.

Był to list od ojca, w którym mu tenże donosił, że przyjechawszy w nagłej sprawie do

miasta, chce się z nim natychmiast widzieć. Włodzimierz pobladł, złowrogiem przecuciem miotany.

— W rzeczy samej musiało zajść coś nadzwyczajnego, skoro ojciec w tak krótkim czasie drugi raz przyjeżdża! — w duchu pomyślał. —

Czy tylko nie spotkało jakie nieszczęście którego z braci?

Nie pił kawy, przebrał się prędko, i cwałem zbiegł po schodach.

W tym samym hotelu i pokoju, w którym ongi poznaliśmy trzech braci Szczerbanowskich, siedział teraz tylko najstarszy z nich, ojciec Włodzimierza. Nie tak przecie dawno, gdyśmy go pierwszy raz widzieli, a jednak zmiana, jaka w nim nastąpiła, była uderzająca. Wychudł, pożółkł, bardziej się pochylił, postarzał się najmniej o lat dziesięć, jeżeli nie więcej.

Gdy syn wszedł, nie spojrzął na niego, ani w głowę go nie pocałował, gdy ten witając się do jego ręki się nachylił. Włodzimierz, w wysokim stopniu zdziwiony tem przyjęciem, nie usiadł, tylko naprzeciwno stanawszy, czekał, póki by ojciec pierwszy nie przemówił. Nareszcie starzec wzrok podniósł do góry, i na syna patrząc, zaczął głową żałośnie potrząsać. Włodzimierz ust nie otwierał, w piersiach robiło mu się to zimno, to gorąco, przecucie bowiem powiedziało mu, do czego ten wstęp zmierzał.

— Włodzimierzu! Włodzimierzu! Czy był-

bym kiedy przypuścił, że taka hańba spotka mnie przy końcu mojego życia?!

Przestał i znowu zaczął w syna wpatrywać się okiem załzawionem. Włodzimierz miał już jakieś słowa na ustach, ojciec jednakże nie dopuścił go do głosu, gdyż dalej mówił:

— Byłem biedny, bardzo biedny, byłem prawie nędzarzem, a mimo to wychowałem was pocziwie jedenastu, i przez cały ciąg mego życia niczem się nie splamiłem. Ty zaś, lubo iż jesteś sam jeden, i chociaż nie brak ci ani zdrowia, ani zdolności, aby żyć wygodnie, upadłeś aż tak nisko, żeś się nie wstydził sprzedać!

— Ojcie! — ośmielił się syn zaprotestować.

— Cicho bądź, Włodzimierzu! Ja bez podstawy nigdy nie oskarżam. Niedawno temu przyjechał do mnie stryj Dymitr, zmartwiony wynikiem ostatnich wyborów, chciał się trochę rozzerwać. Zgadało się coś o tobie, i on słowo po słowie, powiedział mi, jak piękną ty tu rolę odgrywasz. O! Włodzimierzu! Włodzimierzu! tegoż doczekałem się u schyłku dni moich?! Jam myślał, że ty ciężko na swój chleb pracujesz, a ciebie hrabina utrzymuje! Czemuż Bóg dopuścił, bym dożył tej hańby, czemuż mnie wpierw ztąd nie zabrał?!.. Lecz tobie może się zdawało, że winę swoją okupisz, jeżeli dla młodszych braci będziesz na moje ręce pieniądze przysyłał? Jam je przyjmował w dobrej wierze, bom myślał, że to uczciwe oszczędności,

ale teraz odkaśd wiem, jakie to pieniądze, one mnie pieką żelazem rozpalonem. Włodzimierz! wolałbyś własnymi rękami wbić gwóźdź do mej trumny, niż moje siwe włosy tak hańbić!

— Ojczy! przebac mi, ja się poprawię! — syn zawołał, przed starcem na kolana padając.

— Poprawisz się? Dobrze, dziecko... na poprawę zawsze czas, i ja ci przebaczę, lecz abym sam przed sobą nie potrzebował się rumienić, więc odbierz te pieniądze, któreś mi przysłał, nie brakuje ani grosza, bom rachunek sumiennie prowadził, i oddaj je tej pani... Miałem krowy, woły, sprzedałem wszystko, bo muszę ocalić cześć moją i twoją, synu!... Cóż, oddasz jej te pieniądze?

— Oddam, ojczy! oddam, chociaż nie wiem, jak to uczynię....

— Jak bądź.... Jeżeli nie masz odwagi wręczyć jej osobiście, to odeszlij przez posłańca, albo przez pocztę, ale oddaj koniecznie, bo inaczej jabym nie miał spokoju! A u niej zostaniesz, Włodzimierzu?

— Nie, ojczy drogi, nie! Ja już oddawna sam widzę, żem błędził, a jeżeli dotąd nie porzuciłem tego domu, to jedynie dlatego, żem nie miał dość siły.... Teraz jednak uczynię wszystko, bo wiem, że postępowanie moje było nikczemne.

To powiedziawszy, twarz rękami zasłonił i jak dziecko się rozpłakał.

Ojciec powstał, objął go za szyję i mając także oczy łez pełne, tak przemówił:

— Włodzimierzu! synu mój! ja widzę, żeś ty chłopiec dobry, a tylko zbłąkany... Co było, niech się nie wraca, ale teraz żyj inaczej, bo na świecie nie ma większej hańby nad tę, gdy się mężczyzna sprzedaje! Pracuj dalej jak niegdyś, a jeżeli ciężko ci będzie, ja ściagnę się jeszcze z ostatniego i tyle ci dopomogę, że podajesz egzamina. Zresztą nie wątpię, że i wuj Dymitr o tobie nie zapomni. Potem, gdy już będziesz skończonym człowiekiem, ożenisz się z jaką pocziwą dziewczyną, i będziesz szczęśliwym... Tak, moje dziecko, tak... A teraz nie płacz, boś przecie nie baba, tylko mężczyzna.

Próżna jednak była perswazja. W sercu Włodzimierza już oddawna zbierało się tyle żalu za przeszłością spokojną i pocziwą, choć ubogą, a tyle tęsknoty do przyszłości innej niż ohydna terażniejszość, że potrzebował wypłakać się i na piersi ojca zahartować ducha słabego. Staruszek płakał z nim razem, całował go w czoło, i jak umiał, pocieszał.

Gdy w godzinę później Włodzimierz z hotelu wychodził, był już całkiem spokojny, ponieważ rozmowa jego z ojcem, skuteczniej, niż wszystko inne, przyczyniła się do wzmocnienia jego woli. Każdy, ktoby go teraz zobaczył, musiałby powiedzieć, że wyglądał jak człowiek, który powziął w czemś niezłomne postanowienie.

Krokiem przyspieszonym wracał do domu.

Hrabina Albińska, zbudziwszy się tego dnia wcześniej niż zwykle, bo zaraz po dwunastej, zarzuciła na okrągłe ramiona gustowny negligy, włosy tymczasowo ułożyła fantastycznie nad głową, a przekonawszy się przed zwierciadłem, że jej tak do twarzy, zasiadła do śniadania, złożonego z czekolady i biszkoptów. Potem zapaliła cygaretkę, i wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzona w dymek błękitnawy, który w górę ulatywał, dumiała... O czym? Na to tylko ona jedna mogłaby odpowiedzieć. W każdym razie niezwykle musiały być te myśli, skoro jej czoło to się rozjaśniało, to zasepiało, usta były raz uśmiechem rozchylone, to znowu jakby tłumionym bolem zaciśnięte, a rączka drobna, w której cygaretkę trzymała, kilkakrotnie szarpnęła ruchem nerwowym złotą frendzlę, która zdobiła poręczkę aksamitnego fotelu.

Nareszcie westchnęła głęboko, podniosła się zwolna, czas jakiś zatrzymała się znowu przed zwierciadłem, które, wisząc między dwoma oknami, z obydwu stron oblewało ją równym światłem, wreszcie szepnąwszy:

— Niech się stanie! — usiadła przy sekretarce i na kartce wolinowego papieru zaczęła szybko pisać. Skończywszy, przebiegła list wzrokiem od początku do końca, włożyła go do koperty i zaadresowała.

Chwilkę siedziała, jak dawniej z głową na dłoni wspartą, wpatrując się melancholijnie

w list na sekretarce leżący, potem rękę wyciągnąwszy, zadzwoniła.

Weszła pokojowa.

— Powiedz Jakóbowi, żeby pana guwenera zaraz do mnie poprosił.

— Nie ma go, proszę pani hrabiny... Sama widziałam, jak przed godziną wyszedł do miasta, lecz dotąd nie wrócił.

— Nie ma go? — powtórzyła machinalnie, i brwi ściągawszy, zaczęła myśleć. Tymczasem pokojowa wróciła do swego zajęcia. — Jak on się wyemancypował! — dalej mówiła. — Wczoraj wyniósł się pokryjomu, dziś wyszedł gdzieś do dnia, bo nawet nie czekał, kiedy ja wstanę... Tem gorzej dla niego... Jak widzę, wszystko się już samo tak składa...

Urwała, nagle bowiem weszła pokojowa, oznajmiając, że pan guwerner wrócił i pyta, czy może widzieć się z panią hrabiną.

— Proś go! — hrabina odrzekła, i żywo powstawszy, poprawiła jeszcze włosy przed zwierciadłem, poczem na dawnym miejscu usiadła.

Wszedł Włodzimierz. Błady był trochę i zakłopotany. Krok jego był z początku równy i śmiały, jednakowoż w połowie pokoju urwał się i Włodzimierz stanął. Teraz wyglądał jak student, który nie umiejąc lekcji, ujrzał się nagle przed surowym profesorem. Hrabina przypatrywała mu się nie bez ciekawości.

— Cóż to, mój przyjacielu, nawet się ze mną nie myślisz przywitać?

Zebrał odwagę, przystąpił bliżej i w rękę ją pocałował. Lekko brwi zmarszczyła, bo usta jego były jak lód zimne.

— Zapewne nie jesteś wyspany, mój przyjacielu... Opuściwszy salony Prezydenta, prawdopodobnie bawiłeś się gdzieś do rana z dobraćmi znajomymi.

— Ani mi w głowie było... Wróciłem prosto do domu.

— Do domu? W takim razie zapewne do dnia się zerwałeś.

— Bynajmniej! Wstałem nawet dość późno, i chodziłem tylko do miasta, by zobaczyć się z ojcem, który niespodziewanie przyjechał.

— Przyjechał? — przeciągle zapytała.

Włodzimierz milczał, mając oczy spuszczone. Ona wpatrywała się w niego uważnie, jej spojrzenie na wskrós go przeszywało, a jej instynkt odczytywał na jego twarzy wszystkie uczucia, które w jego łonie kipiły. Nareszcie uśmiechnęła się złośliwie i w te słowa przemówiła:

— Dobrze, mój przyjacielu, żeś przyszedł, właśnie bowiem posyłałam po ciebie... Pragnę się z tobą rozmówić, radabym cię wyrozumieć, bo doprawdy boję się, czy przypadkiem nie masz do mnie jakiego żalu...

— Ja? — zapytał, zdziwione oczy na nią podnosząc.

— Możem się źle wyraziła... Chcę wierzyć, że nie jest to żal, lecz raczej jakieś inne uczucie, którego nie umiem bliżej określić. Wszak w każdym razie nie zaprzeczysz, że w ostatnich tygodniach, między mną a tobą stało się coś, co cię zapewne martwi i smutno nastroja. Co to jest, nie wiem, i ani chcę badać, bo chociaż jestem kobietą, nie byłam nigdy ciekawą i umiałam zawsze uszanować cudze tajemnice. Przypuszczam jednak, że musiało ci to przykrość sprawiać, iż w ostatnich czasach byłam niekiedy zanadto oględna, zimną prawie... Mój drogi, co miałam począć?... Obowiązki towarzyskie są bardzo surowe, wymagania konwenansu nieubłagane... Zresztą i mój mąż zaczął się czegoś domyślać i formalnie tobą mnie prześladować. Zastanowiwszy się nad tem wszystkim uważnie, nabrałam wreszcie przekonania, że najlepiej jeszcze będzie, jeżeli chwilowo, dla ludzkiego oka, rozdzielimy się, by złośliwym językom odjąć materiał do plotek. Wczoraj, u Prezydenta, widziałam p. Kampfa, dyrektora Banku powszechnego, niezły to człowiek, chociaż żyd, przytem dawny mój znajomy. Zgadało się coś o tobie, mój przyjacielu, i on mi powiedział, że każdej chwili może ci u siebie dać stosowną posadę. Dziś przygotowałam już list do niego... Jeżeli, mój przyjacielu, masz dla mnie choć trochę sympatji, to idź do pana Kampfa, przyjmij miejsce jakiegokolwiek, byleś był niedaleko, bo ja chcę cię

widywać, często, jak będę mogła najczęściej, ty bowiem, mój dobry Włodzimierzu, jesteś duszą mojej duszy, bez ciebie było by mi smutno, nawet strasznie! O tak, gdy nieubłagana konieczność rozrywa nas, rozdzielmy się przynajmniej jak dobrzy przyjaciele, i starajmy się nawzajem to życie osładzać, byśmy kiedyś, nad grobem stanawszy, nie mieli sobie nic do wyrzucenia. O! Włodzimierzu! jak mnie serce boli...

To powiedziawszy, jedną rękę do oczu podniosła, drugą ku niemu wyciągnęła. Czemu jednak on nie krzyknął radośnie: dobrze! czemu jej nie podziękował, że uprzedziła jego zamiary, czemu stał i był jeszcze bledszym niż wtedy, gdy tu wchodził? Bo Włodzimierz był człowiekiem, jak każdy inny, człowiekiem z błędami i słabościami, więc zamiast ucieszyć się tak szczęśliwym rzeczy obrotem, raczej uczuł się boleśnie drażnionym w swojej miłości własnej. On chciał ją opuścić, ale nie chciał, żeby ona jego odtrącała. On chciał jej powiedzieć: Odchodzę, bo mnie gubisz! lecz nie chciał usłyszeć: Bądź zdrów, boś mnie znudził! A czy inne znaczenie mógł przywiązywać do słów, które właśnie usłyszał?

Już usta otworzył, by ją gromem zpiornować, już ręką sięgnął do bocznej kieszeni tużurka, aby ztamtąd wyjąć pieniądze i te w oczy jej rzucić, gdy wtem ona, jakby przeczuwając, co się w jego duszy działo, szybko powstała,

a zbliżywszy się do niego, zarzuciła mu białe ramiona na szyję, i w te słowa przemówiła:

— Włodzimierzu! tyś był jedynym, którego kochałam całą potęgą mojego serca, poza tobą nie widziałam szczęścia, ty jesteś niebem mojem! Myślałam, że się nie rozdzielimy nigdy, nigdy! ale skoro zły świat, dla którego musimy także coś uczynić, żąda koniecznie tej ofiary, więc zaklinam cię na wszystko, rozstańmy się jak najlepsi przyjaciele, którzy im dalej są od siebie, tem goręcej się kochają! O! tak, Włodzimierzu! ty mnie musisz kochać, bo ja ciebie kocham nad wszystko, nad życie, nad duszy zbawienie!

To powiedziawszy, zaczęła go całować gorąco, namiętnie, a dwie łzy, jak perły duże i szklące, stoczyły się po jej policzkach.

To go rozzbroiło...

Gdy wrócił do swego pokoju, zaczął znowu biegać jak szalony, ale po jakimś czasie uspokoił się trochę, poczem zajął się natychmiast uporządkowaniem swoich rzeczy.

Wieczorem tegoż dnia, nie pożegnawszy się ani z hrabią, ani z Guciem, taksamo cichaczem, jak ongi z domu pani Emerencji, wynosił się z dotychczasowego mieszkania, by zająć nowe, w pobliżu Banku powszechnego, gdzie posadę otrzymał.

Właśnie gdy z kamienicy wyjeżdżał, przed bramą stanęła remiza hotelowa, i z niej wysiadł Kazio Grzmotowicz, wyświeżony, wystrojony,

woniejący. Dawnemu znajomemu ledwie ręką skinął; czempredzej też pobiegł na górę, aby hrabinie Albińskiej złożyć swoje uszanowanie.

Włodzimierz tak był zbolały, tak w myślach zatopiony, że nie miał ani chęci, ani czasu zastanowić się nad tym szczególnym zbiegiem okoliczności.

Tak więc stało się zadość życzeniu ojca i wymaganiom jego sumienia, bo porzucił nie-szczęsną guwernerkę — ale że mimo wszelkich postanowień nie umiał jeszcze być wszechwładnym panem swojej woli, i dla tej kobiety ciągle miał słabość, więc przyjął posadę, którą mu wyrobiła, by być blisko niej, i choć czasem ją widywać...

VII.

Zbudzony lew.

Prezydent od otwarcia Sejmu, i wielkiej recepcji, którą u siebie dał dla posłów, był ciągle w złym humorze. Uważali to nie tylko członkowie jego rodziny, lecz także podwładni urzędnicy. Zły humor nie objawiał się jednak u niego opryskliwością. Prezydent był człowiekiem tak dobrze wychowanym, a jako mąż stanu taką miał rutynę, że w każdej chwili umiał nad sobą panować. Po dwóch tylko rzeczach można było poznać, ilekroć był w złym humorze. Najpierw jego zapytania tak były wtedy suche, a odpowiedzi tak lakoniczne, że nawet przez myśl nikomu by nie przeszło, wdawać się z nim w takiej chwili w dłuższą rozmowę; prócz tego całymi godzinami dumał, po pokoju chodząc.

Tak samo przechadzał się i teraz po swoim gabinecie.

Czoło miał ciągle zasepione, usta niekiedy przygryzał, gdy stanął, wlepił wzrok przed siebie. Ilekroć zaś do drzwi się zbliżył, podnosił na nie przenikliwe spojrzenie, jakby kogo wyglądał.

Zjawił się nareszcie kamerdyner.

— Jest? — zapytał Prezydent.

— Właśnie przyszedł pan mecenas.

— Niech wejdzie!

Nie długo trwało a wsunął się na palcach dobrze nam znany dr. Sakowicz. Wyglądał jak zwykle przed moźnymi tej ziemi. Był schylony, skulony, słodziutko uśmiechnięty. Prezydent stał teraz naprzeciw drzwi aż pod oknem i ztamtąd wchodzącemu skinął lekko głową. Potem o kroków kilka naprzód postąpiwszy, wyciągnął rękę i rzekł sucho:

— Usiądź.

Adwokat czekał, póki by gospodarz pierwszy tego nie uczynił. Gdy ten nareszcie siadł na fotelu i nogę na nogę zarzucił, gość przysunął sobie krzeselko, i usiadł na jego krawędzi. W rękę trzymał ciągle swój kapelusz.

Chwilę milczenie panowało; nakoniec Prezydent postanowił zaraz do rzeczy przystąpić.

— Powiedz mi, mój kochany, co myślisz o hr. Czarnokońskim?

Mecenas ramiona ściągnął, ale nie odpowiedział.

— Przecie to twój klient, musiałeś go więc dobrze poznać.

— Jestem pewien, że WEkscellencja zna go lepiej niż ja, bo ma więcej odemnie rozumu, wiedzy i znajomości świata.

Prezydent uśmiechnął się nieznacznie.

— Mnie się zdaje — rzekł — że ten czło-

wiek zamiast rozumu i nauki ma spryt tylko; zamiast uczucia prawdziwego, kaprys kobiecy prawie; zamiast silnej woli, krewkość; zamiast patriotyzmu, blagę; zamiast ambicji szlachetnej, kierunki czysto samolubne. Sądję także, że nie jest on w stanie nic zbudować, bo umie tylko burzyć. Czy tak, mecenasie?

Dr. Sakowicz spojrzał na mówiącego z uwielbieniem i cicho odpowiedział:

— Do portretu, który WEkscellencja tak genialnie raczyłeś wymalować, ja, z mej strony, ani jednego rysu nie potrzebuję dorzucić.

Prezydent, jakby pochlebstwa nie dosłyszał, zapytał:

— Sądziś zatem, mecenasie, że hr. Czarnokoński, nie byłby w stanie nawet wtedy nic dobrego dla kraju uczynić, gdyby się znalazł na najwyższym stanowisku, o którym może marzy?

— Nie byłby w stanie, Ekscellencjo, bo on umie tylko wicherzyć.

— Trafna uwaga, mecenasie! To prawdziwy możnowładca dawnych wieków. Uduje szlachcica, i tem szlachtę na lep bierze, chociaż sam nią gardzi; ciągle woła *pro publico bono*, a tymczasem dobrem publicznem jest u niego tylko jego kieszeń; bawi się w zbawcę ojczyzny i bohatera, a jest po prostu zręcznym szalbiarzem!...

Słowa ostatnie wypowiedział z uciskiem i głosem podniesionym, jakby był zirytowany.

Powstał, przeszedł się kilka razy po gabinecie, i dopiero gdy się całkiem uspokoił, usiadł na dawnym miejscu i tak dalej mówił:

— W interesie publicznym będę od ciebie żądał pewnych wyjaśnień. Powiedz mi otwarcie, ale bez obwijania prawdy w bawełnę, jakie są stosunki majątkowe hr. Czarnokońskiego?

— Fatalne.

— Spodziewałem się tego. Ale dobra jego są ponoś rozległe?

— I bardzo nawet, lecz cóż z tych dóbr, skoro we wszystkich administracja jest najgorsza. Prócz tego długów tam bez liku, nie tylko bankowych, nawet lichwiarskich, które odkąd hrabia został mężem stanu, z każdym dniem się zwiększają. Jak długo jeszcze był moim klientem, ratowałem go od zguby, ale teraz...

— Jakto, więc już cię porzucił?

— Przeniósł się do swego przyjaciela, Grzmotowicza, który niedawno kancelarję otworzył. Ten go z pewnością nie pożałuje.

— Będzie go doił, będzie! przecie to twój uczeń — Prezydent śmiejąc się dorzucił.

Adwokat bojąc się, by Prezydent nie chciał bliżej roztrząsać tego przedmiotu, prędko zaczął mówić:

— W ostatnich czasach hrabia postanowił bądź co bądź ratować się od zguby, ale wątpię, czy środki, które przedsięwziął, będą dość skuteczne.

— Jakież to środki?

— Zwolennicy jego przeprowadzili w Sejmie aż trzy uchwały, mające go ratować od ruiny materialnej. Najpierw w Zawadowcach, gdzie hrabia mieszka, ustanowiono rogatkę następnie przez dobra jego ma być poprowadzony gościniec, aby notabene wartość ziemi i cena drzewa poszły tam w górę; наконец będą założone w Zawadowcach dwie szkoły, jedna kołodziejstwa, druga bednarstwa, aby hrabia ze swoich lasów już teraz miał pożytek.

— Prawda, prawda — Prezydent przerwał. — Nie dawno czytałem w którejś gazecie wielkie pochwały dla hrabiego, że pod gościniec dał ziemię bezpłatnie, i że owe szkoły zobowiązał się postawić własnym kosztem. Gazeta wychwalała go za to pod niebiosa, i zrobiła zbawcą ojczyzny. Więc sądzisz, mój kochany Sakowiczu — mówił dalej Prezydent, uśmiechając się złośliwie — że nawet te trzy rzeczy, które hrabia przeprowadził *pro publico bono*, nie wiele mu pomogą?

— Ręczę, że nie będzie miał z nich pożytku. W najlepszym razie zarobią na tem miejscowi żydzi, głównie arendarze, ale nie hrabia. Jego mógłby ocalić tylko znaczny, a przy tem stały roczny dochód, którego by od razu nie mógł roztrwonić.

— Doprawdy? Skoro tak, więc musimy mu dopomódz, i stworzyć dlań taki dochód.

Adwokat podniósł ze zdziwieniem wzrok na mówiącego. Prezydent widząc to, uśmiechnął się, i tak dalej mówił.

— Ponieważ hrabia jest człowiekiem popularnym i w przekonaniu niejednego wielce użytecznym, przeto według sił musimy go popierać. I nie zdaje mi się, żeby to było coś bardzo trudnego... Tak ty, mój Sakowiczu, jak i dyrektor Kampf, wspominaliście mi nieraz o potrzebie zawiązania towarzystwa akcyjnego, które by miało na celu zakładanie rozmaitych fabryk w kraju. Nie wierząc w powodzenie takiego towarzystwa, byłem mu dotąd przeciwny, ale teraz zmieniłem zdanie, i gotów jestem w ciągu dni czterech wyrobić wam u ministra pozwolenie na emisję akcji, byleście za to hr. Czarnokońskiego zaprosili do Rady zawiadowczej i zrobili go jej prezesem.

Jeżeli dr. Sakowicz był przed chwilą tylko zdziwiony, to teraz zupełnie osłupiał. Nie należał on do ludzi niedomyślnych, a jednak słowa usłyszane były dlań taką zagadką, że mimo wyteżenia wszystkich sił umysłowych, nie mógł jej rozwiązać.

Prezydent widocznie nie zamierzał dopomagać mu w tej pracy, skoro nagle twarz jego zpoważniała, spojrzenie zrobiło się surowe, i głosem suchym tak dalej mówił:

— To, coś mój kochany, tu usłyszał, jest tajemnicą... Kampf nie powinien się nawet domyślać, żeśmy z sobą o tem rozmawiali. Możesz mu tylko powiedzieć, że zdaje ci się, iż teraz łatwiej niż poprzednio wasz projekt przeprowadzić... Zresztą mów, co ci się rzewnie

podoba, byleś mnie w to nie mieszał. Pamiętaj, mój kochany, że dzięki dyskrecji porosłeś w pierze, ale gdybyś się raz okazał niedyskretnym zgubił byś się na wieki...

— Ekscellencjo, ja wiem, jakie są obowiązki honoru i sumienia.

— Skoro tak, więc idź prosto do Kampfa i działaj, a jeżeli z zadania, jak się tego spodziewam, zgrabnie się wywiążesz, to możesz być pewien, że tego nie pożałujesz.

To powiedziawszy Prezydent powstał i swemu gościowi na pożegnanie rękę podał. Mecenas, którego ten zaszczyt bardzo rzadko spotykał, zaledwie ośmielił się jej dotknąć, poczem wśród głębokich ukłonów, wyszedł.

Ujrawszy się na ulicy, stanął i zaczął myśleć.

— Koniecznie musi w tem być coś ukrytego... Przedtem ciągle mi powtarzał, że nie zezwoli na koncesję, bobyśmy akcjonariuszów obdarli, teraz zaś nie ma już tych skrupułów, i na wszystko przystaje, byleśmy za to hr. Czarnokońskiego zrobili naszym prezesem. Zaliste, mnie się to nawet w głowie nie mieści... Hrabiego nienawidzi, nawet go się boi, a popiera go i chce mu majątku przysporzyć... Czy też jemu nie zdaje się przypadkiem, że jak hrabia wejdzie do naszego towarzystwa to zapomni o polityce? Nie, Prezydent ma za wiele znajomości rzeczy, żeby coś podobnego mógł przypuścić... Wszak on wie, że hrabia będzie

u nas tylko figurantem, więc nie braknie mu czasu na prowadzenie polityki... Tak, tak, w tem coś tkwi ukrytego... Ale mniejsza o to, niech tkwi, byleśmy przytem coś zarobili.

Podczas gdy mecenas tak rozważał, Prezydent znowu chodził po gabinecie. Teraz był trochę swobodniejszy, jakby mu ciężar spadł z serca.

— Wahałem się długo — półgłosem przemówił — ale skoro mnie wyzwiał, niech się więc dowie, czy bezpiecznie budzić lwa!

Kamerdynier drzwi odchylił i rzekł:

— Ksiądz kapelan.

— Prosić! prosić! — Prezydent żywo odpowiedział, spiesząc na powitanie gościa. Gdy ten wszedł, pocałował go w ramię, i za rękę wzięwszy, zaprowadził do kanapy i obok siebie posadził. — Jak to pięknie, mój dobrodzieju — zaczął wesoło — żeś przyszedł właśnie teraz, gdy cię najbardziej potrzebuję. Co tam słyszać, jest jaka nadzieja?

— Nawet pewność, Ekscellencjo.

— Więc tak łatwo poszło?

— Z początku opierał się i bronił jak bohater, w końcu jednak kapitulował.

— Piękny bohater! — Prezydent zaszydził. — Jak widzę, przecucie nie zawiodło mnie, gdym księdzu mówił niedawno, że ten człowiek będzie jadł z ręki... A teraz radbym usłyszeć jakie są jego warunki, czego żąda?...

— Warunki twarde.

— Doprawdy? Widać że dość wysoko ceni swoją cnotę.

— I bardzo nawet... Najpierw żąda, aby mógł otrzymać wykupno gruntów pod kolej zachodnią, którą na wiosnę rząd będzie budował. Następnie pragnie zostać prawnym zastępcą kolei południowej, nakoniec życzy sobie, by którakolwiek z większych instytucyj finansowych zaprosiła go na członka swojej Rady zawodowej.

— Czyli innemi słowy — Prezydent uzupełnił — chce od razu zrobić majątek.

— Nie inaczej.

— Ho, ho, jak widzę, pan Grzmotowicz ma rozum. A co też nawzajem on nam ofiaruje?

— Nietylko przyrzeka natychmiast porzucić hr. Czarnokońskiego, lecz obowiązuje się także wystąpić otwarcie przeciw niemu, i udowodnić, że wszystkie czynności hrabięgo wypływają u niego z pobudek poziomych, nie z patriotyzmu. Do tego celu mają mu posłużyć głównie owe trzy uchwały sejmowe, tyjące się drogi, rogatki i szkół przemysłowych w Zawadowcach, z których każda przynosi materjalną korzyść hrabiemu. Grzmotowicz utrzymuje, że chociaż hrabia ani sam podał nie wnosił, ani nie był na owem posiedzeniu sejmu, na którem rzeczne uchwały zapadły, mimo to ma w ręku dowody, że nikt inny tylko on wszystkim kierował.

— Że tak było, o tem nie wątpię! — Pre-

zydent przerwał. — Gdyby szef sztabu opuścił tak jawnie swego generała, skandal byłby nadzwyczajny, i pan generał musiałby pójść w odstawkę, ale niestety, cena, za jaką to chce uczynić, jest trochę za wysoka. Wprawdzie mógłbym mu to wszystko wyrobić, bo przecie mam władzę w rękę, ale co dla innych zostanie, jeżeli on wszystko zabierze? Przecie prócz pana Grzmotowicza, jest jeszcze niejeden potrzebny, a trudno żądać, by każdy zadowalał się orderem lub jakim tytułem *ad honores*. W czasach, jak dzisiejsze materialnych, takie rzeczy nie popłacają, dziś każdemu trzeba coś namacalnego w rękę wsunąć. Nieprawda, księżę kapelanie?

— Święte słowa WEkscelencji!

— Tak, tak... jeżeli więc pan Grzmotowicz chce zrobić interes, musi ze swoich żądań coś opuścić. Spodziewam się, że ksiądz dobrodziej będziesz na niego w tym kierunku zbawiennie oddziaływał.

— Z największą przyjemnością, Ekscelencjo. Chociaż jest on moim szkolnym kolegą, mało się z nim dotąd komunikowałem, wszelako teraz zawiążę z nim ściślejszy stosunek.

— Ale *à propos*, może my go nawet wcale nie będziemy potrzebowali! — Prezydent przerwał. — Właśnie dziś wspominał mi dyrektor policji, że Grzmotowicz żyje nader wystawnie, ma okazały apartament, lokajów, ekwipaż, a dochody jego są jeszcze bardzo szczupłe. Łatwo więc być może, że popadnie w długi lichwiar-

skie, a wtedy kupimy go poniżej ceny szacunkowej.

— Kto wie, czy nie potrzebowalibyśmy na to zbyt długo czekać — kapelan z uśmiechem odpowiedział. — Prawda, że nie ma majątku i dziś robi długi, ale ten człowiek ma rozum, więc łatwo sobie da radę. Z jednej strony nadskakuje hrabinie Albińskiej, której kasa niewątpliwie stoi dlań otworem, z drugiej stara się o posażną żonę.

— Doprawdy?

— Tak jest, Ekscelencjo, i kto wie czy jej nie dostanie. A gdyby mu się to udało, byłby potęgą.

— Więc stara się już o kogo?

— O pannę Olińską...

— Co mówisz, dobrodziej? — Prezydent zapytał jakby z niedowierzaniem. — Więc ten człowiek śmiały aż tak wysoko sięgać? — dodał tonem, na którego dnie było oburzenie.

— Nietylko odważył się sięgnąć, nawet ma wszelkie widoki powodzenia. Pannie nie przypadł ponoś do gustu, zresztą o niej opowiadają, że się już w kimś kocha potajemnie, zato ojciec przepada za nim. Zręczny trybun tak umiał opanować pana Olińskiego, że ten widzi w nim szczyt wszelkiej doskonałości.

— Ha! tego już za wiele! za wiele! — zawołał Prezydent, z kanapy się zrywając. — Jeszcze tylko tego brakuje, żeby takie figury

zabierały najbogatsze panny w kraju. O! jakem żyw, tak to nigdy nie nastąpi!

Oburzenie Prezydenta tak było wielkie, że potrzebował kilku minut, nim się całkiem uspokoił. Lecz czy nie miał się czem oburzać? Wszak przypomniał sobie, że majątek pani Dobrzynieckiej, który oddawna za swój poczytywał, z ręki mu się wymknął, a teraz znowu usłyszał, że jego syn, dla którego chciał koniecznie zdobyć posag panny Marji Olińskiej, miał szczęśliwego współzawodnika w plebejuszu, w Kazimierzu Grzmotowiczu!

— Skoro taki z niego ptaszek, więc koniecznie trzeba mu skrzydła podciąć. Niech ksiądz dobrodziej układa się z nim ostrożnie, dyplomatycznie, żeby coś wytargować, a tymczasem zobaczymy co się stanie... Może hrabia sam runie, w takim razie nie potrzebowalibyśmy więcej pomocy pana Grzmotowicza, a może on sam zabrnę tak w długi, zwłaszcza jeżeli mu się nie uda ożenić, że potem za byle co go kupimy. Tak, tak, księżę kapelanie, badajmy, działajmy, lecz ostrożnie... A teraz jeszcze jedna sprawa. Za kilka tygodni, prawdopodobnie jeszcze w tym miesiącu, zawiąże się u nas wielkie Towarzystwo akcyjne, które będzie zakładało fabryki w różnych punktach kraju. Ponieważ mam nadzieję, że akcje tego Towarzystwa będą dobrze stały, przeto w dniu subskrypcji ksiądz kapelan kupisz także kilkanaście akcji.

— Ekscelencjo, to nie dla mnie... ja nie mam pieniędzy.

— Rzeczywiście? — zapytał Prezydent przeciągle i zaraz dodał: — Jeżeli ksiądz dobrodziej taki ubogi, to ja mu dam pieniędzy na dziesięć akcji. W każdym razie musimy coś subskrybować...

Gdy niedługo potem ksiądz po schodach zstępował, Prezydent opuszczając gabinet mruknął:

— Przekonają się, czy bezkarnie można drażnić lwa!

Kapelan wyszedłszy na ulicę z głową pokornie schyloną, myślał w duchu.

— Te akcje, które ja mam kupować za jego pieniądze, to całkiem coś nowego... Ręczę, że to jakaś zasadzka.

VIII.

Czarnokoński „locutus.“

Hr. Hieronim Czarnokoński na swój los nie mógł się skarżyć. Do szkół publicznych nie chodził, bo uczył się tylko w domu, i to nie-
długo; egzaminów nie składał; później nie poświęcał się także żadnej gałęzi wiedzy ludzkiej, a mimo to przez ogół został uznany za taką znakomitość, za męża takiej wiedzy, doświadczenia i patriotyzmu, że nikt pewniej od niego nie mógłby być stanąć na czele kraju, aby go wieść nowymi drogami ku lepszej przyszłości.

Być może, że była chwila, iż hrabia sam, siedząc niegdyś w dworku zawadowieckim, zastanawiał się nad tem ważnem pytaniem, ażali potrafi sprostać zadaniu, którego podejmował się, gwoli dogodzeniu miłości własnej. Teraz jednak widział, że dawne jego obawy były płonne, wkrótce bowiem przekonał się, że w tym szczęśliwym zakątku, który nazywał się „ściślej-
szą“ jego ojczyzną, nie tak znowu było trudno zostać wielkim człowiekiem. Przedewszystkiem trzeba było tego chcieć, i być dobrze urodzonym, a że hrabia posiadał te warunki, o tem

przecie wszyscy wiemy. Dalszy bieg wydarzeń musiał go jeszcze bardziej utwierdzić w tem przekonaniu. W życiu publicznem nie brał dotąd udziału, a jednak przy pierwszych zaraz wyborach podkopał stronnictwo Prezydenta; o walkach parlamentarnych wiedział tylko z gazet, a mimo to już pierwsze jego przemówienia z trybuny były hucznymi przyjęte oklaskami; wreszcie, chociaż sprawami administracyjnymi kraju dotąd wcale się nie zajmował, przecież każde jego zdanie, wypowiedziane w tej lub o-
wej kwestji, było uważane za nieomyślne.

Raz zdarzyło się, że nawet i to, co on sam jako żart wypowiedział, inni wzięli za myśl bardzo głęboką. Pewnego dnia, podczas przerw w Sejmie, kilku jego kolegów zaczęło unosić się nad telefonami.

— Moi kochani, ja znam tylko jeden telefon — rzekł na to hrabia. — Ilekroć chcę zbudzić mego Tomasza, który spi w przedpokoju, ciągnę za sznurek, którego jeden koniec leży na stoliku obok mego łóżka, drugi zaś jest okręcony około ręki Tomasza, i tym sposobem najłatwiej go do siebie sprowadzam. Lepszych telefonów nam nie potrzeba.

Hrabia powiedział to, żeby zażartować, lecz słuchacze całkiem inaczej wytłumaczyli sobie jego słowa. Według nich, hrabia, jako prawdziwy Polak, zwolennik tradycji i prostoty obyczajów, nie bez powodu ganił różne wymysły nowoczesne, z których zrodziło się wszystko

złe, a więc i socjalizm. Od tego dnia koledzy sejmowi jeszcze z większem, niż dawniej, uwielbieniem, na niego spoglądali.

Czyż on sam widząc, z jaką łatwością zdobył popularność, i jak bez trudu wszystko to osiągał, do czego drudzy nie zawsze dochodzą nawet po długich latach pracy i poświęcenia, nie miał w końcu uwierzyć w swoją wielkość i swoje posłannictwo? Uwierzył też, jak wierzy każdy geniusz w swoje siły niespożyte, i teraz nie wątpił, że cokolwiek zechce, zdoła.

Po zamknięciu Sejmu, który trzy tygodnie obradował, hrabia, aby odpocząć po trudach walk parlamentarnych, wyjechał do Zawadowiec, gdzie natychmiast zebrała się cała okolica. Bliżsi i dalsi chcieli uczcić męża zasługi i podziękować mu za rozmaite zdobycze, do których w pierwszym rządzie należała droga muryrowana, mająca powiat wzbogacić, a zaraz po niej obie szkoły, które, jak to pan Wolewicz trafnie zauważył, powinny być cały kraj odrodzić. O jednej tylko rogatce panowie sąsiedzi jakoś nie wspominali. Hrabia chętnem uchem słuchał pochwał, i życzliwie przyjmował podziękowania, a gdy ostatni szlachcie wypowiedział, co miał w sercu i na języku, w te słowa przemówił:

— Dziękuję kochanym panom, serdecznie dziękuję, za tyle życzliwości dla mojej osoby i za uznanie dla mych cichych zasług. Teraz ja-

192
268
260

bym może powinien zdać publicznie sprawę z moich czynności poselskich, i wiercie mi, chociaż bardzo jestem zmęczony, każdej chwili, jeżeli tylko tego zażądacie, zaproszę was na sejmik relacyjny, abyście się mogli przekonać, ażali wasz poseł działał w myśl waszą, lub czy się przypadkiem nie sprzeniewierzył szczytnym zasadom, w obronie których kazaliście mu iść walczyć tak do Sejmu jak do Rady państwa.

— Czyż tego potrzeba, mocumpanie?! — pan Wolewicz pierwszy zaprotestował. — A wszakże wszystkie gazety o panu hrabi pisały, sławiąc go pod niebiosą, więc wiemy najlepiej, że cokolwiek pan hrabia zrobił, zrobił dobrze!

— Nie inaczej, mosterdzieju! — potwierdził p. Rakowski.

— Wszystko zrobił doskonale, *kurz gesagt!* — zakończył p. Sowiński.

Rzecz szczególna, że tak hrabia, jak jego sąsiedzi, o najgłówniejszej rzeczy teraz zapomnieli, mianowicie o tej, że hrabia nie miał od nich żadnego mandatu. Hrabia, jak wiemy, kazał zamiast siebie, wybrać szlachcie Grzmotowicza, sam zaś dał się wybrać włościanom. Tak więc ani on nie miał tytułu do zapraszania szlachty na sejmik relacyjny, ani też ona nie miała prawa uwalniać go od tego obowiązku. Ale ponieważ w szczęśliwym tym powiecie robiło się wszystko jak w rodzinie, więc też łatwo mogli wszyscy zapomnieć o takiej drobnostce, i bardzo wątpimy, czy do rozwiązania

Sejmu i rozpisania nowych wyborów, którykolwiek z nich to sobie przypomniał.

Hrabia w domu odpocząwszy, pojechał zobaczyć, co się działo w Radzie powiatowej. Odkąd został marszałkiem, nie przewodniczył jeszcze ani jednemu zebraniu, ponieważ ciągle był zajęty sprawami o wiele ważniejszymi. Gdy go teraz sekretarz zapytał, czy może w tych czasach zwoła kiedy Radę, odpowiedział:

— Nie wiem jeszcze, bo mam niemało kłopotów publicznych na głowie.... Ale jak widzę, dotąd wszystko idzie dobrze, pracujcie więc dalej gorliwie, a przy końcu roku nie zapomnę o remuneracji.

Opuściwszy biuro Rady, wstąpił jeszcze do starosty, który go przyjął prawie ostentacyjnie, poczem do domu wrócił. Tu potrzebował zastanowić się nad rzeczami niemałej wagi.

Położenie jego materialne robiło się coraz gorsze. Dawniej, gdy w domu więcej siedział, mniej wydawał; prócz tego sam doglądał gospodarstwa; przeciwnie teraz, odkąd wstąpił na arenę polityczną, wydatki znacznie się powiększyły, a dochody tylko nieznacznie podrosły, Szmul kłął duszę i ciało, że roгатka prawie nie niesie, a robotnicy, przy gościńcu zajęci, to same „łapserdaki“, bo nie piją ani piwa ani wódki. Prócz tego, jedynak hrabiego, młody hr. Alfons, nie mógł teraz także w domu siedzieć, ojciec bowiem życzył sobie, by syn jego jak najprędzej dobrze się ożenił, a to wymagało sporo

gotówki. Sejm także go niemało kosztował. W ciągu trzech tygodni, dał dziesięć objadów dla posłów i innych znakomitości, nie licząc śniadań i herbatek. Lecz czy mógł od tego usunąć się człowiek, na którego kraj patrzył, zwłaszcza jeśli wiedział, że na tej drodze najłatwiej dokoła siebie większość skupi?

Smutno więc było, bardzo smutno...

Właśnie gdy hrabia przemyślał nad sposobami wybrnięcia z ciężkiego położenia, zjawił się Tomasz oznajmiając, że Szmul prosi o posłuchanie. Kazał go wpuścić.

Wszedł żyd z miną wielce zafrasowaną i przy drzwiach stanął.

— Cóż tam powiesz, Szmulciu?

— Żle, jaśnie panie, bardzo źle.

— Cóż takiego? Czy ci kto zachorował, lub broń Boże umarł?

— Jeszcze gorzej, jaśnie panie.. Jak tak dalej pójdzie, i ja, i moja żona, i moje dzieci, wszyscy z głodu poginiemy.

— Doprawdy? A to coś ciekawego... Opowiedz mi mój Szmulciu, co ci się stało, boś mnie nielada zaintrygował.

— Jaśnie pan hrabia wie, jakie teraz czasy, na handlu zarobić trudno, chłopcy same dziady, do karczmy nie przychodzą, choćby człowiek niewiedzieć jak głową kręcił, nie zbierze na ratę. Gdyby nie to, żem za żoną wziął trochę pieniędzy, jużbym był dawno poszedł na dziady.

— Jeżeli ci tak źle, mój Szmulciu, to dziwi

mnie niezmiernie, żeś sobie dotąd korzystniejszego zajęcia nie wyszukał.

— Jaśnie panie, co ma biedny żydek z sobą począć? Mój dziadek siedział na arendzie, i mój ojciec, więc i ja siedzę. Zresztą myślę sobie: wczoraj było źle, dziś jest niedobrze, kto wie, może jutro będzie lepiej.

— W takim razie, mój kochany, czekaj do jutra.

— Na co ja mam czekać, kiedy ja już wiem, że lepiej nie będzie. Jaśnie pan pewnie słyszał, że do naszego proboszcza przyszedł na wikarego jakiś ksiądz nietutejszy.

— Słyszałem, słyszałem.

— Otóż ten ksiądz założył między chłopami takie towarzystwo, że ktokolwiek do niego przystąpi, musi przysiądz, iż nie będzie pił ani wódki, ani rumu.

— To bardzo porządne towarzystwo, mój kochany.

— Porządne? A jeżeli oni wszyscy będą tacy porządni, to z czego będzie Szmul płacił? I niedosyć księdzu tego, że chłopci przysięgają od wódki i od rumu, on jeszcze tak robi, że jak u którego jest wesele, lub chrzciny, to on z miasta sam dla niego piwo sprowadza.

— Bo to dozwolone, mój kochany.

— Dozwolone? A jak wszystko będzie dozwolone, to za co ma Szmul płacić? Proszę jaśnie pana, jak tak dalej pójdzie, to ja za całą propinację nie dam ani centa. Myślałem, że choć

ci ludzie, co przy drodze robią, będą delikatnie pili, bo przecie oni są cały dzień na dworze, tymczasem on ich pierwszych namówił do tego towarzystwa.

— Mój Szmulciu, każdy ksiądz powinien dbać, aby lud był trzeźwy, więc też za to nie mogę się na niego gniewać.

— *Hörste*, albo to on tutejszy, żeby jego to obchodziło? Przecie tu już był nie jeden ksiądz, a żaden takich rzeczy nie robił. Ale ja wiem, panie hrabio, czego on chce. On chce dwór zniszczyć, bo on socjalista.

— Socjalista, powiadasz?

— Pewnie że socjalista. Przecie jak w Zawadowcach nikt nie weźmie propinacji, to jaśnie pan straci ładne pieniądze. A czy nie tak postępują socjaliści? Czy oni może nie chcą zabrać cudzych majątków?

Hrabia zaczął trzeć czoło.

— Socjalista, powiedziałeś, socjalista... Kto wie, może to i prawda, bo przecie w jego postępowaniu mieści się zamach na moją własność... Chociaż mnie tam wiele na tem nie zależy, ale ponieważ każdy zły przykład jest zaraźliwy, więc jutro mogli by sobie i inni księża takiej rzeczy pozwolić, po czem nastąpiłaby ruina szlachty, to jest kraju. Zmartwiłeś mnie tą wiadomością Szmulciu, bardzo mnie zmartwiłeś, lecz choćbym chciał, nie mogę ci poradzić.

— Czemu jaśnie pan nie może?

— Bo nie mam środków...

— Ojoj! jak pan hrabia zechce, to zaraz będzie miał środki. Przecie to ksiądz nietutejszy, tylko obcy, gdzieś przyszedł z pod Prusaka, czy jeszcze z gorszych krajów... Ja dam głowę, że jak jaśnie pan napisze dwa słowa do naszego pana starosty, to on tego zawołokę każe zaraz szupasem do granicy odstawić. Przecie to nie ksiądz, to socjalista.

— Tak sądzisz? No, no, pomyślę o tem, mój kochany, i jeżeli tylko utwierdzę się w przekonaniu, że rzecz taka byłaby korzystną dla kraju, uczynię ją, choćby mi to nawet największą przykrość miało sprawić. Gdzie sprawa publiczna w grę wchodzi, tam uczucia osobiste muszą zamilknąć.

Po tej rozmowie hrabia dumiał kilka godzin, potem wezwał do siebie wójta ze wsi i ekonoma, z którymi długo konferował, w końcu usiadł i napisał długi list do starosty.

Nazajutrz zbudził się wcześniej jak zwykle, i znowu począł zastanawiać się uważnie nad swym położeniem. Kilka planów nasuwało mu się kolejno, lecz każdy z nich odtrącił, gdyż żaden nie wydał mu się dość praktycznym. Dopiero przy ostatnim dłużej się zatrzymał.

— Jeźlibym pojechał do Wiednia — szeptał półgłosem — to kto wie, czy by mi się nie udało zaciągnąć większej pożyczki w jednym z tamtejszych banków. Przecie we Wiedniu muszą wiedzieć, że należę do Rady państwa, która zbierze się za kilka tygodni, i że gdy ze-

chcę, potrafię nią trząść... Sądzę, że to by mi powinno kredyt ułatwić... Myśl nie zła, ale cóż, kiedy aby ją wykonać, trzeba by jeszcze poręczyciela, gdyż bez poręki bank nie da pieniędzy.

Tu hrabia urwał i zaczął trzeć czoło. Po chwili dalej mówił:

— Wolewicz chętnieby poręczył, zwłaszcza, gdybym mu powiedział, że tych pieniędzy potrzebuję na zaspokojenie niektórych długów hipotecznych, ale pod jakim by to pretekstem zwabić go do Wiednia?...

Znowu dumiał, znowu tarł czoło. Nareszcie spuścił szybko rękę na kolano i zawołał:

— Już mam! Muszę namówić nie tylko Wolewicza, lecz także Rakowskiego i Sowińskiego, żeby ze mną jechali do ministra, celem wywalczenia języka polskiego, jako urzędowego na naszych kolejach. Kupić, niekupić, potargować wolno, a nuż się uda! Zresztą choćby się nawet całkiem nie udało, to już sam fakt, żeśmy pojechali z patriotyzmu tylko, dobrze nas postawi w opinii kraju. Myśl wyborcza! trzeba ją jak najprędzej zrealizować.

Jak hrabia powiedział, tak uczynił. W ciągu tygodnia zebrała się Rada powiatowa, na której zapadła uchwała, że z jej łona, pod przewodnictwem samego marszałka, wyjedzie deputacja do Wiednia, która będzie ministra gorąco prosiła, by na kolejach językiem urzędowym był jak najprędzej język polski. Do deputacji

zostali wybrani pp. Wolewicz, Rakowski i Sowiński.

W kilka dni później, panowie deputaci spieszyli dwoma powozami na kolej, a tuż za nimi, jeden z niższych urzędników starostwa, odwoził także na kolej owego księdza, który ośmielił się być zawiązać w Zawadowcach towarzystwo wstrzemięźliwości i pić piwo, kupione nie u Szmula. Gdy hrabia i pan Wolewicz, którzy razem siedzieli, mijali wóz z księdzem, pierwszy odwrócił się w inną stronę, drugi zaś z przestrachem cofnął się w głąb powozu, zdawało mu się bowiem, że w ręku tego niebezpiecznego socjalisty, dostrzegł nabój dynamitu...

Nareszcie dostali się szczęśliwie do wagonu, konduktor krzyknął: *fertig!* trzeci raz zadzwoniono i pociąg z miejsca ruszył.

— *Fertig, fertig* — hrabia mruknął. — Wszystko po niemiecku, jakbyśmy byli między szwabami, a nie we własnym domu.

Jego towarzysze westchnęli.

Trzeciego dnia w południe, hrabia z towarzyszami był u ministra i z polecenia swego powiatu wręcz mu oświadczył, że kraj spodziewa się, iż rząd, który w chwili obecnej o Polaków głównie się opiera, przynajmniej tyle dla nich uczyni, że na ich kolejach zaprowadzi język polski jako urzędowy. Przemówienie swoje zakończył hrabia temi słowy:

— Dziś, gdy sam wysoki rząd, uznawszy naszą odrębność, zaprowadził język polski nie-

tylko w sądach i szkołach, lecz także w różnych oddziałach administracji państwowej, jedne koleje jawnie nam urągają, i dotąd używają języka niemieckiego.

— Skargi panów są zupełnie słuszne — minister słodko odpowiedział — lecz co tu rząd może poradzić, skoro koleje są towarzystwami prywatnymi? Przecie każdy przemysłowiec, kupiec, lub przedsiębiorca, używa u siebie takiego języka, jakim sam najłatwiej włada, i który mu najlepsze oddaje usługi.

— To niech by używały języka niemieckiego w manipulacji wewnętrznej — hrabia wtrącił — byle za to w stosunkach z publicznością, pamiętały, że ich koleje przeryniają polską ziemię.

— Więc one z publicznością korespondują po niemiecku? — minister zapytał ze zdziwieniem.

— Nietylko korespondują, nawet żaden ich konduktor, gdy pociąg ma odejść, nie woła inaczej jak: *fertig!*

Panowie Wolewicz, Rakowski i Sowiński, którzy dotąd słuchali z nabożeństwem, wpatrując się nie bez pewnego wzruszenia w poważne i szlachetne oblicze JE. pana ministra, uznali teraz za stosowne schylić głowy na znak potwierdzenia.

— *So?* A jak to słowo *fertig* będzie brzmiało po polsku? — minister ciekawie zapytał.

— Gotów!

— Gotow... gotow — powtórzył minister — *ist schon gut*. Szanowni panowie mogą teraz spokojnie do domu wrócić, i upewnić swoich mocodawców, że rząd uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, aby zaspokoić słuszne żądania polskiej swojej ludności. Równocześnie jednak proszę, byście panowie mieli łaskawie i to na uwadze, że rząd musi w równej mierze uwzględniać życzenia innych narodowości, w skład monarchji wchodzących, od tego bowiem zawisła potęga państwa. A Polacy przecie sobie nie życzą, żeby państwo było słabe.

— Boże chroń! — hrabia zaprotestował. — My stoimy i wiecznie będziemy stali po stronie wysokiego rządu!

— Tak! tak! — potwierdzili głośno trzej inni członkowie deputacji.

— Dziękuję panom za te słowa patryjotyczne, i raz jeszcze panów upewniam, że rząd uczyni dla was wszystko, co będzie w jego mocy, i co się nie sprzeciwi interesom monarchji.

Minister tak słodko przemawiał, i na pożegnanie tak serdecznie dłoń każdemu uściskał, że gdy panowie deputaci wyszli od niego, serca ich były przepełnione radością, wiarą i nadzieją. Szczególnie był rozrzuwionym pan Wolewicz tak dalece, że o mało zaraz na schodach łzami nie wybuchnął. Na jego szczęście, potęga męskiej woli, którą wezwał na pomoc, zapanała nad uczuciem, dzięki czemu z okiem suchem wrócił do hotelu.

Deputacja zatrzymała się jeszcze dni kilka kilka we Wiedniu, aby oglądać miasto, zajrzeć do Sperla i Orpheum, i po troskach życia wiejskiego rozerwać się trochę. Tymczasem dzienniki najpierw wiedeńskie, po nich krajowe, pierwsze ubolewając, drugie ciesząc się niezmiernie, rozniosły po całym świecie, że to, czego dotąd kraj cały nie osiągnął, zdobył sam hr. Czarnokoński, ponieważ minister przyrzekł mu uroczyście, że już w niedalekiej przyszłości język polski będzie zaprowadzony na wszystkich kolejach krajowych. *Trąba ludowa* umieściła nawet artykuł z napisem: „*Czarnokoński locutus*“, w którym udowodniała z matematyczną ścisłością, że ilekroć hrabia usta otworzy, zawsze to się dzieje, czego sobie życzy.

Podczas gdy w powiecie sąsiedzi hrabiego nad tem przemyśliwają, jakiego mu z powrotem zgotować przyjęcie, on sam biega po Wiedniu, kołace kolejno do wszystkich banków, ale nigdzie nie słyszy czarodziejskiego słówka: dobrze. Tu mówią mu, że takich interesów nie robią; tam, że chwilowo brak gotówki; w innym znów banku przysięgają dyrektorowie na duszę i ciało, że już oddawna zaprzestali pożyczać mieszkańcom Galicji, gdyż tamtejsze stosunki narażyły ich niejednokrotnie na ciężkie straty. Gdyby hrabia choć w jednym banku, zamiast jałowej grzeczności, ujrzał był bodaj promyk nadziei, to niewątpliwie, pychę z serca zrzucawszy, byłby zaraz poprosił p. Wolewicza, by

z nim poszedł do tegoż banku i poręczył za niego. Nie usłyszawszy jednak nigdzie obietnicy, musiał rad nie rad ważną sprawę, która go głównie do Wiednia sprowadziła, zachować na dnie swego serca, i pomyśleć o powrocie.

Właśnie gdy na dzień przed wyjazdem wielce zafrasowany wszedł do hotelu, portjer oddał mu depeszę. Rozpieczętował ją zaraz w sieni i czytał.

„Dowiedziawszy się z dzienników, że JW. Pan Hrabia bawi obecnie we Wiedniu, gdzie dla dobra kraju tak wielkie odniósł zwycięstwo, zgłaszam się z prośbą, by, do domu wracając, raczył JW. Pan Hrabia łaskawie w mieście się zatrzymać i mnie o tem uawiadomić, gdyż chciałbym mu zakomunikować bardzo ważną sprawę. Uniżony sługa — Kampf, dyrektor Banku Po-wszechnego.“

Hrabia po dwakroć uważnie depeszę odczytał, i w rękę ją trzymając myślał:

— Wprawdzie jest tam u niego kilka weksłów niezapłaconych, lecz nie sędzę, by o nich chciał ze mną mówić... Ci panowie bankierzy, ilekroć żądają pieniędzy, bywają niegrzeczni, a ten, nawet w depeszy, nazywa mnie jasnie wielmożnym, i podpisuje się „uniżonym sługą“. Nie, nie, on chyba nie o wekslach chce mówić... On ma jakiś inny interes, i prawdopodobnie mnie potrzebuje. Zobaczymy.

Nazajutrz deputacja wyruszyła z powrotem do kraju. Z początku czas płynął im dość ocię-

żale, w wagonie bowiem, prócz nich, nikogo więcej nie było, a na dworze od rana tak lało, że nawet oko nie miało się na czem zatrzymać. Dopiero niespodzianka, która ich spotkała na pierwszej stacji w kraju, mogła nietylko zasepione czoła rozjaśnić, lecz także duszę trwałą radością napełnić.

Gdy konduktor drzwiczki przymykał, dało się słyszeć głośne wołanie na przodzie:

— Usz! usz! *fertig!* gotow! usz!

— A co? — zapytał hrabia z miną try-umfującą.

— A co? — powtórzyli trzej jego towarzysze, i jak na komendę rzucili się wszyscy do okna, które było otwarte.

Na dworze raz jeszcze zawołał głos: Usz! *fertig!* gotow! usz! — poczem trzeci raz zadzwoniono, i pociąg ruszył ku tym stronom, gdzie wdzięczni obywatele z bijącym sercem wyglądali swoich wysłanników.

Hrabia, cygaro zapalając, rzekł z zadowoleniem:

— A więc starania nasze nie były marne! Niech tylko ci panowie nauczą się lepiej po polsku, aby zamiast „usz“ wołać „już“, a wszystko będzie dobrze.

— A komu to zawdzięczamy, mocium panie, jeżeli nie panu hrabiemu? — p. Wolewicz zapytał.

— Pewnie, mosterdzieju, że tylko panu hrabiemu — potwierdził p. Rakowski — bo gdyby nie pan, wszystko byłoby zostało jak dawniej.

— Tak, tak, *beim Alten, kurz gesagt* — zakończył p. Sowiński.

IX.

Hrabia poświęca się bez granic.

Gdy nasi znajomi w mieście stanęli, a była 11. przed południem, hrabia rzekł do swoich kolegów i towarzyszków podróży:

— Kochani panowie zapewne do domu prosto pojadą.

— A pan hrabia?

— Ja zatrzymam się jeszcze dzień, lub dwa w mieście, bo mam kilka ważnych interesów.

— A wolno wiedzieć, mociumpanie, kiedy pan hrabia do domu wróci?

— Co to dziś mamy? Aha! poniedziałek... wtorek, środa, będę tu, a więc we czwartek.

— Na pewne, panie hrabio?

— Zdaje mi się, że na pewne. Lecz czemu mnie panowie tak o to pytacie? Czy tylko nie chcecie przygotować jakiego przyjęcia? Nie, panowie, proszę was, nie róbcie tego, bo przecie wiecie, że ja takich rzeczy nie lubię. Zresztą miejmy i to na uwadze, że w czasach dzisiejszych, gdy bieda jest tak powszechna, każdy

szeląg na niepotrzebne rzeczy zmarnowany, byłby grzechem o pomstę do nieba wołającym... Ale ja we czwartek wrócę z pewnością, i to koło 5. po południu. Nawet proszę cię, kochany sąsiadzie — dodał, zwracając się do p. Wolewicza — abyś jeszcze dziś wieczór, lub jutro rano najpóźniej, posłał do mnie kogo z uwiadomieniem, żeby w środę rano moje konie po mnie do miasta wyszły. We czwartek będę więc niewątpliwie z wami. Możecie na to liczyć. A teraz do widzenia, kochani panowie!

To powiedziawszy, hrabia ucałował i pożegnał swoich sąsiadów, którzy niezwłocznie do domu wyruszyli.

Przebrawszy się w hotelu, udał się prosto do pana Kampfa. Wprawdzie gdyby go był uwiadomił, że jest w mieście, dyrektor byłby niewątpliwie zaraz do niego pospieszył, lecz po bliższem zastanowieniu, hrabia uznał, że będzie nierównie lepiej, jeżeli sam do niego pójdzie. W każdym razie, pan Kampf był potentatem finansowym, a z takimi, w czasach dzisiejszych, nawet hrabiowie muszą się liczyć.

Z początku zamierzał pójść do banku, lecz gdy pomyślał, że dyrektor chce z nim może pomówić sam na sam, bez świadków, kazał zawieźć się do jego prywatnego mieszkania. Żle jednak trafił, p. Kampf bowiem był właśnie na sesji dyrekeyjnej. Dowiedziawszy się o tem od służącej, która mu drzwi otwierała, wręczył jej swój bilet i niezadowolony zaczął po scho-

dach na dół zstępować. Był już niedaleko końca, gdy usłyszał za sobą głos kobiecy.

— Proszę pana hrabiego, *je vous prie*, na chwilęczkę!

Spojrzał w górę.

Przy poręczy, nad schodami, stała kobieta młoda i przystojna, silna bruneta, z rumieńcem palącym i ustami pełnemi. Wzrost miała piękny, kształty okrągłe, może nawet nadto obfite, oczy czarne, wyraziste. Hrabia, który od najwcześniejszej młodości był wielkim dam wielbicielem, uśmiechnął się na ten widok i długo się nie namysławiając, w miejscu nawrócił.

— *Monsieur le comte, je vous prie*, mój mąż zaraz przyjdzie — prosiła znowu piękna dama.

— Służę pani dobrodziejce, służę.

P. Kampf, dzisiejszy dyrektor Banku powszechnego, i jeden z pierwszych w kraju finansistów, miał przed dziesięciu jeszcze laty niewielki sklepik z rozmaitemi drobiazgami, na którym zbankrutował. Złośliwi utrzymywali, że była to w jego życiu pierwsza bardzo szczęśliwa finansowa operacja. Zamknawszy sklepik, i pochowawszy żonę, która mu właśnie wtedy umarła, a z którą miał czterech synów, ożenił się natychmiast drugi raz i tak się zrzęcznie zawinał, że krótko przy pomocy Wiednia, gdzie mieszkało dosyć jego krewnych i przyjaciół, tudzież kilkunastu magnatów polskich, pragnących dobrze umieścić swoje kapitały, założył Bank powszechny, którego został głównym dyrektorem.

Od tej chwili dawny kupeczyk przeistoczył się do niepoznania. Obciął pejsy, przebrał się od stóp do głowy, sprowadził drogie meble z Wiednia, kupił ekwipaż, synów zaczął wychowywać po pańsku i żonie oświadczył, żeby do pół roku nauczyła się po francuzku i grać na fortepianie. Gdy to nastąpiło, pani Rachela bowiem chętnie zabrała się do nauki, puścił się z nią na salony arystokratyczne i wszędzie, nawet u samego Prezydenta został dobrze przyjęty, gdyż brak tytułu i niedostatki pochodzenia, pokrywał u niego argument brzęczący.

Hrabia na górę wyszedłszy, uklonił się pani Kampfowej z galanterją człowieka wielkowswiatowego, przyczem rękę jej podał. Ucisnęła ją serdecznie, i drzwi otwierając, rzekła:

— *Monsieur le comte, je vous prie.*

— Pierwszeństwo do pani należy — odpowiedział na bok się usuwając.

— Ależ proszę pana hrabiego, przecie ja „domaszna.“

Pani Kampfowa, mimo nauki i wielkich starań, dotąd nie zapomniła ani akcentu, ani pewnych wyrażeń charakterystycznych, które wyniosła z domu rodzicielskiego.

— Bardzo mi przykro, że tak pięknej damie muszę odmówić — hrabia się tłumaczył — wszelako pod żadnym warunkiem pierwszy nie wejść.

Pani Kampfowa zaczęła jeszcze prosić, lecz

gdy nic nie skutkowało, weszła nareszcie do przedpokoju, a ztąd do salonu.

— Jak to zaraz poznać *un grand seigneur* — idąc mówiła. — Prawdziwy pan wie, co się damom należy. Dla tego to ja, *monsieur le comte*, najlepiej bawię się tylko u Prezydenta.

— Pani dobrodziejka często tam bywa?

— Spodziewam się... Przecie jeżeli mój mąż jest człowiekiem publicznym to i ja jestem *une femme publique*. O! u Prezydenta bardzo przyjemnie, tam choćby człowiek nie chciał, musi się bawić. Ale co pan hrabia robi?! — zawołała, widząc, że gość na fotelu chce usiąść. — *Monsieur le comte*, niech pan tu siądzie, na *canapé*, ona ma takie dobre sprężyny, że same „podpichowują.“ My te wszystkie meble prosto z Wiednia sprowadzili.

Znów niemało czasu upłynęło, nim hrabia przekonał piękną damę, że ona powinna siedzieć na kanapie, a on na fotelu. Kapitulowała nareszcie z wielkiem zadowoleniem, skoro taki pan umiał się na niej poznać.

— Pan hrabia przyjeżdża z Wiednia?

— Tak jest, bawiłem tam przeszło tydzień.

— Prawda, jakie to miasto?! *Ah! quelle ville magnifique!* Doprawdy, tam przyjemniej umrzeć niż tu żyć. A Sarę Bernhard pan hrabia widział?

— Nie byłem na dramacie, tylko w operze.

— Jaka szkoda! Sara Bernhard, *c'est une grande potence dramatique!*

— Jest nadzieja, że i do nas przyjedzie, wtedy ją zobaczę.

— Bardzo wątpię, coby ona tu robiła? U nas tylko ten może żyć jako tako, kto ma *des relations dans le grand monde*. Trochę lepiej jest zaledwie w zimie, bo wtedy przynajmniej na ślizgawce bywa dobre towarzystwo. *Ah! monsieur le comte*, ślizgawka to wielka przyjemność! *Je glisse si volontiers avec des officiers*.

— Rzeczywiście? — hrabia zapytał, nie bez ironji w głosie i spojrzeniu.

— Tak jest. Każdy oficer jest zgrabny, gdy przeciwnie cywilni...

Nie dokończyła, w tej chwili bowiem drzwi rozwarły się na oścież, i w nich ukazał się najpierw okrągły brzuszek, ozdobiony złotym łańcuchem od zegarka, pana Mojżesza Kampfa, a za nim cała jego osoba.

— Jaki ja szczęśliwy, że pan hrabia aż do mnie się fatygował! — zawołał szeroko ramiona rozwierając, jakby swego gościa chciał uściskać. — Pan hrabia pewnie na mnie długo czekał.

— Nie wiem czy długo, gdyż miła konwersacja z panią dobrodziejką czas mi skracala.

— Prawda, że to przyjemna osoba? A mówiła ty Rachelciu panu hrabiemu, że ty moja żona?

— Pani nie potrzebowała mi mówić, łatwo bowiem sam się tego domyśliłem. Przecie cały

kraj wie, że pani Kampfowa należy u nas do dam najpiękniejszych i najprzyjemniejszych.

— Rachelciu, słyszysz? Podziękuj panu hrabiemu... Nie darmo wszyscy mówią, że pan hrabia *ist ein feiner Mann!* A rozmawiała ty duszko z panem hrabią po francuzku?

— Rozmawialiśmy — gość potwierdził.

— A umie ona po francuzku, panie hrabio, umie?

— Wybornie.

Mąż spojrział na żonę z uwielbieniem, i zbliżywszy się do kanapy, wziął ją pod brodę i z uśmiechem pogłaskał.

— Ona nietylko po francuzku mówi, ona gra także na fortepianie i śpiewa. A jaki ma głos! Spróbuj Rachelciu, spróbuj, niech pan hrabia usłyszy.

Pani Kampf nie byłaby przeciw temu nie miała, gdyby nie gość, który bojąc się, by produkcja muzyczna nie chciała zbyt długo potrwać, wstał i do gospodarza się zwracając, w te słowa przemówił:

— Jeżeli państwo pozwolą, to wielką tę przyjemność na drugi raz sobie zamówię, przy najbliższej sposobności nawet umyślnie po to przyjdę, wszelako dziś nie odważę się trudzić pani dobrodziejki, gdyż mam tak mało czasu, a tyle kłopotów na głowie, że choćbym chciał nawet, nie potrafiłbym słuchać z należytą uwagą... Zaledwie znalazłem chwilę wolną, aby od pana dyrektora dowiedzieć się, co go skłoniło telegrafować do mnie do Wiednia.

— To bardzo ważny i doskonały interes! Szkoda, że pan hrabia nie usłyszy dziś mojej żony, to druga Patti, ale skoro pan hrabia ma tak mało czasu, więc musimy przystąpić do rzeczy. Proszę do mego gabinetu, bardzo proszę.

Gdy obadwaj panowie weszli do gabinetu i drzwi za nimi się zamknęły, pani Rachel salon opuściwszy, drogą najkrótszą pospieszyła do kuchni, gdzie zaraz zajęła się ugotowaniem szczupaka na szaro, w którym jej małżonek bardzo gustował.

Dyrektor tymczasem rozmawiał ze swoim gościem tak cichutko, że nawet pod drzwiami nie byłby nikt jednego słowa usłyszał. Cicha ta narada trwała przeszło godzinę; dopiero przy końcu zrobiła się głośniejszą.

— Niech się pan hrabia nie boi — dyrektor perswadował — roboty żadnej nie będzie.

— O! panie dyrektorze! — hrabia odparł — ja się pracy bynajmniej nie lękam, bo ja pracować umiem, od dziecka pierwszy wstaję, a kładę się spać ostatni, lecz nie wiem, czy się na mnie nie zawiedziecie. Ja się tam wprawdzie znam trochę na gospodarstwie, na polityce i ekonomji, tak społecznej, jak politycznej, ale z fabrykami, jak dotąd, nie miałem jeszcze do czynienia.

— To nic tak strasznego, panie hrabio. Każda fabryka dostanie osobnego dyrektora i ten ją będzie prowadził, dyrekcja zaś centralna, w której ja będę zasiadał, będzie miała główny

nadzór nad wszystkimi fabrykami. Co do pana hrabiego, to jako prezes Rady nadzorczej pan będzie stał jeszcze wyżej, i żadne sprawy drobiazgowie nie dojdą aż do niego.

— W takim razie jakie będzie moje zajęcie?

— Żadne. Pan hrabia nie będzie nawet potrzebował nic własnoręcznie podpisywać, ani akcyj, ani rachunków, bo takie podpisywanie człowieka także zmęczy, pan hrabia każe sobie tylko zrobić stampillę ze swoim facsimile i wszystko będzie dobrze. Prawda, zapomniałem, będzie trochę roboty, będzie. Raz na rok zwołamy zawsze walne zgromadzenie akcjonariuszów, i wtedy pan hrabia będzie musiał przewodniczyć.

— To znów nie jest tak nic strasznego.

— Pewnie. Pan hrabia będzie tylko dzwonił, żeby nikt nie krzyczał i nie wygadywał na dyrekcję, bo toby nie należało do rzeczy.

— Muszę wyznać, panie dyrektorze, że wszystko, com tu usłyszał, bardzo mi się podoba, głównie dlatego, że fabryki, które zakładacie, kraj wzbogacą i odrodzą, u mnie bowiem dobro publiczne stoi zawsze na pierwszym planie, lecz jest rzecz jedna, której żadną miarą nie mogę zrozumieć.

— Jaka to, jaka? — dyrektor ciekawie zapytał.

— Nie mogę pojąć, za co mam brać pieniądze, skoro nie dacie mi nic do czynienia.

— Panie hrabio, w świecie finansowym płaci się nie tyle za pracę, ile za honor.

— Jak to rozumiesz, dyrektorze?

— Zaraz się wytłumaczę. Każde towarzystwo akcyjne, jeżeli ma w kraju budzić zaufanie, musi mieć w swoim łonie choć jednego wielkiego człowieka, bo to dla niego honor.... To omasta, panie hrabio. My pieniędzy dosyć mamy, ale gdzie mąż, do którego by cały kraj miał zaufanie? U nas takim mężem jest jeden tylko hr. Hieronim Czarnokoński, i dlatego za honor, że będzie z nami, my mu chętnie damy 30.000 rocznie.

— Trzydzieści tysięcy? — hrabia ze zdziwieniem powtórzył.

— Zbierze się tyle, zbierze, już ja za to ręczę.... W spółkach akcyjnych człowiek ani wie, skąd pieniądze płyną. Zresztą prezes Rady nadzorczej, to wielka ryba!...

To powiedziawszy dyrektor, podał gościowi cygaro i sam świeże zapalił. Czas jakiś nie o siebie nie mówili, gość bowiem milczał, gospodarz zaś uważnie w twarz mu się wpatrywał. Dopiero po dłuższej przerwie hrabia zapytał:

— A od jakich fabryk chcecie panowie zacząć?

— Właśnie są dwie na sprzedaż, jedna przedzalnia, druga fabryka pudrety. Na początek kupimy obie i rozszerzymy, potem o innych pomyślimy.

— Przedzalnia i faryka pudrety — hrabia

powtórzył. — Nie da się zaprzeczyć, że obie są potrzebne. Jak widzę, zamiary panów są bardzo szlachetne, i ja może nawet zdecyduję się przyłożyć rękę do tego dzieła wielkiego, które ma na celu materialne odrodzenie naszego kraju, jeżeli mi szanowny dyrektorze dasz słowo, że w centralnej dyrekcji pomieścicie jeszcze dwóch moich przyjaciół politycznych.

— Jakich? — bankier ciekawie zapytał.

— Najpierw adwokata Grzmotowicza.

— Kazia? Niech pan hrabia będzie spokojny, już ja go nie pomnę. Ja Kazia znam doskonale, on często u mnie bywa, zresztą my oddawna mamy z sobą małe interesiki. To dobra głowa, panie hrabio, bardzo dobra, my go zrobimy naszym doradcą prawnym. A jaki to przyjemny człowiek, jak on ślicznie śpiewa dueciki z moją żoną! Jakbym ich czasem nie rozdzielił, toby do rana śpiewali.

— Prócz Grzmotowicza, pragnąłbym także pomieścić radcę Szczerbanowskiego, człowiek ten bowiem, z poświęcenia dla kraju, czego złożył dowody podczas ostatnich wyborów, naraził się na prześladowanie...

— Dobrze, i tego weźmiemy. To nawet nieźle będzie wyglądało, jak między dyrektorami będzie także zasiadał jeden Rusin, bo przecie u nas w kraju jest dosyć Rusinów, trzeba zatem i ich pozyskać. Towarzystwa finansowe, panie hrabio, muszą być kosmopoli-

tyczne, gdyż pieniądź jest także kosmopolityczny.

— Jeszcze jeden warunek, panie dyrektorze, od którego żadną miarą nie mógłbym odstąpić.

— Proszę... niech pan hrabia tylko mówi.

— Chociaż utrzymujesz, kochany dyrektorze, że zwiąawszy się z wami, mógłbym, jak dotąd, dalej na wsi mieszkać, i tylko na walne zgromadzenia przyjeżdżać, ja jednak nie odważyłbym się tak postępować, gdyż to by się nie zgadzało z mojem sumieniem. Ja figurantem ani chcę być, ani nim być nie umiem, zresztą, jeżeli mam brać pieniądze, to niech przynajmniej wiem, za co je biorę... Stawiam zatem następujący warunek. W dniu, w którym finalnie rzecz skończymy, ja się natychmiast do miasta sprowadzę, aby wspólnie z wami dla publicznego dobra pracować, a chociaż przez to materialnie może nawet stracę, gdyż wszystkie dobra będę musiał wydzierżawić, mimo to nie cofnę się przed żadną ofiarą, poświęcenie bowiem dla kraju powinno być celem naszego życia. I cóż, zgoda dyrektorze?

— Ależ zgoda, panie hrabio, zgoda zupełna! — zawołał p. Kampf radośnie. — Ja za kilka dni dam znać do Zawadowiec, czyśmy już gotowi, bo ten interes musimy jak najprędzej ukończyć, poczem pan hrabia będzie mógł wszystko potrzebne zarządzić, aby się do miasta sprowadzić. I nawet bardzo będzie dobrze, je-

żeli pan hrabia między nami zamieszka. Wszak tu się robi także politykę. O! ja wiem, że jak pan hrabia da się jeszcze poznać w Radzie państwa, to nasz Prezydent będzie pewnie przeniesiony w dobrze zasłużony stan spoczynku, i na jego miejsce przyjdzie hr. Hieronim Czarno-koński.

— O tem, kochany dyrektorze, ja nie marzę, gdyż daleki jestem od wszelkiej ambicji i osobistej. Wprawdzie się nie wypieram, że Prezydentowi chciałbym trochę przytrzeć rogów i zmusić go do ustąpienia, działanie bowiem tego człowieka, jest dla kraju wielce szkodliwe, lecz z drugiej strony mogę pana upewnić, że o zastąpieniu go ani myślę. Nie, nie, jabym tego nawet nie przyjął.

— Kto tam wie, panie hrabio, co kogo może jeszcze spotkać — odpowiedział dyrektor poważnie.

Hrabia, mimo, iż czasu miał niewiele, zabawił jeszcze przeszło godzinę, a żegnając się w tak świetnym był humorze, że zapomniawszy zupełnie o pochodzeniu p. Mojżesza Kampfa, objął go za szyję i serdecznie ucałował. Uszczęśliwiony dyrektor przywołał prócz starszych synów z pierwszego małżeństwa, także drobniejsze dzieci, którymi go już pani Rachela obdarzyła, by pożegnały męża dostojnego. W zapale gościnności, chciał go nawet z całą rodziną aż na ulicę wyprowadzić, lecz hrabia wymówił się od tego zaszczytu, i zszedł na dół tylko w to-

warzystwie gospodarza i jego syna najstarszego. Tu raz jeszcze uściśnął czule dłonie obydwu panów Kampfów, wsiadł do remizy i odjechał.

Hrabia był człowiekiem słownym, to też w czwartek, jak obiecał p. Wolewiczowi, wyjechał do Zawadowiec. Konie były dobre, droga wyborna, na promie tym razem nie czekała go żadna niespodzianka. Wciśnięty w głąb powozu, myślał o różnych rzeczach, a najwięcej o fabrykach, które powinny były materialnie kraj odrodzić.

Gdy powóz dojeżdżał już do tego miejsca, gdzie robotnicy nowy gościniec murowali, dał się słyszeć wystrzał, podobny do działowego. Konie licowe trochę się spłoszyły, co widząc furman ściągnął całą czwórkę i powóz zatrzymał. W tejże chwili dał się słyszeć strzał drugi, i zaraz po nim trzeci.

— A tam co, Tomaszu? — zapytał hrabia służącego, który siedział na koźle.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana, ale zdaje mi się, że jakaś parada.

Hrabia stanął w powozie i spojrzał przed siebie. W oddaleniu kilkuset kroków, pod wioską, która już należała do klucza zawadowieckiego, wznosiła się okazała brama tryumfalna, kształtem do tych podobna, które niegdyś Rzymianie stawiali swoim bohaterom. Brama była zbudowana z młodych brzoźek, a ozdobiona choiną, wśród której powiewały chorągiewki o

barwach krajowych i państwowych. Na samym szczycie znajdowała się ogromna korona hrabiowska, z herbem Czarnokońskich i monogramem hrabiego, a niżej następujący dwuwiersz.

Witaj, dostojny Hrabio, bo zwycięzcą wracasz —
Nową przyszłość zwiastujesz, i niedolę skrucasz.

Po obu bokach bramy, dalej z przodu, i z tyłu, widać było nieprzejrzane tłumy wiejskiej ludności, wśród niej chorągwie, krzyże, jakichś jeźdźców na koniach niespokojnych, głębiej liczne powozy i w nich damy wystrojone,

— Ach! na co tego wszystkiego!... Jak ja tych rzeczy nie lubię! — rzekł hrabia do siebie, lecz zawsze tak głośno, by furman i lokaj, wyraźnie go słyszeli. Potem zwracając się do pierwszego, krzyknął: — Jedź!

Powóz potoczył się i stanął dopiero przed bramą, wśród ogólnych okrzyków:

— Wiwat! Niech żyje hrabia! Hurra!

Hrabia zakłopotany chciał wysiąść, lecz przeszkodził mu w tem wiceprezes Rady powiatowej. Ten na czele całej Rady i okolicznego duchowieństwa zbliżył się do stopni powozu i jednym tchem wypowiedział wspaniałą mowę, której się doskonale na pamięć nauczył. Gdy skończył, zagrzmiały salwy moździerzowe, poczem z tyśiącą piersi wyrwał się okrzyk:

— Wiwat! Niech żyje hrabia! Hurra!

Nasz bohater powiódł wzrokiem dokoła. Tu stoją uśmiechnięci sąsiedzi w kontuszach,

przy karabelach i w kołpakach. Tam poczciwi kmiotkowie z ojcami duchownymi na czele, kłaniają mu się chorągwiami, jak cudownemu obrazowi na odpuszcie. Na boku kilkudziesięciu żydów, pod dowództwem Szmula, krzycząc w niebogłosey, usiłują zwrócić na siebie uwagę dostojnego obywatela. W głębi, damy w powozach stojące, powiewają ku niemu batystowemi chusteczkami od nosa. Najbardziej atoli uderzył hrabiego widok stu chłopaków na koniach, którzy w dwóch szeregach straż honorową tworzyli. Byli oni rozmaicie poubierani, zwyczajnie jak chłopcy wiejscy, za to przy kapeluszach mieli wszyscy czerwone wstążki, które im na ramiona spadały. Dowódcą tego oddziału, nazywającego się „banderją“, był pan Leander Wolewicz. Siedział on na wysokim i chudym angliku, w swojej kurtce aksamitnej i czapce dzokiejskiej, przy której zamiast czerwonych, powiewały czarno-żółte wstążki jedwabne.

Gdy krzyki i wiwaty trochę ucichły, hrabia chciał przemówić, i nawet już usta otworzył, lecz przeszkodziła mu w tem pani Emerencja. Ta podjechawszy teraz w jasionowym faetoniku do jego powozu, podała mu z uśmiechem i nieporównanym wdziękiem olbrzymi wieniec laurowy, na którego szarfach ponsowych jaśniał srebrem haftowany napis:

„Mężnemu bojownikowi, wdzięczne damy.“

Po tym nowym dowodzie uznania i uwiel-

bienia, hrabia mając oczy łez pełne, wyciągnął ręce ku tłumom, i głośnie zawołał:

— Ujrzawszy z daleka, jak wielkie, a niezastężone przyjęcie, zgotowaliście mi drodzy bracia, byłem tem bardzo zmartwiony, bo cóż zostanie dla innych, którzy znajdując się w szczęśliwszych odemnie warunkach, więcej zdziałać mogą? Teraz atoli widząc, jak jedną myślą jesteście wszyscy przyjęci, dziękuję Bogu, że mi pozwolił dożyć dnia tak uroczystego, bo oto przekonywam się naocznie, że biedny nasz naród, który dawniej ginął dla braku jedności, umie już być solidarnym, a gdzie solidarność, tam przyszłość, i dla tego nie zginiemy!

Skończył i chustkę podniósł do oczu, bo mu łzy nie pozwoliły więcej wypowiedzieć, tłumy zaś krzyknęły:

— Wiwat hr. Czarnokoński! Hurra!

Po tym okrzyku wysunęły się dwie kapele żydowskie, które dotąd gdzieś w ukryciu stały; szlachceice, księża i oficjaliści powsiadali to do powozów, to na wózki; banderja uszykowała się po obydwu bokach powozu hrabiego, i na dany znak przez wiceprezesa. wszystko ruszyło do Zawadowiec, wśród huku móżdziejy i dzwonienia janklowskich cymbałów.

Tak skończył się ten dzień pamiętny, po którym czterdzieści miasteczek mianowało hr. Hieronima Czarnokońskiego swoim obywatelem honorowym. Prócz tego wszystkie dzienniki, umieściły szczegółowy opis tej tak świetnej a

przytem w swojej prostocie tak rzewnej uroczystości. W chorale powszechnego uniesienia, dźwiękiem dyssonansowym, jak się Leander wyraził, był tylko artykuł *Porządku*, w którym Wikliński wynurzył obawę, że kraj nasz gotów ośmieszyć się na śmierć, skoro każdy właściciel większej posiadłości, gdy się żeni, każe sobie stawiać bramę tryumfalną, którą narody prawdziwie rozumne i cywilizowane, częzą tylko największych swoich geniuszów. Chociaż w tym artykule o bramie tryumfalnej pod Zawadowcami ani wzmianki nie było, mimo to nie jeden w powiecie domyślił się do kogo pito, ale udawał, że nic nie wie i niczego się nie domyśla.

W kilka dni po przyjeździe hr. Czarnokońskiego do Zawadowiec, zjawił się u niego sekretarz Banku powszechnego, z własnoręcznym listem swego dyrektora, p. Mojżesza Kampfa. Hrabia list przeczytawszy, konferował późno w noc z sekretarzem, i dopiero nad ranem obszernie na list odpisał, z którym sekretarz niezwłocznie nazad do miasta odjechał.

Po południu hrabia wystylizował rodzaj kurendy, z zaproszeniem na objad w najbliższy czwartek, z którą wysłał konnego posłańca nie tylko do każdego dworu w powiecie, lecz także do księży łacińskich i ruskich. Do starosty napisał list osobny.

W czwartek stawili się wszyscy jak jeden mąż. Nawet lekko chorzy tego dnia z łóżek wstali, by hrabia broń Boże nie posądził ich o brak życzliwości dla swojej osoby, lub, coby

jeszcze gorsze było, o solidaryzowanie się z pamiętnym artykułem *Porządku*, który dla swej obrzydliwości każdemu utkwiał w pamięci.

Objad był suty, wino lało się strumieniami, szampan dodawał humoru, każdy miał twarz zarumienioną i oczy roziskrzzone, potoki wymowy zalewały nietylko salę jadalną, lecz także przyległe ubikacje, goście bowiem umęczeni długiem siedzeniem, po toaście: Kochajmy się! zaczęli prostować kości i chodzić po wszystkich pokojach. Nagle pojawiają się dwaj młodzi ludzie, którzy wołają:

— Panowie! prosimy do sali jadalnej, bo hrabia chce coś ważnego powiedzieć.

Z wszystkich stron ściągają się szlachcice i księża, sala jadalna znowu pełna, na środku stoi hrabia i w te słowa przemawia:

— Dostojni panowie i zacni sąsiedzi! Przeszło lat trzydzieści żyłem i pracowałem z wami, widzieliście każdy mój krok, ja patrzyłem także na wasze szlachetne usiłowania około podźwignięcia naszego kraju z niedoli, słowem byliśmy sobie nie sąsiadami tylko, lecz raczej braćmi serdecznymi, którzy mieli razem żyć i umierać. Tak, panowie, jam wierzył, że z wami do ostatniej chwili zostanę, że nikt inny, tylko wy, zamkniecie mi powieki! Tymczasem okoliczności, a właściwie ciężkie obowiązki inaczej zarządzają, i ja, aczkolwiek z bolem serca, będę się musiał z wami rozłączyć.

— Aaa! — dał się słyszeć szmer głuchy.

— Wiadomo wam, panowie, boć przecie nie raz mówiliśmy o tem, zresztą ważna ta sprawa była poruszana tak dobrze w Sejmie, jak w dziennikarstwie, że największem naszym nieszczęściem jest ubóstwo nasze. Co nam przyniesie wolność, co autonomia, co wszystkie zdobycze konstytucyjne, jeżeli nadal będziemy tak biedni, jak teraz jesteśmy! Człowiek biedny nie ma energii, więc i polityka nasza czasem chłama; z biedy rodzi się socjalizm, najstraszniejsza choroba współczesna; bieda jest źródłem każdego nieszczęścia! Ponieważ z fatalnego położenia, w jakim kraj nasz znajduje się obecnie, nigdy nie wybrniemy, jeżeli nie odrodzimy się materialnie, i to nie jak bądz, lecz w wyższym stylu, przeto znaleźli się ludzie, którzy sobie powiedzieli, że muszą utworzyć wielkie towarzystwo akcyjne, któreby fabrykami ziemię naszą zasiało. Gdy będą fabryki, będzie kwitł przemysł, z którego następnie zrodzi się zdrowy handel; gdzie zaś przemysł i handel rozwijają się prawidłowo, tam są pieniądze, a gdzie one są, tam jest także dobrobyt i budujące się na nim szczęście.

— Aaa! — ozwał się nowy szmer w sali.

— O ile to było w mojej mocy, dokładałem starań, żeby rzeczzone towarzystwo jak najprędzej weszło w życie, teraz zaś muszę wam panowie z bolem serca oznajmić, że zostałem jego prezesem mianowany. Tak jest, z bolem serca o tem mówię, gdyż razem z wami chcia-

łem nadal żyć i pracować, w gminie, w szkole, w Radzie powiatowej! Ale powiedźcie mi, panowie, czy pięknie by to było, jeżelibyśmy tylko to czynili, co nam przyjemność sprawia? Czyż dla kraju pracować nie powinien z nas każdy, czyż dla idei nie powinniśmy się wszyscy poświęcać? To też mimo że pobyt z wami do końca życia był najpiękniejszym mojem marzeniem, i chociaż opuszczając Zawadowce, które będę musiał wydzierżawić, nawet materialnie przez to dosyć stracę, mimo to nie mogłem cofnąć się, gdy kraj odemnie zażądał ofiary, i postanowiłem się poświęcić. O! tak panowie, porzucę was, ale wiercie mi, że wspomnienie lat, które tu spędziłem, będzie mi w dalszem życiu najmiłszą osłodą, a dzień dzisiejszy najdroższą pamiątką. Kończąc, proszę gorąco, byście mnie w waszych sercach tak zachowali, jak ja was do śmierci w mojem mieć będę!

To powiedziawszy, z płaczem rzucił się na szyję najbliższemu stojącemu staroście, który stał sztywny, wyprostowany, i ani powieką nie ruszył. Zaczęły się uściski, zapewnienia przyjaźni i perswazje, aby hrabia zanadto nie rozpaczał. Wszystko zaś przeplatano westchnieniami i łzami.

Panowie Wolewicz, Rakowski i Sowiński wymknęli się do drugiego pokoju.

— My go tak mociumpanie puścić nie możemy — pierwszy przemówił. — Człowiek, który tak się poświęca, powinien mociumpanie o-

trzymać od nas nowy dowód uznania, co wśród ciężkiej pracy będzie dlań bodźcem i otuchą.

— Pewnie, pewnie, mosterdzieju — drugi potwierdził. — Ale czem go też uczcić? Objad mosterdzieju za mało, zresztą jużemy nie jeden zjedli razem, brama tryumfalna niedawno była, dyplomów, honorów ma pół cetnara, *fakelzug* także był...

— Trzeba kazać wybić z jego popiersiem medal złoty i kupić mu, *kurz gesagt* karabełę honorową! — zakończył p. Sowiński.

Panowie Wolewicz i Rakowski z zapalem przyjęli tę propozycję.

Podczas gdy ci tak radzą, hrabia uwolniwszy się od uścisków, stanął przy oknie, i wzrok znużony puścił w głąb wioski. Tam, na jej końcu, widać było szkołę walącą się, ze strzechą przegniłą, a na jej progu stał nauczyciel, zgarbiony, znękany i okiem załzawionem patrzył na dwór biały, w którym było tak huczno, i gdzie tak bez granic poświęcano się dla kraju!...

X.

Wyprawa po złote runo.

Pan Leander Wolewicz przebywał stale na wsi, i tylko w zimie na karnawał, w lecie zaś na wyścigi do miasta zjeżdżał. Dopiero w tym roku miało być inaczej. Chociaż karnawał dawno się już skończył, on do Kociejowa na dłuższy pobyt jakoś się nie wybierał. Kilka razy wpadał tam na dzień lub dwa, najdłużej, bo cały prawie tydzień wtedy zabawił, gdy na uczczenie hrabiego formował banderję, poczem do miasta wróciwszy, całoroczne wynajął mieszkanie. Ponieważ ojciec, mimo wrodzonej oszczędności, nic nie miał przeciw temu, więc chyba trzeba przypuścić, że działo się to za jego przyzwoleniem.

Jeszcze jedno uderzało w postępowaniu Leandra. Przedtem po kilka razy na dzień biegał do hr. Albińskiego, a z hrabiną starał się jak najczęściej widywać; teraz o znakomitym prelegencie całkiem zapomniał, i ledwie raz w tygodniu do niego zaglądał. U pięknej zaś hrabiny nie był od czasów niepamiętnych, i wcale się tem nie zajmuje, kogo ona teraz

swemi względami zachwyca. Gdy złośliwy Markiz coś mu raz wspomniał o Grzmotowiczu, którego goście hrabiny w ostatnich czasach dość często na jej salonach spotykali, Leander wydał usta i rzekł z lekceważeniem:

— Ci ludzie nie mnie już nie obchodzą.

I w rzeczy samej nie mogli go obchodzić, skoro od pamiętnej recepcji u Prezydenta, głowę przyszłego dziedzica Kociejowa z przyległościami wypełniały myśli poważne, a serce jego ku innym skierowało się ideałom.

Z początku nie wiedział co mu jest, do czego wzdycha, coby osiągnąć pragnął; wszakże powoli wątpliwości pierzchły, i przed nim, z mgły powiewnej, co ją dotąd otaczała, wyłoniła się czarująca i bogata, Marynia Olińska. O! tak, od owej recepcji, Leander coraz częściej o niej myślał, coraz sentymentalniej do niej wzdychał, coraz goręcej pragnął ją posiąść. Jak dotąd, planami matrymonialnymi nigdy się jeszcze nie zajmował, lecz teraz o tem tylko marzył, by ową piękną i bogatą dziedziczkę mógł jak najprędzej nazwać swoją żoną.

Że planów swoich nie uważał za hazardowne, dziwić się temu nie możemy. Wszak był młody, w przekonaniu swoim świetnie urodzony i bardzo przystojny; wszak dobrze strzelał, jeździł na koniu po mistrzowsku i miał w perspektywie znaczną fortunę, na której grosza długu nie było. Gdy szło o romans z hrabiną, szczęście mogło mu być nie dopisać, w przelot-

nych bowiem miłostkach, zdaniem jego, nierównie większą rolę odgrywa przypadek, niż zasługa; zresztą i źli ludzie ciągle mu psuli; ale jak skoro pomyślał o więzach dozgonnych, o ołtarzu, to czyż na świecie mogłaby się znaleźć taka panienka, któraby mu swojej ręki ośmieliła się odmówić? Tak więc powiedział sobie, że z panną Marją Olińską musi się ożenić.

Odkąd powziął to heroiczne postanowienie, zrobił się jeszcze troskliwszym o swoją powierzchowność. Jego kurtki, w których pojawiał się na ulicy, były bardziej obcisłe i kuse, niż dawniej; jego czapki uderzały z daleka krojem prawdziwie sportsmeńskim; wreszcie jego kolorowe koszule, a przy nich spinki i guziki, mogły wzbudzić zazdrość w każdym miłośniku koni i wyścigów. I aby twarz jego zostawała z ubraniem w zupełnej harmonii, dwa razy na dobę golił wąsy i brodę, fryzjer zaś całemi godzinami układał mu grzywkę nad czołem, by nią przykryć łysinę, która jak gość nieproszony zjawiała mu się na głowie. Nareszcie ryżę bokobrody tak dobrze naciągał, że mu już do samych ramion sięgały.

U pana Olińskiego bywał często, a ilekroć nie mógł się do niego wprosić, dosiadał konia i całemi godzinami popisывał się przed jego pałacem, aby, jak twierdził, pannie Marji sprawić dystrakcję, której, zdaniem jego, ona gwałtem potrzebowała. Od pamiętnej recepcji u Prezydenta, Marynia była smutna, przybladła,

kilka dni przeleżała nawet w łóżku... Jakkolwiek Leander korzystnie to sobie tłumaczył, zawsze mu było przykro, to że śliczne dziecię, zajmąwszy się nim szczerze, tyle teraz cierpiało, więc też postanowił wedle sił swoich bawić je i rozrywać.

Z początku bardzo mu się to nie podobało, że ilekroć przyszedł do pana Olińskiego, zawsze u niego zastawał Grzmotowicza. Niezadowolenie jego wzrosło, gdy usłyszał, że Kazio bywa tam codzień, czasem nawet dwa razy na dzień, i że prawdopodobnie stara się o rękę panny Marji. W pierwszej chwili chciał mu zrobić awanturę, nawet wyzwać go na pojedynek i zastrzelić; wszakże powoli nie tylko całkiem ochłonał, lecz nawet zatarł ręce z radości, jak skoro zobaczył, że ilekroć on i Kazio, zeszli się razem w salonie pana Olińskiego, Marynia z nim tylko rozmawiała, Grzmotowicza zaś zbywała półśłówkami, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że go nie lubi. Odtąd Leander urósł we własnem mniemaniu do wielkiej potęgi, i tylko wyglądał chwili stosownej, żeby się formalnie oświadczyć o rękę panny Olińskiej.

Nim to jednak nastąpiło, nadeszła wiosna i pan Oliński wyjechał na całe lato do swoich dóbr nadgranicznych. Odtąd Leandrowi było ciemno w duszy, gdyż nie wiedział co począć i jak sobą zarządzić. Czy zostać w mieście i czekać, aż wróci, czy wybrać się do nich na wieś, czy do Kociejowa pospieszyć, zkąd ojciec

mu donosił, że sobie z gospodarstwem rady dać nie może. Nie mogąc wśród labiryntu tych pytań wyjścia znaleźć, postanowił udać się do Markiza po radę.

Zastał go w domu, nad listem francuzkim, który właśnie pisał do jednego z pierwszych dostawców w Bordeaux.

— Daruj, że cię nachodzę, w chwili gdyś zajęty, ale sprowadza mnie do ciebie pilny interes.

— Zaraz ci służę, mój kochany, tylko list ukończę — Markiz odpowiedział. — Usiądź tymczasem i zapal cygaro.

Leander siadł i zapaliwszy prawdziwe hawanna, czekał, puszczał, dla zabicia czasu, kółka z wonnego dymu, które do okna ulatywały.

— Służę ci teraz, Leanderku — zawołał gospodarz powstając.

— Wierząc w twoją życzliwość, mój drogi, przyszedłem do ciebie po radę, jak do przyjaciela. A sprawa to niezmierniej wagi i bardzo delikatna.

— *Ma foi!* intrygujesz mnie, Leanderku. Czy przypadkiem nie chcesz się żenić?

— Zgadłeś.

— *Ma foi,* to wybornie! Ha! skoro tak postanowiłeś, więc się żęń, chociaż mnie się zdaje, że na takie głupstwo, miałbyś jeszcze dosyć czasu.

— Masz rację, że każda żeniaczka jest

głupstwem, lecz kiedy? Gdy się człowiek źle żeni... Ale jeżeli bierze pannę młodą, piękną jak anioł, ślicznie wychowaną, dobrze urodzoną i w dodatku jak Krezus bogatą, to wtedy, zdaje mi się, robi rzecz bardzo mądrą.

— I tyś znalazł taką? — Markiz ze zdziwieniem zapytał.

— Znalazłem.

— A nazywa się?

— Powiem ci, wszakże pod warunkiem, że wpierw dasz mi słowo, iż cokolwiek usłyszysz, zachowasz w tajemnicy, ma się rozumieć do czasu tylko...

— *Ma foi!* o to nie potrzebujesz mnie nawet prosić. A kiedyż to ja byłem plotką, mój Leandrze?

— Prawda, prawda, tyś dyskretny. Otóż wiedz, że postanowiłem ożenić się z panną Marją Olińską.

Markiz wyjął z ust cygaro, usta otworzył, i na gościa oczy wytrzeszczywszy:

— A ona postanowiła wyjść za ciebie? — zapytał.

Leander wcisnął brodę w kołnierzyki, pociągnął faworyty i odrzucił od niechcenia:

— Jak dotąd, jeszcze jej o to nie pytałem, lecz mimo to wszystko mnie przekonywa, że nie jestem jej obojętny.

— A cóż Grzmotowicz na to? Wszak już oddawna całe miasto mówi, że o nią się stara, i ma mieć nawet pewne widoki.

— I ja tak dawniej myślałem, teraz jednak przekonałem się, że to nieprawda. Panna Marja traktuje go *en canaille*.

— Skoro tak, więc żeń się mój Leanderku. Mam nadzieję, że na wesele dasz mi zarobić. Właśnie otrzymałem kilkaset flaszek wyśmienitego szampana.

— O tem, potem, kochany Markizie... Chociaż, jak powiedziałem, jestem jej pewnie, zawsze ta sprawa czas jakiś jeszcze się pociągnie. Wszak znasz kobiety... każda z nich, gdy jest tylko ładna i bogata, lubi nas wodzić na pasku.

— *Ma foi*, masz rację! I ona cię wodzi?

— Nie powiem tego, lecz z drugiej strony nie da się także zaprzeczyć, że pragnie otrzymać odemnie więcej dowodów miłości. Nie raz dawała mi to do zrozumienia, mówiąc, że w czasach dzisiejszych młodzi ludzie, starają się więcej o posag niż o pannę.

— A ty, Leandrze, przecie tego nie robisz?

— Ani mi w głowie! Słowo honoru, ja się staram głównie o nią, posag zaś, to tylko przyjemny dodatek... Lecz powiedz mi, mój Markizie, czem ja to jej mam udowodnić? Słowa same nie wystarczają, trzeba czynów...

— Czyli inaczej powiedziawszy — Markiz uzupełnił — chciałbyś jej okazać jakimś czynem wielkim, że ją kochasz bezinteresownie.

— To, to, to, mój drogi! Zgadłeś! zgadłeś!

— *Ma foi*, ja ci tu chyba nic nie poradzę. Dawniej kochankowie bądź szli walczyć z Saracenami, bądź rzucali się między lwy rozjuszony, aby podjąć rękawiczkę swojej bogini, lecz jak wiesz, to było niegdyś, w czasach romantycznych, w epoce trubadurów. Dziś wszystko się zmieniło, i kochanek choćby chciał, nie może przedsięwziąć nic nadzwyczajnego, gdyż żyjemy w epoce bardzo prozaicznej.

— Zmartwiłeś mnie, mój drogi! — Leander westchnął. — Przyszedłem umyślnie po to do ciebie, byś mi co poradził, a ty mnie zimną wodą oblewasz.

— Bo czasy, mój Leandrze, prozaiczne. Gdyby to choć była zima, i ona mieszkała gdzie za rzeką, to mógłbyś dobijać się do niej po kruchym lodzie i życie swoje narażać. Zresztą, i w lecie, w razie powodzi, wolno by ci było z falą walczyć, aby dobić się do najdroższej, ale do pana Olińskiego droga wiedzie sucha, rzeki tam ani śladu.

— Znasz tamtą okolicę?

— Trochę. Niedaleko Sosnówka, gdzie pan Oliński ma teraz swoją rezydencję, stoi pułk dragonów, którego dowódzca kupuje u mnie wina. Właśnie temi dniami wybieram się do niego, bo muszę się z nim obliczyć.

— Zapewne i do Sosnówka dojedziesz?

— Ani myślę o tem, bo czasu nie mam. Leander głowę zwiesił. Po chwili zapytał.

— Więc doprawdy, nie możesz mi nic poradzić?

— *Ma foi*, ani rusz. Ty, jako zakochany, powinieś sam coś wielkiego wymyśleć, miłość bowiem rozbudza wyobraźnię, która jest matką wszystkiego co podniosłe.

Po tej rozmowie Leander wrócił do domu, a chociaż przyjaciel nie zadowolił go całkiem, mimo to nie żałował, że do niego chodził, słowa bowiem Markiza obudziły w nim myśli, z których powoli mogło powstać coś niezwykłego.

Chodził, dumał, układał plany rozmaite, nareszcie stanął i krzyknął: Już mam! Ledwie to powiedział, wybiegł do miasta, w najbliższej księgarni kupił dobrą mapę Galicji, potem wstąpił do magazynu, w którym sprzedawano przybory do rysunków, i tu kazał sobie dać dużą tekę, dwa arkusze papieru rysunkowego, pół tuzina ołówków i kilka innych drobiazgów. Gdy to za nim chłopiec sklepowy do domu przyniósł, zatarł ręce, i z pomysłu swego wielce zadowolony, zaczął sam z sobą rozmawiać.

— Myśl wysmienita, genjalna! Do Sosnówka mamy ztąd opętanych mil czternaście, jeżeli więc zamiast jechać, pójdę tam pieszo, by ją zobaczyć, to choćby nawet nie chciała, musi mój czyn uznać za dowód największego przywiązania. Alboż w czasach dzisiejszych

możnaby znaleźć człowieka bogatego, który by dla fantazji chciał się podjąć takiego zadania? Mil czternaście, pieszo, i do tego w to gorąco! Kto wie nawet, czy w drodze co jeść dostanę... Widoki nie bardzo świetne, ale bądź co bądź mój plan muszę przeprowadzić, bo jest heroiczny!

Jak powiedział, tak uczynił.

Nazajutrz, o godzinie ósmej rano, w ulubionym stroju dżokejskim i z teką pod pachą, chciał bowiem, by nieznajomi na prowincji mieli go za artystę, wyruszył ze swego mieszkania najkrótszą drogą do rogatki, a zamtąd bitym gościńcem ku tym stronom uroczym, gdzie Sosnówek leżał.

Z początku szło wszystko jak najlepiej. Doskonały bifszyk angielski i cztery jaja na miękko, które zjadł przy herbacie, mogły wystarczyć do wieczora nawet, a że najbliższe miasteczko, właśnie to, w którym dragoni stali, leżało o mil pięć od stolicy, przeto w najgorszym razie spodziewał się tam na noc stanąć. Okolica, jakkolwiek monotonna, wcale go nie nudziła, a że był lekki, więc szedł rączo, i ani postrzegł, kiedy pierwszą milę minął. Ilekroć zobaczył, że kto konno, lub w powozie nadjeżdża, siadał natychmiast pod najbliższem drzewem przy drodze, i bądź mapę rozłożywszy, coś w niej szukał, bądź tekę na kolanach trzymając, udawał że rysuje. Istotnie udawał tylko, o rysunkach bowiem nie miał najmniejszego wyobraże-

nia, i ledwie był w stanie zdjąć prosty plan z kawałka ziemi, co w gospodarstwie każdy nawet ekonom umieć powinien.

Dobrze było z południa, i miasteczko, do którego dążył, rysowało się już na niewielkiem wzgórzu, gdy ujrzał dwóch jeźdźców zdążających prosto ku niemu. Czemprędzej siadł, i najpierw mapę rozłożył, potem ją w tece rysować. Gdy jeźdźcy zbliżyli się do niego, postrzegł, że byli to wojskowi. Starszy miał brodę szpakowatą, wąs sumiasty i złoty kołnierz z trzema gwiazdkami; był to więc pułkownik. Młodszy, zapewne jego adjutant, wyglądał bardzo młodo i był powierzchowności ujmującej. Gdy się z nim zrównali, stanęli, i starszy młodszemu robił jakieś uwagi, przy czem na nieznajomego ręką wskazywał.

Po chwili dalej pojechali, wkrótce jednak nazad się wrócili, aby znowu uważnie przypatrywać się nieznajomemu. Chociaż niedługo potem puścili się do miasta wyciągniętym kłusem, mimo to kilka razy oglądnęli się jeszcze po za siebie, jakby chcieli się upewnić czy człowiek, który ich tak zaintrygował, siedzi na dawnym miejscu.

Naszemu bohaterowi serce zaczęło skakać z radości.

— Zwrócili na mnie uwagę — pomyślał — bo im, ludziom do konia przyzwyczajonym, przecucie musiało zaraz powiedzieć, że mają przed sobą człowieka, dla którego koń jest wszyst-

kiem! A jak ogier pułkownika zarżał, gdy mnie zobaczył! Jak to swój swego zaraz pozna!...

Tak był tem spostrzeżeniem uradowany, że chociaż nogi dobrze go już bolały, zerwał się ochoczo, skreślił mapę, złożył tekę i cwałem do miasta się puścił. Tam miał nadzieję wypocząć po trudach całodziennych, tam spodziewał się pokrzepić ciało długim postem wycieńczone.

Właśnie dochodził do pierwszego domku na przedmieściu, gdy nagle zjawił się patrol wojskowy, złożony z dwóch dragonów na koniach i jednego podoficera.

— *Halt!* — podoficer krzyknął.

Leander stanął i ze zdumienia usta otworzył.

— Hej! chłopcy! wziąć go między siebie!

— zawołał podoficer tym razem już po polsku na naszego przyjaciela pokazując.

Leander chciał przemówić, zaprotestować; żołnierze jednak tak prędko wzięli go między swoje konie, podoficer zaś z tyłu najeżdżając, tak gromko krzyknął: — *Spion! vorwärts, marsch!* — że biedny wielbiciel panny Marji Olińskiej, który dziś rano tak szczęśliwie rozpoczął wyprawę po złote runo, teraz, pod wieczór, osłabiony i głodny, na widok tych twarzy marsowych, uczuł, że go resztki odwagi opuściły, to też ust więcej nie otworzywszy, szedł z głową zwieszoną, chociaż nie wiedział ani gdzie, ani po co go prowadzą.

Gdy przez miasto przechodzili, dążąc tam, gdzie było mieszkanie pułkownika i kancelarja wojskowa, kilkuset żydków mniejszych i większych, zaczęło biegnąć i krzyczeć:

— *Kik! kik! a Spion!*

On nic nie widział, nic nie słyszał i przytomność dopiero wtedy odzyskał, gdy ujrzał się przed pułkownikiem, który stał otoczony oficerami, i gdy usłyszał, jak go tenże zapytał:

— Coś pan za jeden i jak się nazywasz?

— Nazywam się Leander de Wolewicz, i jestem właściciel dóbr ziemskich.

— Czem to pan udowodnisz?

— Czem? niczem... Przecie teraz pasportów nie potrzebujemy.

— *Ein kecker Kerl!* — mruknął pułkownik ku oficerom się zwracając. Potem dalej pytał: — Co pan robisz w tych stronach, i co znaczą te rysunki i mapy, które masz z sobą?

— Co znaczą? Hm! ten tego... to nic...

— *Ja, ja, wir wissen schon alles* — odrzekł pułkownik robiąc minę wieleznaczącą, poczem kazał sobie podać mapę i tekę. Gdy się im uważnie przypatrzył, dalej mówił:

— Na mapie są popodkreślane najważniejsze miejscowości w tych stronach, mające znaczenie strategiczne, w tece zaś nie widzę żadnych widoków, tylko same linje, co jasno wykazuje, żeś zdejmował plany sytuacyjne. Hej! chłopcy! — dodał, do żołnierzy się zwracając — przetrząść tego panicza!

Dragoni w mgnieniu oka rozkaz spełnili. Okazało się, że nieznajomy nie miał przy sobie żadnych listów, żadnych papierów, tylko przeszło 2.000 guldenów banknotami.

Pułkownik widząc tyle pieniędzy, uśmiechnął się ironicznie.

— Jeżeli mogłem jeszcze powątpiewać o prawdziwości moich przypuszczeń — rzekł to-nem stanowczym — to widok tych tysięcy dostatecznie mnie przekonywa, że mam do czynienia z prostym szpiegiem.

— Panie pułkowniku! coś powiedział?! — zawołał nareszcie Leander odwagę zebrawszy. — Ja jestem szlachcic i obywatel, właściciel Kociejowa z przyległościami, i nie dwa, ale dwadzieścia tysięcy mam zawsze gotówką w kasie.

— *Was er da nicht vorpfeift* — mruknął pułkownik, na oficerów patrząc. — Ale potrzeba raz tylko spojrzeć *auf dieses verschmiztes Gefriss*, aby się przekonać, że łże jak najęty. — Potem nieznajomego znowu zapytał: — Jeżeliś pan szlachcic bogaty, a nie szpieg, to powiedz mi, proszę, dla czego i dokąd szedłeś pieszo? Przecie kto ma tyle pieniędzy, ten łatwo może sobie konie nająć.

— Dobrze, powiem, ale pod warunkiem, że panowie zachowacie to w tajemnicy. O siedm mil ztąd, leży wioska, Sosnówek, gdzie mieszka moja narzeczona. Ponieważ dawno jej nie widziałem, więc postanowiłem ją odwiedzić.

— I w tym celu wybrałeś się pan pieszo?

I ty myślisz, że my w taką bajkę uwierzimy? Dziś, gdy kochankowie chcieliby jeździć telegrafami, bo im koleje już nie wystarczają, dziś człowiek zakochany, a bogaty, miałby się pieszo do narzeczonej wybierać, która mieszka o mil czternaście? Ależ mój panie łżesz, aż ci się z nosa kurzy.

— Protestuję, ja mówię prawdę!

— Mówisz prawdę? Więc w jakim zamiarze wybrałeś się pan *per pedes apostolorum*?

— By jej tem dać dowód mojej miłości. Kto kocha, musi cierpieć.

— Więc to miał być dowód miłości? Skoro tak, mój panie, to czemu zaraz w mieście nie kazałeś sobie wsypać choć pięćdziesiąt bizunów, to by był jeszcze lepszy dowód miłości, bo cierpiałbyś więcej niż pieszo idąc. Mój panie — kończył pułkownik — wszystkie twoje wykręty na nie się nie zdadzą, bo żeś szpieg, to na twojem czole wypisane. Hej chłopcy! — na żołnierzy zawołał — wpakować go tymczasem do dziury i dobrze strzedz, żeby nam nie umknął, ty zaś, panie adjutancie, donieś o nim wyższej władzy. Za tydzień lub dwa odeszlemy go do stolicy.

Leander był zpiorunowany. Jak pięknie dzień się zaczął, a jak okropnie się skończył! Czuł, że znalazł się w położeniu bez wyjścia, że prośby i perswazje byłyby bezskuteczne, żołnierze bowiem nie lubią bawić się w sentymenta, i że najlepiej zrobi, jeżeli bez szemrania

podda się swemu losowi. Ust tedy więcej nie stworzywszy, poszedł za żołnierzami, którzy go odprowadzili do wojskowego więzienia, nazywanego się u nich „stockhauzem“.

Przez okno, silną kratą opatrzone, widział, jak po dwakroć jasne słońce wybiegało na strop niebieski, niosąc ludziom uśmiech i nadzieję, i jak po dwakroć zapadało potem wśród czarnych lasów na zachodzie, zostawiając po sobie żal i tęsknotę...

Dopiero gdy trzeci raz zajaśniało, zobaczył, że za podoficerem, który mu jeść przynosił, wszedł do jego kaźni jakiś mężczyzna w sukniach cywilnych.

— Leandrze! — zawołał głos mu dobrze znany.

— Markiz! — krzyknął.

— *Ma foi*, podziękuj Bogu, żem dziś po pieniądze do pułkownika przyjechał, i że on zaraz na wstępie opowiedział mi, jakiego ptaszka w klatce trzyma, bo nużby ci żołnierze zechcieli byli jeszcze rozstrzelać cię bez sądu i wyroku.

— Markizie! Markizie! Com ja tu wycierpiał!... Trzeci dzień jem tylko razowy chleb z kwaśnem mlekiem i spię na tapczanie, bez materaców!...

— Uspokój się i chodź.

— Idę... idę... I bądź tu dziś bohaterem!...

XI.

W przededniu katastrofy.

Włodzimierz Szczerbanowski, zaraz nazajutrz po wyprowadzeniu się z mieszkania hrabiostwa Albińskich, aby dotrzymać słowa, które dał ojcu, i oczyścić swoje sumienie, odesłał hrabinie przez pocztę pieniądze, do czego użył tylko koperty, nie dodawszy od siebie ani jednego słowa. Koperty sam nie zaadresował, lecz poprosił o to jednego ze znajomych. Wielkie musiało być zdziwienie hrabiny, gdy w tej formie znaczniejszą kwotę odebrała; z początku może się nawet nie domyślała od kogo pieniądze pochodziły, lecz że to była osoba umysłu bystrego, nawet przenikliwego, bardzo więc być może, iż w końcu wpadła na trop właściwy.

Włodzimierz, ten czyn spełniwszy, w rzeczy samej ulżył swemu sercu. Zdawało mu się, że teraz może śmieiej ludziom w oczy patrzeć, że połowę winy zmazał z siebie, i że łatwiej niż przedtem będzie mógł wstąpić na drogę poprawy. Dzięki tak szczęśliwemu rzeczy obrotowi, dobry humor, który opuścił go był zupełnie ostatnimi czasy, przynajmniej w części na-

powrót odzyskał. Był to przyjaciel bardzo mu teraz potrzebny, przyjąwszy bowiem w Banku posadę dosyć podrzędną, musiał znieść nie jedną przykrość od swoich przełożonych, których niecierpliwił brak u niego wprawy w rzeczach finansowych. Młody człowiek znosił więc dość łatwo muchy panów buchalterów i kasjerów, i z gorliwością zdwojoną starań dokładał, by jak najprędzej stanąwszy z innymi na równi, nie zasługiwał więcej na nagane.

Chociaż nie żałował życia, z którem zerwał, ani stanowiska, które stracił, mimo to w pierwszych dniach często myślał o hrabinie, i nieraz w duchu się pytał, czy też prędko zechce się z nim widzieć. Jednakże powoli i to się zmieniło. Po każdym dniu nowym, jej postać coraz bardziej w dal się usuwała, i wkrótce przeszłość niedawna wydała mu się snem tylko, z którego zbudziła go zimna rzeczywistość. Co więcej, ta przeszłość zaczynała w nim nawet wstręt budzić.

Raz zobaczył ją na ulicy, jak w powozie przejeżdżała. Ukłonił się, ona mu się jednak nie odkloniła. Może go nie widziała, jemu atoli zdawało się, że gdy rękę podniósł do kapelusza, umyślnie odwróciła się w drugą stronę. To go tak zabolalo, że przez cały dzień nie wziął nic do ust.

Innym razem było jeszcze gorzej. Gdy pewnego dnia przechodził koło kościoła OO. Jezuitów, na jego stopniach ujrzał hrabinę roz-

mawiającą bardzo swobodnie z Kaziem Grzmotowiczem. Chociaż było samo południe, i ludzi niemało w tem miejscu przechodziło, ona tak szczebiotała i tak się do niego uśmiechała, że Włodzimierz musiał uwierzyć, iż między nimi jest więcej, niż zwykła znajomość. To spostrzeżenie nie tyle go już zmartwiło, ile oburzyło.

— Jakaż to kobieta! — zawołał do domu wróciwszy. — I jam jej tak długo ufał, jam w nią wierzył! Na jej łyzy krokodyl, na jej przysięgi i zaklęcia, dałem się jeszcze ostatniego dnia złapać! O! Włodzimierzu! Włodzimierzu! jakież ty głupi!

Prozaiczny ten wykrzyknik był wiadrem zimnej wody, które sam sobie wylał na głowę. W tym dniu wytrzeźwił się do reszty, charakter uwielbianej niegdyś kobiety, odskonił się przed nim w całej nagości, i on czuł już, że gdyby teraz chciała się z nim widzieć, on sam pod żadnym warunkiem na to by nie przystał.

Od tego dnia bacznie unikał z nią spotkania, a jeżeli przypadkiem ujrzał ją gdzie nadchodzącą, bądź w miejscu nawracał, bądź skręcał w boczną ulicę.

Teraz wyrzucał sobie także, że tak niebacznie przyjął w banku posadę z jej poręki. On chciał nawet jej wspomnienie wyrwać z serca, a nie dopiero myśl, że jej jeszcze coś zawdzięczał. Ale rzecz ta, nie była znowu aż tak wielką, iżby jej przy lada sposobności nie mógł naprawić. Wszak potrzebował tylko znaleźć inne

zajęcie, poczem mógłby łatwo podziękować za teraźniejszą posadę. O tem myślał też coraz chętniej i do tego celu postanowił dążyć...

Gdy z ramienia Banku Powszechnego powstało wielkie Towarzystwo akcyjne, które miało w kraju fabryki zakładać, a do którego, jak wiemy, weszli hr. Czarnokoński, dr. Grzmotowicz i radca Szczerbanowski, pan Kampf przyszedł sam do Włodzimierza, z oznajmieniem, że jego stryj będzie jednym z dyrektorów, przyczem mu zaproponował prowadzenie ksiąg nowego Towarzystwa.

— Panie dyrektorze, jam się buchhalterji nie uczył — odrzekł nasz przyjaciel.

— To nic nie szkodzi... Przecie pisać pan umiesz, a tego tu głównie potrzeba. Co zaś pan będziesz miał pisać, to już do mnie należy.

W ten sposób został buchalterem, a chociaż z początku ani wiedział, jak się weźmie do nowego zajęcia, w każdym razie bardzo był z tego zadowolony, odtąd bowiem nie nazywał się już urzędnikiem Banku, lecz Towarzystwa, skutkiem czego hr. Albińskiej nie potrzebował być nadal wdzięcznym.

Pan radca Szczerbanowski, gdy bratanek przyszedł go przywitać, uśmiechnął się doń dyplomatycznie, i po ramieniu go poklepawszy, rzekł:

— Dziękuj Bogu, żeś się dostał między ludzi porządných i znakomitych, którzy z pewno-

ścią wywierają cię na człowieka, byleś zechciał im się powodować.

Włodzimierz zrobił spostrzeżenie, że stryj, gdy to mówił, miał minę tak samo uroczystą, jak ongi, gdy bratu przysięgał, że Rusinów nie zdradzi. To też mimowoli w duchu się zapytał, czy pan radca nie wyrzekł by się chętnie i tych znakomitości, z którymi obecnie był związany, gdyby o jego względy postarały się jeszcze większe znakomitości...

W miarę jak postać pięknej hrabiny usuwała się na plan ostatni, nie zostawiając po sobie nic więcej, krom przykrego wspomnienia, występowała coraz wyraźniej Marynia, bogata we wszystkie przymioty ciała i ducha. O! z jakąż rozkoszą teraz, gdy był sam jeden, gdy dokoła siebie widział próżnię bezdenną, a w sercu czuł tęsknotę za rajem utraconym, z jakąż rozkoszą przywodził na pamięć chwile ongi w Nowosiólkach spędzone, i te koncerty, które z Marynią wygrywał, i ową wycieczkę, kiedy to pierwszy raz zobaczył hrabinę, i jej poetyczną improwizację, i to uczucie błogie, którego doznał, gdy ją pierwszy raz w rękę gorąco pocałował! Zaczawszy odgrzebywać te wspomnienia, ostrożnie a cierpliwie, jak archeolog szukający wśród ziemi fundamentów przed wiekami zburzonego miasta, szedł i on coraz dalej, by się dowiedzieć, jak to piękne dziewczę mogło być wtedy dlań usposobione. Przypominał sobie jej spojrzenia, uśmiechy, słowa rozmaite, i wszyst-

ko, wszystko zdawało się za tem przemawiać, że jej nie był obojętny. Jego samego pociągała wtedy także ku niej jakaś siła tajemnicza, najprzyjemniej bowiem było mu, gdy się znajdował w jej towarzystwie i ciężkość miał na sercu, gdy z Nowosiółek wyjeżdżał... Kto wie, czy uczucie, które się w nim rodzić zaczęło, nie byłoby prędko wzrosło i bujnie zakwitło, gdyby fatalizm nie był go sprowadził z tą kobietą demoniczną, która nań oddziaływała jak narkotyk odurzający. Napiwszy się z mętnego źródła zmysłowej miłości, usnął snem ciężkim, a gdy narazie zbudził się szczęśliwie, serce młodzieńcze zaczęło rwać się ku tej fali jak kryształ czystej a orzeźwiającej, która przed wzrokiem ludzi pospolitych ukrywa w swojej głębi, miłość pocziwą, opartą więcej na szacunku niż na krwi popędach. Tęsknił więc do tej miłości, łaknął jej jak zgłodniały chleba, lecz czy mógł przypuścić, że miłość podniosła będzie kiedy jego udziałem? Wszak biedna niegdyś Marynia, została damą bogatą, która na takiego, jak on, prawdopodobnie nie chciała by nawet teraz spojrzeć, jej ojciec zaś, ten niegdyś łagodny i dobroduszny pan Oliński, zrobił się sędzią surowym, który dawnemu przyjacielowi swego syna nie chce błędów przebaczyć. Tak więc powinien na zawsze wyrzec się marzeń, i żyć dalej w osamotnieniu, jak pustelnik... Wiedział, że tak będzie, ale mimo to cierpiał niezmiennie, że tak być musi...

Ilekróć żalność serce mu zalewała, a zdarzało się to prawie zawsze wtedy, gdy sam jeden był w pokoju, natychmiast drzwi na klucz zamykał, brał skrzypce i całemi godzinami tęskne dumki wygrywał. W skrzypcach znalazł powiernika swojej duszy, łzy, które mu się w sercu zbierały, przelewał w łono tego wielkiego przyjaciela, aby ten potem żałośnemi skargami je wygłaszał. Po takim koncercie zawsze lżej mu się robiło, jak lżej robi się człowiekowi, ilekróć wśród boleści bezmiaru może poskarżyć się przed sercem współczującym i z niem razem w cichości popłakać.

Towarzystwo fabryczne, którego teraz był urzędnikiem, musiało rozwijać się bardzo pomysłnie, skoro w dziennikach czytywał sążniste artykuły, wychwalające tę instytucję, i skoro akeje jego szły ciągle w górę. Hr. Czarnokoński przychodził codzień do biura, i musiał gorliwie pracować, skoro słyszał go było na wszystkich piętrach. Widocznie interesował się bardzo sprawami Towarzystwa. Woźni, a tych było tam bez liku, jak tylko hrabia przyszedł, musieli być wszyscy na jego rozkazy, bo ich ciągle gdzieś rozsyłał. Jednego z listem, drugiego po cygara, trzeciego po bilet do teatru. Jako prezes tak wielkiej instytucji, musiał przecie z ludźmi ciągle stosunki utrzymywać, dla osób, które przychodziły, potrzebował także cygar, do teatru zaś chodził z obowiązku, by go wszędzie widziano. Pan Kampf nieraz mówił na

sesjach dyrekcyjnych, że hr. Czarnokoński jest dla ich Towarzystwa najlepszą reklamą.

Niedługo trzeba było czekać, aby reklama jeszcze większą się zrobiła. We Wiedniu zebrała się Rada państwa, a chociaż hrabia i Grzmotowicz krótko w niej zabawili, po kilkunastu dniach bowiem wzięli obadwa nieograniczone urlopy, i chociaż u niemieckich ministrów tym razem dla kraju nie nie wytargowali, mimo to przez czas pobytu we Wiedniu tak często na publicznych posiedzeniach głos zabierali, i tyle o nich wszystkie dzienniki pisały, że gdy do kraju wrócili, bardzo wielu uważało już upadek Prezydenta za niewątpliwy. Że w takim razie hr. Czarnokoński zająłby jego miejsce, o tem nikt nie wątpił.

P. Kampf, chcąc by akcje Towarzystwa osiągnęły coprędzej kurs możliwy najwyższy, postanowił, nie dopiero po skończonym roku, jak to się zwykło robić, lecz już po trzech miesiącach zwołać walne zgromadzenie akcjonariuszów, aby im pokazać, że już teraz zyski były ogromne.

Gdy hrabia zaczął powątpiewać o skuteczności tego kroku, p. Kampf uśmiechnawszy się, odrzekł:

— Niech pan hrabia będzie spokojny. Jeżeli po tem pierwszym zgromadzeniu akcje nie pójdą w górę przynajmniej o 10 guldenów na sztuce, to dam sobie głowę uciąć... A jak podskoczą, to my wtedy nasze akcje, to jest te,

któreśmy sobie zostawili przy założeniu Towarzystwa, rzucimy od razu i sprzedamy do jednej. Niech potem inni o nich myślą, żeby miały kurs wysoki — dodał pan dyrektor z miną złośliwą. — My dosyć zrobimy, jeżeli na tej operacji zyskamy po kilkanaście tysięcy...

Chociaż hr. Czarnokoński nie wiele znał się na sprawach finansowych, i lubo nie wiedział, czy operacja, przez dyrektora zaproponowana, przyniesie krajowi, dla którego pracował, korzyść istotną, mimo to przystał na zwołanie pierwszego walnego zgromadzenia, i na dokumencie, który je zwoływał, podpisał się zamasyście.

Na kilka tygodni przed walnem zgromadzeniem, Włodzimierz wrócił z wycieczki, którą jego koledzy urządzili za miasto, z lekkim bólem głowy do domu. Nie położył się jednak zaraz do łóżka, bo chciał się przewyciężyć. W nocy miał dreszcze i gorączkę, ale że rano lepiej mu się zrobiło, więc poszedł jeszcze do biura. Tu czekała go mała niespodzianka. Dyrektor Kampf, kazawszy go do siebie przywołać, rozłożył przed nim wielką księgę rachunkową, tę samą, do której Włodzimierz cyfry wpisywał, i pokazując mu palcem trzy pozycje, rzekł:

— Przeglądając dziś książkę, postrzegłem, żeś się pan w trzech miejscach omylił. Tu zamiast 4.000, powinno być 40.000; tu dalej zamiast 500, 5.000, a wreszcie tu na końcu zamiast 8.600, 86.000.

Mimo szumu w uszach i gwałtownego bólu głowy, nasz przyjaciel był jeszcze całkiem przytomny. Wysłuchawszy tedy p. Kampfa, odrzekł:

— Mogę upewnić pana dyrektora, że się nie omylił, pisałem bowiem tak, jak mi pan dyrektor dyktował. Zresztą ośmielę się także zwrócić i na to uwagę, że pan dyrektor codziennie pozycje sprawdzał.

— W takim razie omyliliśmy się obadwa. Teraz musimy to naprawić.

— A jak?

— Na to mamy bardzo łatwy sposób. Niech pan weźmie scyzoryczek i lekko podskrobie, potem napisze pan jak potrzeba.

— Tak ostrego scyzoryka ja nie mam...

— Nie masz pan? — dyrektor ze zdziwieniem zapytał. — Jeżeli tak, to panu dam mój — dodał, rękę do kieszeni wkładając — ten jest ostry jak brzytwa.

Włodzimierz zamiast zbliżyć się do dyrektora i wziąć scyzoryk, o krok się cofnął.

— Cóż, bierzesz pan?

— Nietylko nie wezmę i skrobać nie będę, ale nawet wyjdę ztąd zaraz i więcej nie wrócę.

— Coś pan powiedział?

— To, co pan dyrektor usłyszał. Chociaż buchalterji nigdy się nie uczył, wiem jednak, że podskrobywanie cyfr w księgach kasowych pachnie kryminałem.

To powiedziawszy wyszedł i drzwi za sobą

zatrzasnął. Gwałtowna irytacja zelektryzowała go na chwilę, ale gdy się na ulicy znalazł, był już tak osłabiony, że aby dostać się do domu, musiał wziąć dorożkę.

Tu, nim się do łóżka położył, usiadł jeszcze przy biurku i zaczął pisać. Do kogo? Do Maryni. Co? Sam nie wiedział... Jemu teraz, gdy gorączka nerwy mu szarpała, a w oczach coraz ciemniej się robiło, zdawało się, że może wkrótce umrze, więc chciał przed nią wypowiedzieć się i prosić, by na jego grobie pacierz kiedy zmówiła.

Pisał tedy prędko, bez ładu i składu, przyznawał się do winy i namiętnie wypowiadał swoją miłość dla niej, błagał o przebaczenie i uroczyście ją zapewniał, że po śmierci duch jego będzie nad nią krążył, żeby strzedz jej od wszelkiego nieszczęścia. Gdy skończył i list zaadresował, zostawił go na stole, sam zaś rzucił się na łóżko.

Drzwi się odchyliły i wszedł Kazio Grzmotowicz. Przystąpił do łóżka.

— Cóż to, choryś? — zapytał.

— Tak, trochę... coś mnie głowa boli.

— Słyszałem, żeś miał dziś jakieś zajście z dyrektorem Kampfem?

— Nie wielkie... bagatelka.

— Zdaje mi się, mój Włodzimierzu, żeś go źle zrozumiał.

— Pewnie... pewnie...

— Przecie wiesz, że on dba o Towarzy-

stwo fabryczne jak o własne oko. Nie wątpię żeś i ty tego samego zdania, i dlatego daj mi słowo, że o tem, co dziś między wami zaszło, przed nikim nie wspomnisz.

— Koniecznie chcesz tego?

— Koniecznie. Plotki, mój drogi, tak młodej, jak nasza instytucja, mogłyby zaszkodzić, zresztą rozważ, że między dyrektorami zasiada także twój stryj rodzony... Sądzę, iż tem chętniej dasz to słowo, że pan Kampf, oceniając należycie twoją pracę dotychczasową, przysyła ci przezemnie remunerację. Oto 200 guldenów.

Chory ręką się zasłonił.

— Schowaj pieniądze — szepnął — ja ich nie potrzebuję... Że nic nie powiem, daję ci na to moje słowo, za to zaś, że oszuści nie pójda do kryminału, zrób mi małą przysługę. Tam na stole leży list... Oddaj go pannie Marji... wszak bywasz u nich...

Kazimierz rzucił się do stołu.

— Nawet bardzo chętnie... jeszcze go jej dziś wręcę... Ale tobie, jak widzę gorzej. Zaraz ci tu przysię gospodarza i doktora.

Wyszedł, wstąpił na chwilkę do gospodarza, potem zbiegłszy na dół po schodach, zatrzymał się w sieni, rozerwał kopertę i zaczął list czytać. Podczas tego zajęcia, wyraz na jego twarzy ciągle się zmieniał. To się oburzał, to uśmiechał ironicznie, to z lekceważeniem pojedyncze zwroty głośno odczytywał. Nareszcie

skończył, list podarł w tysiączne kawałki, i wyrzucił je na ulicę, mówiąc:

— Błazen!

Jak nie miał nazwać błaznem chłopca ubogiego, skoro tenże ośmielił się list rozmarzony do tej napisać, na którą on, pan Kazimierz Grzmotowicz, już od tak dawna zwrócił był swoją uwagę; a chociaż nie mógł powiedzieć, by panna Olińska okazywała mu teraz więcej życzliwości, za to względów jej ojca był już całkiem pewien. Poczciwego szlachcica tak opanował, że dla niego Kazio stał się alfą i omegą ziemskiej doskonałości. Wprawdzie do formalnych oświadczeń jeszcze nie przyszło, lecz Kazie nie wątpił, że gdy to nastąpi, pan Oliński przyjmie go bez namysłu. Sprawa nierównie trudniejsza byłaby z samą panną, która dotąd na włos się nie zmieniła. Zawsze przyjmowała go chłodno, ilekroć zaś więcej mężczyzny było u nich w salonie, chętniej z każdym innym niż z nim rozmawiała. Kazio nie mógł także nie zauważyć, że w oczach panny Marji lepszym był nawet Leander Wolewicz, aniżeli on, pierwszy lew salonowy, za którym niejedna dama wielkiego świata tęsknie wysyłała spojrzenia.

Martwiło go to bardzo z dwojakiego powodu. Najpierw cierpiała na tem jego miłość własna, następnie zawodziły go obliczenia. Chociaż Kazio sprytnym był człowiekiem, i gdy chciał, umiał wszystko dobrze ukryć, mimo to znaleźli się ludzie, którzy na wskrós przejrzeni

jego życie. I nie byli to ani wielcy mężowie stanu, ani uczeni, ani nawet głośni finansisci. Tych wszystkich każdej chwili mógł on w pole wywieść, lecz przed czym nie potrafił się ukryć, to przed wzrokiem owych drobnych faktorów w długich hałatach i z pejsami, którzy mimo niepokąznego wyglądu, wszystko wiedzą i każdego znają jak zły szeląg. Ci już oddawna przestali wierzyć w wielkość Grzmotowicza, z nimi on bowiem od początku swojej kariery codzień tajnie konferował. Dawniej, gdy był dependentem dr. Sakowicza, potrzebował ich pomocy, bo miał za mało; teraz, odkąd został wielkim człowiekiem, nie mógł się bez nich obejść, bo nie miał jeszcze tyle, ile potrzebował. Zresztą z dawnych lat zostały wysokie zaległości, od których ledwie odsetki opłacał. Miał wprowadzić nadzieję, że gdy kancelarię adwokacką otworzy, dochody jego znacznie się powiększą, ale i to się jakoś nie ziściło. Mimo, iż przez lat tyle zarzucał sieci na ludzi bogatych, nie wszyscy z nich zostali jego klientami. Jednych odstraszył wygórowanymi żądaniami, drugich swoją fanfaronadą, trzecich nareszcie tem, że się zajmował polityką. Dawniej mandat poselski był reklamą dla adwokata, ogół bowiem mniemał, że obrońca prawny, będący także „mężem stanu“, ma większe wpływy niż inny. Teraz jednak ludzie inaczej to osądzają, wiedzą bowiem, że adwokat, robiący wielką politykę, zamiast więcej niż drugi, robi mniej niż wszyscy, gdyż nie ma czasu.

Widząc, że widoki, do kancelarii przywiązane, jakoś nie dopisują, zaczął z jednej strony starać się o synekury przez hr. Czarnokońskiego i jego zwolenników, równocześnie zaś za pośrednictwem ks. Cyprjana, układał się także z Prezydentem. Ale że jak wiemy, człowiek to był bardzo przezorny, więc nadskakiwał także hr. Albińskiej i pani Kampfowej, pierwsza bowiem miała znaczny majątek, druga zaś była żoną człowieka, który kredytu udzielał; nakoniec starał się także o pannę Marję Olińską. Ostatnia ta spekulacja była może najlepsza, gdyż nawet piąta część posagu panny Marji nietylko wystarczyłaby na zaspokojenie wszelkich jego długów, lecz posłużyłaby mu do zrobienia jeszcze większej kariery.

Opuściwszy mieszkanie Włodzimierza Szczerbanowskiego, nie wrócił do banku, aby pana Kampfa uspokoić, tylko udał się prosto do domu, gdzie spodziewał się zastać ks. Cyprjana. Kapelan zapowiedział się do niego na samą dwunastą, należało się spieszyć. A Kazio, bardziej niż kiedykolwiek pragnął go dziś zobaczyć, by się z nim stanowczo rozmówić.

Jak dotąd, wysłannik Prezydenta przychodził codzień prawie z nowymi propozycjami, wszelako do ostatecznego sformułowania warunków jakoś nie przystępował. Kazio zaś potrzebował jak najprędzej wiedzieć tak lub owo, właśnie bowiem tego dnia z rana, główny jego faktor nie tylko mu wypowiedział dalszy

kredyt, ale pod groźbą skargi zażądał także zwrotu dawnych pożyczek.

— Jeżeli z Prezydentem nie zrobię interesu — myślał do domu biegnąc — w takim razie w ciągu trzech dni muszę oświadczyć się temu staremu szlagonowi, a choćby się nawet panna zaraz nie zdecydowała, to już sam fakt, że mnie ojciec przyjął, zatkałby wszystkim gębę i wzmocniłby mój kredyt. Ale gdyby jedno i drugie zawiodło? — zapytał po chwili. — Toby była głupia historia!... Przy Czarnokoskim nigdy tyle nie zarobię, ile potrzebuję, bo on sam zanadto głodny; ciepła hrabina lubi westchnienia i schadzki romansowe, lecz co do pieniędzy, tych nie udało by się z niej wydobyć w większej ilości bo baba sama łakoma; dobrodusza zaś Kampfowa, chociaż po uszy we mnie zakochana, nie mogła by mi dopomóc, gdyż sama nic nie ma, a mąż dobrze ukrywa klucz od kasy wertheimowskiej.

Zamyślił się i krok zwolnił. Potem dalej mówił:

— Już to prawdę powiedziawszy, z wszystkich tych kobiet, z którymi dotąd romansowałem, jedna Kampfowa jest najszczerzej do mnie przywiązana. Gdzież bym był kiedy przepuścił, że żydówka może być zdolną do miłości bezinteresownej. A jednak tak jest... Dobra babina i smaczna, chociaż urodziła się gdzieś w karczmie i nie wiele słęczała nad naukami...

Ta jedna, gdybym zechciał, skoczyła by za mną bez namysłu nawet w ogień!

Urwał, bo stanął już pod swoim domem. Lekko, jak student, wbiegł po schodach, a gdy drzwi od swego pokoju otworzył, ujrzał przechadzającego się po nim ks. Cyprjana.

— Przepraszam cię, mój drogi — zawołał rękę mu podając — jeśliś na mnie długo czekał, ale tyle miałem interesów na głowie że nie mogłem przyjść prędzej.

— Przed chwilą dopiero wszedłem — ksiądz odpowiedział.

Usiedli naprzeciw siebie i cygara zapalili.

— Więc cóż, namysliłeś się? — kapelan pierwszy zapytał.

— Choćbym chciał, nie mogę, gdyż za mało ofiarujesz. Jeżeli przedewszystkiem nie dostanę wykupna gruntów pod nowe koleje, interes musi się rozbić. Przecie zważ, że przystępując do was, muszę natychmiast porzucić Towarzystwo fabryczne, które powoli może przynieść grube tysiące.

— Tak sądzisz? — ksiądz ciekawie zapytał.

— Niewątpliwie! Wkrótce już nastąpi pierwsze walne zgromadzenie akcjonariuszów, na którym dowie się świat cały, jak świetne nasze Towarzystwo robi interesa. Że to wpłynie na kurs akcyj, to sam przyznasz.

— Kiedy tak, więc trzymaj się swoich bogów. My więcej nie damy, bo nie możemy.

Na jakiś czas obadwa umilkli. Kapelan, jak zawsze, uśmiechał się słodziutko, Grzmotowicz zaś, wpatrując się weń przenikliwie, miał na ustach uśmiech ironiczny.

— Mój Cyprjanie — przemówił wreszcie — darujesz, jeżeli ci coś nieprzyjemnego powiem. Odkąd się ze mną układasz, postępujesz jak owe handełesy, którzy gdy starzyznę kupują, z początku dają najwięcej, potem coraz mniej, a w końcu radziby towar wziąć za darmo.

— Trudna rada, mój Kazimierzu. Widać, że inaczej nie można postępować, gdy się zużyta starzyznę kupuje.

Grzmotowicz do krwi przygryzł usta, lecz hamując się, odparł dość spokojnie:

— Nie tyle, mój drogi, towar jest zużyty, ile metoda kupca jest od wieków niezmienna. Wszak tyś Jezuita, więc choćbyś nawet chciał, nie umiałbyś inaczej postępować.

— Doprawdy? Ty zatem Jezuitów nie lubisz?

— Jakże was lubić, skoro dążycie do władzy drogami najrozmaitszemi, a prócz tego staracie się także namiętnie o majątek.

— Więc to tylko Jezuici walczą o władzę i majątek, a inni nie? Tacy na przykład jak ty, hr. Czarnokoński, Kampf i tyłu, tyłu innych, wy dalecy jesteście od tych rzeczy, bo nie interes osobisty, lecz dobro kraju macie na względzie... Czy tak Kazimierzu? O! jak ślepi są ludzie! My, mój drogi, istotnie tego pragniemy,

o co nas posadzasz, ja ci to nawet bez zająknięcia wprost w oczy mówię, ale my pożądamy tych rzeczy nie dla siebie, tylko dla naszego zakonu, który jest najsilniejszą podporą katolicyzmu, usiłującego zbawić świat cały. My zatem działamy dla idei, która, jako taka, zasługuje na szacunek, choćby nawet w istocie swojej kiedyś błędną się okazała, gdyż jest wynikiem naszego przekonania, naszej wiary. A jaką ideę wy niesiecie, w co wy wierzycie? Wasza idea — brzuch, wasza wiara — kieszeń!

Widać było po twarzy Grzmotowicza i po nerwowem drganiu prawej ręki, w której cygaro trzymał, że był bardzo zirytowany. Ale że albo nie wiedział, co na to odpowiedzieć, bądź też lękał się rozbierać dalej temat, który niefortunnie sam poruszył, przeto zawołał z udaną wesołością:

— Odkąd cię znam, mój kochany Cyprjanie, pierwszy dopiero raz wpadłeś w taki patos, i gdybym cię nie kochał, mógłbym się nawet obrazić. Ale ja wiem, żeś dobry jak anioł, więc też z serca ci przebaczam i wszystko w niepamięć puszczam. Powiedz mi teraz, co słyhać u Prezydenta, czy żadna córka za męża nie idzie?

Kapelan, mimo iż przed chwilą tak był wzburzony, jak sam nie pamiętał, podczas gdy Grzmotowicz mówił, znacznie się uspokoił, i teraz odpowiedział już jak zwykle:

— Żadna.

Wszakże krótka ta scena była cieniem, który stanawszy między nimi, zakłócił dawniejszą harmonię. Napróżno usiłował gospodarz nawiązać rozmowę przyjacielską; daremnie także starał się gość być jak dawniej uprzejmym i słodkim. Mimo obopólnych wysiłków, przedmiot dla którego się zeszli, nie przyszedł więcej pod obrady, i dawni przyjaciele rozłączyli się dosyć chłodno.

XII.

Zerwane nici.

— Pani! ja sobie życie odbiorę!

— Nie obawiam się tego.

— Nie?! Przekonasz się panno Marjo może dziś jeszcze, a jutro najpóźniej, czy Kazimierz Grzmotowicz napróżno grozi!

— Nie wiem dla czego, ale przecucie mnie uspakaja. Ono mnie nawet upewnia, że dziś, a jutro najpóźniej, pan mnie sobie całkiem wyperswadowiesz.

— Co pani mówisz! Co pani mówisz! — krzyknął oburącz za głowę się schwytając.

Wyglądał tragicznie. Był blady, włosy bezładnie na czoło mu spadały, wzrok był przerażony, na obydwu kolanach miał popielate znaki, w nich dowód najoczywistszy, że niedawno klęczał. Przed godziną oświadczył się ojcu i ten go przyjął, ale po ostateczną decyzję odeśłał go do córki. Przyszedł tedy we fraku i białym krawacie, padł na kolana, po raz setny wynurzył jej swoją miłość i błagał o rękę. Wyслуchała, lecz gdy skończył, spokojnie i stanow-

czo odpowiedziała: nie! To go tak przeraziło że z początku zaczął ją żebrać o litość, w końcu zagroził jej nawet swoją śmiercią. Gdy i to nie pomogło, podjął na nowo broń prośby, którą może zbyt prędko porzucił. Wszelako zawiodła go ona i tym razem. Marynia okazała się niezachwianą.

Usiadł i rozpaczliwie ręce załamał.

— Jeżeli pani nie chcesz mnie dziś przyjąć, to zrób przynajmniej nadzieję, że to nastąpi jutro, za tydzień, miesiąc, wreszcie choćby za rok nawet!

— Więc pan sądzisz, że uczucia i przekonania można zmieniać jak rękawiczki? O! panie, jam nie dama wielkoświatowa, i mimo bogactwa dotąd nie zapomniałam, że się urodziłam w biednym dworcu wiejskim, gdzie rodzice swoje dzieci uczą od kolebki stałości. Zresztą, czemu my napróżno o tem tak długo mówimy? Alboż z tego, coś pan dotąd usłyszał, nie możesz jeszcze wywnioskować, że postanowienie moje jest niezłomne?

— Ależ panno Marjo, ja mam nadzieję, że się pani namyśli...

Uśmiechnęła się nie tyle ironicznie co gorzko.

— Mylisz się pan, i abyś drugi raz w tej samej sprawie nie potrzebował do nas się trudzić, więc wyjawię panu to nawet, co dotąd było ukryte na dnie mojej duszy. Ja ręki nie

mogę nikomu przyrzec, gdyż moje serce nie jest już wolne.

— Żarty, panno Marjo, żarty! Umyślnie tak pani mówisz, bo chciałaś się mnie prędzej pozbyć. Przecie gdyby tak było, ja pierwszy o tem bym coś wiedział. Czyż bywa tu choćby jeden młody człowiek, którego bym nie znał i nie wiedział, jak pani jesteś dla niego usposobioną?

— Okazuje się zatem że pan nie wiesz — niecierpliwie odrzuciła.

— Skoro tak, więc powiedz mi pani, jak się nazywa ów wybrany, abym się przynajmniej jego szczęściem cieszył.

— Pozwolisz pan, że to zostanie moją tajemnicą i że go samego zostawię.

Wypowiedziawszy te słowa poważnie i stanowczo, podniosła śliczną główkę jak królowa i krokiem wolnym odeszła do drugiego pokoju. Tu upadła na fotel najbliższy, zasłoniła sobie twarz chusteczką i przez łzy jęknęła:

— Boże! Boże! jak mnie ten człowiek męczy! Zmusił mnie, że mu nawet to powiedziałam, z czem pragnęłam umrzeć! O! Boże! Boże! jak to źle być bogatą!...

Podczas gdy ona skarżyła się na swój los, Kazio Grzmotowicz zrozumiałwszy nareszcie, że choćby tu do nocy został, niczego by się nie doczekał, wyszedł krokiem chwiejnym. Na schodach kilka razy stawał, i poręczy się trzymając, myśli zbierał. Bądź co bądź poło-

żenie jego było okropne. Po walnem zgromadzeniu akcjonariuszów, które odbyło się przed kilku tygodniami, akcje Towarzystwa wprawdzie podskoczyły, dzięki czemu i on zarobił kilka tysięcy, lecz wszystkie te pieniądze prędko się rozeszły, nie jedną bowiem dziurę potrzebował załatać. Teraz był znowu bez grosza, a tymczasem pretensje piętrzyły się coraz wyżej, grożąc mu uduszeniem. Prócz zwykłych długów, musiał on mieć jednak jeszcze coś cięższego na sercu, skoro gdy tak stał i dumał, nagle zatrzęsł się i w tejże chwili pot zimny na czoło mu wystąpił... Odetchnął głęboko, i cwałem wybiegł na ulicę.

Gdy koło pałacu Prezydenta przechodził, ujrzał z daleka ks. Cyprjana. Chciał go zatrzymać by z dawnych żądań trochę spuścić, rozum bowiem mówił mu, że teraz powinien stanąć, kapelan jednak tak prędko wpadł w bramę pałacu, iż nie mógł go dopędzić. Z żalem tedy w sercu puścił się w głąb miasta.

Kapelan tymczasem dostał się szczęśliwie na górę i nikogo o pozwolenie nie pytał, wszedł do gabinetu samego Prezydenta. Ten stał na środku, wyprostowany, uśmiechnięty, i jak zwykle bił się ołówkiem po palcach.

— Victoria, księżo kapelanie! — rzekł wesoło. — Odtąd będziemy już spokojnie spali.

— Bardzo mnie to cieszy, Ekszelencjo, chociaż szczerze wyznaję, że nie wiem, o jakim zwycięstwie mowa.

— Właśnie dlatego że nie wiesz, kazałem cię tu księżo prosić, byś się dowiedział. Racz tylko usiąść.

Gdy obadwa usiedli, Prezydent tak dalej mówił.

— Przed godziną był u mnie dyrektor policji, i ten mnie upewnił, żeśmy w zupełności zamierzony cel osiągnęli.... Towarzystwo fabryczne poszło za przykładem tylu innych i dopuściło się oszustw rozmaitych. I tak, aby przed akcjonariuszami pochwalić się wielkimi zyskami, dyrekcja jego popełniła kilka prostych fałszerstw, nawet w księgach cyfry popodskrobywała. Był tam jakiś urzędnik młody, ponoś kuzyn jednego z dyrektorów, ten tego nie chciał uczynić i odszedł, znalazł się atoli drugi, który Kampfa usłuchał, ale i przed dyrektorem policji prawdy nie taił.... Na tem jednak nie koniec, księżo kapelanie! Aby akcje jak najwyżej wypędzić, zarząd Towarzystwa wykazał także olbrzymie zapasy w przedzalni. Samego lnu ma tam być przeszło za 100.000. Tymczasem w rzeczywistości rzecz się inaczej przedstawia, lnu bowiem będzie zaledwie za 10.000. I cóż księżo, dobrześmy zrobili, żeśmy 10 akcyj subskrybowali?

— Jabyśmy sądził, że najgorzej, bo jeżeli tak rzeczy stoją, to prędzej lub później prawda na wierzch wyjdzie, co gdy nastąpi, ich wartość zrówna się chyba z prostem zerem.

— Nie byłbym przypuścił, że z jegomości

taki człowiek niedomyślny. Wprawdzie wówczas, gdy mówię o potrzebie subskrybowania dzieł akcji, nie wypowiedziałem otwarcie mojej myśli, lecz zdaje mi się, że po tem, co księże kapłanie przed chwilą odemnie usłyszał, powinien być już być bliskim prawdy. I cóż, nie domyśliłeś się jeszcze?

— Nie, Ekszelencjo.

— W takim razie muszę dobrodziejowi wszystko *ad oculos* wyjaśnić — śmiejąc się Prezydent zawołał. — Niech więc i tak będzie. Budżet, przedłożony akcjonariuszom Towarzystwa, jest podpisany przez hr. Czarnokońskiego, jako prezesa Rady nadzorczej. On tedy za niego odpowiada. Jeżeli więc teraz znajdzie się akcjonariusz, który jako poszkodowany zgłosi się do sądu i od niego opieki zażąda, natenczas hrabia raz na zawsze skończy swoją karierę, bo łatwo być może, że się nawet w kozie przesiedzi. O Grzmotowiczu nie potrzebujemy także odtąd myśleć. Nie wart już ani grosza.

Ks. Cyprjan słuchał z najwyższem zdziwieniem. Dopiero teraz jasno to zrozumiał, co mu się ongi tak ciemnem wydawało.

Prezydent powstał, i zbliżywszy się do kasy ogniotrwałej, wyjął z niej zwój papierów, które przed księdzem położył.

— Oto akcje, księże kapłanie, któreś wtedy kupił za moje pieniądze. Dziś zechcesz niemi rozporządzać.

— Nie rozumiem WEkscellencji.

Prezydent zachnął się niecierpliwie.

— Nie rozumie ksiądz dobrodziej? Zaiste, to rzecz szczególna! Jako akcjonariusz możesz ksiądz przecie wnieść skargę do sądu, przytaczając fakta, któreś odemnie słyszał, a które sąd przy rewizji łatwo sprawdzi. Potem zobaczymy, co nastąpi.

— Jeżeli WEkscellencja pozwoli mi zrobić skromną uwagę, to bym sądził, że w delikatnej tej sprawie nie powinienbym pod żadnym warunkiem występować.

— A to czemu?

— Wszak cały świat wie, jakie stosunki łączą mnie z WEkscellencją, łatwo więc domyśliłby się ogół, że byłem tylko narzędziem, w tym celu użytym, by hr. Czarnokońskiego skompromitować.

— Może i racja — rzekł Prezydent czołomarszcząc. — Ale jeżeli takie jest twoje zdanie, księże, to powiedz mi, komu tę misję powierzymy?

— Jabyś sądził, że najłatwiej mógłby jej się podjąć Wikliński. Chociaż jest on redaktorem organu, protegowanego przez WEkscellencję, zawsze stoi tak daleko, że chyba tylko człowiek bardzo złośliwy mógłby się tu czegoś domyślać. Zresztą Wikliński będzie i dlatego dobrym, że hr. Czarnokoński gdzieś go raz obraził, więc z przyjemnością odpłaci mu teraz pięknem za nadobne.

— Dobrze, niech będzie i Wikliński... Nie zapominaj jednak księżu kapelanie, że wszystko, co z sobą mówimy, to spowiedź. Wiklińskiemu powiesz, że to są akcje twoje, o mnie zaś ani piśniesz. Wprawdzie, jak dotąd, ten człowiek niczem sobie jeszcze na to nie zasłużył, bym go podejrzewał, lecz nie moja wina, że choćbym chciał nawet, nie mogę całkiem tym ufać, którzy z jednego obozu przechodzą do drugiego. Żądaj także od niego, by działanie natychmiast rozpoczął, to jest dziś jeszcze. Jak tylko skargę wniesie, udasz się księżu kapelanie bezzwłocznie do prokuratora, i tego w moim imieniu, lecz poufnie, będziesz prosił, by gorliwie zajął się tą sprawą. Powiesz mu, że jeżeli wszystko tak pójdzie, jak sobie życzę, otrzyma order. To samo, mniej więcej, oświadczysz także prezydentowi sądu z tym dodatkiem, iż życzeniem mojem jest, by śledztwo porучzył człowiekowi naszego obozu. W sądzie nie brak także stronnictw politycznych, więc bez trudności znajdzie on antagonistę polityki, lub właściwibłagi hr. Czarnokońskiego. Oto księżu kapelanie ważne sprawy, które twojej pieczy poruczam — kończył Prezydent. — Mam nadzieję, że z delikatnej misji zgrabnie się wywiążesz, i nie zapomnisz, żem się dziś przed tobą spowiadał.

Kapelan skręcił akcje w trąbkę, pożegnał się i wyszedł. Gdy po schodach zstępował, szeptał:

— Porządni ludzie, porządni... W pięknych czasach żyjemy.

O tej samej godzinie, Markiz w domu przy oknie stojąc, patrzył na ulicę. Czekał na urzędnika banku, który miał mu przynieść weksel, przypadający właśnie w tym dniu do zapłaty. Chociaż przedsiębiorstwo Markiza nie wymagało wielkich wkładów, mimo to bez kredytu nie mógł się obejść, często bowiem nawet u ludzi bogatych zalegały mu kwoty znaczniejsze. Weksle swoje eskontował zawsze w Banku powszechnym, którego główny dyrektor, p. Mojżesz Kampf, miał tę zaletę, że chociaż brał większy procent niż inne banki, za to przy udzielaniu pożyczek nie robił wielkich trudności.

Nareszcie pojawił się urzędnik, za nim wózny z wielką torbą skórzaną. Urzędnik torbę kluczem otworzył, a wyjąwszy z niej duży pugilares, zaczął szukać weksla Markiza.

— Proszę — rzekł, gospodarzowi go podając.

Ten spojrział i z uśmiechem zwrócił weksel urzędnikowi.

— Dawne to już czasy, mój panie, jak takie wielkie długi robiłem. Ten weksel na 5.000 jest podpisany przez pana Grzmotowicza, żyrowany zaś przez pana Olińskiego, a ja mam zapłacić tylko 500 guldenów.

— Prawda, omyliłem się — urzędnik odpowiedział, i położywszy przez pospiech we-

ksel na stół, przy którym stał właśnie, zaczął znowu szukać w pugilaresie.

Tymczasem Markiz wyjął z kieszeni pięćset guldenów, i ledwie weksel swój zobaczył, zaraz pieniądze wręczył urzędnikowi. Podczas gdy ten uważnie banknoty przeliczał, Markiz ciekawie zaczął przypatrywać się weksłowi, który na stole leżał; potem skoczył do biurka i ztamtąd przyniósł list, w którym pan Oliński prosił go niedawno o kilkaset butelek wina. Szybko jak błyskawica przyłożył go do weksla, porównał oba podpisy, zaśmiał się tak szydersko, aż urzędnik wzrok zdziwiony na niego podniósł, i kładąc list na dawne miejsce, zawołał:

— *Ma foi* teraz nareszcie wiem, z czego ten człowiek żyje!

Gdy urzędnik wyszedł, Markiz zaczął się szybko po pokoju przechadzać.

— *Ma foi* dam głowę, że podpis fałszywy, chociaż dobrze go naśladował... moje jednak o-ko nigdy mnie nie zawodzi.. Czy pójść i powiedzieć, czy też dać pokój, niech idzie na cudze ręce? Świat gotów mi zarzucić, żem się wdał w rzecz nie swoją, że to należy do policji i sądów, nie do dżentelmenów. Lecz gdyby tak wszyscy postępowali, to oszuści i złodzieje rozbijaliby świat bezkarnie! Wszak tu się nie rozchodzi o nic honorowego, tylko o proste fałszerstwo! Zresztą ten człowiek stara się o pannę Olińską, ojciec mu ufa, kto wie, czyby jej w końcu nawet nie dostał, więc sama ludzkość

nakazuje pokrzyżować mu szyki, bo pocziwają tę dziewczynę pewnie by unieszczęśliwić. A więc pójdę, powiem i zdemaskuję tego łotra!

Wziął kapelusz, list, który mu pomógł odkryć fałszerstwo, schował do kieszeni, wybiegł na ulicę, i pierwszą dorożką, którą spotkał, udał się do pałacu pana Olińskiego. Nie zastał go jednak w domu, bo wraz z córką wyjechał na wieś, i dopiero za tydzień miał wrócić. To go zmartwiło. Jemu szło nie tyle o ukaranie Grzmotowicza, ile o ostrzeżenie ludzi, którym dobrze życzył. Zawahał się, chciał się nawet do domu wrócić, lecz gdy pomyślał, że każda godzina stracona może nową klęskę spowodować, wiedział bowiem, że Grzmotowicz, jako prawny doradca pana Olińskiego, mógłby zabrnąć jeszcze dalej, postanowił udać się prosto do banku.

Gdy przed panem Kampfem stanął, nie bawiąc się w długie wywody, krótko wypowiedział z czem przyjeżdża. W pierwszej chwili bankier zbłądł jak ściana, wszakże zapanowałszy prędko nad sobą, uśmiechnął się i tak odrzekł:

— Szkoda że pan Markiz trudził się daremnie. Przecie to historia u nas znana.

— Rzeczywiście?

— Tak jest. Pan Grzmotowicz, ma od pana Olińskiego pełnomocnictwo do podpisywania go tak dobrze na wekslach jak i na innych dokumentach.

— *Ma foi*, tego bym się był nie spodziewał.

— Widzi pan, że w tem nie ma nic tak strasznego. Ale w każdym razie dziękuję panu, żeś się do mnie trudził. Zawsze złożyłeś pan tem dowód życzliwości dla mojej osoby.

Markiz spłonił się, jakby uczuł policzek na swojej twarzy. Pierwszy raz nie wiedział co odpowiedzieć, skreślił się na miejscu i wyszedł jak zmyty.

Zaledwie drzwi za nim się zamknęły, dyrektor odsapnął raz i drugi, potem zaczął dzwonić na woźnego. Gdy ten wszedł, kazał mu natychmiast przywołać swego urzędnika, który codzień chodził do dłużników po pieniądze. Zaledwie ten się zjawił, krzyknął porywczo:

— Pan Grzmotowicz weksel zapłacił?

— Nie zastałem go w domu.

— A ile jest razem jego weksli?

— Dziewięć, na kwotę 47.500 guldenów.

— Poszlij pan po niego choćby trzech woźnych, niech go zaraz sprowadzą, bo chcę się z nim widzieć koniecznie.

Urzędnik pobiegł rozkaz spełnić, dyrektor zaś, bojąc się, by go apopleksja nie zabiła, rozpiąwszy surdut na brzuchu, zaczął chodzić, i sapać, przyczem często wodę popijał.

Minęła dobra godzina, nim się Grzmotowicz zjawił. Był trochę zakłopotany, jakby coś złego przeczuwał. Dyrektor rzucił się ku niemu i oburącz chwycił go za kłapy surduta.

— Panie Kaziu! — zawołał głosem ochrypłym — czemuś pan dzisiejszego weksłu nie wykupił?

— Bo mnie w domu nie było.

— To niech pan teraz zapłaci, proszę dać pieniądze!

— A jeźlim nie wziął z sobą? Przecie mam trzy dni czasu, i przedtem nie możecie nawet weksłu protestować.

— To pan już mówi o proteście? Ho, ho, jak widzę to pan wcale nie myśli płacić. A czy pan Kazio wie, że w banku mamy jego weksli na 47.500 guldenów, i że wszystkie żyrował pan Oliński?

— Jakże bym nie miał wiedzieć, skoro je sam przynosiłem.

— To dobrze, że pan wie... Ale czy pan Kazio wie także co ludzie mówią?

— Radbym usłyszeć.

— Że podpis pana Olińskiego wszędzie fałszywy.

Grzmotowicz drgnął i pobladł, ale tak samo jak dyrektor przed godziną, uspokoił się natychmiast, poczem zapytał:

— Ciekawym, kto tę plotkę puścił.

— Niedawno był tu Markiz, i ten mi to powiedział.

— Cha! cha! cha! — parsknął Grzmotowicz śmiechem szyderskim, chociaż wymuszonym. — Więc ten panicz bawi się w denuncjanta, i zapewne płatnego!... No, teraz

przynajmniej wiem, z czego ten człowiek żyje. Pan dyrektor może być jednak całkiem spokojny — dodał poważnie. — Kazimierz Grzmotowicz jeszcze nie zapomniał, jak powinien postępować, gdyż na niego cały kraj patrzy, co winien odda, a oszczerców przed sąd wezwie!

— Pan Kazio bardzo pięknie mówi, że pieniądze chce oddać, ale sądom niech pan da pokój... Człowiek porządny nie powinien się z niemi wdawać, bo na tem zawsze źle się wychodzi... Zresztą Markiz powiedział mi to pod sekretem, w zaufaniu. A kiedy pan Kazio zapłaci te 47.500?

— Jak będę miał pieniądze... Zdaje mi się, że podpis pana Olińskiego coś znaczy.

— I nawet bardzo wiele... Ja też chętnie na to przystaję, żeby pan częściowo płacił, ale ponieważ takem się dziś przestraszył, że o mało mnie „szlag“ nie trafił, więc pan Kazio pozwoli, że ja poszlę wszystkie jego weksle do pana Olińskiego, żeby on swój podpis uznał.

— Nie mam nic przeciw temu, tylko to szkoda, że pan Oliński wyjechał, i dopiero za tydzień wróci. Jeżeli chcesz dyrektorze przekonać się, czy to prawda, poszlij kogo do jego pałacu.

— Ależ ja panu Kaziowi wierzę na słowo! Poczekamy więc do przyjazdu pana Olińskiego, a gdy to nastąpi, ja sam pójde do niego, i tak w sekrecie wszystko załatwię, że nawet Markiz nic nie będzie wiedział. Ale pan Kazio

przecie na mnie się nie gniewa? Gdyby tak szło o dwa lub trzy tysiące, słowo honoru ani bym o tem wspomniał, przecie pensja, którą panu płacimy, także tyle wynosi, ale bój się pan Boga, wszak tu idzie prawie o pięćdziesiąt tysięcy!

— Zrobisz pan co chcesz — odpowiedział Grzmotowicz — a wtedy przekonasz się, z jakim człowiekiem miałeś do czynienia.

Głos Kazia tak był stanowczy, postawa jego tak imponująca, a spojrzenie tak spokojne i siebie pewne, że p. Kampf patrząc nań teraz, nie mógł ani chwili dłużej powątpiewać o jego prawości. Ale chociaż w nią znowu wierzył, zamiaru odwiedzenia pana Olińskiego bynajmniej nie porzucił, zrzeczny bowiem finansista nie może nigdy samym słowom zaufać...

Resztę dnia tego Kazimierz spędził za domem.

Przyszedł dopiero nad ranem i do tego pod dobrą datą. Odkąd kancelarję otworzył, zawsze jak zegarek punktualnie przychodził do swego biura o 9 rano. Dopiero dziś pierwszy raz się zdarzyło, że jeszcze o 11 nie pokazał się swoim dependentom. Ci ze zdziwieniem na siebie spoglądali, rozmaite nad tem robiąc uwagi, gdy nagle drzwi otworzyły się z łoskotem, i w nich ukazała się wyniosła postać hr. Czarnokońskiego.

— Jest mecenas? — zapytał.

— Jest, ale w swoim pokoju.

Hrabia zwrócił się natychmiast ku drzwiom, które prowadziły do prywatnego mieszkania Grzmotowicza.

— Coś hrabia bardzo dziś zirytowany — jeden dependent szepnął.

— Pewnie nie ma pieniędzy — drugi dodał.

— A może w polityce co się popsuło — trzeci zauważył.

Hrabia był w rzeczy samej zirytowany. Stanąwszy nad łóżkiem Grzmotowicza, chwycił go za rękę i krzyknął:

— Panie Kazimierzu, wstawaj!

Spiący zerwał się, siadł na łóżku i oczy przecierając zapytał:

— Co znowu u licha?

— Nieszczęście, wielkie nieszczęście!

— Nieszczęście? Cóż takiego?

— Przed godziną wpadła do nas komisja sądowa. Najpierw zabrała nam książki, potem udała się do przedzalni. Mówią, że bilans, któryśmy walnemu zgromadzeniu przedłożyli, jest fałszywy, prócz tego w naszych książkach mają być pojedyncze pozycje popodskrobywane!

— Doprawdy? — Grzmotowicz zapytał i zaraz dodał spokojnie: — To głupia historia!

— O! i bardzo, panie Kazimierzu!... Słyszałem już, że ja, jako prezes, będę za wszystko odpowiadał, bo jakiś łotr, akcjonariusz, wniósł na mnie skargę do sądu. Szczęście, że jestem posłem i delegatem, a więc osobą nietykalną.

— Niekoniecznie, panie hrabio. Sąd może

zażądać tak od Sejmu, jak od Rady państwa, wydania pana.

— I pan sądzisz, że one by wydały?

— Bardzo to nawet prawdopodobne.

— Panie Kazimierzu! i ty mówisz o tem tak spokojnie, jak o śniegu zeszłorocznym?

— Tak spokojnie chyba nie, tylko całkiem obojętnie, i zdaje mi się, że pan hrabia powinien się być także oddawna na wszystko przygotować. Wszak kto mierzwę wozi, ten prędzej lub później pewnie się nią powala.

— Ależ jam niewinny, jam do żadnych łotrów ręki nie przykładam!

— Ja tam panie hrabio nic nie wiem, bo mnie cudze interesa nie obchodzą. Dziś takie czasy, że tylko ten jeszcze żyć może, kto o sobie myśli. Pewnie, że to rzecz niemiła, jutro wszystkie dzienniki roztrąbią ją po świecie, i tym razem żaden z nich pana hrabiego nie pożałuje, bo takim już jest ten świat, że im bardziej przed kim wczoraj się korzył, tem gwałtowniej jutro na niego uderzy, jeśli tylko zobaczy, że mu się dziś noga powinęła. Pan hrabia musi tedy zrobić kreskę na dalszą karierę, i wszystkie siły w tym celu wyteńczyć, żeby się pod klucz nie dostać, bo z całej historii zakończenie byłoby najgłupsze, ale ja, jak powiedziałem, nic tu nie poradzę, bo mnie samemu nie lepiej. Każdy ma swego mularza co go gryzie... Teraz zaś przepraszam pana hrabiego, że mu

dłużej służyć nie mogę, ale muszę się jeszcze przespać, bo mam szalony ból głowy.

To powiedziawszy, obrócił się do ściany i kołdrą się nakrył.

Hrabia osłupiał.

XIII.

Łowy! Łowy!

Włodzimierz Szczerbanowski podniósłszy się z ciężkiej choroby, która dwa tygodnie w łóżku go trzymała, postanowił natychmiast z miasta wyjechać. Wszak prócz wstydu i bólu nic lepszego tu nie zaznał. Gdyby choć Marynia była mu słów kilka odpisała! Ale i to nie nastąpiło... Jak go bolał ten nowy zawód! Wprawdzie nie żądał od niej wyznania, że go kocha, bo przecie człowieka wzgardzonego i po-deptanego, za jakiego miał się we własnem przekonaniu, osoba tak czysta i szlachetna kochać by nie mogła, lecz czemu nie napisała choć kilka słów obojętnych, by mu tem dać dowód, że nie całkiem nim pogardza, że lituje się nad nim? Czyż zapomniała chwile w Nowosiólkach spędzone? Czemuż wtedy jej spojrzenia pozwały mu się tyle domyslać — a czemu teraz jej milczenie nakazywało wszystko zapomnieć? A jednak, im smutniej było mu w duszy, im większy ucisk serce mu przytłoczył, tem chętniej w przeszłość wracał, jakby w niej tylko mógł znaleźć osłodę terażniejszości i zaczerpnąć sił

do walki na przyszłość. Lecz gdy wszystko zawiodło, i on wśród tłoku ludzi został sam, jak palec, trzeba było pożegnać to miasto, w którym nie nie zostawiał.

Z początku chciał pojechać do ojca, wszelako gdy pomyślał, że staruszek zmartwi się bardzo usłyszawszy, że syn stracił posadę w Banku, do której wielkie nadzieje przywiązywał, postanowił udać się do stryja Dymitra, którego energiczna natura, mogła go najłatwiej wzmocnić, i dodać mu odwagi do życia dalszego.

Powziąwszy to postanowienie, spakował swoje rzeczy, obliczył się z gospodynią domu, najął jednokonną wózek żydowski i drogami najkrótszemi do stryja pojechał.

Ks. Dymitr stał właśnie na ganku, gdy wózek w bramę wjeżdżał. Ani się zdziwił, ani z nadto ucieszył. Uśmiechał się tylko gdy bratanek wysiadał, jak by chciał powiedzieć: Spodziewałem się tego! potem wziął go za rękę i do domu wprowadził.

— I cóż, spełniła się moja przepowiednia? — zapytał. — Kochali biednego Rusina, hołubili, ale gdy ich przestał bawić, odrzucili go jak rzecz zbędną! Czy tak Włodzimierz?

— Nie mówmy o tem, stryju — odrzekł po polsku.

— Przedewszystkiem pamiętaj chłopczel! — groźnie krzyknął — że kto raz mój próg przestąpi, ten musi tu mówić po rusku, bo tu Ruś,

Ruś prawdziwa, a ty jeżeliś się tak zlaszył, że nawet o tem nie pamiętasz, czegoś dawniej przestrzegał, to wynos się tam z kądes przyjechał, bo ja tu perykińczyków nie potrzebuję!..

Wypowiedział to tak stanowczo, że Włodzimierz ani chwili nie wątpił, iż stryj mówi jak myśli. Poprawiwszy się tedy, odrzekł tym razem już po rusku:

— Niech się kochany stryj na mnie nie gniewa, ale od tak dawna nie miałem ruskiego języka w używaniu.

— Nie miałeś, a czemu? Czyż od dziecka nie uczyłem cię Włodzimierzu kochać swoją mowę? Gdyby wszyscy Rusini o tem pamiętali, Lachy musieliby się uczyć po rusku, bo przecie nas tu dwa razy tyle co ich... Ale cóż kiedy my się sami zarzynamy! Powiedz mi teraz Włodku, czy ten perekińczyk, Mychajło, żyje jeszcze?

— Jaki Mychajło?

— Ta ten, co to był dawniej moim bratem, ta twoim stryjem.

— Żyje.

— Więc piorun w niego nie strzelił?

— Nie tylko nie podobnego dotąd nie nastąpiło, lecz nawet powodzi mu się nierównie lepiej niż dawniej. W banku, w którym i ja byłem, jest teraz dyrektorem i ma piękną pen-

sję. Powiadają także, że jeżeli hr. Czarno-koński jeszcze wyżej pójdzie, to stryj Michał zostanie hofratem.

— Nie nazywaj go stryjem bo on nie wart tego. Przy pierwszej sposobności, jak będę w mieście, umyślnie go odszukam, by mu w oczy plunąć. Przyszedłem mu to i dotrzymam. Niech się kłania Lachom, niech robi majątek, ale zobaczmy jak to się skończy. Kto naród za judaszowe srebrniki sprzedaje, ten prędzej lub później musi zmarnieć!

Urwał i wody się napił, by się ochłodzić i uspokoić. Potem do bratanka zwracając się, rzekł:

— Widzę żeś błydy, musisz być zmęczony... Rozgość się, wypocznij, przecie jesteś jak u siebie... ja zaś do kuchni zagładnę i każę ci co zgotować, boś pewnie głodny. O naszych interesach będziemy jeszcze mieli czas mówić.

Pocałował go w czoło i do kuchni wyszedł.

Pierwsze trzy dni zbiegły Włodzimierzowi w domu stryja spokojnie, bez silniejszych wrażeń. Dopiero gdy ks. Dymitr osądził, że bratanek należy już wypocząć, przyszedł rano do niego, siadł na łóżku i w te słowa przemówił:

— Nie będę cię chłopcze, pytał o tę Laszkę, bo to by ci może przykrość sprawiło, zresztą jam stary, więc wiem, jak takie historie zwykły się kończyć... Ale o czem chciałbym z tobą pomówić, to o twojej przyszłości. Czy księdzem nie chcesz być pod żadnym warunkiem?

— Nie mogę nim zostać, gdyż do stanu duchownego nie mam powołania.

— Skoro tak, więc dziej się twoja wola! Wróciwszy z miasta, myślałem o tem nieraz, bo że prędzej lub później zgłosisz się do mnie, tego byłem pewny, a teraz wiedz, że mam plan nowy, który ci niezawodnie do smaku przypadnie.

— Cóż takiego?

— Jeżeli mnie Włódku usłuchasz, zostaniesz właścicielem dóbr, *budesz Grossgrundbesitzer*.

— Stryjaszek zaczyna mnie intrygować.

— Nie, mój kochany, to nie intryga, jam przecie nie Lach, żebym intrygował, ja mówię świętą prawdę. Posłuchaj tylko. Niedaleko twojego ojca jest górską wioska, teraz żyd w niej siedzi, którą wierzyciele wystawili na licytację. Za miesiąc pierwszy termin; oglądałem ją niedawno z twoim ojcem, i osądziliśmy obadwa, że między braćmi warta 30 000. Tymczasem, o ile wiem, na licytacji będzie ją można kupić najwyżej za 15.000. Ja mam 8.000 gotówką, które każdej chwili oddam ci, Włódku, jeżeli

mi się będziesz powodował, a ks. Mudryckij powinien by dać za córką najmniej 5.000, bo pop siedzi na pieniądzach. W ten sposób miałbyś wieś prawie bez długów, i byłbyś *Grossgrundbesitzer*; za rok lub dwa wybraliby cię niewątpliwie marszałkiem, bo tam w koło same dobra rządowe, w końcu dostał byś się także do Sejmu i do Rady państwa i tak nasza Ruś biedna, zyskałaby choć jednego dzielnego obrońcę, który już dlatego samego umiałby skutecznie walczyć z Lachami, że ich z bliska poznał i przypatrzył się ich sztuczkom. Cóż, Włodku, zgoda?

— Niezmiernie jestem kochanemu stryjowi wdzięczny, że tak wspomniałomyślnie chce się mną zaopiekować — odpowiedział bratanek w rękę go całując — i projektowi całemu nie stało by nic na przeszkodzie, gdyby nie warunek co do ożenienia...

— Ależ Włodku, ja ci powiadam, że córka ks. Mudryckiego to *donka* duże fajna, przytem edukowana, śpiewa, gra na fortepianie... A zresztą, czy chcesz zostać starym kawalerem, aby żyć jak pies? Nie myśl, że z hrabinami będą ci się zawsze romansiki udawały, bo Laszki są wybredne. Widzisz, młodyś jeszcze, zdrów i prosty jak świeca, a jednak dała ci „abszyd“ — cóżby dopiero było później, jakbyś się postarzał! Dlatego weź Boga na pomoc, usłuchaj stryja, i zostań porządnym człowiekiem!

Po tej rozmowie zostawił bratankowi kilka dni do namysłu, poczem znowu wrócił do ulu-

bionego tematu. Tym razem zrobił spostrzeżenie, że Włodzimierz już nie bardzo się zżył. Przeczekał znowu kilka dni, a gdy trzeci raz szturm przypuścił, bratanek kapitulował. Wprawdzie nie dał on jeszcze stanowczego przyrzeczenia, że poślubi pannę Mudrycką, ale już to samo, że się zgodził do niej pojechać, dodawało ks. Dymitrowi otuchy i nadziei.

— Pojadę, aby się rozerwać — myślał bratanek.

— Jak pojedzie, z pewnością zrobimy interes — myślał stryjasek.

Nazajutrz przywdzieli obadwa suknie świąteczne, i bryczką porządną, acz trzęsącą, na której koźle siedział Hawryło, stangret domorosły, mający na sobie porządną opończę i różę u kapelusza, udali się z wizytą do ojca pięknej Malci.

Ks. Mudryckij przyjął ich otwartemi ramionami, obydwu posadził na kanapie, chociaż był skąpy nie żałował ani jadła ani napitku, w końcu postawił nawet flaszkę wina starego, których kilka przechowywał w piwnicy od czasów, jak cerkiew metropolita poświęcał, i wyjął z komody doskonałe cygara, które tam leżały od ostatniej bytności biskupa-sufragana w tych stronach.

Aż do kolacji panna pokazywała się tylko jak meteor i zaraz gasła, nie mając bowiem ani matki, ani siostry, musiała sama gotować. Dopiero gdy goście spożyli dary boże, ubrała

się w suknię jedwabną, na nóżki włożyła buciki z lakierowanej skórki, i tak wystrojona przysła gości bawić. Ks. Dymitr ujrawszy ją, mrugnął prawem okiem do Włodzimierza, lewem do ks. Mudryckiego poczem tego drugiego wzięwszy pod ramię, wyszedł z nim do izby przyległej. Tak więc młodzi sami zostali.

Z początku długo oboje milczeli; prawdopodobnie nie wiedzieli od czego zacząć. Przez ten czas ona, mając oczy spuszczone, bawiła się koronką u swej sukni; on zaś ukosem patrząc, analizował jej piękność. — Byłaby niezmiernie zajmująca, nawet prześliczna, gdyby miała czoło jaśniejsze, nos zgrabniejszy, usta bardziej proporcjonalne, owal twarzy wdzięczniejszy, cerę nie tak grubą i nie takie małe oczy. Jej ubiór byłby także niezrównany, gdyby suknia była skromniejsza i lepiej zrobiona, i gdyby lakierowana skórka przy bucikach, których końce wyzierały ciekawie z pod rąbka jedwabnej sukienki, nie była obtarta. — Tak myślał Włodzimierz, lecz na jego szczęście stryj tych myśli nie odgadywał, inaczej niewątpliwie by powiedział, że go Laszki zepsuły.

Powoli jednak nawiązała się rozmowa, panna Malcia bowiem zaczęła szczęśliwie konwersację od pogody, chociaż na dworze było teraz spokojnie i ciemno, że oczy wykol, Włodzimierz zaś zrozumiałwszy, że dłuższe milczenie mogło by słusznie zaniepokoić obydwu ojców duchownych, zebrał odwagę i jął barwnie

coś opowiadać. Niedługo potem, ona siadła do fortepjanu i zanuciła dumkę ukraińską, on zaś przyniósłszy skrzypce, które wziął z sobą na żądanie stryja, zagrał na początek skoczne go kozaka. Odtąd zabawa szła ochoczo.

Ks. Dymitr kilka razy we drzwiach stawał, do bratanka mrugał prawem okiem, raz nawet na bok go odprowadził, i do ucha mu szepnął:

— *A szczo?*

Włodzimierz uśmiechnął się i ramionami wzruszył, lecz nie odpowiedział.

Ks. Dymitrz wzięwszy to za dobrą wróżbę, wrócił do ks. Mudryckiego, który przy stole siedział jak przybity. Warunki stawiane przez opiekuna konkurenta tak były wygórowane, że biedny ojciec Malci, pytał się w duchu, czy powinien wprost odmówić, czy też dalej się układać

Niedaleko już było do północy, gdy się porozchodzili. Gościom pościelono w pokoju bawialnym, stryjowi na kanapie, bratankowi na ziemi, gospodarz spał obok, Melcia poszła gdzieś na drugą stronę. Ponieważ dla bliskiego sąsiedztwa z ojcem panny, nie można było głośno rozmawiać, przeto ks. Dymitr, szepnąwszy tylko do siebie: — *Twerdyj Rusyn!* — nakrył się kołdrą i zaraz zaczął chrapać. Włodzimierz wywnioskował z tych słów lakonicznych, że układać nie szły gładko.

Nazajutrz, ledwie dzień się zrobił, obadwa księża poszli do cerkwi, po śniadaniu zaczęli

znowu konferować. Z początku było w ich pokoju dosyć cicho, wkrótce jednak dał się słyszeć tubalny głos ks. Dymitra, poczem on sam zjawił się w pokoju bawialnym z okrzykiem:

— Zaprzęgać! Zaprzęgać!

Uradowany Włodzimierz wybiegł na podwórze, by Hawryła niezwłocznie o tem uwiadomić. Gdy wrócił, zastał obok ks. Dymitra, już do drogi przygotowanego, nietylko gospodarza, lecz także jego córkę. Oboje starali się gościa nakłonić, by koniecznie na obiad został. Prośby atoli nie skutkowały. Postanowienie jego tak było niezłomne, że chyba nieznający charakteru ks. Dymitra mógł był marzyć iż go do ustępstw skłoni.

Gdy Hawryło zajechał, i panowie na ganek wyszli, ks. Mudryckij, zwróciwszy się do gości, rzekł głową potrząsając:

— Skoroście na mój dom tak nie łaskawi, to pozwólcie, bym tak zacnych gości choć do promu odprowadził.

Rzeka, przez którą prom przewoził, płynęła o kilka tysięcy kroków za wioską.

— Prosimy, prosimy! — odpowiedział sucho ks. Dymitr.

Księża siedli obok siebie, Włodzimierz na koziołku, przy Hawryle, ukłonili się pannie Melci na ganku stojącej, i konie ruszyły.

Z początku jechali w milczeniu; potem ks. Mudryckij chciał koniecznie dyskurs nawiązać,

lecz jakoś nie szło, na każde bowiem jego zapytanie, ks. Dymitr dawał stereotypową odpowiedź:

— Hm... tak...

Stanęli nareszcie przy rzece, ks. Mudryckij pożegnał się i został na brzegu, Włodzimierz zajął jego miejsce obok stryja, Hawryło konie zaciął, i bryczka na prom wjechała. Zaledwie jednak prom odbił od brzegu, dał się za nimi słyszeć głos, który wołał:

— *Czekajcie! Dam jeszcze paru bykiw!*

Stryj trącił łokciem bratanka.

— Kapitułuje — szepnął — a dziś rano przysięgał, że nie da więcej. — [Potem obróciwszy się twarzą do wołającego, krzyknął: — Mało!

— *Ale czekajcie! Budem jeszcze howoryty!* — wołał dalej ks. Mudryckij.

— Skoro tak, to jest nadzieja że dociągnę do pięciu tysięcy, a co będzie brakowało, wygram od niego w „ferbla“ — szepnął znowu ks. Dymitr. Potem, gdy za sobą nowy głos usłyszał, zawołał do przewoźników: — *Wer-tajcie!*

Prom nawrócił, księża znowu razem siedli, i po kwadransie, ku wielkiemu zdziwieniu, a może ku większej jeszcze radości panny Melci, która dotąd na ganku stała, Hawryło zajechał przed parochię.

Dzień ten zszedł na rozmowie kawalera z panną, i na układach jego opiekuna z jej ojcem. Włodzimierz bliżej ją poznawszy, zrobił spo-

strzeżenie, że jest to osoba wcale do rzeczy, i gdyby miała trochę więcej oglądy towarzyskiej, mogłaby się nawet podobać. Lecz cóż, kiedy wszystkie jej ruchy były szorstkie i kańczaste, odpowiedzi zaś tak opryskliwe, nawet niegrzeczne, że Włodzimierz często zdumiony wzrok na nią podnosił. I wtedy w jej pocziwych oczach czytał wyraźnie, że ona li dlatego tak odpowiadała, iż chciała być dowcipną.... O! jak daleko odbiegła od tych wszystkich, których tyle, niestety! poznał na wielkim świecie!

Po obiedzie, który był bardzo suty, zaczął się bowiem od rosołu z kury, a skończył się ryżem, mającym w środku studzienkę z dobrze ocukrzonej śmietany, młodzi zaczęli grać i śpiewać, starzy zaś cofnąwszy się do drugiego pokoju zasiedli do „ferbla“. Przez dwie godziny w pokoju bawialnym słychać było bądź sopran panny Melci, zmieszany z brzękiem rozstrojonego fortepianu, bądź żałośnie tony skrzypców Włodzimierza, z pokoju zaś przyległego dolaływały ciągle urywane krzyki:

— *Besser! Blind! Gesehen! Zupass!*

Nareszcie zjawił się ks. Dymitr, zmęczony, spocony. Stał we drzwiach, głęboko odetchnął, chustką kraciastą czoło sobie obtarł, potem na Włodzimierza mrugnąwszy, do sieni go wyprowadził. Tu rzekł półgłosem:

— *Twerdyj Rusyn!* Ja chcę koniecznie pięć tysięcy, a on daje tylko trzy. Myślałem, że coś w „ferbla“ wygram, lecz się nie udało. Ledwie

mu wydarł 3 guldeny i 50 centów.... *Twerdyj Rusyn!* i dobrze gra.... Ale mniejsza z tem, chociaż on Mudrykij, jeszcze ja go pochodzę, boś pannie wpadł w oko. Tylko ty dobrze się trzymaj, a wszystko pójdzie gładko. Po kawie pojedziemy.

Tym razem stało się, jak stryj zapowiedział. Ledwie kawę wypili, Hawryło pod oknami trzasnął z bata, i oni pożegnawszy się, odjechali.

Od tego dnia począwszy, stryj tak się zachowywał, jakby przyzwolenia bratanka był całkiem pewny. Ani mu przez myśl więcej nie przeszło pytać go, czy chce się żenić z panną Malcią. On tylko obliczał ile nowożeńcy będą mieli gotówki. A ponieważ termin licytacyjny szybko się zbliżał, więc aby przed nim sprawę ukończyć, podał nawet o indult, który w ciągu trzech dni otrzymał. Włodzimierz, którego już natura sama niedość energicznym stworzyła, patrzył na te przygotowania obojętnie wprawdzie, jakby się nie jego osoby tyczyły, lecz stryjowi bynajmniej nie przeszkadzał. Owszem, siedł mu nawet na rękę, stosując się bowiem do jego życzenia, dość często jeździł do ks. Mudryckiego, gdzie spodziewał się nudy zabić. Zresztą kto wie, czy stryj energiczny, nie uzyskał już takiej przewagi nad słabym bratankiem, że ten choćby chciał nawet, nie umiałby się oprzeć jego woli? A może także w jego duszy zbolałej, złamanej prawie, obudziła się tęsknota do życia cichego,

które mógł znaleźć u boku kobiety poczciwej i w gronie swojej rodziny... Trudno zaiste zba- dać, co go takim biernym robiło, dość, że nie sprzeciwiał się już w niczem stryjowi, i jakkol- wiek bez wielkiej radości, usłyszał dnia pewnego także i bez trwogi, że za tydzień odbędzie się jego ślub z panną Melanią Mudrycką. Układy tak gładko poszły, że kawaler nie potrzebował nawet dopełniać zwykłych w takich razach for- malności i osobiście oświadczać się o rękę panny.

Gdy dzień ważny zaświtał, na wszystkich drogach, do wioski ks. Mudryckiego prowadzą- cych, widać było wózki i taradajki czcigodnych duszpasterzy, którzy z córkami i żonami spie- szyli na wesele. Zabawy spodziewano się wiel- kiej, ks. Mudryckij bowiem był uważany w po- wiecie za pierwszego bogacza, bratanek zaś ks. Dymitra, jako przyszły *Grossgrundbesitzer*, za partję najlepszą. Prócz tego spodziewano się także z miasta kilkunastu młodych alumnów, więc tyluż kandydatów do stanu małżeń- skiego.

W domu księdza Mudryckiego roilo się jak w ulu. Kto nie mógł w nim znaleźć pomieszcze- nia, lokował się w stodole, inni poszli bądź do szkoły, bądź do włościan w pobliżu mieszkają- cych.

Podczas gdy pannę ubierały družki i ku- zynki, a pan młody w pokoju, gdzie było męż- czyzn kilkudziesięciu, między nimi także ojciec i dwaj bracia starsi, z kuferka wyjmował po

jedyncze części swego stroju, ks. Dymitr z oj- cem panny młodej, ostatnią staczał kampanię.

Ks. Mudryckij przyrzekł był wprawdzie dać 5000 guldenów, lecz gdy ks. Dymitr przed ślu- bem pieniędzy zażądał, ten począł stawiać ja- koweś warunki, o których przedtem mowy nie było. To tak ks. Dymitra rozgniewało, że kilka razy z pokoju wybiegał. Nareszcie wpada tam, gdzie wraz z narzeczoną znajdowało się naj- więcej mężczyzn, a widząc, że Włodzimierz właśnie buty wdziewa, przyskakuje do niego i krzyczy:

— *Ne bery czobotiw, ne bery! Nyczo z na- szoho interesu!*

Włodzimierz uśmiechnął się z zadowole- niem prawie, zato inni, przestraszeni takim rze- czy obrotem, zaczęli cisnąć się do ks. Dymitra i pytać go o powód tej zmiany. On rękami wy- machiwał, coś bełkotał, ks. Mudryckiego prze- klinał, nazywając go oszustem i złodziejem, lecz mówił tak bez ładu i składu, że nikt nie rozumiał, o co mu szło właściwie.

Dopiero pojawienie się samego winowajcy rzuciło jasne światło na ciemne położenie. Ten drzwi lekko odchyliwszy, wytknął głowę, i na ks. Dymitra patrząc, słodziutko przemówił:

— *Bih me, ne maju.*

— *Ne breszit, bo majete!* — zawołał ks. Dymitr energicznie, i plecy mu pokazał.

Ojciec Włodzimierza słysząc to, podszedł do ojca panny młodej.

— O cóż to idzie, o co? — zapytał po polsku.

— Przyrzekłem dać pięć tysięcy, i daję — odpowiedział ks. Mudryckij także po polsku — ale że nie mam gotówki, więc papierami wypłacam trzy tysiące, na dwa zaś daję weksel.

— Łziesz księżu! Łziesz! — wpadł mu ks. Dymitr w słowo, lecz także nie po rusku, tylko poprawnie po polsku. — Ja wiem, że ksiądz masz gotówkę, przeszło dziesięć tysięcy, aleś skąpy, aż wstyd! Mój chłopiec więcej wart, niż trzy tysiące.

— Ależ ja daję pięć... przecie na dwa weksel wystawiam.

— Schowaj sobie księżu weksel, bo byś go pewnie potem nie wykupił. *Ne zdurysz aptekara koperwaserom!* Albo wszystko *gotiu* na stół, albo *nyczto z naszoho interesu!* Hej! chłopcze! — krzyknął do Włodzimierza, który schyliwszy się machinalnie, wziął znowu buty do ręki — *ne bery czobotiw!*

Wszczął się krzyk i zamęt nie do opisania. Ci stawali po stronie jednego, tamci po stronie drugiego, ojciec Włodzimierza podchodził to do tych, to do tamtych i na wszystko ich zaklinał, by się uspokoiłi, lecz słowa jego były grochem na ścianę rzucanym. Krzyk zamiast zmniejszać się, raczej się potęgował, ale chociaż w izbie huczało jak w garnku nakrytym, gdy mu para rozsądzeniem grozi, mimo to słychać było wyraźnie najwięcej słów polskich.

Nawet sam ks. Dymitr kłócił się dalej nie po rusku, lecz po polsku.

Nareszcie, jakby za dotknięciem laski czarodzieja, wszystko nagle ucichło, ks. Mudryckij bowiem, zwróciwszy się do ks. Dymitra, poważnie przemówił:

— Chodź księżu, chodź, i zniszcz mnie do reszty!

Ks. Dymitr uśmiechnął się z zadowoleniem i wyszedł za gospodarzem. Po chwili wrócił z pękiem papierów w ręku, które do góry podniósł.

— *A szczo?* — zawołał.

Otworzył spory kufer, na zielono pomalowany, który stał pod oknem, schował pieniądze, zamknął, klucz włożył do kieszeni, obrócił się do Włodzimierza i krzyknął:

— *Uberajsia borzo bo wże czies!*

W pół godziny po tej scenie, orszak weselny zdażał do cerkwi, która stała po drugiej stronie drogi. Ślub miał dać ojciec pana młodego. Co do ks. Mudryckiego, ten oświadczył gościom, że w domu zostanie bo jest „*duże słabuj*.” Gwałtowne wrażenia dnia tego musiały oddziaływać na jego organizm.

Bojąc nad stratą nie tyle jedynaczki, co owych dwóch tysięcy, które mu gwałtem wydarto, usiadł pod oknem, i głowę na dłoni wsparłszy, puścił na dwór wzrok załzawiony. Długi szereg gości minął nareszcie drogę i wszyscy weszli do cerkwi rześkie oświetlonej.

Chwilę panowała cisza uroczysta.

Nagle ktoś z zakrystji wyskoczył, i rzucił się cwałem w pole. Tuż za nim pojawia się drugi, trzeci, dziesiąty, słyhać także wołania przeraźliwe. Ks. Mudryckij złowrogiem przezcuciem miotany, zapomina że jest *duże słabyj*, i bez czapki na dwór wybiega, poczem rewerendę podniósłszy, by mu w biegu nie zawadzała, jakby młodzik jaki za drugimi pędzi... Nim się od nich dowie, co się stało, musimy go uprzedzić i do cerkwi zaglądnąć.

Panna młoda weszła pierwsza; pan młody za nią. Ona była zapłakana, lecz szczęśliwa w duszy; on oczy miał suche, ale serce ścisnęło mu się kurczowo. Dopiero teraz widział, że w chwili stanowczej brakło mu sił i odwagi.

Gdy przed sędziwym ojcem ukłękli, Włodzimierz mimowoli spojrział bokiem na narzeczoną. Co mu się nagle stało, sam nie wiedział, ale to czuł, że go ogarnął strach niepojęty... Zerwał się tedy prosto i ku zakrystji się zwrócił. Z początku ten i ów myślał, że pan młody czegoś potrzebuje, najprędzej wody, lecz gdy bliżej stojący usłyszeli, że z trzaskiem otworzyły się także drzwi od dworu, w skutek czego w cerkwi powstał przeciąg, wtedy pierwszy ks. Dymitr, za nim inni, rzucili się najpierw do zakrystji, potem na dwór.

I oto widzą, jak pan młody, nie oglądając się nawet, przez pola świeżo poorane, ucieka prosto do lasu.

— *Łowy! łowy!* — krzyknął ks. Dymitr i puścił się za uciekającym.

— *Łowy! łowy!* — powtórzyli inni księża i poszli za jego przykładem.

— *Moi hroszy! moi hroszy! Łowy!* — dał się słyszeć rozpaczliwy głos ks. Mudryckiego, który wszystkich wyprzedziwszy, w mgnieniu oka znalazł się na czele.

Uciekający słyszał za sobą krzyki złowrogie, ale to zamiast go przestraszyć, raczej sił mu dodawało. Już niedaleko — ledwie kroków kilkadziesiąt... Stanął, odetchnął, i jak chart ze smyczy spuszczone, puścił się do lasu.

Za chwilę, między tymi, co za nim biegli, a lasem, było pusto — bór zaś szumiał tak potężnie, że chyba serce na piękno natury nieczułe, mogłoby teraz marzyć o czem innem, a nie o jego wnętrzu tajemniczem...

XIV. Wyjaśnienia.

Pan Oliński w swoim pokoju siedząc, przeglądał dzienniki z kilku dni ostatnich. Blisko tydzień nie był w mieście, i dopiero wczoraj wrócił, chciał się więc dowiedzieć, co się pod jego nieobecność stało.

Z jakimż oburzeniem czytał, że Towarzystwo fabryczne, założone pod sztandarem, na którym były wypisane same hasła patriotyczne, już w czwartym miesiącu swojego istnienia, dopuściło się tylu oszustw, obliczonych na szkodę akcjonariuszów, że aż sąd musiał się niem zająć. Dzienniki opisywały szczegółowo rewizję dokonaną w przedzalni i w centralnem biurze Towarzystwa, w skutek której pierwotne podejrzenia miały się w pewność zamienić; dawały do zrozumienia, że brzydka ta sprawa przybierze wkrótce nierównie większe rozmiary, ponieważ kilkanaście nowych osób będzie w nią wpłatanych; наконец między wierszami pozwalały się domyślać, że w pierwszym rządzie będzie odpowiadał prezes Towarzystwa, hr. Hieronim Czarnokoński.

Z wszystkich tych wiadomości ostatnia panna Olińskiego najbardziej dotknęła. Chociaż dla hrabiego nie miał sympatji, i lubo dotychczasowa tegoż działalność nieszczególne na nim robiła wrażenie, mimo to, jako prawy syn kraju, bolał nad tem bardzo, że jeden z tych, na których oczy ogółu były zwrócone, tak brzydką teraz rolę odgrywał.

— Co powiedzą nasi nieżyczliwi, co Niemcy? — w duchu się zapytywał. — Gdyby prezesem Towarzystwa tak oszukańczego był kto inny, nie wiele by mnie to obchodziło, ale że hr. Czarnokoński przyjął na siebie odpowiedzialność za jego czynności, to rzecz bardzo bolesna. Zawsze to reprezentant jednego z pierwszych rodów w kraju, przytem taki głośny patriota!...

Wziął najnowszy numer *Trąby ludowej*. W artykule wstępnym, poświęconym także Towarzystwu fabrycznemu, znalazł ustęp, który po dwakroć odczytał. Brzmiał on w całej osnowie:

„Zaiste, niczegośmy się nie nauczyli, i nicemy nie zapomnieli. Jak ongi za Rzeczpospolitą, tak i dziś jeszcze krajem rządzi klika możnowładców, która dawniej schlebiała tylko szlachcie, ta bowiem była wówczas narodem, dziś zaś przybrawszy maskę fałszywego patriotyzmu, i mając ciągle na ustach szumny frazes, ludzi i na lep bierze nawet warstwy najniższe. Moźnowładcę panują wszędzie: W Sejmie, w Wydziale krajowym, w Radzie szkolnej, w Radach miejskich, na kolejach, w kościele, nawet

w urzędach i sądach, i jak ongi, tak i dziś mają tylko własny interes na względzie. Obowiązek, kraj, ojczyzna, to dla nich puste dźwięki. Ileć więc temu lub owemu magnatowi noga się powinie, możemy być pewni, że sojusznicy jego natychmiast z pomocą mu pospieszają. Ponieważ wiemy o tem, więc też bynajmniej nie trwoży nas los hr. Hieronima Czarnokońskiego. W dziejach naszych raz tylko się zdarzyło, że możnowładcy butę ukrócono. Było to wtedy gdy Samuelowi Zborowskiemu głowę ucięto. Gdy jednak fakta historyczne, zwłaszcza jak ten wyjątkowe, nie lubią się powtarzać, przeto możemy być pewni, że każdy u nas możnowładca od kozy zręcznie się wykreści, ileć raz wina jego będzie nadto wielka, i obrażone sumienie publiczne będzie się gwałtem domagało zadośćuczynienia, to wtedy złapią pierwszego lepszego biedaka, i jeżeli już nie fizycznie, to przynajmniej moralnie pewnie go powieszają. Kto chce, niech teraz wierzy, że mamy równość wobec prawa, konstytucję, autonomię i tyle innych pięknych rzeczy, będących ozdobą wieku XIX. Nam niestety zdaje się, że ciągle jeszcze jesteśmy rządzeni oligarchicznie. Kto może, niech nam kłam zada."

Właśnie gdy pan Oliński ustęp powyższy drugi raz odczytawszy, gazetę na kolanach położył, by się nad nim uważniej zastanowić, wszedł służący oznajmiając, że jakiś pan przyszedł. Pan Oliński nie miał jeszcze czasu zapy-

tać, jak się gość nazywa, gdy ten już we drzwiach stanął.

Był to pan Mojżesz Kampf.

Zmieniony był do niepoznania. Twarz niedawno jeszcze rumiana i okrągła, pośliznęła; policzki mu obwisły, oczy w głąb zapadły, usta posiniały, nawet brzuch mu się zmniejszył.

Krokiem chwiejnym zbliżył się do gospodarza, i na fotel padając, jęknął:

— W panu ostatnia nadzieja! Jak mnie pan nie poratuje, zginę, marnie zginę!

Pan Oliński w najwyższym stopniu zdziwiony, wypatrzył się na mówiącego.

— Co panu jest? — zapytał.

— Co mi jest? Wszystko panie! wszystko! Jestem obdarty, zniszczony, zabity! O ten Grzmotowicz, żeby też jego Bóg ciężko skarał za moją krzywdę!

Panu Olińskiemu dopiero teraz Kazio na myśl przyszedł. Chociaż już od wczoraj w mieście bawił, przyjaciel i doradca prawny, do tam się nie pokazał, co było czemś nadzwyczajnem, zwykle bowiem do pana Olińskiego dwa razy na dzień przychodził.

— Więc cóż dyrektorowi zrobił pan Grzmotowicz?

— Co mi zrobił? Zabrał mi żonę, wszystkie perły i brylanty, które jej za moje własne drogie pieniądze kupowałem, i uciekł do Ameryki. *Ja, ja* — dodał przez łzy — *fort nach America!*

Pan Oliński tak gwałtownego doznał wrażenia, że nie mógł słowa przemówić. Patrzył tylko to na gościa, to dokoła się rozglądał, jakby chciał się upewnić, że to nie sen przykry, lecz rzeczywistość.

— Czemu mu pan nie dał swojej córki, czemu? — zawołał bankier rozpaczliwie ku gospodarzowi ręce wyciągając. — Jakby się był ożenił, byłby porządnie długi zapłacił, i moja żona nie byłaby potrzebowała z nim uciekać. A to majster! Namówił ją, żeby mi z pod poduszki wykradła klucz od kasy, ja myśląc że m go zgubił, drugi zapisałem, a oni tymczasem zabrali 30.000 i *fort nach America!* I nie koniec na tem. Ten łotr telegrafuje jeszcze do mnie z Hamburga, że właśnie odjeżdża, dziękuje mi za pieniądze, i każe kłaniać się wszystkim znajomym, między nimi także hr. Czarnokońskiemu i panu. Proszę, niech pan tylko popatrzy, on o panu także nie zapomni.

Z temi słowy pokrzywdzony małżonek rozłożył przed gospodarzem długą depezę.

Pan Oliński zrozumiałwszy nareszcie, co się stało, rzekł spokojnie:

— Skoro tak się spisał, więc podziękujmy przynajmniej Bogu, że uczynił to teraz, nie później, bo może by jeszcze gorzej było.

— Co by mogło być gorszego? Czy może pan myśli, że mam dwie żony, i że później byłby mi obie zabrał? Ale wszystkiego tego ja sam narobiłem... Na co mu było mówić, że

jak pan przyjedzie, to ja się zapytam, czy podpis pański na jego wekslach jest sprawiedliwy.

— Na jakich wekslach?

— Na tych, które pan Kaziowi podpisywał.

— Ja mój panie żadnych mu weksłów nie podpisywałem.

— Żadnych? Fe, fe, niech pan tak brzydko nie mówi... Przecie ja wiem, że pan był jego szczerym przyjacielem, więc teraz pan nie zechce, by po nim zła pamięć została. Zresztą to nie taka wielka suma, nie ma całych 50.000, dla pana to bagatelka!

— Nie przyjmę ani pięciu guldenów.

— Co pan mówi, co pan mówi? — krzyknął bankier rozpaczliwie, z miejsca się zrywając. Zrozumiałwszy jednakowoż, że gwałtowność nie doprowadzi go do celu, zaczął prosić: — Wielmożny panie! Panie dobrodzieju, niech pan przyjmie tę bagatelkę!... Wziął mi żonę, perły, brylanty i 30.000... Jakbym stracił jeszcze 47.500, byłbym na śmierć zarznięty!... To już nie pieniądze, wielmożny panie, to moja krew, to mój honor!... Hr. Czarnokoński boi się, że sąd śledztwo nam wytoczy. Co bym ja sobie z tego robił, jakbym nie miał nieszczęścia z tym łotrem, Grzmotowiczem! W sądzie ani włos z głowy nam nie spadnie, ale pieniądze i brylanty już nie wrócą, bo je zabrał do Ameryki! Panie dobrodzieju! Wielmożny pa-

nie! niech pan zapłaci te weksle, on tak ślicznie pana podpisał, że pan sam nie pozna.

Wśród nieszczęścia, które spadło na niego tak niespodziewanie, pan Mojżesz Kampf zdziwiał prawie. Żadną miarą nie mógł tego pojąć, że pan Oliński nie był obowiązany płacić weksłów fałszywych. Widząc że prośby nie pomagają, począł grozić sądem. Według jego mniemania, jeżeli rzeczoznawcy orzekną, że podpis nie jest fałszywy, orzeczenie zaś takie ła-two mogą wydać, ponieważ podpis jest znakomicie naśladowany, natenczas on, pan Oliński, będzie musiał zapłacić. Nasz przyjaciel, wysłuchawszy i tej groźby spokojnie, powiedział raz jeszcze, że grosza nie zapłaci, wziął gazetę do ręki i czytać ją zaczął.

Dopiero to przekonało bankiera, że nie ma tu co więcej robić. Rad nie rad musiał więc odejść.

Ledwie drzwi za nim się zamknęły, wszedł znowu służący z uwiadomieniem, że od pół godziny czeka w saloniku niejaki ks. Szczerbanowski. Chociaż pan Oliński nie bardzo był w tej chwili rad nowemu gościowi, zwłaszcza że ani go znał, ani wiedział, po co przychodzi, mimo to bezzwłocznie poszedł go powitać, dla stanu bowiem duchownego, miał od dziecka cześć głęboką.

Na środku saloniku, w postawie pokornej, stał dobrze nam znany staruszek, ojciec Włodzimierza. Wprawdzie twarz miał uśmiechniętą,

lecz uśmiech to był wymuszony, prócz tego wi-dać było, że jest zakłopotany, że mu tu nie swojsko. Dopiero gdy gospodarz przywitał go z serdeczną otwartością i usiąść poprosił, staruszek ośmielił się trochę i tak przemówił:

— Daruj panie dobrodziej, że chociaż całkiem nieznany, ośmieliłem się przyjść aż tu, i w domu go niepokoić, lecz pan dobrodziej, jako ojciec, wie sam najlepiej, że człowiek wszystko uczyni, gdy idzie o szczęście jego dziecka. Ja mam syna, Włodzimierza, którego niegdysz zaszczycał przyjaźnią nawet syn pana dobrodzieja.

— To ksiądz proboszcz jesteś ojcem jego? — zapytał pan Oliński czoło marszcząc nieznacznie.

— Tak jest... Włodzimierz trochę mi się był wykoleił, ot zwyczajnie jak młody, ale to chłopiec niezły, serce ma złote, może nawet za-nadto miękkie... Gdy się trochę z błędów otrzą-snął, zaczął się nim opiekować mój brat ro-dzony i chciał go pocziwie ożenić. Znalazł mu dobrą partję, chłopiec zgodził się i zdawało się, że wszystko pójdzie jak z płatka... W dzień ślubu, zjechało się gości bez liku, ojciec panny młodej wypłacił posag, ładny posag, pięć ty-sięcy gotówką, poszliśmy do cerkwi, ja miałem im już ręce stułą związać, gdy wtem pan młody zrywa się i ucieka. My za nim, myśląc że osza-lał, on jeszcze prędzej w nogi, prosto do lasu... Panna młoda zemdlą, jej ojciec o mało nas

nie wybił, na cały kraj wstyd straszny! Żem dzień ten przeżył, to cud prawdziwy! Może pan dobrodziej sobie wyobrazić, co nam się wtedy działo. W nocy przyszedł do mnie chłop z wioski sąsiedniej, z listem, w którym Włodzimierz błagał mnie na wszystko, bym natychmiast tam pojechał, gdzie się ukrywał. Pospieszyłem do biedaka, spłakaliśmy się obadwa i w końcu musiałem przyznać, że nie bardzo zawinił. Nie tając prawdy przedemną, otwarcie mi wyznał, że ponieważ panny Melci nie kocha, więc w ostatniej chwili postanowił raczej uciec, niż jej kłamliwie miłość przysięgać, coby ich oboje unieszczęśliwiło. Gdym go wtedy zapytał, czemu jej nie kocha, odpowiedział, że kocha inną... W całym tem wyznaniu nie było jeszcze nic tak złego panie dobrodzieju, gdyby nie okoliczność, że ta, którą on ośmielił się pokochać, nie jest dla niego.

Ksiądz urwał. Pan Oliński, który aż do tej chwili uważnie mu się przypatrywał, zapytał machinalnie:

— Kto to jest taki?

— To twoja córka, panie dobrodzieju.

— Moja córka? — pan Oliński znowu machinalnie powtórzył i w mówiącego dalej się wpatrywał.

— Tak jest, córka pańska, ale chociaż miłość mego syna jest szaloną, mam nadzieję, że pan dobrodziej za to go nie potępisz, iż ośmielił się pokochać gwiazdę, która na wysokim fir-

namencie świeci. Czyż dziwić się można, że podczas pobytu swego w Nowosiólkach, patrząc codziennie na pannę Marję, dostał zawrotu głowy? Oszałał więc biedny chłopiec, ale państwo możecie go łatwo z tej choroby wyleczyć. Potrzebujecie tylko kilka słów napisać, że z jego marzeń nie nigdy nie będzie, bo być nie może, i on wyzdrowieje. Może czas jakiś będzie jeszcze bolał, ale w końcu rozum weźmie górę, i mój biedny chłopiec wyjdzie na człowieka. Błagam cię panie, zrób to jak najprędzej, zaraz, a Bóg cię za to na twych dzieciach wynagrodzi! Oto sprawa, która mnie tu sprowadziła.

Słowa ostatnie staruszek ze łzami wypowiedział i cały drżący schylił się, jak gdyby pana Olińskiego chciał w rękę pocałować. Ten jednak cofnął się trochę, potem gościa oburącz w jamiona chwytając, głosem stłumionym zawołał:

— Księżu! nie widzieliśmy się kiedy w życiu?

— My?... nie przypominam sobie...

— A przed trzydziestu kilku laty, między Pomorzanami a Lwowem?

— Dawne czasy, panie dobrodzieju... moja pamięć słaba — odpowiedział oczy spuszczaając.

— Księżu! nie wypieraj się, nie wypieraj! To ty byłeś, nikt inny, chociaż postarzelismy się obadwa, poznają cię jednak po rysach twarzy, po głosie, a przede wszystkim po twojem słodkiem obejściu... Więc tyś mi życie ocalił, i

wraz z niem uratowałeś tylu jeszcze innych, a mimo to nie zgłosiłeś się dotąd do mnie? Czy to się godzi, księże, czy się godzi?

— Dawne to czasy, panie dobrodzieju, bardzo dawne... zresztą spełniłem tylko mój obowiązek, nie ma więc o czym mówić.

— Przyznajesz się zatem, że to ty byłeś, przyznajesz? — zawołał za szyję go obejmując. — O mój przyjacielu! mój dobrodzieju! czemuże ja ci się wywdzięczę!

Głos pana Olińskiego tak był donośny, że Marynia, która przypadkiem znajdowała się w pokoju przyległym, nie domyślając się coby to znaczyło, odchyliła drzwi od saloniku.

Ojciec ujrzawszy ją, zawołał:

— Maryniu! dziecię moje! chodź tu, i padnij do nóg księdzu Szczerbanowskiemu, bo to on twemu ojcu życie ocalił i on uratował papiery pana Teofila.

Dziewczę chwili się na namyślając, rzuciło się do nóg sędziwemu kapłanowi, który zdziwiony, wzruszony, uradowany, nie wiedział co począć.

I jak byli troje, wszyscy się rozplakali. Marynia pierwsza mówić zaczęła.

— Czy ksiądz proboszcz nie jest przypadkiem ojcem pana Włodzimierza?

— Ze ci też to zaraz na myśl przyszło! —

pan Oliński odpowiedział. — Mój zbawca jest w rzeczy samej jego ojcem, i gdyby nie to, nie bylibyśmy go nigdy w życiu widzieli... Oto przyjechał prosić nas, byśmy jego syna z ciężkiej choroby leczyli...

— Co, pan Włodzimierz zachorował?! — Marynia przestraszona zawołała.

Ojciec spojrzał na nią i głową pokręcił.

— Choroba jego nie jest śmiertelną, chociaż, jak powiedziałem, należy zawsze do cięższych, bo jest sercowa... Pan Włodzimierz zakochał się w tobie, i teraz żadną miarą nie chce się żenić. Ksiądz dobrodziej bojąc się słuszenie, by mu się syn nie zmarnował, przyjechał nas prosić o kilka słów do niego. Jeżeli mu napiszemy, żeby sobie wyperswadował miłość, która na wzajemność nie może liczyć, to w takim razie z pewnością wyzdrowieje.

Podczas tego przemówienia, twarz Maryni ciągle się zmieniała. To była wesoła, to smutna, to blada, to rumiana. Gdy skończył, mimowolnie powtórzyła:

— Nie może liczyć na wzajemność...

Ojciec znowu głową pokręcił. Potem nagle zapytał:

— A ty Maryniu, czemuś dotąd nie chciała wyjść za żadnego z tych licznych konkurentów, którzy się o ciebie starali?

Zarumieniła się jak wiśnia i twarz sobie zasłoniła, ale nic nie odrzekła.

— No, no, pomówimy jeszcze o tem — ojciec wesoło zawołał, i zwracając się do gościa dodał: — Skoro raz przecie dostałem cię w moje ręce, dobrodzieju, więc cię tak prędko nie puszczę. Zjemy razem objadek, a przy czarnej kawie i fajeczce pogadamy o naszych interesach.

XV.

Zakończenie.

Jakto, więc już koniec? Niestety, koniec, bo gdybyśmy dalej chcieli malować teraźniejszość, musielibyśmy chyba tak długo pisać, póki by to wszystko, co cechę obecnej chwili stanowi, nie uległo zupełnej zmianie i przeistoczeniu, dopóki by nie wystąpili nowi mężowie, dopóki by w głowach nie zaświtały inne myśli, a przed ludźmi działającymi nie stanęły inne cele. Słowem, teraźniejszość dopiero wtedy by się skończyła, gdyby na scenie naszego życia społeczno-politycznego zjawili się inni bohaterowie...

Ależ, nieznosny nudziarzu, niejedna z czytelniczek zawoła, powiedz nam przynajmniej, co się stało z dzisiejszymi bohaterami, bo chociaż każdy z nich smutną tu rolę odegrał, zawsze chcielibyśmy usłyszeć, jak im się teraz powodzi.

Zanim zaspokoję waszą ciekawość, muszę wpierw skruszyć kopię w obronie wszystkich bohaterów chwili obecnej. Że są takimi a nie innymi, nie oni winni, lecz epoka, wśród której

na świat przyszli. Nie ludzie robią historję, tylko ona ludzi wytwarza; w atmosferze niejakej, żyje człowiek nijaki. W epoce małych cnót i pospolitych zbrodni, nie szukajcie mężów, kutyh przez Michała Anioła, a ożywionych przez Szekspira!

Nasi bohaterowie żyją wszyscy. Hr. Czarnokoński pod klucz wcale się nie dostał, śledztwo bowiem prędko umorzono, ale że wmięszanie się sądu w sprawy Towarzystwa fabrycznego wywołało wielki skandal, który głośnym echem odbił się o sfery najwyższe, przeto Prezydent spi teraz spokojnie, bo już nie ma rywala, który by go mógł z siodła wysadzić. Zdaje się, że nareszcie i sam hrabia zrozumiał, iż dalsza jego karjera skończona, w ostatnich czasach bowiem polityką zajmuje się tylko tyle, ile musi, a gdy go kto zbyt natarczywie zapyta, co dodatniego uczynił, odpowiada, że już „wkrótce zrobi się bardzo wiele, gdyż rząd sprzyja krajowi“; za to całą uwagę zwrócił na sprawy ekonomiczne, dzięki czemu majątek ogółu upada, lecz jego szybko się powiększa. Jeszcze rok, dwa, a na Zawadowcach grosza długu nie będzie. Szlachta ma go zawsze za pół boga, i nikt nie wątpi, że gdy hrabia umrze, wszyscy zawołają, iż kraj stracił jedną z pierwszych swoich znakomitości, prawdziwego bohatera!

Grzmotowicz naturalizował się w Ameryce, i jak wieść niesie, zamierza tamże kandydować

do parlamentu. Są i tacy, którzy wierzą, że w końcu gotów on nawet zostać Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ci, co w kraju zostawszy, wstąpili teraz w jego ślady, noszą się także z zamiarem opuszczenia tej ziemi niewdzięcznej, i przeniesienia się do Ameryki, lecz by ten plan mogli przeprowadzić, potrzebują jeszcze znaleźć taki bank, który eskontuje weksle z fałszywymi podpisami, i takich bankierów, którzy mają młode żony, pragnące ulotnić się nie same tylko, ale razem z klejnotami i z kasą męża.

Pan Kampf odbija straty i nie wątpi, że wkrótce będzie miał milion.

Pan Wolewicz junior, wróciwszy z nieszczęsnej wyprawy po złote runo, czmychnął prosto do Kociejowa, gdzie dotąd siedzi. Jest jednak nadzieja, że następny karnawał zwabi go do stolicy, ojciec bowiem stanowczo mu już powiedział, że w tym roku musi poślubić pannę piękną, młodą, dobrze urodzoną, i przynajmniej milionową.

Markiz sprzedaje ciągle wino francuzkie i herbatę rossyjską, lecz czy nadal będzie robił dobre interesa, o tem wątpić można, właśnie bowiem w kasynie pojawiły się bilety aż trzech ekswłaścicieli tabularnych, którzy świeżo potraciwszy majątki, postanowili pracować taksamo jak Markiz. Prócz tej konkurencji, jest jeszcze rzecz jedna, która martwi Markiza. Oto nie raz i nie dwa, zapytywał on już swego sumienia,

ażali prawdziwy dżentelmen powinien był ongi chodzić do banku, i mówić panu Kampfowi, że Grzmotowicz weksle pofałszował. Jak dotąd, honor jego nie umiał mu jeszcze na to odpowiedzieć, i to go też gryzie.

Hr. Albiński formuje dalej klub moralistów i w tym celu postanowił przejechać się po prowincji z odczytami; hrabina uszczęśliwia teraz dwudziestoletniego porucznika od ułanów, a pani Emerencja, sprowadziła Dziuniowi oryginalnego Francuza, człowieka bardzo miłego, który syna uczy bić się na szpady, mamę zaś z cierpień nerwowych leczy magnetyzmem. Pani Emerencja jest uszczęśliwiona, a że z doświadczeń umie korzystać, więc bacznie teraz przestrzega, by *monsieur Lambert* nie wyjechał kiedy konno ku Studniewicom...

Ks. Eustachy spodziewa się zostać kanonikiem, gdyż sam Prezydent, za usługi, jakie mu oddał, przyrzekł go protegować; Wikliński ciągle jest jeszcze redaktorem *Porządku*; panowie Wolewicz senior, Rakowski i Sowiński, dzięki swoim stosunkom z hr. Czarnokońskim, zostali potęgami, z którymi liczy się cały powiat, pierwszy z nich będzie także lada dzień marszałkiem; radca Szczerbanowski otrzymał tytuł *hofrata ad honores*, z uwolnieniem od taksy; a ks. Dymitr, po scenie, jaką Włodzimierz u ks. Mudryckiego wyprawiał, powiedział, że wszystkiemu winna polska intryga, za co też jeszcze

namiętniej niż dawniej przeciw Lachom agituje.

Tak więc dobiegliśmy do końca.

Lecz co się stało z Włodzimierzem, co z Marynią? wszak to najważniejsze! niejedna czytelniczka zawoła. Prawda, na śmierć o nich zapomniałem. A szkoda byłaby wielka, bo jeśli z kogo, to przynajmniej z tych, może jeszcze coś będzie w przyszłości. Włodzimierz mieszka w mieście i właśnie zdaje egzamina, lecz, że mu w domu nudno samemu, przeto na obiad i na herbatę chodzi co dzień do pana Olińskiego, który przebaczył mu dawne zboczenia, i teraz bardzo go nawet lubi. Marynia niezmiernie z tego zadowolona, bo ma nadzieję, że wkrótce zostanie panią Szczerbanowską; tylko brat jej, Władysław, który w ostatnich czasach zrobił się bardzo do Leandra podobnym, bynajmniej nie jest rad temu, i dlatego z Guciem i Alfonsem w dłuższą podróż się wybiera.

Pozostał jeszcze ojciec Włodzimierza. Zanny kapłan spełniwszy co mu obowiązek nakazywał, wrócił w swoje góry, wszelako pan Oliński prędko go ztamtąd sprowadził, w Sosnowku bowiem umarł nagle ksiądz miejscowy, a że dochody są tam znaczne, więc kolator na tę parafię dał prezentę ks. Grzegorzowi Szczerbanowskiemu. Teraz pan Oliński cieszy się bardzo, że każdego lata, będzie miał popołudniu miłą pogawędkę, wieczorem zaś wiścika, którego obadwa lubią.

W pięknym tym kraju wszyscy są więc zadowoleni i szczęśliwi... Nie wszyscy. Znajdziecie w nim ludzi, acz mała ich garstka, którzy przeciskając się przez tłumy, więcej widzą i słyszą niż inni, którzy goręcej pragną niż drudzy, którzy głębiej czują, niż wszyscy dzisiejsi bohaterowie razem wzięci.

Jakże tym smutno !

KONIEC.

Pisałem w Nowem Siole pod Stryjem w listopadzie i grudniu r. 1883.



1001-

884-3
Rogosz
Dziś

